

Not shown by any other person I feel kept close to my

Miasma



IX

JULIE GARWOOD

Julie Garwood

Wiosna

Tytuł oryginału

COME THE SPRING

Za nami już deszcze i słoty zimowe,

Za nami już grzechy i strachy, i mróz;

Połączonych kochanków ramiona splecione,

Kres niosą obawom o samotność i chłód;

Zapominamy o znoju, o łzach i trudzie,

O mrozie i o kwiatów zwarzonych płatkach;

A w mchach, jarach i paprociach

Pączek za pączkiem wiosna się budzi...

Fragment poematu „Atalanta z Claydon”

Algernona Charlesa Swinburne'a

Dla mojej córki, Elizabeth,

Która ma umysł naukowca, duszę anioła,

determinację mistrza olimpijskiego

i poczucie humoru prawdziwej Irlandki.

Niezwykłe mnie inspirujesz!

Podziękowania

Specjalnie dziękuję następującym osobom:

Jo Ann za to, że pomogła mi się skupić, wytrwać i nie stracić nadziei... i za to, że ze mną wytrzymywała.

Mojej agentce, Andrei Cirilli, i mojemu wydawcy, Lindzie

Marrow, za to, że dały wiarę moim marzeniom... i za to, że

nigdy nie wypowiedziały słowa „niemożliwe”.

Oraz wszystkim moim czytelnikom, którzy pokochali braci

Clayborne 'ów i zachęcali mnie do kontynuowania ich historii.

Dziękuję, dziękuję, dziękuję...

CZEŚĆ PIERWSZA

Za nami już deszcze i śloty zimowe,

Za nami już grzechy i strachy, i mróz.

Gdyby nie łaska boska i rozwiązane sznurowadło, zginęłaby wraz z innymi tamtego feralnego dnia. Dokładnie o drugiej czterdzieści pięć po południu weszła do banku, by zamknąć konto ciotki, rozmyślnie odkładając to do ostatniej chwili, gdyż wydawało jej się to takim ostatecznym krokiem!

Potem nie będzie już mogła zawrócić. Wszystkie walizki były spakowane i już wkrótce na zawsze opuści Rockford Falls i Montanę.

Wiedziała, że za piętnaście minut Sherman MacCorkle, dyrektor banku, zamknie frontowe drzwi. Główna sala banku pełna była ludzi, którzy, tak jak ona, odłożyli załatwianie interesów na ostatnią chwilę; dziwne, bo mimo tłumu klientów przy biurkach pracowało tylko dwóch kasjerów, choć zazwyczaj było ich trzech. Najwyraźniej Emmeline MacCorkle, córka Shermana, odpoczywała jeszcze w domu po ciężkiej grypie, na którą dwa tygodnie temu zapadło pół miasteczka. Do biurka Malcolma Wattersona stała kolejka krótsza aż o trzy osoby, ale Malcolm był niepoprawnym plotkarzem i na pewno zadałby jej mnóstwo pytań, na które wołała nie odpowiadać.

Na szczęście, tego dnia pracował także Franklin Carroll, więc szybko zajęła miejsce na końcu kolejki stojącej do jego biurka. Franklin pracował szybko, porządnie i nigdy nie wtrącał się do prywatnych spraw innych ludzi; poza tym, był jej przyjacielem. Pożegnała się z nim w zeszłą niedzielę po mszy, ale nagle zapragnęła zrobić to jeszcze raz.

Nie znosiła czekać. Tupiąc niecierpliwie o stare deski podłogi, zdjęła rękawiczki, po czym znowu je założyła. Przy każdym ruchu satynowa torebka wisząca na jej nadgarstku kołysała się w przód i w tył, w przód i w tył, niczym wahadełko, dokładnie w rytm tykania zegara wiszącego na ścianie za okienkami kasjerów.

Mężczyzna stojący przed nią postąpił o krok do przodu, lecz ona nie poruszyła się, miała nadzieję, że może w ten sposób ucieknie od bijącego z jego brudnego ubrania nieprzyjemnego, kwaśnego zapachu potu, zmieszanego z odorem tłustych smażonych kiełbasek.

Mężczyzna stojący w kolejce do biurka Malcolma po jej lewej ręce uśmiechnął się do niej ukazując dziurę po dwóch brakujących przednich zębach. Aby zniechęcić go do rozmowy, skinęła mu krótko głową i uniósłszy wzrok, zaczęła wpatrywać się w zacieki na suficie.

W banku było brudno, duszno i niemożliwie gorąco; czuła, jak na karku zbierają się jej krople potu i spływają za kołnierzyk czystutkiej, świeżo wykrochmalonej bluzki. Uśmiechając się ze współczuciem do Franklina, zastanawiała się, jak pracownicy banku mogą wytrzymać dzień po dniu w takim dusznym, ciemnym, cuchnącym grobowcu? Odwróciwszy się w prawo, z tęsknotą spojrzała na trzy wysokie, zamknięte okna; promienie słońca z trudem przeciskały się przez brudne szyby, rzucając na podłogę podłużne wiązki światła i demaskując drobiny kurzu wiszące w dusznym powietrzu. Gdyby musiała czekać dłużej, pewnie wzbudziłaby gniew Shermana MacCorkle'a podchodząc do okien i otwierając je na oścież. Zrezygnowała jednak z tego pomysłu, wiedząc aż nadto dobrze, że dyrektor natychmiast zamknąłby okna i obdarzył ją zjadliwym wykładem na temat wymogów bezpieczeństwa w banku. No i straciłaby swe miejsce w kolejce.

Wreszcie mężczyzna przed nią odszedł od okienka; spiesząc się do przodu, potknęła się i mocno uderzyła głową o szybę okienka kasjera. Spadł jej bucik; pospiesznie wsadziła stopę z powrotem do środka i poczuła, że zawija się języczek trzewika. Za plecami kasjera zobaczyła otwarte drzwi do gabinetu dyrektora banku, po którym Sherman MacCorkle przechadzał się z ponurą miną.

Słyszając hałas, zatrzymał się i spojrzął na nią przez szkła okularów. Uśmiechnęła się do niego słabo, a potem odwróciła do Franklina.

- Rozwiązało mi się sznurowadło - powiedziała tonem usprawiedliwienia. Franklin skinął głową ze zrozumieniem.

- Jesteś już gotowa do wyjazdu?

- Tak - szepnęła w odpowiedzi, zniżając głos, by Malcolm nie podsłuchiwał ich rozmowy.

Wścibski kasjer już nachylał się w stronę Franklina usiłując usłyszeć jak najwięcej.

- Będę za tobą tęsknić - wypalił nagle Franklin czerwieniąc się po same uszy; krwisty rumieniec wypłynął mu aż na szyję. Był niezmiernie wysoki i chudy, a gdy nerwowo przełykał ślinę, jego ogromne jabłko Adama podskoczyło gwałtownie. Jego nieśmiałość ujęła ją za serce. Był od niej starszy co najmniej o dwadzieścia lat, a jednak w jej obecności zawsze zachowywał się jak uczeń.

- Ja też będę za tobą tęsknić, Franklinie.

- Pewnie chcesz zamknąć konto?

Skinęła głową i przepchnęła dokumenty przez półkoliste, nieduże okienko.

- Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku.

Franklin zajął się papierami; sprawdził, czy podpisy i cyferki się zgadzają, a potem otworzył szufladę biurka i zaczął liczyć pieniądze.

- Czterysta dwa dolary to strasznie duża suma. Nie powinnaś nosić tego przy sobie.

- Wiem. - Skinęła głową. - Będę uważać, nie musisz się o mnie martwić.

Kiedy Franklin po raz ostatni liczył banknoty, ona zdjęła rękawiczki; potem wzięła od niego pieniądze, wepchnęła do torebki i mocno zaciągnęła sznureczki.

Franklin rzucił swemu szefowi niespokojne spojrzenie, po czym nachylił się ku niej tak mocno, że czołem oparł się o szybę.

- Nawet w kościele nie będzie już tak samo, kiedy nie będziesz siedziała w ławce przed nami.

Szkoda, że musisz wyjechać... Jestem pewien, że mama w końcu by się do ciebie przekonała.

Sięgnęła przez okienko i impulsywnie uściśnęła jego dłoń.

- Przez ten krótki czas, gdy tu mieszkałam, stałeś się moim najbliższym przyjacielem... nigdy cię nie zapomnę.

- Napiszesz do mnie?

- Oczywiście.

- Wysyłaj listy na adres banku, żeby nie wpadły w ręce matki.

- Dobrze. - Uśmiechnęła się do niego ciepło.

Dyskretne kasznięcie za plecami uprzytomniło jej, że zbyt długo zajmuje Franklina; zebrała rękawiczki i torebkę, i odwróciła się szukając jakiegoś spokojnego kącika, gdzie mogłaby zawiązać sznurowadło. W niedużej alkowie za bramką oddzielającą petentów od kasjerów stało nieduże biurko, za którym zazwyczaj siedział Lemont Morganstaff, lecz teraz go nie było, bo podobnie jak Emmeline MacCorkle jeszcze nie wykurował się z grypy.

Szurając nogą, by po raz drugi nie zgubić buta, przeszła przez salę aż do starego, sfatygowanego biurka pod oknem. Kiedyś Franklin zdradził jej, że MacCorkle kupił wszystkie meble z trzeciej ręki od jakiegoś drukarza; najwyraźniej ze skąpstwa przymknął oko na plamy po atramencie i drzazgi wystające z blatu, tylko czekające na chwilę ludzkiej nieuwagi.

MacCorkle traktował swoich pracowników nad wyraz podle; wiedziała, jak marnie im płaci, gdyż biedny Franklin żył bardzo skromnie i ledwie stać go było na lekarstwa dla niedomagającej matki.

Miała ogromną ochotę pójść do gabinetu MacCorkle'a, gdzie stało piękne, nowiutkie mahoniowe biurko i pasująca do niego szafa na dokumenty, i powiedzieć mu w oczy, jak podłym jest człowiekiem. Może zawstydziłby się i zmienił? Albo pomyślałby, że to Franklin ją do tego namówił.

Wszak wszyscy wiedzieli, że są bliskimi przyjaciółmi, a wtedy Franklin mógłby na tym ucierpieć.

Nie, nie śmiała powiedzieć mu złego słowa, więc tylko obrzuciła dyrektora spojrzeniem pełnym odrazy i oburzenia.

Niestety, i tak na nic się to nie zdało, gdyż MacCorkle patrzył akurat w innym kierunku.

Odwróciła się od niego i wyciągnawszy krzeselko spod biurka, położyła na nim swoje rzeczy. Potem kucnęła i z taką godnością, na jaką było ją stać, odsunęła spódnicę i halki, poprawiła jęczyczek w buciku, a potem z powrotem zawiązała sznurowadło.

Kiedy już chciała wstać, nadepnęła na brzeg spódnicy i z głośnym hukiem upadła na podłogę.

Torebka i rękawiczki spadły jej na kolana, gdy potrącone krzesło potoczyło się na kółkach do tyłu,

odbiło od ściany, wróciło i uderzyło ją w ramię. Zawstydzona swą niezręcznością wyjrzała ostrożnie zza biurka, by przekonać się, czy ktoś to zauważył.

Przy okienkach stało już tylko trzech klientów, lecz wszyscy, jak jeden mąż, patrzyli się na nią z rozdziawionymi ustami. Franklin właśnie skończył wkładać jej dokumenty do szafy i zamknąwszy szufladę, odwrócił się do niej zaniepokojony. Ruszył w jej stronę, lecz uśmiechnęła się do niego i machnięciem ręki dała znać, że nie potrzebuje pomocy. Właśnie chciała przeprosić za zamieszanie, gdy drzwi do banku otworzyły się z hukiem.

Zegar na ścianie wybił trzecią.

Nagle siedmiu mężczyzn wpadło do sali i stanęło półkolem. Nikt nie mógł mieć żadnych wątpliwości co do ich intencji: wszyscy mieli twarze ukryte pod czarnymi chustami i kapelusze o szerokich rondach zsunięte nisko na oczy. Wchodząc do środka wszyscy po kolei wyciągnęli rewolwery, a ostatni z wchodzących obrócił się na pięcie i szybko zamknął drzwi na zamek zaciągając jednocześnie zasłony. Wszyscy w banku zamarli; tylko jeden Sherman MacCorkle głośno wrzasnął.

Potem rozległ się wysoki, przejmujący krzyk Franklina.

Podobnie jak inni, dziewczyna zamarła w bezruchu. Poczwała ogarniającą ją panikę i desperacko usiłowała odzyskać panowanie nad sobą. Nie panikuj... nie panikuj... nie mogą nas wszystkich zastrzelić... Nie osmielą się nas wszystkich zastrzelić... Strzały słysząc byłoby w całym mieście... Oni chcą tylko pieniędzy... Jeżeli nikt im się nie sprzeciwi, wezmą pieniądze i odejdą... nic nam nie zrobią...

Jednak nawet te rozsądne myśli nie zdołały uciszyć jej dziko walącego serca. Odbiorą jej czterysta dolarów! Nie! To nie może się zdarzyć! Nie pozwoli odebrać sobie pieniędzy. Ale jak ich powstrzymać? Wyjęła z torebki plik banknotów i rozpaczliwie usiłowała znaleźć dla nich kryjówkę.

Myśl... myśl... Pochyliła się nieco i spojrzała na Franklina. Przyglądał się napastnikom, lecz chyba wyczuł, że patrzy na niego, gdyż lekko opuścił głowę w dół. Dopiero teraz zrozumiała, że rabusie jej nie widzą. Wahała się przez sekundę ze wzrokiem utkwionym w pobladałą twarz Franklina, po czym, najciszej jak potrafiła, wcisnęła się pod blat biurka. Na szczęście mebel miał zabudowany front i nikt patrzący na biurko z przodu nie mógł jej zobaczyć. Pospiesznie odpięła górne guziki bluzki, wetknęła zwitek banknotów pod koszulkę i przycisnęła dłonie do piersi.

O, Boże... o wielki Boże... o Jezu Chryste... Jeden z napastników ruszył w stronę biurka; słyszała jego powoli zbliżające się kroki. Spódnica! Leżała rozrzucona po podłodze niczym ogromna biała flaga; złapała ją i z przerażeniem wcisnęła pod siebie. Serce waliło jej jak oszalałe i była śmiertelnie przerażona, że ktoś usłyszy ten łomot. Jeżeli jej nie zobaczą, nie odbiorą jej pieniędzy...

Buty z wężowej skóry i brzęczące ostrogi minęły ją o kilka centymetrów. Za nimi ciągnął się zapach miętowych cukierków, który ją zszokował - to dzieci pachną miętówkami, a nie kryminaliści.

Nie pozwól mu mnie zobaczyć, modliła się w duchu, proszę, Boże, nie pozwól mu mnie zobaczyć.

Chciała zamknąć oczy i zniknąć; usłyszała, jak ktoś zaciąga zasłony w oknach na tyłach banku. W

pomieszczeniu zrobiło się ciemno i nagle odniosła przerażające wrażenie, że siedzi w trumnie, a ktoś opuszcza nad nią wieko. Poczucie klaustrofobii było tak potężne, że omal nie wyskoczyła spod biurka.

Minęło zaledwie kilka sekund od chwili, gdy złoczyńcy wtargnęli do banku. To się zaraz skończy, powtarzała sobie, zaraz będzie po wszystkim. Oni chcą tylko pieniędzy, jeżeli tylko je dostaną, wyjadą stąd najszybciej, jak potrafią. Zwlekając tylko narażają się na dodatkowe niebezpieczeństwo.

Czy mogli ją zobaczyć przez szparę w deskach? Nawet nie chciała o tym myśleć, było to zbyt przerażające. Szpara miała nie więcej niż pół cala szerokości, więc powoli przesunęła się tak, że kolanami dotykała szuflady nad głową. Powietrze w sali było duszne i ciężkie, toteż omal nie zwymiotowała. Zdołała się jednak opanować i oddychając płytko przez usta, przekręciła lekko głowę, by móc obserwować wszystko przez szparę w drewnie.

Po drugiej stronie sali stało trzech bladych klientów, przyciśniętych plecami do ściany. Jeden z rabusiów postąpił krok do przodu; ubrany był, podobnie jak dyrektor banku, w czarny garnitur i białą koszulę. Gdyby nie czarna maska i lśniący rewolwer, wyglądałby jak każdy inny biznesmen.

Mówił niezwykle uprzejmie i łagodnie.

- Panowie, nie ma żadnych powodów do obaw - zaczął głosem ociekającym południową galanterią. - Dopóki będziecie robić to, co wam każę, nikomu nic się nie stanie. Tak się zdarzyło, że usłyszeliśmy, iż właśnie w tym banku złożony jest spory depozyt dla naszych chłopców w mundurach... no i bardzo chcielibyśmy coś niecoś z niego uszczknąć. Wiem, że nie zachowujemy się, jak na dżentelmenów przystało i że przysparzamy panom wielu kłopotów. Serdecznie za to przepraszam. Panie Bell, proszę wywiesić na drzwiach tabliczkę „Zamknięte”. - To było rzucone w kierunku mężczyzny stojącego po jego prawej ręce. Ten natychmiast wykonał polecenie szefa. -

Doskonale, dziękuję panu bardzo. A teraz, panowie, bardzo proszę założyć ręce za głowę i wyjść tu na środek, bym nie musiał się martwić, że któremuś z was przyjdzie do głowy coś głupiego. Proszę do nas, panie dyrektorze. Proszę wyjść z biura i dołączyć do współpracowników i petentów.

Dało się słyszeć szuranie stóp, kiedy mężczyźni wychodzili na środek sali.

- Bardzo panom dziękuję. Pięknie sobie z tym poradziście, a teraz mam jeszcze jedną prośbę.

Kłęknijcie. Nie, nie... nadal trzymajcie ręce za głowami, przecież nie chcecie, bym się o was martwił?

Pan Bell pewnie chciałby powiązać was jak wieprzki na jarmarku, lecz to chyba nie będzie konieczne, nieprawdaż? Nie ma sensu brudzić tych ślicznych ubranek. A teraz proszę ustawić się w zwartym kółku... ślicznie.

- Sejf jest otwarty, szefie - zawołał jeden z rabusiów.

- A więc się nim zajmij - odparł głównodowodzący.

Kiedy herszt bandy odwracał się, zobaczyła jego oczy: brązowe ze złotymi iskierkami, lecz zimne niczym marmur - bez śladu współczucia. Człowiek o nazwisku Bell rozkaszał się nagle, więc dowódca odwrócił się ku niemu.

- Oprzyj się o ladę, niech inni martwią się o gotówkę. Mój kolega marnie się dziś czuje - dodał do więźniów tonem wyjaśnienia.

- Może złapał grypę - ośmielił się odezwać Malcolm.

- Obawiam się, że może mieć pan rację - zgodził się spokojnie herszt szajki. - Szkoda, bo on bardzo lubi swą pracę, a dziś nie ma dość sił na dobrą zabawę. Nie mam racji, panie Bell?

- Ależ oczywiście, szefie - odrzekł jego towarzysz.

- Czy już pan skończył, panie Robertson?

- Mamy wszystko, szefie.

- Nie zapomnij o gotówce z szuflad - przypomniał mu bandyta o brązowych oczach.

- To też mamy, szefie.

- Zdaje się, że już prawie tu skończyliśmy. Panie Johnson, niech pan z łaski swojej sprawdzi, czy nie będziemy mieć kłopotów z tylnymi drzwiami.

Usłyszała stukot obcasów po podłodze; jeden z obwiesiów kulał. Dowódca odwrócił się teraz, lecz pozostałych widziała wyraźnie: stali za kręgiem więźniów. Kiedy tak na nich patrzyła, zrobili coś dziwnego: zdjęli chusty z twarzy i powtykali je sobie do kieszeni. Herszt postąpił krok do przodu i odłożył rewolwer, by dokładnie i równo zwinąć czarną bandanę. Potem włożył ją do kieszonki kamizelki na piersi. Stał tak blisko, że widziała dokładnie jego szczupłe dłonie i elegancko wymanikiurowane paznokcie.

Dlaczego zdjęli maski? Czyżby nie zdawali sobie sprawy, że Franklin i pozostali podadzą ich rysopisy szeryfowi... Och, Boże! Nie! Nie... nie... nie...

- Czy tylne drzwi są otwarte, panie Johnson?

- Tak, szefie.

- W takim razie pora na nas. Czyja to dziś kolej?

- Pan Bell nic nie robił od czasu tej małej dziewczynki. Pamięta pan, szefie?

- Pamiętam. I co pan na to, panie Bell? Czuje się pan na siłach?

- Oczywiście, szefie.

- W takim razie, do dzieła - rozkazał herszt dobywając broni i odwodząc kurek.

- Co chcecie zrobić? - wrzasnął dyrektor banku.

- Ciii... Przecież obiecałem, że nic się nikomu nie stanie, nieprawdaż?

Jego głos był przerażająco spokojny. Sherman MacCorkle skinął głową i w tej samej chwili człowiek nazwiskiem Bell pociągnął za spust. Głowa dyrektora banku eksplodowała. Herszt zabił mężczyznę klęczącego dokładnie naprzeciw niego i uskoczył zgrabnie na bok, by krew nie opryskała jego eleganckiego ubrania.

- Przecież obiecał pan...! - wykrzyknął Franklin, lecz bandyta obrócił się ku niemu i strzelił mu w tył głowy.

- Skłamałem.

Ceremonia była doprawdy wyjątkowa; gość honorowy, Cole Clayborne, przespał ją całą i jeszcze późniejszą libację na dodatek. Godzinę po tym, jak większość gości udała się do domów, efekt nienaturalnego snu zaczął znikać i Cole zawisnął gdzieś pomiędzy jawą a snem. Czuł, jak ktoś go szarpie, ale nie miał dość siły, by otworzyć oczy i zobaczyć, kto go dręczy. Od hałasu okropnie rozboleła go głowa i gdy wreszcie zaczął dochodzić do siebie, pierwszym odgłosem, jaki usłyszał, był

brzęk szkła i chrapliwy, donośny śmiech.

Ktoś mówił coś do niego albo o nim. Usłyszał swoje imię, lecz jakoś nie mógł się skoncentrować dostatecznie długo, by zrozumieć dalsze słowa. Czuł się tak, jakby w głowie siedział

mu krasnoludek i walił go między oczy ostrym młotkiem. Czyżby miał kaca? To pytanie wtargnęło do jego otumanionego umysłu, ale nie. Wszak nigdy się nie upijał z dala od domu, a nawet przebywając w Rosehill pijał tylko piwo w upalne dni. Bardzo nie podobał mu się efekt, jaki alkohol miał na ludzki organizm; doświadczenie nauczyło go, że wódka przytępia zmysły i tępi refleks, a wiedząc, że połowa rewolwerowców w Stanach Zjednoczonych ma ochotę zastrzelić go tylko dlatego, by móc się później chwalić, że okazali się szybsi od Cole'a Clayborne'a, nie zamierzał pić nic mocniejszego od zwykłej wody.

Ktoś w pobliżu doskonale się bawił. Znowu usłyszał śmiech i spróbował odwrócić się w kierunku, z którego dochodził. W tej samej chwili poczuł okropny ból promieniujący z karku i tyłu głowy. Jęknął przeciągle. Dobry Boże... cóż za męka!

- Zdaje się, że nasza ptaszyna dochodzi do siebie, Josey. Lepiej idź do domu zanim zaczniesz burczeć i kłąć, na czym świat stoi. Twoje delikatne uszy mogłyby nielecho ucierpieć. - Tom Norton przyglądał się Cole'owi przez kraty celi, a Josey z którą był żonaty od trzydziestu lat, stała tuż za nim.

Odeszła pospiesznie, nim Cole otworzył oczy.

Minęła długa chwila, zanim zrozumiał, gdzie się znajduje. Zacisnął zęby, usiadł na wąskiej pryczy i spuścił nogi na podłogę. Ogromne dłonie zacisnął na materacu, a głowa zwisała mu na piersi.

Przez długie minuty przekrwionymi oczami przyglądał się szeryfowi. Norton był już starszym mężczyzną, o twarzy porwanej zmarszczkami, wydatnym brzuchu i pełnych melancholii oczach; wyglądał jak nieszkodliwy suseł.

- Dlaczego jestem w więzieniu? - spytał Cole chrapliwym szeptem.

Szeryf oparł się o kratę, skrzyżował nogi w kostkach i uśmiechnął się rozbrajająco.

- Bo złamałeś prawo, synu.

- W jaki sposób?

- Naruszyłeś porządek publiczny.

- Co takiego?!

- Nie musisz od razu krzyżeć... widzę, że każdy hałas sprawia ci ból. Masz sporego guza na głowie, a krzykiem i tak nic nie wskórasz. Naprawdę nie pamiętasz, co się stało?

Cole potrząsnął głową i natychmiast tego pożałował.

- Pamiętam tylko, że byłem chory.

- Taak, miałeś gripę... Przez cztery dni walczyłeś z gorączką, ale moja Josey cię wykurowała.

Dzisiaj dopiero po raz drugi wstałeś z łóżka.

- I jak to się stało, że naruszyłem porządek publiczny?

- Przeszedłeś na drugą stronę ulicy - odparł szeryf radośnie. - Naprawdę bardzo się zdenerwowałem, gdy tak odszedłeś bez słowa, kiedy ja usiłowałem cię przekonać do zostania w Middleton aż do uroczystości. Dałem słowo komuś bardzo ważnemu, że cię tu zatrzymam, a ty nie chciałeś ze mną współpracować.

- Więc uderzyłeś mnie w głowę.

- Taa... pewnie, że tak - przyznał Tom Norton bez śladu skrępowania. - Nie widziałem innego sposobu, by cię zatrzymać. Właściwie nawet cię nie uderzyłem... tak tylko, lekko puknąłem kolbą rewolweru. Nic złego ci się nie stało. Przecież odzyskałeś przytomność, nie? Poza tym, wyświadczyłem ci przysługę.

Radosny głos szeryfa irytował Cole'a, więc spojrzał na niego ponuro.

- A niby jak wyświadczyłeś mi przysługę, jeśli wolno spytać?

- Dwaj rewolwerowcy czekali na ciebie na ulicy. Chcieli cię wyzwać na pojedynek... po kolei, rzecz jasna. Dopiero co wyzdrowiałeś po grypie i choć pewnie zaprzeczysz, wątpię, czy zdołałbyś ustrzelić któregokolwiek z nich. Naprawdę ciężko chorowałeś, synu, a i teraz ledwie trzymasz się na nogach. Taak, panie szanowny, wyświadczyłem ci przysługę.

- Chyba zaczynam już sobie wszystko przypominać...

- Więc radzę ci dobrze, zapomnij o tym - odrzekł szeryf Norton. - Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Ceremonia się odbyła, a i uroczystość potem była bardzo ładna... co prawda tu, w więzieniu, ale ładna. Jakoś dziwnie czułem się sprowadzając sędziego do celi, ale on nie miał nic przeciwko temu, więc wszystko poszło gładko. Taak, wcale pięknie. Szkoda, że przespałeś to wszystko, tym bardziej, że byłeś gościem honorowym... Moja żona, Josey, upiekła wspaniałe ciasto z żółtym lukrem. Odkroiła ci spory kawałek i zostawiła tam, na stole - dodał wskazując odległy kąt celi.

- Lepiej zjedz go, zanim myszy się do niego dobiorą.

Z każdą chwilą Cole był coraz bardziej zły. To, co mówił szeryf, nie miało najmniejszego sensu... a w każdym razie on go nie widział.

- Proszę odpowiedzieć na moje pytania, szeryfie - zaczął usiłując zachować spokój. -

Powiedział pan, że ktoś ważny chciał mnie tu zatrzymać. Kto to taki?

- Szeryf federalny, Daniel Ryan, ot kto. Powinien się tu zjawić lada moment, by otworzyć celę.

- Ryan tu jest? Ten podły, podstępny, kłamliwy, złodziejski...

- Chwileczkę, chwileczkę! Nie ma sensu się tak unosić! Szeryf Ryan powiedział, że masz do niego jakąś urazę... powiedział, że ma to coś wspólnego z kompasem w złotej kopercie, który dla ciebie przechowuje.

Cole był już całkowicie przytomny.

- Moja matka wiozła ten kompas dla mnie, a on go jej ukradł. Wcale nic ma zamiaru mi go oddać. Sam będę musiał mu go odebrać.

- Myślę, że się mylisz, synu - odparł szeryf Norton i zachichotał cicho pod nosem.

Cole doszedł do wniosku, że nie ma co przekonywać starego; postanowił zachować swój gniew dla człowieka, który naprawdę na niego zasługiwał i który był odpowiedzialny za zamknięcie go w więzieniu... dla Daniela Ryana. Cole nie mógł się doczekać chwili, gdy dorwie drania!

- Czy zamierza mnie pan stąd wypuścić, szeryfie? Odda mi pan moją broń?

- Bardzo bym chciał...

- Ale?

- Ale nie mogę - powiedział szeryf. - Ryan ma klucz do celi. Muszę zanieść pewne dokumenty sędziemu, który urzęduje po drugiej stronie miasta, więc usiądź sobie spokojnie, odpręż się i zjedz nieco ciasta. Postaram się wrócić jak najszybciej. - Norton odwrócił się ku drzwiom, lecz coś go zatrzymało. - Aaa... jeszcze jedno - dodał przeciągając słowa. - Moje gratulacje, synu. Jestem pewien, że rodzina będzie z ciebie dumna.

- Niech pan zaczeka! - wrzasnął za nim Cole. - Niby

czego mi pan gratuluje?

Ale Norton nie odpowiedział. Wyszedł do biura, a po chwili młodzieniec usłyszał zgrzyt otwieranych drzwi. Ciche trzaśnięcie powiedziało mu, że został sam.. Potrzęsnał głową; nie miał

najmniejszego pojęcia, o czym ten stary gada. Dlaczego mu gratulował? Czego?

Rozejrzał się po nagiej celi - szare ściany, szara krata, szary sufit. Na trójnożnym stoliku w kącie celi stała szara, poplamiona miska i dzbanek z wodą, a tuż obok talerz z kawałkiem ciasta, o którym wspominał szeryf. Jediną ozdobą tego pomieszczenia był czarny pajak snujący sieć na szarym kamieniu na ścianie. Drugi zwisał z sufitu, a trzeci z parapetu okiennego. Choć Cole miał prawie dwa metry wzrostu, po to, by wyrzeć przez okno, musiałby chyba stanąć na krześle, a takiego w celi nie było. Ze swego miejsca widział tylko kawałek nieba, równie szarego jak ta tymczasowa kwatery.

Kolor bardzo pasował do jego obecnego nastroju; znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Nie mógł zastrzelić szeryfa Nortona, skoro jego żona pomogła mu wrócić do zdrowia. Sam szeryf też prawdopodobnie uratował mu życie pozbawiając go przytomności, zanim dwaj rewolwerowcy mieli szansę go zastrzelić. Cole dobrze pamiętał, że po grypie wyjątkowo marnie trzymał się na nogach, a i ręce mu się trzęsły. Na pewno zginąłby marnie z kulą w sercu; tylko dlaczego ten cholerny Norton musiał go rąbnąć aż tak mocno? Miał wrażenie, że głowa pęka mu na dwoje.

Sięgnął, by pomasować guz z tyłu głowy, i wtedy jego ręka natrafiła na coś twardego i zimnego. Spojrzał w dół i zamarł, gdy dotarło do niego, co widzi: złota koperta wisiała na złotym łańcuszku, który ktoś - najprawdopodobniej Ryan - przypiął do kieszonki jego skórzanej kamizelki.

Sukinsyn wreszcie oddał mu jego skarb! Cole ostrożnie podniósł cenny przedmiot i położył go sobie na otwartej dłoni; przyglądał mu się przez długą chwilę, po czym go otworzył. Kompas zrobiony był ze stali, nie ze złota, ale i tak prezentował się doskonale: powierzchnia była biała, literki czerwone, a igła czarna. Wyjął go z koperty i z uśmiechem patrzył, jak czarna igła drży, zanim wreszcie wskaże północ.

Mama Róża na pewno bardzo się ucieszy, gdy się dowie, że prezent, który kupiła mu ponad rok temu, wreszcie trafił w odpowiednie ręce. Kompas był naprawdę piękny, a Cole musiał przyznać, że Ryan najwyraźniej dbał o niego przez ten rok. Nadal miał ogromną ochotę zastrzelić drania za to, że trzymał go tak długo, ale wiedział, że nie może tego zrobić, jeżeli chce jeszcze trochę pożyć - na terytorium Stanów Zjednoczonych zastrzelenie szeryfa federalnego karane było śmiercią, bez względu na powody - więc Cole postanowił ulżyć sobie w inny sposób: postanowił, że rozbije draniowi nos.

Ostrożnie wsadził kompas do kieszonki kamizelki, zerknął na dzbanek z wodą i postanowił się nieco odświeżyć. Potem jego wzrok spoczął na kawałku ciasta leżącego na stole. Dlaczego jedli ciasto w jego celi? To pytanie było stanowczo zbyt skomplikowane, by się teraz nad nim zastanawiać. Wstał, by rozruszać nieco skurczone mięśnie, i właśnie chciał zdjąć kamizelkę, gdy rękawem koszuli zawadził o coś ostrego. Szarpnięciem uwolnił ramię, po czym zerknął w dół, by zobaczyć, co to takiego.

Ręce opadły mu bezwładnie po bokach ciała i usiadł ciężko na pryczy patrząc z niedowierzaniem na swoje lewe ramię. Był zaskoczony... nawet więcej. To musiał być jakiś kawał -

tylko że ten, kto go wymyślił, musiał mieć wyjątkowo dziwne poczucie humoru. A potem

przypomniały mu się słowa szeryfa Nortona. Ceremonia... Taak, tak właśnie powiedział stary szeryf...

a potem świętowali... A on sam był gościem honorowym...

- A niech cię wszyscy diabli! - ryknął Cole, patrząc z wściekłością na przypiętą do swojej piersi srebrną gwiazdę szeryfa federalnego.

Kiedy szeryf Norton wrócił do więzienia, Cole nadal trząsł się ze złości. Na szczęście Norton wziął od Ryana klucze do celi, a wraz z nim przysłała jego żona, Josey, więc Cole pohamował gniew.

Pani Norton niosła tacę przykrytą biało-niebieską pasiastą serwetką i gdy tylko szeryf otworzył drzwi celi, wniosła jedzenie do środka.

Norton przedstawił ich sobie.

- Na razie jeszcze oficjalnie nie byliście sobie przedstawieni, bo kiedy Josey się tobą opiekowała, byłeś nieprzytomny i majaczyłeś w gorączce. Josey, ten pan tu to szeryf federalny Cole Clayborne... jeszcze o tym nie wie, ale będzie pomagał szeryfowi Ryanowi ścigać tych wstrętnych terrorystów z gangu z Blackwater. Cole... nie masz nic przeciwko temu, że będę ci mówić po imieniu, synu?

- Nie, szeryfie.

Norton rozpromienił się.

- To bardzo miło z twojej strony, zważywszy na ból, jaki musisz czuć po tym, jak rąbnąłem cię w głowę. Tak czy inaczej, jak już zacząłem mówić, ta śliczna dama rumieniąca się po uszy to moja żona, Josey. Bardzo się o ciebie troszczyła, gdy byłeś chory. Pamiętasz?

Cole wstał, gdy tylko pani Norton weszła do celi. Teraz podszedł do niej i skinąwszy głową, odparł:

- Oczywiście, że pamiętam. Bardzo pani dziękuję za dobre serce. Nie każdy na pani miejscu miałby ochotę przychodzić do hotelu i kurować obcego człowieka. Mam nadzieję, że nie sprawiłem pani zbyt wiele kłopotu.

Josey była pospolicie wyglądającą kobietą, nieco przygarbioną i o krzywych zębach, lecz gdy tylko się uśmiechnęła, w celi zrobiło się jaśniej. A ponieważ ludzie mają zwyczaj odpowiadać uśmiechem na uśmiech, Cole Clayborne odpowiedział jej wyszczerzając wszystkie zęby.

- Naprawdę doceniam to, co pani dla mnie zrobiła - dodał z rozbijającą szczerością.

- Ależ to nie był dla mnie żaden kłopot - odparła pocziwa niewiasta. - Stracił pan sporo na wadze, ale kurczak powinien pomóc panu stanąć na nogi. Dopiero co go upiekłam.

- Moja Josey robi świetnego pieczonego kurczaka - wtrącił szeryf Norton wskazując ruchem głowy tacę przykrytą serwetką.

- Czułam, że muszę jakoś panu wynagrodzić zachowanie mego męża. Thomas nie powinien był pana tak bić po głowie, tym bardziej że nie czuje się pan jeszcze najlepiej. Czy głowa bardzo pana boli?

- Nie, proszę pani, ależ skąd - skłamał.

Josey odwróciła się do męża.

- Ci dwaj podejrzani rewolwerowcy nadal kręcą się po mieście. Zauważyłam obu idąc tutaj.

Jeden czai się na północ od głównej ulicy miasteczka, a drugi na południe. Zamierzasz coś z tym zrobić, czy pozwolisz im zabić tego chłopca?

Norton z zakłopotaniem potarł szczękę.

- Podejrzewam, że szeryf Ryan z nimi porozmawia.

- Nie wygląda mi on na takiego, co dużo gada - odparła Josey.

- Proszę pani, jeżeli ci rewolwerowcy czekają na mnie, to

ja z nimi porozmawiam - odezwał się spokojnie Cole.

- Synu, oni nie chcą z tobą rozmawiać. Aż ich świerzbi, by kogoś zastrzelić, a do tego wykombinowali sobie, że jeżeli wyzwą cię na pojedynek, podreperują swą reputację. Nie pozwól, by wciągnęli cię w jakąś głupią sytuację - rzekł szeryf Norton, zaś jego żona przytaknęła mu skinieniem głowy.

- Gdzie mam postawić talerze? - spytała po chwili.

- Tu w celi jest za duszno. Zjemy w biurze - odparł jej mąż. - Postaw to wszystko na moim biurku, dobrze?

Cole zaczekał, aż Josey wyjdzie z pomieszczenia, po czym odwrócił się do szeryfa.

- Gdzie jest Ryan?

- Niedługo powinien się tu zjawić. Już tu szedł, ale telegrafista powiedział, że w jego biurze czeka bardzo ważny telegram, więc Ryan poszedł po niego. Podejrzewam, że spieszno ci z nim porozmawiać.

Cole skinął głową. Trzymał gniew na wodzy cały czas powtarzając sobie, że szeryf tylko wykonuje polecenia Ryana. To Ryan kazał zatrzymać Cole'a w mieście, i to on przypiął mu do piersi gwiazdę szeryfa federalnego. Cole wymyślił inne miejsce, gdzie gwiazda pasowałaby o wiele lepiej: miał ogromną ochotę przy pierwszej możliwości wepchnąć ją Ryanowi między oczy. Ta myśl rozbawiła go na tyle, że się uśmiechnął.

Josey zdjęła z biurka męża wszystkie dokumenty i przykryła blat biało-niebieską pasiastą serwetą, potem postawiła na nim dwa fajansowe, obtłuczone, niebieskie talerze i dwa kubki z namalowanymi motylkami. Pośrodku stołu postawiła tacę z pieczonym kurczakiem tonącym w grubej warstwie tłuszczu, miskę z gotowanymi rzepami, których włochate korzenie nadal oplatały główki. Na talerzu obok leżały marynowane buraczki i spalone bułeczki.

Było to najbardziej nieapetyczne jedzenie, jakie Cole kiedykolwiek widział. Jego żołądek, nadal podrażniony po grypie, zareagował bardzo gwałtownie i chłopak przyłożył gwałtownie rękę do ust.

Ponieważ Josey już zdążyła wyjść, nie musiał martwić się o to, że urazi jej uczucia.

Szeryf usiadł za biurkiem i gestem poprosił Cole'a, by przysunął sobie jedno z wolno stojących krzeseł. Potem nalał do kubków mocnej kawy, odchylił się do tyłu i wskazał na rozstawione na stole jedzenie.

- Zanim zaczniemy, muszę cię ostrzec. Moja żona ma najlepsze chęci, ale nigdy nie nauczyła się dobrze gotować. Ciągłe uważa, że wszystko musi tonąć w morzu tłuszczu. Na twoim miejscu nie ruszałbym tego kurczaka, to pewna śmierć.

- Nie jestem głodny - odparł Cole.

Szeryf wybuchnął śmiechem.

- Będzie z ciebie świetny szeryf federalny... jesteś urodzonym dyplomata. - Poklepawszy się po wydatnym brzuchu, dodał: - Przyzwyczailem się do kuchni Josey, ale zajęło mi to prawie trzydzieści lat.. Bywały czasy, że byłem gotów się założyć, że ona specjalnie chce mnie wykończyć.

Cole wypił gorącą kawę, podczas gdy szeryf Norton zjadł po dwie porcje wszystkiego. Kiedy skończył, włożył naczynia z powrotem do koszyka i przykrył poplamioną serwetką. Potem wstał i przeciągnął się, aż mu kości zatrzeszczały.

- Mam ochotę iść do restauracji Friedy na kawałek placka z dyni. Przejdziesz się ze mną?

- Nie, dziękuję. Wolę zaczekać tu na Ryana. Aha, a co pan zrobił z moją bronią?

- Wszystko jest w dolnej szufladzie mego biurka. Masz piękny pas na rewolwery... Szeryf Ryan nosi podobny.

Kiedy tylko Norton zniknął za drzwiami, Cole wyjął pas z szuflady i założył go. Komory w jego sześciostrzałowych rewolwerach były opróżnione z naboju, więc je z powrotem załadował.

Właśnie wsadzał ostatnią kulę do komory drugiego rewolweru, gdy do biura pośpiesznie wpadł

Norton.

- Szeryf Ryan chyba potrzebuje twojej pomocy, synu. Ci dwaj rewolwerowcy stoją w dwóch końcach ulicy, a on sobie idzie prosto między nich. Boję się, że tym razem nie wywinie się zbyt łatwo.

Cole potrząsnął głową.

- Oni chcą mnie, nie Ryana - powiedział wtykając oba rewolwery do olstrów.

- I o to właśnie chodzi. Ryan nie pozwoli im cię dopaść. Jeżeli jeden z nich cię zabije, niby jak pomożesz Ryanowi w schwytaniu gangu z Blackwater? A on nie raz wspominał, że potrzebuje twojej i tylko twojej pomocy.

Cole nie miał najmniejszego pojęcia, o czym szeryf mówi. Niby jak mógłby pomóc Ryanowi?

Ale wszystko w swoim czasie... pewnie i tego się dowie, gdy nadejdzie odpowiednia pora. Jego propozycja, by Norton zaczekał w środku na rozwój wydarzeń, nie spotkała się z aprobatą.

- Synu, przecież ja mogę ci pomóc. Pewnie, że już od dawna nie brałem udziału w żadnej strzelaninie, ale to jak z jazdą na koniu. Jeżeli raz się nauczysz, nigdy już nie zapomnisz. Kiedyś i ja byłem znany z celnego oka i szybkiej ręki.

Cole potrząsnął głową.

- Jak już powiedziałem, im chodzi o mnie. Ale dziękuję za propozycję. Doceniam.

Norton otworzył drzwi i zanim Cole wyszedł na dwór, usłyszał słowa starego:

- Życzę ci szczęścia, synu.

Szczęście nie miało z tym nic wspólnego; lata ciężkiej pracy i trudnego życia przygotowały Cole'a na podobne spotkania.

Cole patrzył na wszystko całościowo. Rewolwerowcy czekali na niego na przeciwległych końcach zakurzonej uliczki, ale nie poznał żadnego z nich. Wszyscy rewolwerowcy wyglądali dla niego tak samo - dobry Boże, ilu ich było? Goniących za pustym marzeniem o zostaniu najszybszym na całym Zachodzie? Ubrani w podobne skórzane spodnie przestępowali z nogi na nogę, dając Cole'owi znać o swej gotowości do działania. Byli dorośli, a to znacznie ułatwiało sprawę; co prawda Cole jeszcze nie wymyślił sposobu załatwienia obu jednocześnie, wiedział jednak, że o wiele łatwiej przyjdzie mu ich zabić, niż gdyby byli młodymi, głupimi chłopakami. Plan wymagał od niego wytarzania się w kurzu, ale cóż, do diabła. Lepsze to, niż skończyć z kulką w brzuchu.

Jedyną chmurką na niebie pogodnego nastroju Cole'a był szeryf federalny Daniel Ryan. Stróż prawa stał niczym skała na środku ulicy, czyli dokładnie na linii potencjalnego strzału. Cole właśnie chciał zawołać do niego, by się przesunął, gdy Ryan gestem nakazał mu podejść. Trzymając dłonie opuszczone po bokach i z dala od rewolwerów, tak, by nie kusić rwących się do bitki rewolwerowców, Cole zszedł z chodnika i podszedł do Ryana. Palce aż go świerzbiły, by sięgnąć po broń.

Właściwie nawet nie chciał zastrzelić Ryana, ale miał ogromną ochotę walnąć go kolbą rewolweru prosto w tył głowy, żeby szeryf federalny nieco lepiej zrozumiał ból, jaki teraz go dręczył.

Kiedy zbliżał się do Ryana, kątem oka zauważył, że dwaj rewolwerowcy przestępują nerwowo z nogi na nogę, rozprostowując i zginając palce.

Cole postanowił na razie ich zignorować. Wraz z Ryanem byli bezpieczni do czasu, aż któryś z rewolwerowców nie sięgnie po broń. Chcieli zdobyć sławę zabijając Cole'a Clayborne'a, więc musieli to zrobić honorowo i uczciwie, w pojedynku, przy świadkach. Inaczej by się nie liczyło.

Szeryf Norton wyglądał na ulicę przez szparę w drzwiach; uśmiechał się do siebie pod nosem, gdyż to, co działo się na ulicy jego miasteczka, było zaiste godne zapamiętania. Dwaj szeryfowie, obaj ogromni i posepni, jak Goliaci, okrążali się na ulicy, niczym dwa złe psy w ringu. Jak już kiedyś zauważyła jego żona, ci dwaj tworzyli niezwykłą parę: kiedy po raz pierwszy spotkała Daniela Ryana, bała się go, a kiedy dużo później po raz pierwszy zobaczyła Cole'a Clayborne'a, także się go wystraszyła, choć bardzo się starała tego po sobie nie okazać. Obaj mężczyźni przerażali ją, a Tom Norton dokładnie pamiętał słowa żony, gdy próbowała mu wytłumaczyć, co ją tak niepokoi w Ryaniu i Claybornie. „To ich oczy. Obaj mają takie zimne, przeszywające spojrzenie, zupełnie jakby przez człowieka przenikały lodowe sople. Mam wrażenie, że oni zagląдают mi do głowy i wiedzą, co myślę, zanim ja to wiem.” Przyznała także, że mimo całej swej nieśmiałości i wstydlivosti, zauważyła, że obaj są niezwykle przystojni... o ile nie patrzą człowiekowi prosto w oczy.

Cole wrzasnął do Ryana, przyciągając uwagę szeryfa Nortona.

- Wynoś się z tej ulicy, Ryan! Chcesz, zginąć czy co?

Ale szeryf federalny Ryan ani drgnął, tylko jego oczy nieco się zwęziły, kiedy Cole podszedł i zatrzymał się dwa kroki przed nim. Przez długie minuty wpatrywali się w siebie w milczeniu, aż w końcu Ryan pierwszy przerwał ciszę.

- Czyżbyś miał ochotę mnie zastrzelić?

W jego głosie brzmiało jakieś rozbawienie, które nie spodobało się Cole'owi.

- Przyznaję, że przyszło mi to do głowy, ale na razie mam inne zmartwienia. Proponuję, byś zszedł z tej ulicy, chyba że chcesz dostać zbląkaną kulka.

- Taak, ktoś tu dziś z pewnością zginie, lecz to nie będę ja - odrzekł tamten przeciągając leniwie wyrazy.

- Myślisz, że dasz radę im obu? - spytał Cole, ruchem brody wskazując rewolwerowca po lewej stronie, który niepostrzeżenie się do nich zbliżył.

- Zaraz się przekonamy.

- Im chodzi o mnie, nie o ciebie.

- Jestem równie szybki jak ty, Cole.

- Nie, nie jesteś.

Uśmiech Ryana zaskoczył Clayborne'a; pewnie zapytałby szeryfa o powód wesołości, gdyby nie to, że młodzik po prawej wrzasnął, ile sił w płucach:

- Hej, Cole Clayborne! Nazywam się Eagle! Przybyłem tu, by cię wyzwać na pojedynek!

Stawaj, albo zawołam, żeś tchórz, niech cię wszyscy diabli!

Drugi wcale nie zamierzał zostawać w tyle.

- A ja jestem Riley, Clayborne! To ja będę tym, który cię zastrzeli!

Wszyscy rewolwerowcy, którzy do tej pory usiłowali wyzwać Cole'a na pojedynek, byli skończonymi głupcami, a ci dwaj - jak zauważył świeżo upieczony szeryf - nie byli wyjątkiem.

- Zdaje się, że powinienem coś zrobić z tymi rozkoszniczkami - mruknął Daniel Ryan.

- Taak? A niby co? Chcesz ich może zaaresztować?

- Może.

Jego spokój i swobodny styl bycia wyprowadziły Cole'a z równowagi.

- Jaki z ciebie szeryf federalny?

- Cholernie dobry.

Cole zacisnął szczęki.

- I jesteś na dodatek wyjątkowo skromny!

- Znam swoje zalety i je doceniam. Znam też twoje.

Cierpliwość Cole'a już się wyczerpała.

- Dlaczego nie pójdziesz do biura naszego dobrego szeryfa? Później opowiesz mi o swoich zaletach.

- Czyżbyś mi mówił, że mam zejść ci z drogi?

- Tak. Właśnie to ci mówię.

- Nigdzie się stąd nie ruszę. Poza tym, mam plan - dodał wskazując na rewolwerowców.

- Ja też mam plan - odrzekł Cole.

- Mój jest lepszy.

- Naprawdę?

- Tak. Liczymy do trzech, na trzy padamy na ziemię i pozwalamy im pozastrzelać się wzajemnie.

Pomimo złości, Cole uśmiechnął się do Ryana.

- Całkiem ładny plan... i może nawet by się powiodł, ale oni stoją za daleko od siebie. Nigdy nie trafią. Poza tym, padając na ziemię pobrudziłbym moją nową koszulę.

- A jaki ty masz plan? - zapytał Daniel Ryan.

- Zastrzelić jednego, paść na ziemię, przetoczyć się i zabić drugiego.

- Coś mi się zdaje, że i w tej sytuacji twoja nowiusieńka koszulka się pobrudzi.

- Zejdiesz mi z drogi czy nie?

- Stróże prawa zawsze stają do walki razem, Cole. To bardzo ważna zasada, nie wolno o niej zapominać.

- Masz dziwne poczucie humoru, Ryan, wiesz? Ja nie będę szeryfem.

- Już jesteś - wyjaśnił Daniel cierpliwie.

- Dlaczego?

- Bo potrzebuję twojej pomocy.

- Zdaje się, że nie wiesz, co czuję. Ledwie daję sobie radę z pokusą, by cię zastrzelić, sukinsynu. Ukradłeś mi kompas i trzymałeś przez ponad rok!

Ale Ryan zupełnie nie przejął się groźbami Cole'a.

- Tyle czasu zajęło mi zdobycie nominacji dla ciebie.

- Jakiej znowu nominacji?

- Nie mogłem tak po prostu przypiąć ci odznaki - odparł Daniel. - Nominacja musiała przyjść aż z Waszyngtonu. - Cole potrząsnął głową, ale tamten na niego nie patrzył.

- Zbliżają się do nas. Znasz może któregoś z nich?

- Nie.

- Ja zdmuchnę tego na piątej.

Cole zaczął się już odwracać, lecz nagle zamarł.

- Na twojej piątej, czy na mojej?

- Na mojej - odpowiedział Daniel Ryan.

Odwrócili się, by stawić czoło nadchodzącym rewolwerowcom, po czym każdy cofnął się o krok, tak, że stali ramię w ramię.

- Tylko nie zabijaj.

- Chyba sobie kpisz!

Ryan zignorował ten komentarz. Wrzasnął, by rewolwerowcy podnieśli ręce do góry i powoli do niego podeszli, lecz Eagle i Riley zostali tam, gdzie byli, a ich dłonie drżały tuż nad rękojeściami rewolwerów.

- Jeżeli nie trafisz w Rileya, jego kula przejdzie przez ciebie na wylot i trafi we mnie - z niepokojem stwierdził Cole.

- Ja nigdy nie chybiam.

- Arogancki łajdak! - szepnął Cole dokładnie w tej samej chwili, gdy Eagle sięgnął po broń; Cole zareagował z piorunującą szybkością. Rewolwerowiec nie miał najmniejszej szansy: kula dosięgła go zanim zdążył wyjąć broń z olstra, i przeszła na wylot przez jego dłoń.

Ryan wypalił w tym samym momencie; przestrzelił Rileyowi nadgarstek, kiedy ten podnosił

broń do strzału.

Trzymając swe ofiary na muszkach, obaj szeryfowie ruszyli dziarsko do pokonanych przeciwników. Doszedłszy do Rileya, Daniel Ryan poderwał go na równe nogi i, nie zważając na jego jęki i protesty, zawłókł go do więzienia szeryfa Nortona. Eagle ryczał jak ranny niedźwiedź, a ku ogromnej frustracji Cole'a nie chciał stać spokojnie, tylko kręcił się niczym oszalały kogucik.

- Zniszczyłeś moją prawą rękę, Clayborne! Zniszczyłeś moją prawą rękę! - skrzeczał.

- Usłyszałem cię za pierwszym razem - odparł mrukliwie Cole. - A teraz stój spokojnie, do wszystkich diabłów! Muszę odebrać ci broń.

Ale Eagle nie chciał współpracować i Cole szybko znudził się tą zabawą; złapał młodzika za kołnierz i rąbnął pięścią w szczękę pozbawiając przytomności.

Trzymał go, dopóki nie zdjął mu pasa z rewolwerami, po czym upuścił go w kurz uliczki i zaciągnął do biura Toma Nortona, który uśmiechał się promiennie do obu szeryfów federalnych.

- Zdaje się, że będę musiał wezwać doktora, żeby ich połatał - zauważył.

- Ano, na to wygląda - odparł Cole.

Szeryf wszedł pospiesznie do swego biura i wzięwszy pęk kluczy ze stołu, poszedł otworzyć dwie cele. Chwilę później obaj zawadiacy zostali umieszczeni w ciasnych, szarych kłitkach. Norton nie miał czasu pogratulować Cole'owi i Ryanowi ich zwycięstwa, gdyż właśnie w tej chwili przybiegł

zdyszany telegrafista i poprosił szeryfa Ryana na słówko przed biurem. Kiedy Cole do nich dołączył, jedno spojrzenie wystarczyło mu, by przekonać się, że stało się coś złego. Zdziwił się, gdy Daniel Ryan podał mu telegram. Kiedy on czytał wiadomość, Ryan odwrócił się do szeryfa Nortona.

- Był następny napad. - Jego głos pozbawiony był emocji.

- Ilu zabitych tym razem?

- Siedmiu.

- Gdzie to się stało? - zapytał Norton.

- W Rockford Falls.

- To nie tak daleko stąd. Mogę ci powiedzieć, jak się tam dostać.

- A jak daleko jest to twoje „niedaleko“?

- Jakieś czterdzieści mil, tylko że teren jest trudny.

- Lepiej miej oczy otwarte, gdyby wracali przez twoje miasteczko - poradził mu Ryan. - Choć

szczerze mówiąc, wątpię, czy to zrobią... w końcu wasz bank obrabowali już wcześniej. Cole, jedziesz ze mną?

Cole potrząsnął głową i oddał telegram szeryfowi Nortonowi.

- To nie mój problem.

Ryan nic nie powiedział, tylko spojrzał na niego zwięzonymi oczyma, a jego ciemne brwi zmarszczyły się groźnie. Gwałtownie złapał Cole'a za przód skórzanej kamizelki i popchnął go do tyłu tak mocno, że ten aż upadł. Zanim Cole zdążył wstać i rzucić się szeryfowi do gardła - a jego palce już zacisnęły się w pięści - Ryan zdusił jego gniew w zarodku podchodząc doń i przeprasząc.

- Przepraszam cię, Cole. Nie powinienem był tego zrobić. Pozwoliłem, by poniosły mnie emocje i żałuję tego. Masz rację. Nie prosiłeś się o ten przydział, a te napady na banki nie są twoim zmartwieniem. To mój problem. Myślałem tylko... to znaczy, miałem nadzieję... że może zechcesz mi pomóc. Ale nie przyjmę twojej rezygnacji. Musisz pojechać do okręgowego biura i tam oddać odznakę. Szeryf Norton powie ci, jak to załatwić. Ja muszę jechać jak najszybciej do Rockford Falls, zanim ślady wystygną.

Cole wzruszył potężnymi ramionami i uściśnął wyciągniętą dłoń Ryana.

- Nie ma sprawy.

Potem Ryan odbiegł szybkim kłusem w stronę stajni miejskiej, a Cole poszedł za szeryfem Nortonem do więzienia, by dowiedzieć się, gdzie znajduje się okręgowe biuro szeryfów federalnych.

- Jeżeli tylko można to tak załatwić, wolałbym odesłać im tę odznakę i nie tracić czasu na podróże - rzekł Cole.

Tom Norton usiadł ciężko za biurkiem i złożył ręce na górze dokumentów leżących przed nim.

- Nie sądzę, synu, by szeryfowi Ryanowi spodobał się ten pomysł. Te odznaki uważane są za swego rodzaju świętość. Na twoim miejscu nie rozwścieczałbym Daniela Ryana. Zadał sobie naprawdę sporo trudu, żeby zdobyć dla ciebie tę nominację i wydaje mi się nieco dziwne, że poddał

się bez większej walki. Nie sądzisz, że zbyt łatwo udało ci się go zniechęcić, synu?

- Nie znam Ryana na tyle dobrze, by odpowiedzieć na pańskie pytanie - odparł Cole.

- Jesteś pewien, że chcesz zwrócić odznakę?

- Oczywiście. Marny byłby ze mnie stróż prawa.

- Myślisz, że powinieneś być raczej rewolwerowcem? Niektórzy uważają, że pomiędzy tymi profesjami nie ma zbyt wielkiej różnicy.

- Ja jestem tylko ranczerem. Niczym więcej.

- Więc dlaczego gania za tobą tak wielu rewolwerowców? Czy ci się to podoba, czy nie, masz reputację niezwykle szybkiego, a ci chłopcy nie przestaną tak po prostu gonić za legendą. Moim zdaniem, jedynym sposobem, by się ich pozbyć, jest przywdzianie gwiazdy szeryfa federalnego.

Przynajmniej niektórzy rewolwerowcy zastanowią się dwa razy, zanim wyzwą na pojedynek stróża prawa.

- Ale nie wszyscy - odparł Cole. - Powie mi pan, gdzie znajduje się to okręgowe biuro, czy nie?

Norton zignorował jego pytanie.

- Powiem ci jasno i wyraźnie, jak się sprawy mają. Szeryf Ryan nawet nie usiłował cię przekonać, byś postąpił jak należy, więc ja to zrobię, a ponieważ jestem od ciebie o tyle starszy, będziesz uprzejmy mnie wysłuchać. Mógłbym być twoim ojcem, więc wiek daje mi przewagę nad tobą. Mamy ogromne kłopoty ze schwytaniem tego gangu z Blackwater, a ponieważ sieją spustoszenie po całym zachodnim Terytorium, jest to także i twój problem. Nie tak dawno temu nasz mały bank został obrobiony i straciliśmy wielu dobrych przyjaciół. Byli przyzwoitymi, przestrzegającymi prawa obywatelami, którzy po prostu mieli nieszczęście znaleźć się w nieodpowiednim czasie w nieodpowiednim miejscu... czyli w banku, i zostali zabici jak psy. Ale mieliśmy też świadka całego zajścia. Nazywał się Luke MacFarland i nie pociągnął długo.

- Szeryfie, bardzo mi przykro z powodu tego, co się wydarzyło, wiem, że to ogromne nieszczęście, ale nie sędzę...

Norton nawet nie dał mu skończyć.

- Luke został postrzelony w czasie tego napadu, choć nawet nie znajdował się wewnątrz banku. Miał pecha, bo po prostu przechodził obok. A chodniki mamy wąskie. Tak czy inaczej, nasz doktorzyna go posklejał... i pewnie Luke wylizałby się z ran. Może nawet rozpoznałby kilku z tych drani, bo mówił, że widział ich wyraźnie przez szczeliny w zasłonach w oknach banku. Byłby doskonałym świadkiem, gdybyśmy tylko złapali tych łajdaków.

- I co się z nim stało?

- Poderżnęli mu gardło od ucha do ucha, ot, co się stało. Jego żonę też zamordowali. Oboje spali spokojnie we własnym łóżku, lecz tak sobie myślę, że jedno z nich się obudziło. Szkoda, że nie widziałeś tego pokoju, synu: więcej tam było krwi na ścianach, niż farby. Ich dzieci też to widziały... i podejrzewam, że nie zapomną tego widoku do końca życia. Najstarszy syn Luke'a dopiero co skończył

dziesięć lat. To on znalazł ich ciała. Już nigdy nie będzie taki, jak przedtem.

Ta historia mocno poruszyła Cole'a. Oparł się o biurko i wyglądając przez brudne okna na ulicę, myślał o dzieciach. Cóż za koszmar zobaczył ten chłopczyk! Co się z nim stanie? Kto się zajmie nim i jego rodzeństwem? Jak oni przetrwają? Czy zostaną rozdzieleni i znajdą domy u różnych krewnych, czy zostaną sami na ulicy, jak niegdyś on? Kącikiem oka zobaczył szeryfa Ryana pędzącego galopem

na karym koniu w dół głównej ulicy miasteczka. Miał nadzieję, że Ryan znajdzie tych drani, którzy tak okrutnie postąpili z rodzicami biednych dzieci. W ciągu jednej nocy na zawsze odmienili ich życie.

Potem odwrócił się do Toma Nortona, który powiedział:

- Nie było najmniejszego powodu, by ich zabijać. Najmniejszego. Wiesz, co powiedział Ryan?

- Nie. Co takiego?

- Że to cud, że nie zabili także chłopców. Gdyby któryś z nich wszedł do pokoju, gdy ci bandyci mordowali rodziców, na pewno zabiliby także i jego.

- Co się z nimi teraz stanie? - zapytał Cole.

- Z chłopcami? - Szeryf spojrzał na niego ponuro. - Moja Josey i ja zaproponowaliśmy, że weźmiemy ich do siebie, ale ich krewni ze wschodu powiedzieli, że się nimi zajmą. Myślę, że jakoś porozdzielają ich pomiędzy siebie... a tak być nie powinno. Bracia powinni zostać razem.

Cole zgodził się z nim w duchu.

- Mam własne zdanie co do tego, dlaczego zabili żonę Luke'a. Chce pan posłuchać?

- Jasne.

- Myślę, że chcieli w ten sposób nastraszyć innych ludzi. Plotki szybko się roznoszą i każdy, kto w przyszłości coś zobaczy czy usłyszy, długo i porządnie się zastanowi, zanim cokolwiek powie.

Świadkowie nie żyją długo. Trzymajcie gęby na kłódki, bo i wy zginiecie... tak brzmi ich ostrzeżenie.

Ale już niedługo popełnią jakiś błąd, który ich wykończy.

- Synu, na to wszyscy liczymy. Modłę się, by nastąpiło to jak najszybciej. Wielu ludzi już straciło przez nich życie, nie tylko mężczyzn, ale także kobiet i dzieci. Ci dranie będą się smażyć w piekle za to, co zrobili.

- Zabili też jakieś dzieci?

- Słyszałem o jednej małej dziewczynce, która zginęła, bo była w banku razem z matką. Ale może to tylko plotki? Spytałem kiedyś o to Ryana, lecz nic mi nie odpowiedział, tylko zrobił

koszmarną minę i wypadł na ulicę, jakby go biesy goniły. Nie wiem, jak było naprawdę, ale Ryan ma teraz ręce pełne roboty - zakończył potrząsając głową. - A ty co będziesz robić? Wracasz na ranczo?

- Nie. Jestem w drodze do Teksasu... chcę kupić tam parę byków. To biuro, o którym mówił

Ryan, lepiej niech będzie po drodze...

Ale Norton znowu nie dał mu dokończyć.

- Chcę prosić cię o przysługę. - Uniósł rękę, by powstrzymać protesty Cole'a i dodał

pospiesznie: - Wiem, że nie mam prawa po tym, jak rąbnąłem cię w głowę, ale mimo to, proszę, wysłuchaj mnie.

- Czego pan chce?

- Zatrzymaj swoją odznakę do jutra i zastanów się przez noc. Już zapada zmierzch, więc nie będziesz, musiał tak znowu długo czekać. Jeżeli rano nadal będziesz zdecydowany oddać odznakę, z radością wskażę ci najkrótszą drogę do biura okręgowego. Za pomocą tego twojego ślicznego kompasu znajdziesz je bez najmniejszych kłopotów. Nie, nie potrząsaj głową. Przynajmniej zastanów się nad tym, co powiedziałem. A przy okazji, odpowiedz na jeszcze jedno pytanie.

- Jakie znowu? - spytał Cole nieco ostrzej, niż zamierzał.

- Jak myślisz, dlaczego Ryan tak ni stąd, ni zowąd cię popchnął, zanim odjechał?

- Bo był sfrustrowany - odparł Cole.

Szeryf Norton uśmiechnął się z zadowoloną miną kota, który właśnie schwytał tłustą myszkę.

- Chciałeś go uderzyć, nieprawdaż? Widziałem, jak zacisnąłeś pięści... taak, no i zobaczyłem też coś innego, ale mniejsza z tym. Wykazałeś się niezwykłym opanowaniem. Szeryf Ryan cię przeprosił - słyszałem to na własne uszy - ale tak się teraz zastanawiam... Czy przeprosił cię za to, że cię popchnął, czy też może za coś całkiem innego? - Zanim Cole zdążył go zapytać, o czym, u wszystkich diabłów, mówi, Norton wrócił do tematu odznaki. - Zostaniesz u nas na noc? Zaproszę cię na kolację do restauracji Friedy... a jeżeli wyjedziesz teraz, nie zajedziesz daleko przed zmrokiem. Na twoim miejscu, przed tak długą podróżą, wolałbym spędzić jeszcze jedną noc w wygodnym łóżku.

Rano dam ci wszystkie potrzebne ci wskazówki i wyruszysz w mgnieniu oka. Oczywiście, pewnie będziesz musiał jechać przez Rockford Falls, ale to nie tak daleko stąd.

Cole uniósł brwi.

- Niby dlaczego miałbym jechać przez Rockford Falls?

- Żeby odzyskać swój kompas - odparł Tom Norton i roześmiał się głośno.

Miasteczko Rockford Falls nie mogło otrząsnąć się z szoku. W ciągu ostatnich dwóch dni straciło ośmiu nobliwych mieszkańców i jednego, który nie był może taki znowu nobliwy, ale którego wszyscy lubili.

Grypa była przyczyną śmierci dwóch osób. Epidemia przeszła przez miasto przed dwoma tygodniami i połowa mieszkańców leżała jeszcze w łóżkach, lecz najstarsi i najmłodszy najbardziej ucierpieli. Adelaida Wescott, siedemdziesięcioośmioletnia stara panna, która nigdy w życiu nie powiedziała nikomu złego słowa i nadal miała wszystkie zęby, oraz słodki, mały ośmimiesięczny Tobias Dollen, który odziedziczył ogromne uszy po ojcu i uśmiech po matce, zmarli w odstępie godziny tego samego dnia, z powodu „komplikacji”, jak to określił doktor Lawrence.

Miasteczko ich opłakało. Ci, którzy mogli podnieść się z łóżka poszli na pogrzeb, a ci, których choroba przykuła do łóżek, modlili się żarliwie za ich dusze w zaciszach własnych sypialni.

Adelaida i Tobias zostali pochowani w środę rano na cmentarzu na wzgórzu ponad Sleepy Creek. Tego samego dnia po południu sześć osób zostało brutalnie zamordowanych podczas napadu na bank. Siódmą ofiarą rabusiów, i ostatnią, którą odkryto, był miejski pijaczyna, Krzywonogi Billie Buckshot, który, jak się domyślano, szedł właśnie ze swego szałas na obrzeżach Rockford Falls do miasta na śniadanie w saloonie. Billie co dzień robił dokładnie to samo: zawsze zaczynał dzień między trzecią a czwartą po południu, zawsze przechodził małą uliczką za bankiem i sklepem, by zaoszczędzić drogi. Znalaziono go skulonego, przyciskającego do siebie stary, przerdzewiały rewolwer, więc szeryf Sloan założył, że Billie miał pecha i wpadł na rabusiów wychodzących z banku tylnymi drzwiami. Biedaczysko nie miał najmniejszej szansy: wszyscy wiedzieli, że zanim nie wypije jednego głębszego, ręce trzęsą mu się jak pusta huśtawka na wietrze. Jednak Billie nie został

zastrzelony, jak pozostali w banku - bandyci zabili go nożem. Sądząc po ilości ran na jego ciele, ten, kto go zamordował, zrobił to z olbrzymią przyjemnością.

Pech chciał, że nikt nie usłyszał wystrzałów ani nie widział rabusiów wychodzących z banku, może dlatego, że ponad połowa mieszkańców miasta przebywała w domach złożona grypą. Ci, którzy wychodzili zaczerpnąć świeżego powietrza, czekali, aż słońce zacznie chylić się ku horyzontowi...

pewnie zauważyli Billiego, skulonego pod ścianą wąskiej uliczki, ale nikt nie przejął się tym zbyt.

Wszyscy byli przyzwyczajeni do takiego widoku: założyli, że miasteczkowy pijaczyna jak zwykle zasnął po kilku głębszych.

Tak więc minęły kolejne godziny, które mogłyby zostać wykorzystane na tropienie przestępców. Nad miastem zgromadziły się ciemne chmury, a na horyzoncie widać było jasne smugi błyskawic. Emmeline MacCorkle, nadal osłabiona i blada po przebytej chorobie, zmusiła matkę do pójścia z nią do banku, by zobaczyć, dlaczego jej ojciec, Sherman MacCorkle spóźnia się na kolację.

Żona Shermana była znaną wszystkim jędzą i spowodowała nie lada poruszenie waląc pięściami do frontowych drzwi banku, a gdy nikt jej nie odpowiedział, zaciągnęła córkę do tylnych drzwi. Żadna z

nich nawet nie spojrzęła na skulonego Billiego; z jawnym obrzydzeniem uniosły podbródki i przeszły obok niego marszcząc nosy. Emmeline musiała unieść spódnicę, by przeskoczyć nad brudnymi, gołymi nogami Billiego, wystającymi spod starego poncza. Kiedy już podeszły do drzwi na tyłach banku, pani MacCorkle puściła ramię córki, otworzyła zasuwkę i wkroczyła do banku wykrzykując głośno imię męża, a Emmeline potulnie poszła za nią.

Ich mrozące krew w żyłach krzyki, które słyhać było nawet na odległym cmentarzu, przyciągnęły gapiów. Ci, którzy weszli do banku, zobaczyć co się dzieje, zanim szeryf Sloan zdążył

temu zapobiec, długo nie mogli otrząsnąć się z kosmaru. John Cletchem, fotograf, którego szeryf ściągnął, by zrobić zdjęcia ofiarom, tak strasznie przeraził się okropnego widoku, że wybiegł na ulicę i zwymiotował w zaułku. Dwie ofiary, Malcolm Watterson i Franklin Carroll, zostali chyba zastrzeleni w tej samej chwili, bo klęczeli oparci o siebie, jakby się nawzajem obejmowali, i każdy opierał głowę na ramieniu drugiego.

Kiedy Daniel Ryan wjechał do miasta o godzinie pięć po pierwszej następnego popołudnia, zastał mieszkańców na głównej ulicy, bliskich buntu. Ponieważ deszcz padał od poprzedniego dnia, podróż zajęła mu więcej czasu, niż się spodziewał. Szeryf Sloan spotkał się z nim przed głównym wejściem do banku, przekazał mu to, czego się dowiedział, po czym otworzył drzwi i wszedł za nim do środka.

Ciała nie zostały jeszcze wyniesione z głównej sali; jeżeli Ryanowi zrobiło się niedobrze na ten straszny widok, nie okazał tego po sobie. Powoli obszedł scenę dokoła, przypatrując się zwłokom z każdego miejsca w banku. Tylko zaciśnięte pięści stróża prawa świadczyły o jego gniewie i odrazie.

- Nie wiedziałem, czy powinienem wynieść stąd ciała, zanim pan wszystko zobaczy - odezwał

się szeryf Sloan zduszonym szeptem. - Czy dobrze zrobiłem? - Ale zanim Ryan zdążył odpowiedzieć, szeryf mówił dalej: - Jeszcze jedno ciało znaleźliśmy w uliczce za bankiem. Nazywał się Billie i był

miejscowym pijaczną. Zabili go nożem, ale zanim zdążyłem temu przeszkodzić, ludzie z zakładu pogrzebowego zabrali go i pochowali na cmentarzu za miastem. Mam zdjęcie tych biedaków, lecz ani jednej fotografii Billiego.

Najwyraźniej smród rozkładających się ciał bardzo mu dokuczał, gdyż trzymał przy twarzy chusteczkę, by go zablokować. Nie potrafił zmusić się do patrzenia na zabitych przyjaciół, więc zamiast na nich, patrzył w sufit.

- Nie chcę, by ich rodziny zobaczyły ich w takim... - Nie dokończył. Nagle zakrztusił się, zakręcił dokoła własnej osi i dopadł drzwi. W zdenerwowaniu nie potrafił ich otworzyć, więc Ryan zrobił to za niego. Szeryf wybiegł z banku, i zgiąwszy się w pół przed tłumem gapiów, zwymiotował

na ulicę.

Daniel Ryan wrócił do swojej inspekcji; przykucnął obok jednego z ciał, by przypatrzeć się ranie od kuli, którą zauważył wrytą w deski podłogi. Słyszał ochryple kaszlnięcia szeryfa Sloana, gdy drzwi do banku znowu się otworzyły wpuszczając błogosławione świeże powietrze... i Cole'a Clayborne'a.

Ryan odwrócił się do niego czekając na jakąś reakcję.

Cole nie był przygotowany na to, co zobaczył. Zachwiał się na nogach, jakby ktoś mocno rąbnął go między oczy.

- Och... Boże - wyszeptał.

- Masz zamiar uciec czy zostać? - zapytał Ryan ostro.

Cole nie odpowiedział, a w oczach Ryana pojawiły się wściekłe błyski. - Przypatrz się dobrze, Cole. Tu mógł się znaleźć któryś z twoich braci. Powiedz mi, jak często chadzają do banku? A twoja matka? Czy siostra? - drażnił go głosem ostrym niczym strzał z bicia.

Cole potrząsnął głową i nadal przypatrywał się ciałom dwóch klęczących mężczyzn opartych o siebie. Nie potrafił oderwać od nich wzroku.

- Nawet nie śmiej mi mówić, że to nie twój problem - rzekł Ryan. - Ja uczyniłem z tego twój problem przypinając ci odznakę szeryfa federalnego. Czy ci się to podoba, czy nie, nie możesz się już wycofać. Musisz mi pomóc schwytać tych drani.

Cole nie odezwał się ani słowem. Walczył z nagłą potrzebą wydostania się z banku i dołączenia do szeryfa wymiotującego na ulicy, a jednak, w tej samej chwili, ogarniała go dzika wściekłość. Nikt nie powinien tak umierać. Nikt

Nie pozwolił sobie na to, by zrobiło mu się niedobrze. Gdyby odwrócił się plecami do tych martwych ludzi, gdyby wybiegł i zwymiotował, popełniłby świętokradztwo. Nie potrafił wyjaśnić tego logicznie; po prostu wiedział, że nie ma prawa czuć obrzydzenia.

Potrząsnął głową, jakby starając się rozjaśnić myśli; potem, powoli, odsunął się od drzwi i ostrożnie okrążył ciała. Ryan cały czas bacznie go obserwował.

Minęło kilka minut w absolutnej ciszy.

- Nie wiem, jak wielu ich tu było, ale jestem przekonany, że to kilku mężczyzn dokonało tego mordu - odezwał się cicho Cole.

- Jak na to wpadłeś?

- Po śladach prochu i dziurach od kul. - Wskazał na dwa ciała oparte o siebie. - Kula przeszła przez głowę tego, weszła z tyłu, wyszła z przodu przez czoło i przebiła szyję tego drugiego. Podobnie rzecz się miała z tymi dwoma. Ci dranie bawili się - dodał z furją. - Usiłowali zabić dwóch jedną kulą.

Już do tego doszedłeś, prawda?

- Tak. - Ryan skinął głową.

- Napadu dokonano wczoraj. Dlaczego nikt nie pochował tych ludzi?

- Szeryf myślał, że powinien zostawić ciała nie ruszone, dopóki my ich nie zobaczymy. Mam wrażenie, że od bardzo niedawna jest stróżem prawa.

Cole potrząsnął głową.

- Przed bankiem stoi wóz grabarza... tych ludzi trzeba pochować.

- W takim razie każ, by to zrobili - odrzekł Ryan.

Cole odwrócił się, lecz zamarł z dłonią na klamce drzwi.

- Kiedy jestem z dala od rancza, pracuję sam.

- Już nie.

- Powiniennem cię ostrzec: ja nie postępuję tak, jak ty... nie zawsze postępuję zgodnie z prawem.

- Domyśliłem się tego już dawno - odpowiedział Ryan spokojnie.

Wyszedł za Cole'em na dwór i stał obok, podczas gdy Cole nakazał, by tłum cofnął się i zrobił

miejsce dla wozu grabarza. Grabarz, wysoki człowiek o okrągłej twarzy i zgarbionych plecach, podszedł do przedstawicieli prawa. Cole kazał mu przynieść prześcieradła, by zakryć nimi zmarłych przed wyniesieniem z banku. Reporter z „Gazety codziennej Rockford Falls” natychmiast zaprotestował.

- Chcemy ich zobaczyć! - krzyknął. - Dlaczego chcecie przykryć ich prześcieradłami?!

Cole z trudem zwalczył ochotę, by rąbnąć wstrętnego poszukiwacza wrażeń w nos.

- Oni nie chcieliby, byście ich zapamiętali w takim stanie.

Ale reporter nie dał się tak łatwo zbyć.

- Przecież oni nie żyją - wrzasnął. - Skąd pan wie, czego by chcieli?

Jakaś kobieta w tłumie zaczęła płakać. Cole spojrzał na Ryana oczekując od niego jakiejś reakcji albo pomocy, lecz Daniel nie patrzył na niego; wzrok nadal miał utkwiony w tłumie.

- Tak, oni nie żyją! - odkrzyknął Cole. - I teraz prawo mówi za nich! Przynieście te cholerne prześcieradła!

Ryan skinął głową z uznaniem. Wyciągnął z kieszeni kompas i podał go Cole'owi.

- Właśnie zostałeś stróżem prawa.

Zabranie sześciu ciał z banku zajęło ponad godzinę. Z powodu gorąca, stężenie pośmiertne postępowało bardzo gwałtownie i właściciel zakładu pogrzebowego miał ogromne problemy, żeby ułożyć i załadować na wóz ciała dwóch klęczących.

Mężczyźni pomagający grabarzowi cały czas szeptali coś do siebie nawzajem. Cole nie był

pewien, czy mówili szeptem przez wzgląd na szacunek dla zmarłych, czy dlatego, że byli przerażeni.

Jeden z nich wybiegł z banku i zwymiotował na ulicy, gdy grabarz zaczął na głos rozważać, że jeśli rodziny będą nalegać na pogrzeb jeszcze tego samego dnia, będzie musiał sporządzić specjalne trumny, by upchnąć zgięte kolana dwóch nieboszczyków, lub będzie musiał obciąć im nogi. Jeden dzień zwłoki wystarczyłby, żeby stężenie pośmiertne ustąpiło, a gdyby szczelnie zamknął trumny, nie byłoby czuć odoru.

Podłoga pośrodku sali, gdzie klęczały zwłoki dwóch urzędników bankowych, była czarna od krwi, która wsiąkała w suche deski podłogi, by zostać tam już na zawsze.

Ryan przez jakiś czas wypytywał szeryfa Sloana, a potem przeszukał gabinet dyrektora banku i biurka urzędników. Zebrał dokumenty i włożył do znalezionej pudełka, a potem zaniósł je do starego, poplamionego atramentem biurka pod oknem. Kiedy Cole przetrząsał bank, starając się pojąć jak, dlaczego i kiedy to wszystko się stało, Ryan przysiadł na krawędzi biurka i zaczął czytać.

Sloan stał przy drzwiach i niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Ryan wreszcie go zauważył.

- Czy coś pana gnębi, szeryfie? - spytał nawet nie podnosząc wzroku znad dokumentu, który przeglądał.

- Pomyślałem, że może powinienem zebrać ludzi do pościgu i pojechać na poszukiwanie tych drani, zanim szlak wystygnie. Wczoraj musieliśmy przerwać poszukiwania, bo zrobiło się strasznie ciemno, ale kto wie, co dziś znajdziemy?

- Dobry pomysł - odparł Ryan. - Niech pan się tym zajmie i skrzyknie ludzi.

- Tak sobie też pomyślałem, że to ja powinienem wybrać ludzi, z którymi chcę pojechać... tak jak wczoraj, zanim wy się tutaj zjawiliście.

- Pan zna tych ludzi lepiej niż ja. - Daniel Ryan wzruszył potężnymi ramionami. - Ale nie chcę się dowiedzieć, że zrobiliście coś głupiego... na przykład powiesiliście niewinnego człowieka, bo sądziliście, że był zamieszany w ten napad. Jeżeli kogoś złapiecie, macie go tu przywieść żywego!

- Nie jestem w stanie odpowiadać za wszystkich mężczyzn biorących udział w pościgu. Oni wiedzą, co tu się stało... Ktoś może...

- Pan ma ich kontrolować, szeryfie, rozumiano? - przerwał mu Ryan ostro.

- Postaram się. - Sloan skinął głową.

- To nie wystarczy. Nikomu nie wolno brać prawa we własne ręce. Zrozumiano? Jeżeli któryś z pańskich przyjaciół ma na ten temat inne zdanie, to ma pan zastrzelić sukinsyna!

Ryan spodziewał się, że po takiej ripoście szeryf Sloan natychmiast odejdzie, lecz ten nie ruszył się z miejsca. Poczzerwieniał tylko na twarzy i przestępując z nogi na nogę, wpatrzył się w podłogę.

- Coś jeszcze? - zapytał Daniel Ryan.

- Uważam... podobnie jak większość ludzi w mieście... że to ja powinienem poprowadzić pościg.

Ryan rzucił szybkie spojrzenie Cole'owi, by zobaczyć, jak zareagował na żądanie szeryfa.

- A jak pan na to wpadł? - zapytał po chwili z lekką ironią.

- To ja jestem szeryfem w Rockford Falls, więc to moja jurysdykcja, a nie wasza. Jak już powiedziałem, to ja powinienem dowodzić, a wy powinniście wykonywać moje rozkazy.

- Myślisz, że potrafisz poprowadzić dochodzenie w tej sprawie lepiej niż my? - w głosie Ryana słychać było pogardę.

- Może.

- Przecież ty nawet nie możesz zmusić się do patrzenia na te plamy na podłodze! Dlaczego przypuszczasz, że lepiej...

- To moja jurysdykcja - powtórzył Sloan uparcie.

Cierpliwość Ryana właśnie się skończyła.

- Szeryf Clayborne i ja jesteśmy tu nadrzędnymi przedstawicielami władzy... jesteśmy szeryfami federalnymi, czyli mamy nad tobą zwierzchnictwo, chłopcze! Jeżeli ci się to nie podoba, to już twój problem! Nie wtrącaj się do naszej roboty i nie przeszkadzaj nam! - zakończył szorstko. - A teraz idź, i zwołaj swoich ludzi!

Cole słuchał tej wymiany zdań bez słowa; zczekał, aż szeryf Sloan wyjdzie z banku i podszedł do jednego z okien i otworzył je na całą szerokość wpuszczając świeże powietrze, w którym czuło się słodką, rześką woń sosen. Odetchnął głęboko, by pozbyć się metalicznego zapachu krwi, po czym odwrócił się i oparł plecami o parapet. Przez długie chwile przyglądał się plecom Ryana.

- Zeszłej nocy mocno padało, a dziś rano prawie do południa - zauważył.

- Taak, wiem... Wszystko płynie.

- Nie będzie żadnych śladów... wszystko się dawno rozmyło.

Ryan zerknął na niego przez ramię.

- To też wiem. Po prostu chciałem się pozbyć Sloana.

Cole założył ramiona na piersi i odchylił się do tyłu.

- Ci, którzy to zrobili, są już daleko.

Ryan skinął głową.

- Wczoraj zostały rozesłane telegramy do wszystkich szeryfów w okolicy... do tej pory wszystkie główne drogi powinny być obserwowane... podobnie jak stacje kolejowe i rzeki. Obawiam się jednak, że ci dranie nam się wymkną, jak zawsze dotąd. Są sprytni, bardzo sprytni. - Rzucił na biurko dokumenty, które przeglądał, i obrócił się, by spojrzeć Cole'owi w oczy. - Wiesz, czego się czasem boję?

- Czego?

- Że oni przestaną i już nigdy nie będę w stanie ich złapać - szepnął Daniel Ryan.

Cole potrząsnął głową.

- Oni nie przestaną. - Potem skinął głową w stronę czarnych plam na podłodze i dodał

zduszonym szeptem: - Za dobrze się bawią, by przestać.

- Taak, chyba masz rację. Oni rozkochali się w zabijaniu.

- Ile banków obrobili do tej pory?

- Ten jest dwunasty.

- I udało się im uciec dwanaście razy. - To nie było pytanie.

- Są albo bardzo sprytni, albo mają wyjątkowe szczęście.

- Gdzie i kiedy odbył się pierwszy rabunek?

- Późną wiosną dwa lata temu... obrobili bank w teksańskim miasteczku Blackwater. Tak zyskali swój przydomek.

- Gang z Blackwater - szepnął Cole.

- Taak - odrzekł Ryan. - Weszli do banku w środku nocy z naftą i po robocie podpalili budynek. Nie ostał się kamień na kamieniu. No i, oczywiście, nikt nic nie widział.

- Czy ktoś zginął podczas tego napadu?

- Nie. Potem, dwa tygodnie później, obrobili bank w Hollister, w Oklahomie. Znowu weszli w środku nocy, ale tym razem nie użyli nafty.

- Czy zniszczyli coś?

Ryan potrząsnął głową.

- Nie. Pozostawili po sobie nadzwyczajny porządek, wzięli tylko pieniądze... oczywiście, nie zostawili żadnego dowodu.

- Skąd wiesz, że te dwa napady były ze sobą powiązane?

- Przede wszystkim to przecucie - odrzekł Ryan spokojnie. - Poza tym, było kilka podobnych okoliczności: jak już powiedziałem, obrobili banki w nocy, i w obu przypadkach poprzedniego dnia w obu bankach zostały złożone rządowe pieniądze przeznaczone na żołd dla żołnierzy stacjonujących w pobliskich fortach.

- A trzeci bank?

- W Pelton, w Kansas - powiedział Ryan. - Zmienili sposób dokonywania napadów: weszli tuż przed czasem zamknięcia banku, podobnie jak tutaj. W środku było siedmiu ludzi. Dwóch zginęło.

Zaczęli strzelać, gdy jeden z pracowników banku sięgnął po rewolwer. Zginął trzymając go w dłoni, lecz nie zdążył z niego wystrzelić.

- Więc mieliście świadków?

- Taak, ale nie na wiele się zdali. Powiedzieli tylko, że rabusie nosili maski i tylko jeden gadał.

Podobno miał południowy akcent.

- Ilu było napastników?

- Siedmiu.

- I znowu zabrali pieniądze przeznaczone na żołd?

- Tak.

Cole powoli połączył te wiadomości w całość.

- Gdzie poszli dalej? - zapytał.

- Wrócili do Teksasu i obrobili bank w Dillon.

- Ty pochodzisz z Dillon, nieprawdaż?

Ryan spojrzał na niego ze zdziwieniem i czymś jeszcze. Przestrachem?

- Kiedy zabrałeś mój kompas przeprowadziłem własne dochodzenie na twój temat - wyjaśnił

Cole pospiesznie.

- Czego jeszcze się dowiedziałeś?

- Niewiele więcej. - Cole wzruszył ramionami. - Czy ktoś zginął w napadzie na bank w Dillon? - zapytał pospiesznie mając nadzieję, że gdy zmieni temat, Ryan nieco się odpręży.

- Taak - odparł tamten ochryple. - Zbyt wielu zginęło tamtego dnia. - Cole czekał, lecz Ryan nie chciał powiedzieć wiele więcej; kiedy zaczął nalegać, Daniel zdenerwował się i odpalił ostro: -

Słuchaj, to wszystko jest w dokumentach. Przeczytałem je chyba ze sto razy i nic nie znalazłem, lecz może gdy ty je przejrzysz, znajdziesz coś, co mi umknęło. Bank w Dillon był ostatnim, na który napadli w zeszłym roku. Na jesieni i w zimie przywarowali, a potem zaczęli całą zabawę od nowa na wiosnę tego roku. Napadają rzadko, lecz konsekwentnie - dodał. - Od początku tego roku przesunęli się nieco dalej na północ i stali się bardziej brutalni. Ostatnie trzy banki, które obrabowali, znajdowały się na terytorium Montany.

- Może dlatego, że są tu doskonałe miejsca na kryjówki?

- Taak, ja też tak myślę. Zawsze trzymają się z daleka od dużych miast.

- Szeryf Norton opowiedział mi o świadku, którego mieliście w Middleton.

Ryan skinął głową.

- Nazywał się Luke MacFarland... przechodził obok banku podczas napadu. Powiedział mi, że usłyszał strzały, lecz wtedy już stał z nosem przyklejonym do szyby i zaglądał do banku przez szpary w zasłonach. Jego uwagę przyciągnęło coś innego niż strzały.

- Co takiego?

- Śmiech.

Cole nie był zdziwiony.

- Przecież już ci powiedziałem, że oni dobrze się bawią przy tej robocie. A będzie coraz gorzej, jeśli ich nie powstrzymasz.

- Jeśli my ich nie powstrzymamy - poprawił go Ryan. - Teraz i ty siedzisz w tym po uszy.

- Taak, chyba masz rację. Czy Luke powiedział ci, jak zginęli ci ludzie w Middleton? Czy kazali im klęknąć?

- Nie. Zabrali ich na tyły banku i tam zastrzelili. To klękanie... to coś nowego. Podobnie jak nóż. - Ryan potarł kark. - Jestem cholernie zmęczony.

Cole widział bladość jego twarzy i ciemne sińce pod oczyma.

- Nie powinieneś być spać zeszłej nocy na deszczu. Jesteś już na to za stary.

- Jestem od ciebie tylko o rok starszy - odrzekł Daniel Ryan z uśmiechem.

- Skąd wiesz, ile mam lat?

- Wiem o tobie naprawdę bardzo dużo... chyba tyle, ile jeden człowiek może wiedzieć o drugim.

Cole był zdumiony tą uwagą, lecz nie dał tego po sobie poznać.

- Dlaczego nie chroniłeś tego świadka z Middleton?

- Staralem się, jak mogłem. Przysięgam na Boga, że się starałem, ale doniesiono mi o kolejnym napadzie w Hartfield, więc pojechałem zobaczyć, co się tam stało. Luke'a MacFarlanda i jego rodzinę miał chronić szeryf federalny Davidson.

- Czy poza tym, że słyszał śmiech, MacFarland powiedział ci coś istotnego?

- Przez szparę w zasłonach widział tylko dwóch mężczyzn; jeden z nich zdjął maskę i wtedy Luke zobaczył go z profilu. Powiedział, że był wysoki i szczupły, lecz nie byłby w stanie rozpoznać go w tłumie.

- Coś jeszcze?

- Nie.

- A co robił szeryf Davidson, podczas gdy ci dranie mordowali Luke'a i jego żonę?

- Leżał w pokoju na dole z kilkoma kulkami w ciele. Doktor wyciągnął z niego trzy, dwie musiał zostawić. Davidson wyliże się z tego, ale jeszcze długo nie dojdzie do pełni sił.

- Nie zostawiliby go, gdyby nie byli przekonani, że nie żyje.

- Wiem.

- Szeryf Norton powiedział mi, jak Luke i jego żona zostali zamordowani... podobno podejrznięto im gardła od ucha do ucha. Myślę, że jego żonę zabili dla ostrzeżenia innych. Norton uważa, że teraz będziesz miał ogromne kłopoty ze znalezieniem świadków. Nikt nie będzie chciał

wystawiać się na niebezpieczeństwo. Plotki szybko się roznoszą.

- Czy Norton opowiadał ci coś o sobie?

- Nie. Czemu pytasz?

- Jestem po prostu ciekawy. Czy słyszałeś kiedyś o rewolwerowcu, którego ludzie nazywali Laredo

Kid?

- No, jasne - odparł Cole. - Kiedy dorastałem, był już legendą. Wszyscy opowiadali, że był niesamowicie odważny... może trochę szalony, ale bardzo szybki. Pewnie już od dawna nie żyje. Czy to Norton go zabił?

Daniel Ryan uśmiechnął się.

- Laredo Kid wcale nie zginął. Prawdę mówiąc, został stróżem prawa.

- Norton to...? - Cole nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Przysięgam, że mówię prawdę.

- Dziwne, że jeszcze żyje. Zawsze znajdzie się ktoś, kto jest szybszy i chce to udowodnić.

Norton ma szczęście, że jeszcze żyje.

- Pewnie, zwłaszcza że je to, co ugotuje mu żona. Czy zmusiła cię do zjedzenia tego jej pieczonego kurczaka? Omal nie wyzionąłem przez niego ducha.

Cole wybuchnął śmiechem; to rozładowało nieco atmosferę w pomieszczeniu.

- Usiłowała - przyznał. - Ale go nie tknąłem.

Ryan też się odprężył, dopóki nie spojrzał na czarne plamy na podłodze.

- Miałeś sporo czasu, by się tu rozejrzeć - rzekł. - Powiedz, co, według ciebie, tu się wydarzyło.

Śmiech znikł z oczu Cole'a.

- Mogę ci powiedzieć, co tu się nie wydarzyło; żaden z nich nie stawiał oporu, żaden nie walczył. Poszli potulnie niczym owieczki na rzeź. We wszystkich szufladach znalazłem rewolwery -

dodał wskazując biurka kasjerów za szybą. - Są naładowane, a jednak nikt ich nawet nie tknął. A teraz ty mi coś powiedz, Ryan. Dlaczego mnie ścigałeś? Dlaczego to dla mnie zdobyłeś nominację?

Przecież jest wielu ludzi lepiej nadających się na stróżów prawa ode mnie.

- Ale ja potrzebowałem ciebie.

- Dlaczego?

- To skomplikowana sprawa.

- To wymówka, a nie wyjaśnienie.

Ryan wstał tak gwałtownie, że krzesło za nim się wywróciło i z głośnym hukiem upadło na podłogę; żaden z mężczyzn nie zwrócił na to uwagi. Stali przez długie minuty, w napięciu wpatrując się w siebie nawzajem. Wreszcie Ryan się zdecydował.

- No, dobra. Powiem ci, dlaczego akurat ciebie wybrałem do tej roboty. Już bardzo dawno temu zacząłem się tobą interesować... właściwie od czasu, gdy dowiedziałem się, jak poradziłeś sobie z tymi kłopotami, w jakie wpadłeś nieopodal Abilene.

- Jestem pewien, że historia była mocno przesadzona.

- Nie, skąd! Sprawdziłem to dokładnie. Wiedziałeś, co oni zamierzali zrobić z tą kobietą i...

- Jak już powiedziałem - przerwał mu Cole - historia była mocno przesadzona.

- Postrzeliłeś ją, by się dostać do tego drania.

- Przestrzeliłem jej ramię, to wszystko. Kula nawet nie tknęła kości... tylko ją drasnęła.

- Taak, tyle że ta sama kula zabiła jego.

- Zasłużył sobie.

- Mogę ci dać co najmniej dwadzieścia innych przykładów.

- Potrafię obchodzić się z bronią palną. I co z tego?

- Chcesz jeszcze inny powód?

- No, jasne.

- Ty myślisz tak, jak oni.

- Jacy „oni”?

- Jak ci dranie, co zabili tych ludzi w banku.

- Ty sukinsynu! - ryknął Cole. - Naprawdę uważasz, że mógłbym zrobić coś takiego?!

Ale Ryan szybko rozbroił jego wściekłość.

- Nie, nie sądzę, byś kiedykolwiek mógł zrobić coś podobnego, Cole. Ale powiedziałem, że myślisz tak, jak oni. Możesz wniknąć w ich umysły i znaleźć ich. Ja już próbowałem... i nic. Nie potrafię.

- Ty chyba oszalałeś, Ryan!

- Może i tak, ale potrzebuję człowieka, który się nie waha, i który nie ma nic przeciwko naginaniu prawa, kiedy sytuacja tego wymaga. Muszę też mieć kogoś, komu ufam. A tobie ufam.

- Skąd wiesz, że możesz mi ufać? Przecież zupełnie mnie nie znasz.

- Słyszałem wszystkie te nieprawdopodobne historyjki, o których twierdzisz, że nigdy się nie wydarzyły. Poza tym, jechałem z twoją matką pociągiem do Salt Lake City i wysłuchałem od niej całego steku świętoszkowatych bajd, w które tylko matka może uwierzyć. Czy ona wie, jak bezwzględny potrafisz być, gdy sytuacja tego wymaga?

Cole nie odpowiedział, lecz Ryan drażył dalej:

- Ona myśli, że idziesz nie w tym kierunku, co trzeba. Dlatego dała ci kompas.

- A ty mi go zabrałeś na ponad rok!

Ryan wzruszył ramionami.

- Powiedziała mi też, że ten kompas ma ci przypominać, byś trzymał się ścieżki prawych ludzi. Z mojego punktu widzenia, teraz ja to robię.

- Ja wcale nie jestem bezwzględny.

- Jesteś, jesteś, kiedy nie masz innego wyjścia. Słyszałem także o tym, co wydarzyło się w Springfield.

- O, do wszystkich diabłów!

- Pomożesz mi. czy nie?

Ale Cole już podjął decyzję. Widok ciał nieszczęśników zamordowanych w tym banku na długo pozostanie mu w pamięci i wiedział, że nie będzie mógł zasnąć spokojnie, dopóki ci, którzy dokonali tego bestialskiego mordu, nie zostaną oddani w ręce sprawiedliwości.

- Chcę dorwać ich wszystkich, co do ostatniego - wyszeptał. - Zatrzymam odznakę, lecz gdy tylko to się skończy, gdy tylko ich złapiemy, oddam ci ją.

- Wtedy może podejmiesz decyzję, by zostać.

- Może. - Nie mógł obiecać nic więcej. - Czy szeryfa federalnego obowiązują jakieś szczególne prawa lub zakazy? Ja nigdy nie potrafiłem trzymać się reguł ustalanych przez innych.

- Szeryfowie są z reguły przydzielani do poszczególnych okręgów, ale nie my. My działamy jako specjaliści wysłannicy rządu i mamy nad nimi zwierzchność. A jeżeli chodzi o zasady, nie musisz się nimi martwić. Wszystkie właściwie wypływają ze zdrowego rozsądku. Poza tym, szeryfa nie można sądzić za morderstwo - skłamał z pokerową twarzą.

- To może się nam przydać. - Cole roześmiał się nagle.

Ryan wstał i przeciągnął się.

- Może przejrzysz te dokumenty, a ja pójde na tył i raz jeszcze sprawdzę biurka kasjerów.

Ryan był już w połowie drogi do biura dyrektora banku, gdy Cole zawołał za nim:

- A czego mam szukać?

- Nazwisk ludzi, którzy wczoraj załatwiali interesy w banku. Sloan powiedział mi, że dyrektor kazał kasjerom trzymać bardzo dokładny spis wszystkich operacji bankowych. Mieli zapisywać nazwiska wszystkich ludzi, których obsługiwali danego dnia.

- A jak już sporządzimy tę listę, to co dalej? - zapytał Cole.

- Porozmawiamy z nimi, bo może ktoś z nich zauważył coś niezwykłego.

- Czy to się już kiedykolwiek zdarzyło?

- Nie, ale i tak musimy z nimi porozmawiać. Tym draniom kiedyś wreszcie powinie się noga.

Może któryś z nich był wcześniej tego dnia w banku?

- To się nazywa myślenie życzeniowe, Ryan.

- Taak, wiem. Ale i tak musimy to zrobić. Taka jest procedura... nie możemy zostawić żadnej furtki dla tych łotrów. Sądząc po ilości dokumentów, wczoraj w banku było sporo osób. Będziemy mieć pełne ręce roboty.

Podzielili zadania między siebie i Ryan wrócił do biura dyrektora. Cole został w głównej sali; zajrzał do szuflady poplamionego atramentem biurka w poszukiwaniu ołówka i papieru, żeby sporządzić listę klientów banku. Znalazszy, czego szukał, położył papier i ołówek na blacie biurka.

Właśnie chciał podnieść krzesło, które Ryan wcześniej wywrócił, gdy jego wzrok przyciągnęło coś błękitnego, leżącego pod stolikiem.

- Będziemy musieli przeszukać każdy kąt co najmniej trzy razy - ostrzegł go Ryan, podnosząc głos, by dotarł do Cole'a z gabinetu dyrektora. - Na wszelki wypadek, gdybyśmy przeoczyli coś za pierwszym i drugim razem.

- Spędzimy tu najbliższy tydzień - odkrzyknął Cole przyklękając na jedno kolano i sięgając pod biurko. Wyciągnął spod niego biało-błękitną, pustą w środku, damską torebkę. Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, po czym wrzasnął: - Hej, Ryan, wiesz, kto pracuje przy tym biurku?

- Tak! - odkrzyknął Daniel. Siedział właśnie przy biurku dyrektora i przetrząsał jego papiery. -

Mam gdzieś zapisane nazwiska wszystkich pracowników banku.

- Pamiętasz, czy to kobieta, czy mężczyzna?

Coś w głosie Cole'a przyciągnęło uwagę Ryana; spojrzawszy w jego kierunku, zobaczył, że Cole klęczy przy biurku.

- Tam pracuje mężczyzna, ale nie pamiętam jego nazwiska!

- Czy on też zginął podczas tego napadu?

- Nie. Był w domu. Chory.

Cole wetknął głowę pod biurko i zamruczał cicho do siebie:

- No... no... no...

- Znalazłeś coś? - zawołał Ryan.

- Może! - odpowiedział Cole. - Choć z drugiej strony, może to nic takiego. - Wstał i odwrócił się do Ryana. - Wiesz może, jak często sprząta się to miejsce?

- To pierwsze pytanie, jakie zadałem Sloanowi, skoro mieliśmy przeszukiwać śmieci. Jego zdaniem, MacCorkle miał obsesję na punkcie utrzymywania czystości w banku. Sprzątaczką przychodziła tu co noc, a każdego dnia rano on osobiście sprawdzał każdy kąt. Wszystko to, co znajduje się w koszach na śmieci, pochodzi z wczoraj.

- Jesteś pewien, na sto dziesięć procent, że było tu sprzątane we wtorek w nocy?

Ryan przestał przeglądać dokumenty z biurka dyrektora banku i podszedł do Cole'a.

Natychmiast zobaczył niebieski materiał w jego ręce.

- Taak, jestem pewien. Dlaczego pytasz? Co to takiego?

- Możliwość.

- Jaka znowu możliwość?

Cole uśmiechnął się promiennie.

- Możliwość, że jednak będziemy mieli świadka.

Tego dnia, gdy miał miejsce napad, między godziną pierwszą a trzecią po południu w banku były trzy kobiety. Cole i Ryan wiedzieli to na pewno, gdyż Sherman MacCorkle był wyjątkowym pedantem, jeżeli chodzi o prowadzenie dokumentów bankowych; dokładnie tak, jak szeryf Sloan powiedział Ryanowi, dyrektor banku wymagał, by każda transakcja - nawet rozmiennienie banknotu dolarowego na miedziaki - była zapisywana, a dokument wkładany do szuflady między inne tego typu papiery. MacCorkle nalegał również, żeby dokumenty z rana każdego dnia były oddzielone od dokumentów z popołudnia. Kwity za transakcje przeprowadzone we środę rano nadal leżały na biurku MacCorkle'a w trzech równiutkich stosikach; za biurkiem stała szafa z otwartą szufladą wypełnioną kwitami, podaniami o pożyczki, dokumentami hipotecznymi i innymi papierami, z których każdy opatrzony był dokładną datą.

Niech Bóg czuwa nad duszą Shermana MacCorkle'a za to, że był tak okropnym biurokrata!

Uporządkowanie tego wszystkie zajęło Cole'owi i Danielowi cały dzień; do wieczora upewnili się, że tego feralnego dnia w banku załatwiało interesy dwadzieścia dziewięć osób: osiemnastu mężczyzn było w banku we środę przed południem, przerwa dla pracowników na lunch trwała od dwunastej w południe do pierwszej, a potem przyjęto jeszcze jedenaście osób, w tym trzy kobiety.

Jedna z nich zostawiła w środku swoją torebkę.

Daniel Ryan i Cole byli bardzo podejrzliwi i wspólnie, ściszonymi głosami postanowili, że na razie nikomu nie powiedzą o obecności potencjalnego świadka podczas napadu.

- Bardzo możliwe, że pochopnie wyciągamy wnioski - rzekł Cole. - Jest wielce prawdopodobne, że to fałszywa nadzieja.

- Taak, ale mam przeczucie, że...

- Ja też - szepnął Cole. - Chodzi mi tylko o to, że ta torebka... mogła leżeć pod tym biurkiem od wielu tygodni.

- Powinniśmy przesłuchać parę, która tu sprząta... Mam ich nazwiska i adresy zapisane gdzieś w moich notatkach - powiedział Ryan przekartkowując mały notatnik. - O, jest. Mildred i Edward Stewartowie. Mieszkają na Currant Street... chodźmy z nimi porozmawiać. Tak czy inaczej, muszę stąd wyjść choć na chwilę.

- Jest po dziewiątej - odparł Cole. - Mogą już spać.

Ale mimo to poszedł za Ryanem do drzwi, zamknęli je za sobą i poszli do chatki Stewartów na obrzeżach miasteczka. Otworzyła im ich córka i poinformowała, że rodzice są w pracy; co noc sprząтали nie tylko bank, ale i kościół oraz główny sklep.

Cole i Ryan wycofali się grzecznie; wracając do centrum miasteczka zobaczyli światło przeciskające się przez opuszczone żaluzje sklepu, więc podeszli i zapukali do drzwi. Edward Stewart otworzył im

drzwi bez wahania, gdy tylko dowiedział się, kim są i po co przyszli.

Mildred, potężnie zbudowana, przysadzista kobieta, właśnie myła podłogę na kolanach; gdy tylko zobaczyła dwóch szeryfów, wstała i wytarła dłonie o fartuch. I ona, i jej mąż mieli na oko około pięćdziesiątki i - sądząc po pomarszczonych twarzach i pochyłonych plecach - życie upłynęło im na ciężkiej pracy.

Ryan powiedział kim są, po czym rzekł:

- Wiemy, że są państwo bardzo zajęci, ale bylibyśmy bardzo wdzięczni gdyby odpowiedzieli nam na parę pytań.

- Chętnie panom pomożemy - odpowiedział Edward. - Za ladą stoją krzesła, więc może panowie usiądą. Podłoga powinna już wyschnąć.

- To nie zajmie nam aż tak dużo czasu - rzekł Ryan. - Czy pan i pańska żona sprząkaliście w banku we wtorek w nocy?

Edward Stewart skinął głową.

- Tak, oczywiście. Sprzątamy tam co wieczór, z wyjątkiem niedziel, a pan MacCorkle płaci nam co poniedziałek rano.

- Myśli pan, że nowy dyrektor banku nadal będzie nas zatrudniał? - spytała Mildred. -

Pracujemy uczciwie i wcale nie liczymy sobie tak wiele...

Cole widział jasno ich zaniepokojenie; Mildred nerwowo kręciła w dłoniach rąbek fartucha, a jej mąż marszczył czoło z frasunkiem.

- Jestem pewien, że tak - odpowiedział Ryan z niezmaconą pewnością siebie. - Kiedy sprzątacie bank, czy co noc zamiatacie albo zmywacie podłogi?

- Jedno i drugie... to mój obowiązek - odpowiedziała Mildred Stewart. - Najpierw porządnie wszędzie zamiatam, potem na kolanach myję każdy centymetr kwadratowy. Używam do tego wody z octem i po każdym takim myciu podłoga aż się świeci, nieprawdaż, Edwardzie?

- No, pewnie - przytaknął jej mąż.

- Ale nie przesuwacie mebli, co? - spytał Cole,

- Nie ruszamy tylko tych najcięższych... ale przesuwamy wszystkie krzesła i kosze na śmieci.

Ja wczółguję się na polanach pod każde biurko i parapet, za każdą szafę, która tylko nie stoi tuż przy ścianie. Naprawdę bardzo porządnie wykonujemy naszą pracę - twierdziła uparcie Mildred. - Pan MacCorkle zawsze nas sprawdzał. Bywało, że sam na kolanach zaglądał pod każde biurko, a jeżeli znalazł choć odrobinę kurzu czy ślad pajęczyn, potrącał nam z pensji. Miał zupełnego hysia na

punkcie tego banku.

- Kupił stare, używane meble dla pracowników i kazał nam doprowadzić je do porządku...

niektóre z nich zupełnie nie nadawały się do niczego, ale pan MacCorkle nie lubił nic wyrzucać ani marnować - dodał Edward.

- Taak, ale w swoim gabinecie miał nowiusieńkie, eleganckie mebelki - dodała jego żona z oburzeniem.

Cole zauważył na ladzie koszyk z zielonymi jabłkami; wyjął z kieszeni miedziaka, położył na ladzie i wyjął z koszyka dwa owoce. Jedno jabłko rzucił Ryanowi, potem odgryzł duży kęs z drugiego i odwrócił się do Mildred Stewart.

- Proszę pani, czy ludzie przychodzący do banku czasem zapominali tam swoich rzeczy'?

- No, pewnie - odpowiedziała natychmiast starsza pani. - Raz znalazłam piękną broszkę, a Edward kiedyś znalazł portfel z sześcioma dolarami w środku. Wszystkie znalezione rzeczy odkładaliśmy do specjalnego pudełka w gabinecie pana MacCorkle'a. Stoi w kącie pokoju, zaraz przy sejfie.

- A czy w nocy z wtorku na środę coś państwo znaleźli?

Państwo Stewart jednomyślnie potrząsnęli głowami.

- A czy pamięta pani, czy sprzątała tej nocy pod biurkami kasjerów? - spytał Cole.

- No, oczywiście. Sprzątam pod wszystkimi biurkami, co noc, z wyjątkiem niedzieli. Dlaczego pan pyta?

- Jestem po prostu ciekawy - skłamał Cole.

- Nawet gdy byliśmy bardzo zmęczeni, sprzątaaliśmy calusieńki bank, bo pan MacCorkle potraciłby nam z pensji.

- To był nieprzyjemny człowiek - szepnęła Mildred.

- Nie powinnaś tak mówić o zmarłym - pouczył ją mąż.

- Ale przecież mówię prawdę - upierała się Mildred.

- Dziękujemy państwu za pomoc - wtrącił pospiesznie Ryan. - Doceniamy to.

Edward odprowadził ich do frontowych drzwi.

- Czy mógłby pan porozmawiać z żoną pana MacCorkle'a i poprosić ją, by zapłaciła nam za te dwie przepracowane w zeszłym tygodniu noce?

- Oczywiście, że z nią porozmawiam, a jeżeli odmówi zapłacenia państwu, dopilnuję, by zapłacił nowy dyrektor banku.

Edward Stewart potrząsnął siwą głową.

- Jeżeli możemy panom jakoś pomóc w złapaniu tych drani, co pozabijali naszych przyjaciół, niech pan da nam znać, szeryfie.

- Oczywiście, dziękujemy - odrzekł Ryan.

Dwaj szeryfowie ruszyli chodnikiem z powrotem do banku.

- I co teraz? - zapytał Cole.

- Wracamy do banku i ładujemy dokumenty z wczorajszego dnia w pudła. To nie powinno nam zabrać dużo czasu.

- Myślisz, że restauracja jest nadal czynna?

- Nie... już za późno. Jak na razie będzie ci musiało wystarczyć to jedno jabłko. Chętnie porozmawiałbym z tymi trzema kobietami, ale nie mam pojęcia, gdzie mieszkają.

- Możemy zapytać o to szeryfa, gdy tylko wróci do miasteczka ze swoją grupą pościgową.

- Masz rację...

Przez kilka minut szli w milczeniu, a potem Cole znowu się odezwał.

- Przynajmniej wiemy, że tę torebkę zostawiono w dniu napadu na bank. Ten MacCorkle to był niezły drań, co?

- Masz na myśli to, że potraçał im z pensji za niedokładnie wykonaną robotę?

- Aha. Dlaczego jakaś kobieta miałaby zostawiać w banku torebkę?

- Musiała wychodzić w niezłym pośpiechu.

- Jeżeli chowała się pod biurkiem, to pewnie widziała całe zajście.

- Może widziała - poprawił go Ryan. - Powinniśmy porozmawiać z człowiekiem, który zazwyczaj pracuje przy tym biurku.

Podał Cole'owi klucz do drzwi banku, podczas gdy sam zaczął grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu notatnika. Cole wszedł do środka i pozapalał lampy gazowe, a Daniel, po mozolnych poszukiwaniach, znalazł zgubę.

- Nazywa się Lemont Morganstaff... porozmawiamy z nim rano - rzekł. - Może on coś wie o tej

torebce.

- Co on może wiedzieć?

Ryan wzruszył ramionami.

- Pewnie niewiele, ale zapytać nic nas nie kosztuje, a na

pewno nie zaszkodzi.

- I co potem?

- Jeżeli on nie będzie wiedział, skąd wzięła się ta torebka, nadal nie będziemy mogli założyć, że mamy świadka napadu. Mogła się tam znaleźć na sto różnych sposobów. Jedna z trzech kobiet, które były w banku tego dnia, mogła usiąść przy tym biurku, by przejrzeć dokumenty... mogła upuścić torebkę przy wstawaniu. Do diabła, szkoda, że jest już tak późno.

- Masz rację. Może być tysiąc różnych wyjaśnień... mógł ją ktoś zostawić rano. Jakaś kobieta mogła przyjść do banku ze swym mężem lub przyjacielem i siedzieć przy tym biurku, podczas gdy on załatwiał interesy...

- Tylko po co jakakolwiek kobieta nosiłaby przy sobie pustą torebkę?

- Ja nie wiem, po co one w ogóle je noszą! Kieszenie są o wiele wygodniejsze.

- Nie powinniśmy wiązać z tym aż takich nadziei. Jakaś kobieta mogła upuścić torebkę, a wstając kopnąć ją tak, że wpadła pod biurko. Czy to ma choć odrobinę sensu?

Cole potrząsnął głową.

- Kobiety, które znam, bardzo pilnują swoich rzeczy.

- Boże, mam nadzieję, że ona to widziała.

- I kto tu jest teraz bezwzględny? Jeżeli naprawdę widziała morderców i napad, musi być śmiertelnie przerażona. Ostatnią rzeczą, na jaką będzie mieć ochotę, jest wystąpienie przed sądem.

- Ochronimy ją.

- Jeżeli słyszała o Luke'u MacFarlandzie, nigdy nam nie uwierzy.

Ryan zaczął się nerwowo przechadzać po banku; w świetle lamp gazowych czarne plamy na podłodze wyglądały makabrycznie.

- W tym przypadku musimy grać według reguł. Nie chcę niczego przeoczyć.

- Jestem szeryfem federalnym od wczoraj, nie mam pojęcia, jakie są reguły - odpowiedział mu

zirytowany Cole.

- Najpierw musimy porozmawiać z tymi trzema kobietami, a potem z każdym, kto był wczoraj w banku.

- Zdaje mi się, że to jedna wielka strata czasu - burknął Cole.

- Takie są reguły gry.

Cole oparł się o biurko.

- Doskonale, niech będzie, jak chcesz. Wczoraj w banku było dwadzieścia dziewięć osób, ty porozmawiasz z piętnastoma, a ja z czternastoma.

- Nie, to tak nie działa. Będziemy z nimi rozmawiać razem, a potem porównamy notatki.

Mogę przegapić coś, co ty usłyszysz, a co może być ważne dla sprawy - wyjaśnił. - Najpierw porozmawiamy z kobietami, a potem z innymi. Także z tymi, którzy byli na ulicy lub w domach nieopodal banku. Będziemy też musieli...

- Mówiąc krótko, musimy porozmawiać z wszystkimi mieszkańcami tego miasteczka -

przerwał mu Cole.

- Tak. - Ryan wcale nie przejął się złym humorem swego pomocnika. - I choć wolałbym tego nie robić, musimy wtajemniczyć we wszystko szeryfa Sloana. Nas ludzie nie znają, a jego tak... mogą powiedzieć mu rzeczy, o jakich nam nigdy by nie wspomnieli. - Przestał przechadzać się po banku i rozejrzał się dokoła. - Chyba tu na dziś skończyliśmy. Włożę wczorajsze dokumenty do sejfów, na wszelki wypadek, gdyby któryś z nas chciał je jeszcze jutro przejrzeć. Księgowi z banku w Gramby przybędą tu w niedzielę i gdy skończą sprawdzać dokumenty MacCorkle'a, dowiemy się, ile pieniędzy tak naprawdę ukradziono. Spotkajmy się tu jutro o siódmej rano. Dogadamy się ze Sloanem i przepytamy ludzi, którzy mogli coś widzieć.

- Nie sądzę, by przepytywanie ich tu było dobrym pomysłem. Powinniśmy to zrobić w biurze Sloana przy więzieniu miejskim.

Ryan potrząsnął głową.

- Więzienie działa ludziom na nerwy.

- A te plamy krwi na podłodze nie?

- No, dobrze, masz rację. Pójdziemy z nimi do więzienia. - Zamknąwszy dokumenty w sejfie, wyszli z banku. - Czy zameldowałeś się już w hotelu? - spytał Ryan.

- Nie, od razu udałem się do banku. A ty?

- Ja też nie miałem na to czasu. Nadal jesteś głodny?

- No, pewnie! - odrzekł Cole. - Może dyrektor hotelu specjalnie dla nas otworzy kuchnię i obudzi kucharza?

- Na pewno - zapewnił go Daniel Ryan. - W końcu jesteśmy szeryfami federalnymi. Jak nie zechce, to go zmusimy!

Cole roześmiał się głośno.

- Wiedziałem, że ta robota musi mieć swoje dobre strony!

W milczeniu poszli ramię w ramię ulicą; przyświecał im tylko blady księżyc.

- Jak myślisz, ile pieniędzy udało się im zwinąć? - zapytał

nagle Cole.

- Jak już powiedziałem, nie dowiemy się na pewno, dopóki nie przeliczą tego księgowi, ale z dokumentów na biurku MacCorkle'a dowiedziałem się, że we wtorek rano urzędnik państwowy złożył

w banku depozyt na żołąd dla żołnierzy... ponad siedemnaście tysięcy osiemset dolarów.

Cole gwizdnął cicho.

- To mnóstwo pieniędzy. Założę się o wszystko, że ci dranie wiedzieli o pieniądzach wcześniej niż MacCorkle.

- Na pewno. Pewnie przyjechali tu za karetką bankową.

- Ale dlaczego napadli na bank? Czy nie łatwiej byłoby im napaść na karetkę? - głośno zastanawiał się Cole.

- Nie, to zbyt niebezpieczne... zbyt wielu szczegółów nie da się przewidzieć. Karetka zawsze ma obstawę, a strażnicy to chłopiska skore do bitki. Banki są łatwiejsze do obrobienia, jeżeli wiesz dokładnie, co masz robić... a ci panowie najwyraźniej to wiedzą.

Rozmowa skończyła się z ich wejściem do hotelu. Jedyne wolne pokoje mieściły się na strychu i były zbliżone wielkością do szaf na ubrania. Pokój Cole'a wychodził na ulicę, a Ryana był

dokładnie po przeciwnej stronie korytarza. Na szczęście łóżka były miękkie, a dyrektor hotelu zgodził się przysłać im kolację na górę.

Ani Cole, ani Daniel nie spali dobrze tej nocy; Cole cały czas myślał o koszmarnej scenie, jaką zobaczył w banku, a Ryan o potencjalnym świadku, którego muszą odnaleźć.

Zgodnie z umową Ryan i Cole spotkali się następnego ranka przed bankiem, gdzie czekał na nich szeryf Sloan, by zameldować, że pościg nie odnalazł najmniejszych śladów przestępców. Ryan podał mu listę ludzi, z którymi chcieli tego dnia porozmawiać; na szczycie listy figurowały nazwiska trzech kobiet, które w dniu napadu przebywały w banku.

Sloan rzucił okiem na listę i potrząsnął ponuro głową.

- Niektórzy z tych ludzi leżą w łóżku z grypą i nie będą się mogli stawić na przesłuchanie -

ostrzegł. - A inni przygotowują się do wyjazdu z miasta. Dziś rano, w restauracji, wpadłem na doktora Lawrence'a, który przez całą noc pielęgnował rodzinę Walshów, a macie tu na liście nazwisko Johna Walsh. Poza tym, doktor powiedział mi, że Frederick O'Malley ma zamiar wyjechać z miasta wraz ze stadem bydła, gdy tylko zrobi zakupy na drogę.

- Nikt nie ma prawa wyjechać z Rockford Falls, dopóki szeryf Clayborne i ja z nim nie porozmawiamy. Dotyczy to także Fredericka O'Malley'a.

- Nie mogę zmusić go do zostania w mieście! - zaprotestował Sloan.

- Ale ja mogę - odrzekł szorstko Ryan.

Szeryf Sloan nie zamierzał tak szybko się poddawać.

- Zdaje mi się, że to wielka strata czasu. Gdyby ktoś coś zauważył, na pewno dawno by mnie o tym powiadomił.

- Szeryf Ryan chce przeprowadzić dochodzenie zgodnie z regulaminem - cierpliwie wyjaśnił mu Cole.

Sloan zauważył błękitną torebkę na blacie jednego z biur.

- A to skąd się tu wzięło?

- Leżała na podłodze, pod biurkiem, tym nieopodal okna - odpowiedział Ryan.

- Myślicie, że ktoś ją tam zostawił?

- To chyba dość oczywiste - odpalił Cole. - Jesteśmy ciekawi, do kogo należy.

W oczach Sloana pojawiły się błyski.

- Musiała zostać zostawiona w banku w dzień napadu, bo Stewartowie, którzy tu co noc sprzątaj, na pewno by ją wcześniej znaleźli. Włożyliby ją do tego pudła, co stoi w gabinecie dyrektora. To uczciwi ludzie - dodał po chwili namysłu. - Chyba nie sądzicie, że zostawili ją tu przestępcy, co?

- Nie, nie sądzimy - odparł Cole ironicznie.

- Pod czym biurkiem ją znaleźliście?

- Lemonta Morganstaffa - wyjaśnił Ryan. - Musimy z nim jak najszybciej porozmawiać.

Szeryfie, wie pan, gdzie on mieszka?

- No, jasne. Znam wszystkich w tym mieście. Zaprowadzę was do niego, kiedy tylko zechcecie. Chcecie go zapytać o tę torebkę?

- Tak.

Sloan już myślał nad implikacjami tego faktu.

- Gdzie, dokładnie, znaleźliście tę torebkę? Pod krzesłem czy przy ścianie?

- Pod biurkiem - odpowiedział Ryan. - W samym kącie, tuż obok frontowych desek.

Oczy szeryfa Sloana rozszerzyły się znacznie.

- Chyba nie sądzicie, że podczas napadu ktoś ukrywał się pod biurkiem?

- Jeszcze nie wyciągnęliśmy żadnych wniosków ani nie podjęliśmy żadnych decyzji - poinformował go Cole.

- Ale to możliwe, nieprawdaż?

- Tak - zgodził się Ryan. - Jest to możliwe. Ale to poufna sprawa, szeryfie. Niech pan o tym, z łaski swojej, nikomu nic nie wspomina.

Sloan opadł na kolana i niemal wczuł się pod biurko.

- Tu jest szpara, przez którą widać...

- Chcemy już zaczynać przesłuchania - wtrącił Cole niecierpliwie. - Niech nam pan pokaże, gdzie mieszka Lemont Morganstaff, a potem zacznie ściągać do swego biura ludzi z tej listy. Mamy przed sobą długi dzień.

- Zaczekam na was przed bankiem i zaprowadzę do Lemonta, kiedy tylko tu skończycie - odparł Sloan wychodząc. Gdy tylko zniknął za drzwiami, Cole odwrócił się do Ryana.

- To chyba nie był najlepszy pomysł, by mówić mu o tej torebce.

Daniel wzruszył ramionami.

- Jest stróżem prawa... i jeżeli od czasu do czasu będziemy mu podsuwać drobne informacje na temat śledztwa, może nie będzie nam wchodził w drogę. Poza tym, co on nam może zrobić złego?

Okazało się, że Sloan może zrobić sporo złego. Zanim słońce zaszło na horyzoncie, Ryan poważnie zastanawiał się nad zamknięciem szeryfa w jego własnym więzieniu. Niestety, prawo zabraniało izolowania członków społeczeństwa tylko dlatego, że byli niekompetentni i wybitnie głupi.

W miasteczku tak małym, jak Rockford Falls, każdy zna każdego, a nawet najbardziej gorszące czy przerażające sekrety przeciekają na światło dzienne niczym woda przez sito. Pracownik banku, pracujący przy biurku, pod którym znaleziono biało-niebieską torebkę, zniewieściały stary kawaler, otworzył drzwi dwóm szeryfom federalnym i zaprosił ich do przygnębiająco ciemnego saloniku. Ubrany w jaskrawozielony szlafrok i podobne kapcie, Lemont Morgenstaff przypominał

papugę. Usiadłszy w wypłowiałym, niegdyś żółtym fotelu, założył ramiona na piersi i wydał wargi, po czym, po kilku minutach, ogłosił, że ta torebka w żaden sposób nie mogła zostać znaleziona pod jego biurkiem. Wyjaśnił, że z zasady nigdy nie pozwalał klientom, mężczyznom czy kobietom, siadać przy swoim biurku; jednak, ponieważ w dniu napadu był chory, nie mógł mieć pewności, czy któryś z pracowników nie złamał tej zasady.

Szeryf Sloan, który nalegał, by pozwolili mu brać udział w tej rozmowie, nie mógł się powstrzymać.

- Nie mogła tam zostać przypadkiem kopnięta - powiedział. - Twoje biurko stoi przodem do sali, a z przodu są deski. Gdyby ktoś schował się pod biurkiem, napastnicy nie zauważyliby go.

Musieliby przejść przez bramkę i zajrzeć dokładnie pod biurko. A niby po co mieliby to robić?

Miałem trochę czasu, by się nad tym zastanowić, i tak sobie myślę, że jakaś kobieta schowała się podczas napadu pod twoje biurko i wszystko widziała. Założę się, że ci panowie myślą to samo. W

banku tego dnia były trzy kobiety... mam ich nazwiska napisane na tej liście. Sprowadzę je i przesłucham w moim biurze, gdy tylko tu skończymy. Mam nadzieję, że kobieta, która widziała morderców, jest po prostu nieśmiała i dlatego jeszcze sama się nie ujawniła, ale jeżeli celowo nic nam do tej pory nie powiedziała, bo się boi, aresztuję ją i wsadzę do więzienia.

Lemont przyłożył do ust koronkową chusteczkę i zrobił

przerażoną minę.

- Myślisz, że ona widziała napad? Biedactwo - szepnął.

Ryan usiłował jak najszybciej naprawić błąd popełniony przez Sloana, podczas gdy Cole popchnął szeryfa do drzwi.

- To tylko spekulacje szeryfa Sloana, my nic podobnego nie twierdzimy. Torebka mogła się znaleźć pod pańskim biurkiem ze stu innych powodów. W banku mogło być mnóstwo kobiet, nie tylko te trzy, które załatwiały interesy... jedna z nich mogła usiąść przy pańskim biurku, a wstając, przypadkowo upuścić torebkę

Ale Lemont nie słuchał Ryana.

- Ta torebka musiała zostać tam zgubiona w dniu napadu - rzekł podnieconym tonem. - Bank jest co noc sprzątany przez Stewartów, a oni porządnie wykonują swoją robotę. Mimo to, ma pan rację. Ktoś mógł zgubić tę torebkę rano... w biurkach kasjerów znajdzie pan nazwiska wszystkich ludzi, którzy tego dnia załatwiali swoje interesy.

Sloan wyrwał się Cole'owi i wrócił pośpiesznie do Lemonta.

- Jestem pewien, że te trzy kobiety z mojej listy były w banku w dniu napadu. Na pewno była tam Jessica Summers, Grace Winthrop i Rebeka James. Znasz którąś z nich, Lemont?

- W rzeczy samej. Znam Rebekę James. Właściwie widziałem

ją wczoraj wieczorem, ale biedactwo fatalnie się czuło. Obawiam się, że złapała grypę... oczywiście, kazałem jej jak najszybciej wracać do domu i położyć się do łóżka. Poznałem ją dopiero tydzień temu

- kontynuował przez nikogo nie ponaglany. - Zatrzymała się przy moim ogródku i pochwaliła moje kwiaty... To miła dama i docenia piękno roślin. Pozostałych dwóch pań nie znam, ale z drugiej strony, nie jestem zbyt towarzyski. Z banku wracam na dwie godziny przed zmrokiem... i każdą minutę poświęcam na pielęgnowanie kwiatów.

- Żadna z tych kobiet nie mieszka zbyt długo w Rockford Falls - dodał Sloan. - Jesteś pewien, że nigdy nie spotkałeś ani Jessiki Summers, ani Grace Winthrop?

- Może i spotkałem, ale żadna z nich nie wywarła na mnie wrażenia, żadnej z nich nie zapamiętałem.

Cole złapał Sloana za kołnierz i wyprowadził za drzwi. Ryan jeszcze chwilę został przy Lemencie.

- To, co powiedział szeryf Sloan, nie trzyma się kupy, ani nie jest potwierdzone żadnymi faktami - zaczął.

- Może jakiś obcy zostawił tę torebkę - przerwał mu Morgenstaff. - W mieście o tej porze roku kręci się mnóstwo turystów. Przyjeżdżają zobaczyć nasze wodospady i depczą po tych wspaniałych kwiatkach dziko rosnących na wzgórzach. Niektórzy są wręcz nieznośni, szeryfie. Niecałe dwa tygodnie temu, ktoś zniszczył mój ogród... zerwał wszystkie moje tulipany! Błagałem szeryfa Sloana i błagałem, by coś z tym zrobił, ale skoro teraz wy tu jesteście, może zajmiecie się ujęciem winnych. Jestem gotów złożyć skargę do sądu - dodał. - Nic mnie nie obchodzi, czy to zrobiło dziecko, czy nie! Miejsce chuliganów jest w więzieniu!

Cole właśnie wrócił do salonu i usłyszał ostatnie słowa Lemonta.

- Zdaje mi się, że bardziej przejmuję się pan swoimi kwiatami niż...

- Niż losem tych, którzy zginęli w banku? - przerwał mu Morgenstaff. - Ma pan rację, szeryfie. Widzi pan, ja bardziej kocham kwiaty niż ludzi... One służą tylko jednemu celowi: przynoszą nam radość,

bo są takie piękne! A ja kocham wszystko, co piękne.

- Chodźmy - rzekł Cole do Ryana. - Zabraliśmy panu Morgenstaffowi już dostatecznie dużo czasu.

Idąc do drzwi, Daniel jeszcze się odwrócił.

- Nie chciałbym usłyszeć, że powtarzał pan komuś naszą rozmowę - ostrzegł Lemonta. - Niech pan trzyma buzię na kłódkę, bo w przeciwnym razie skończy pan w więzieniu.

Lemont natychmiast dał słowo, że nic nikomu nie powtórzy, niestety później okazało się, że nie dotrzymał obietnicy. Niecałą godzinę po wizycie stróżów prawa przyszedł do niego gość, któremu powtórzył całą rozmowę z szeryfami, jak również opowiedział wszystko swojej gospodyni, pani Ernestine Hopper, która była przeciętną, niezbyt rozgarniętą kobietą, wiodącą przeciętne, nudne życie.

Oczywiście, nie mogła utrzymać nowin w tajemnicy i opowiedziała każdemu, kto zechciał jej wysłuchać, że najprawdopodobniej podczas napadu w banku był ktoś, kto wszystko widział, a kogo nie zauważyli mordercy. Niestety przy piątym czy szóstym razie, powtarzając tę samą historię, przestała używać słowa „najprawdopodobniej”. Po południu tego dnia z „Gazety codziennej Rockford Falls” Cole i Ryan dowiedzieli się, że mają świadka zbrodni.

Nie trzeba dodawać, że te wieści wzburzyły spokój miasteczka i wywołały nie lada poruszenie.

Ryan miał ochotę kogoś zamordować. Cole zasugerował mu, by zaczął od szeryfa, a potem poszedł do domu Morgenstaffa i zastrzelił Lemonta wraz z jego cholernymi kwiatkami.

Wieczorem, po drodze do restauracji Meltona, dwaj stróże prawa, bardzo sfrustrowani i wściekli, rozmawiali o tym, co zrobić ze Sloanem. Nadal nie rozmówili się z trzema kobietami, które w dniu napadu były w banku. Jessica Summers i Grace Winthrop poszły załatwić jakieś interesy i nie spodziewano się ich na stacji przed kolacją. Rebeka James co prawda przebywała w hotelu, lecz była zbyt chora, by przyjmować gości; miała jednak nadzieję, że do jutra wydobrzeje i odpowie na wszystkie pytania panów szeryfów.

Cole i Daniel zdążyli tego dnia porozmawiać z osiemnastoma mężczyznami i na razie ich zeznania niczym się od siebie nie różniły: żaden nie widział ani nie słyszał nic podejrzanego. Choć nadszedł już zmierzch, do końca dnia było jeszcze daleko. Po kolacji Daniel i Cole postanowili wrócić do hotelu i porozmawiać z Jessiką i Grace.

Ludzie spacerujący ulicami omijali szeryfów szerokim łukiem, a gdy tylko usiedli w restauracji, większość gości pośpiesznie kończyła posiłek i ostentacyjnie opuszczała lokal.

- Przeszkadza ci to? - spytał Ryan wskazując ruchem głowy trzech mężczyzn, którzy przepychali się przy drzwiach, usiłując jak najszybciej wyjść.

- Nie - odpowiedział Cole. - Jestem do tego przyzwyczajony. Za każdym razem, gdy wjeżdżam do nieznanego miasteczka, ludzie natychmiast biorą mnie za rewolwerowca i uciekają ode mnie jak od zarazy.

- Przecież w końcu byłeś kiedyś rewolwerowcem - spokojnie zauważył Daniel, a Cole nie miał ochoty się z nim kłócić.

Odchylił się nieco do tyłu, by właścicielka restauracji mogła swobodnie postawić przed nimi potrawkę z zająką i talerz ze świeżo upieczonym chlebem.

- Miło by było, gdyby się panowie pośpieszyli z jedzeniem. Chciałabym mieć dziś jeszcze kilku klientów.

Cole usiłował zapanować nad rozdrażnieniem. Kobieta była stara, chuda i wyglądała na zmęczoną życiem. Poprosił ją uprzejmie o kawę, na co ona nieprzyjemnym głosem spytała, jak długo zamierzają tu jeszcze marudzić.

- Proszę pani, to nie ja czy szeryf Ryan zabiliśmy tych siedmiu biedaków, których dziś pochowaliście, więc może przestanie nas pani traktować jak złoczyńców?

- Dlaczego nie złapaliście morderców? Wszyscy w mieście się nad tym zastanawiają.

- Przecież robimy, co w naszej mocy - odpowiedział Ryan zmęczonym głosem.

- Wiem, że przez cały dzień przesłuchiwaliście ludzi, którzy tego dnia byli w banku.

Cole skinął głową.

- Wieści szybko się tu roznoszą - zauważył, po czym spojrzał kobiecie w oczy. - Żaden z waszych przyjaciół ani sąsiadów nie widział napadu. Nikt nie słyszał strzałów. Nikt nie widział, jak ci dranie wjeżdżali do miasta.

Kobieta spojrzała ze współczuciem na dwóch szeryfów.

- Oj, pewnie niektórzy słyszeli strzały, ale zbyt się boją, by to powiedzieć. Jesteście zmęczeni, co, chłopcy? Nazywam się Loreen - dodała. - Zaraz przyniosę wam kawę.

Wróciła kilka minut później, nalała im pełne kubki, po czym postawiła dzbanek na stole.

- Moim zdaniem niektórzy ludzie powiedzieliby wam, gdyby coś zobaczyli, ale na pewno nie wszyscy. My wiemy, co oni robią tym, którzy na nich donoszą. Gang z Blackwater wraca i ucisza ich na zawsze. Przez całe życie nie spotkałam się z równie wielką podłością. Czytałam, że podczas napadu na jakiś bank w Teksasie zabili kobietę i jej małą córeczkę. Ta dziewczyna nie miała nawet trzech lat!

- Miała cztery - odezwał się Ryan.

Loreen poderwała głowę i spojrzała mu w oczy.

- Więc to prawda?

- Taak, to prawda - potwierdził Ryan głosem, który zmroził kobiecie krew w żyłach.

- Dobry Boże, dlaczego oni skrzywdzili taką niewinną małą owieczkę? Przecież była za mała, by ich wydać!

Cole nagle przestał być głodny. Tropili potworów i nie potrafił teraz myśleć o niczym innym, tylko o tym, jak najszybciej ich schwytać.

Loreen oparła kościstą dłoń na biodrze.

- Wiem, że robicie, co w waszej mocy... nie spieszcie się z jedzeniem. Interes i tak nie kwitnie z powodu grypy. Doktor Lawrence mówi, że nawet przyjezdni na nią zapadają. Podobno grypa nie jest zaraźliwa, ale ja wiem swoje. Czy rozmawialiście już z tą biedną kobietą, która widziała morderstwa?

Pogrążeni we własnych myślach szeryfowie nie dosłyszeli jej ostatniego pytania. Cole poprosił ją o powtórzenie.

- Zapytałam, czy rozmawialiście już z tą biedaczką, która widziała morderstwa w banku?

Słyszałam, że jedna z trzech kobiet, które tamtego dnia załatwiały interesy w banku, widziała cały napad. Jeżeli nie jest zbyt przerażona, może wam o wszystkim opowie... a jeżeli się boi, no cóż, może ją jakoś namówicie. Nie chcę wam mówić, jak macie prowadzić śledztwo - dodała pośpiesznie - ale skoro podejrzewacie...

- Nic nie podejrzewamy - przerwał jej Cole, ale Loreen nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi.

- To musi być prawda, bo wyczytałam to w naszej gazecie. Szeryf Sloan udzielił obszernego wywiadu reporterowi... powiedział, że sam wczołgał się pod to biurko i przekonał się, że przez szczelinę w deskach dokładnie widać całą salę. Powiedział też, że na pewno schowała się tam ta kobieta.

- Proszę pani, szeryf nie wchodził pod żadne biurko - zaproponował Cole.

- W gazecie jest napisane, że wchodził - odparła natychmiast Loreen. - Wiecie, ja też mogłam być w banku w czasie tego napadu... bardzo często o tej właśnie porze odnoszę tam pieniądze... ale ostatnio mam mały ruch w interesie i wpłacam pieniądze raz na tydzień. Ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego zamknęliście te trzy biedaczki w więzieniu. Słyszałam, że szeryf Sloan wyciągnął jedną z nich z łóżka, bo jest chora, a pozostałym dwóm nie dał nawet dokończyć kolacji. Uważam, że powinniście je przesłuchać w hotelu... więzienie to nie miejsce dla kobiet. Po mojemu nie macie prawa traktować ich jak zwykłych przestępców. Nie dokończycie kolacji? Dokąd się tak spieszycie?

Chłopcy!

Gdy tylko Cole i Daniel usłyszeli słowo „więzienie”, zrozumieli, że Sloan popełnił kolejny, niewybaczalny błąd.

Okazało się, że mieli rację. Pobiegli galopem do więzienia, klnąc przy tym, na czym świat stoi, i zobaczyli, że szeryf, w rzeczy samej, zamknął w celi trzy niewinne kobiety. Idiota był nawet z tego dumny; puszył się jak kogut i dumnie wypinał pierś.

- Musiałem to zrobić - wyjaśnił krążąc po swoim biurze dumnym krokiem. - Zapytałem, która z nich była w banku w czasie napadu, ale żadna się nie przyznała, więc zamknąłem je, by sobie to przemyślały. Podejrzewam, że zaraz przed więzieniem stawi się tłum domagając się linczu... ludzie już usłyszeli, że mamy świadka. Widzieli, jak je tu prowadziłem i pewnie są wściekli, że one nie chcą nic mówić.

Ryan był tak wściekły na szeryfa, że instynktownie sięgnął po broń, lecz zdążył się opanować.

Zmusił się do spokoju, gdyż wiedział, że później może żałować pochopnego czynu. Cole rzucił się Sloanowi do gardła. Nawet nie próbował się powstrzymać. Właśnie dusił idiotę, starając się jednocześnie wytłumaczyć mu kretynizm jego zachowania, gdy usłyszał dobiegający z celi dźwięk do złudzenia przypominający śmiech dziecka.

- Czyś ty oszalał?! - wrzasnął nie dowierzając własnym uszom. - Zamknąłeś w więzieniu małe dziecko?

Ryan był tak wściekły, że nieomal para buchała mu z uszu. Usiadł za biurkiem Sloana.

- Cole, przestań go dusić... niech się wytłumaczy! Musi mi powiedzieć, dlaczego zamknął w miejskim więzieniu trzy niewinne kobiety i niemowlę na dodatek.

Gdy tylko Cole go puścił, szeryf zaczął mówić pokaszując i jękając się niemożliwie.

- Nie wiedziałem... co mam zrobić z tym maluchem. Chciał zostać z mamą i nic do niego nie docierało. Rzucił się na podłogę i wszczął piekielną awanturę. Poza tym, jakie z niego dziecko, szeryfie! Ma już z półtora roku, może nawet dwa lata! Nadal nosi pieluszki, ale potrafi już całkiem nieźle mówić, więc żadne z niego niemowlę! Niemowlęta nie potrafią mówić! - dodał pewnym siebie tonem.

Ryan zacisnął szczęki tak mocno, że aż zadrgał mu mięsień w policzku.

- Gdzie są klucze do celi? - zapytał z groźbą w głosie.

- Chyba nie chce ich pan wypuścić, co?

- Do wszystkich diabłów! - nie wytrzymał Ryan. - Oczywiście, że je wypuszczę! A teraz gadaj, gdzie są klucze!

- Wiszą na kołku zaraz za pańskimi plecami - odrzekł Sloan, lecz w jego głosie słychać było jawne oburzenie. - Zrobiłem tylko to, co do mnie należało.

Ryan puścił to mimo uszu.

- Czy jest stąd jakieś tylne wyjście?

- Taak, na końcu tego korytarza. Dlaczego pan pyta?

Daniel rzucił Cole'owi pęk kluczy.

- Oto co pan zrobi, Sloan. Szeryf Clayborne wypuści te panie z celi, a pan zaczeka na nie przy tylnym wyjściu. Kiedy już wyjdą, odprowadzi je pan do domu.

- I przeprosisz je ładnie - dodał Cole. - I radzę, żeby twoje przeprosiny brzmiały przekonująco.

Sloan cofnął się o krok na widok miny Cole'a.

- Ależ to ja je zaaresztowałem - zaprotestował słabo. - Jeżeli je teraz przeproszę, pomyślą, że nie wiem co robię.

Cole westchnął ciężko.

- Nie, pomyślą, że jesteś zwyczajnym idiotą. No, ruszajże już!

Z zaciśniętymi ustami i czerwonymi policzkami szeryf Sloan powlókł się do tylnych drzwi więzienia. Cole otworzył drzwi wiodące z biura do cel i schylając głowę, by nie rąbnąć się o framugę, wszedł do długiego, wąskiego korytarza.

Ściany cel były wilgotne, gdyż padający deszcz przeciekał przez dach, a powietrze pachniało jak mokre, gnijące liście. Nagle zatrzymał się w pół kroku. Przez chwilę wyobraził sobie, że patrzy na piękny obraz zawieszony na szarej ścianie jakiegoś starego muzeum. Na wąskiej więziennej pryczy siedziały obok siebie trzy najpiękniejsze kobiety jakie w życiu widział. Z wyprostowanymi plecami i uniesionymi głowami siedziały bez ruchu, jak gdyby pozowały niewidzialnemu malarzowi.

Cole był zaskoczony tym widokiem; wszystkie trzy były bardzo młode... niesamowicie piękne... i aż się w nich gotowało ze złości.

Kobieta siedząca najbliżej niego miała ponury wyraz twarzy i dłonie złożone na kolanach.

Długie czarne włosy opadały jej miękkimi puklami na ramiona, okalając twarzyczkę o porcelanowej cerze i podkreślając zielone oczy patrzące na niego spod gęstych, ciemnych rzęs. Była w niej jakaś królewska wyniosłość, świadcząca o arystokratycznym pochodzeniu. Miała na sobie różową spacerową suknię z perłowymi guziczkami i koronkowym kołnierzykiem nieco postrzępionym na brzegach. Obok leżał słomkowy kapelusz o szerokim rondzie, a na nim para białych rękawiczek.

Założyć kapelusz na drogę do więzienia, pomyślał Cole uśmiechając się do siebie. Tylko kobieta z naprawdę wysokich sfer mogła zrobić coś podobnego. Patrzyła mu prosto w oczy z ciekawością i spokojem; Cole wyczuł w niej spokojną siłę, która niejedno jest zdolna przetrwać.

Obok niej, ubrana w bogatą, szafirowo niebieską suknię, siedziała najpiękniejsza kobieta jaką Cole widział w życiu; miała idealnie wyrzeźbione rysy, alabastrową skórę, pełne czerwone usta, patrycjuszowski nos i błękitne oczy. Dumnie uniesiony podbródek świadczył o głębokim oburzeniu.

Jej złote włosy ściągnięte były w ciasny kok, który ująłby urody każdej kobiecie, lecz jej, o dziwo, było w nim nad wyraz do twarzy. Na widok takiej kobiety każdemu mężczyźnie zabrakłoby tchu; dama wiedziała też najwyraźniej, jaki efekt wywiera na mężczyznach, a szczególnie na Cole'u.

Obdarzyła go wściekłym spojrzeniem, sugerującym, by lepiej przestał się na nią gapić i przeszedł do rzeczy.

Ostatnia z trzech dam była najbardziej pociągająca. Jej długie włosy koloru cynamonu także były ściągnięte w kok, lecz kilka krótszych loczków wysliznęło się z uczesania i opadało miękko na policzki i szyję. Jej groźną minę nieco rozbrajała garstka piegów na niedużym nosku, lecz migdałowe oczy przewierały go na wskroś. Miała na sobie wyblakłą lawendową suknię, której rękawy były podwinięte powyżej łokci. Najprawdopodobniej idiota Sloan oderwał ją od jakiejś pracy.

Na jej kolanach siedział pulchnutki cherubinek o kręconych włoskach i szerokim uśmiechu, najwyraźniej zupełnie nie zmartwiony nagłą zmianą miejsca pobytu. Siedział na kolanach matki, otaczając ramionkami jej szyję, i był zupełnie nieświadom napięcia panującego w celi.

Ależ były wściekłe! Nienawiść promieniująca od trzech kobiet pozbawiłaby pewności każdego mężczyznę, ale nie Cole'a Clayborne'a. Gdybyż tylko spojrzenia mogły zabijać, te trzy ślicznotki już zasypywałyby mój grób, pomyślał Cole. Jednak patrząc na ich poblądłe twarzyczki, doszedł do wniosku, że nie czują się najlepiej zamknięte w miejskim więzieniu; pewnie są też okropnie wystraszone. Zrobiło mu się przykro.

Otrząsnąwszy się z zamyślenia, postąpił krok do przodu i otworzył metalowe drzwi. Gdy tylko się poruszył, dziecko sapnęło i ukryło twarz na piersi matki.

Otwierając szeroko drzwi celi, Cole rzekł:

- Bardzo mi przykro, że zostały panie postawione w tak nieprzyjemnej sytuacji. Wiem, że wolałaby panie spędzić ten wieczór w domu.

Złotowłosa kobieta pierwsza poderwała się z pryczy. Pozostałe zaraz poszły w jej ślady.

- Kim pan jest? - zapytała władcym tonem.

- Nazywam się Cole Clayborne - odpowiedział. - Szeryf federalny Clayborne - dodał tonem wyjaśnienia.

- Czy to pan tu dowodzi?

- Nie, proszę pani. - Potrząsnął głową. - Szefem jest szeryf federalny Ryan.

- A czy on wie, że szeryf w tym miasteczku to skończony

idiota?

Cole uśmiechnął się lekko.

- Właśnie zaczyna to do niego docierać, proszę pani.

Jego szczerą odpowiedź i uśmiech nieco rozbroiły ich złość.

- Więc aresztowanie nas nie było ani pańskim pomysłem, ani szeryfa Ryana?

- Zgadza się.

- Szeryf Sloan jest żądny władzy i głupi, a to niebezpieczna kombinacja - mruknęła na wpół

do siebie; potem spojrzała na swoje towarzyszki i skinęła głową. - No, dobrze. Wobec tego zachowamy nasz gniew dla szanownego szeryfa Sloana. Niech pan pozwoli, że się przedstawię, szeryfie Clayborne. Nazywam się Rebeka James i pański nieudolny pomocnik siłą wywłókł mnie z łóżka. Urządził w hotelu straszną scenę i muszę przyznać, że najadłam się przez niego okropnego wstydu, a poza tym czuję się nie najlepiej. Ta miła dama po mojej lewej stronie to Grace Winthrop.

Przybyła tu aż z Anglii, gdyż słyszała wiele dobrego o naszym pięknym kraju. A jak to miasteczko okazuje jej gościnność? Zamyka ją w więzieniu!

Kobieta sama doprowadzała się od nowa do furii.

- Panno James, niechże się pani uspokoi...

Uciszyła go majestatycznym skinieniem ręki.

- A to Jessika Summers i jej synek, Caleb. Właśnie miała podać dziecku kolację, gdy siłą wywleczono ją z domu i zaciągnięto do więzienia.

- Jestem pewien, że nikt jej nie włókł ani nie ciągnął - zaproponował Cole, lecz idiota Sloan naprawdę mógł się dopuścić takiego grubiaństwa. - Jak już powiedziałem, bardzo mi przykro z powodu tak nieprzyjemnej sytuacji...

- Nieprzyjemnej?! Toż to odrażające! - krzyknęła Rebeka James, a zarówno Grace Winthrop, jak i Jessika Summers, zgodnie jej przytaknęły.

Cole już zdążył się zorientować, że panna James wypowiada się w imieniu trzech poszkodowanych... jak również, że wszystkie trzy są wściekłe.

- Jest pan pewien, że to nie szeryf Ryan wydał rozkaz aresztowania nas?- upewniła się panna James.

- Nie wydałem takiego rozkazu - odpowiedział jej Daniel Ryan stając w drzwiach wiodących do biura. Cole zauważył jego zdumione spojrzenie; najwyraźniej Ryan zareagował na trzy ślicznotki tak samo jak on. - Jeżeli nie mają panie nic przeciwko temu, miałbym prośbę, byście zostały w tej celi

jeszcze przez kilka minut.

Rebeka postąpiła krok do przodu i odpowiedziała w imieniu ich wszystkich.

- Oczywiście, że mamy coś przeciwko temu! Chodźcie, moje drogie! Wracamy do domu!

Dopiero w tej chwili Cole zauważył strzelbę w dłoni Daniela; kiedy Rebeka usiłowała przejść obok niego, uniósł ramię blokując jej drogę.

- Będziecie panie musiały zostać tu jeszcze trochę dłużej - rzekł Cole.

- Nie wierzę własnym uszom! - Warknęła oburzona, lecz posłusznie się wycofała.

Chwilę potem Jessica usiłowała przedostać się do wyjścia, jednak zagroził jej drogę. Stali naprzeciwko siebie; nie cofnęła się, więc obdarzył ją spojrzeniem sugerującym, że nie powinna z nim zadzierać.

W odpowiedzi spojrzała na niego dokładnie tak samo; do diabła, była w tym lepsza od niego.

Przed jej wzrokiem uciekłby nawet grzechotnik! Nawet nie mrugnęła. A jak ładnie pachniała! Jak świeże powietrze i kwiaty! Przestał patrzeć jej w oczy, gdyż i tak nie odnosiło to żadnego skutku.

Może dlatego, że miała tak cudowne, śliczne oczy!

- Cole, mam mały problem przed więzieniem i byłoby miło, gdybyś zechciał mi pomóc -

powiedział Ryan.

Mały chłopczyk przyglądał mu się zza krat, więc Cole mrugnął do niego porozumiewawczo i zamknął drzwi celi tuż przed oburzoną twarzą jego matki. Zamknął drzwi na klucz i wyszedł za Ryanem przed budynek gnany okrzykami oburzenia trzech pań.

Mały problem okazał się być rozwydrzonym tłumem aż rwącym się do zlinchowania trzech zaaresztowanych przez Sloana kobiet. Ryan zostawił drzwi do więzienia otwarte, stał teraz na chodniku trzymając w obu dłoniach strzelbę i usiłował przekonać czterdziestu czy pięćdziesięciu wściekłych mężczyzn, by przestali rozrabiać i poszli grzecznie do domu.

- Rozkazuję wam się rozejść! - krzyknął. - Idźcie do domu i pozwólcie nam wykonywać swoją robotę w spokoju!

- Wydajcie nam te kobiety! - odkrzyknął mężczyzna stojący pośrodku tłumu. - Już my zmusimy je do mówienia!

- A jak zamierzacie tego dokonać? - zainteresował się Cole.

- Powiesimy je, ot co! - padła odpowiedź.

- A to dopiero sensowne rozwiązanie - mruknął Cole do Ryana. Ten spojrzał na niego ponuro.

- Nie można logicznie rozmawiać z rozwścieczonym motłochem - burknął.

- Oni wcale nie są rozwścieczeni... są tylko trochę podenerwowani. To wszystko. Chcesz zobaczyć kogoś naprawdę rozwścieczonego? Wejdz z powrotem do więzienia i przyjrzyj się tym trzem damom, które tam siedzą. A potem spróbuj z nimi porozmawiać... zjedzą cię żywcem.

Ryan stłumił uśmiech.

- Doskonale. Ty zajmij się tym motłochem, a ja pójde porozmawiać z paniami.

- Zgoda - odrzekł Cole, po czym postąpił krok do przodu i odezwał się do zgromadzonych mężczyzn.

- Nikt nikogo nie będzie tu wieszał! Wszyscy uwierzycie w plotki, które nie mają w sobie żdźbła prawdy! Nie mamy żadnego świadka napadu!

- W gazecie było napisane, że macie! - wrzasnął mężczyzna stojący najbliżej.

- To nieprawda.

- Więc dlaczego szeryf je zaaresztował? - krzyknął ktoś inny.

- O to musicie zapytać jego, nie mnie - odpowiedział Cole. - A teraz idźcie do domów!

- A może to pan i ten drugi federalny pójdziecie do domu i pozwolicie naszemu szeryfowi zająć się nimi! Już on zmusi je do gadania!

Zanim Cole zdążył mu odpowiedzieć, z tłumu wysunął się jakiś mężczyzna, obrócił się i popatrzył na sąsiadów. Uniósł ręce do góry na znak, by się uciszyli.

- Wiem na pewno, że ta pani ze śmiesznym akcentem była w banku na długo przed napadem.

Stałem za nią w kolejce i słyszałem, jak rozmawia z kasjerem.

- Więc to musi być któraś z tych dwóch pozostałych - wrzasnął ktoś z tłumu. - Czy ktoś widział którąś z nich w banku wcześniej tamtego dnia?

- Ja widziałem! - zawołał ktoś z tyłu. - Widziałem tę jasnowłosą panią, kiedy rozmieniałem pieniądze w okienku Malcolma. Pamiętam ją dobrze, bo to najładniejsza sztuka, jaką kiedykolwiek widziałem.

Po tłumie przeszedł głośny szmer.

- A czy ktoś widział tę z dzieckiem?

- Ja ją widziałem! Chłopiec bujał się na bramce oddzielającej kasy od sali dla klientów, co bardzo rozzłościło pana MacCorkle'a. Jego matka musiała wyjść z kolejki, by go przypilnować. Ostro zbeształa starego MacCorkle'a za to, że nawrzeszczał na małego.

- Jeżeli wszystkie kobiety były w banku wcześniej tamtego dnia, to okazuje się, że nie mamy żadnego świadka! - zawołał ten, co wyszedł przed tłum.

- Może jedna z nich wśliznęła się z powrotem i nie zauważona przez nikogo ukryła się pod biurkiem?

- Jezu. ależ ci ludzie są głupi - jęknął Cole do Daniela.

- Sloan nieźle ich urobił - odparł Ryan.

- No dobra! - wrzasnął Cole zwracając się do mieszkańców miasteczka. - Oto co się zaraz stanie! Wszyscy pójdziecie do domów! Chcę, żebyście się zastanowili, co robiliście w dniu napadu na bank. Jeżeli ktoś przypomni sobie, że widział lub słyszał coś niezwykłego, niech jutro rano wróci tu do więzienia i nam o tym powie.

- Nie macie prawa nam rozkazywać - zawołał jakiś mężczyzna stojący z boku. Cole rozpoznał

w nim reportera z gazety, któremu wcześniej nie podobał się pomysł zakrywania zwłok prześcieradłami. Już wtedy Cole zapałał do niego ogromną niechęcią, która teraz jeszcze się wzmogła.

Reporter postąpił kilka kroków naprzód i spoglądał to na tłum, to na szeryfów. - To lokalna sprawa!

Powinien się nią zajmować szeryf Sloan!

- Skradzione zostały pieniądze należące do wojska! - krzyknął

Ryan w odpowiedzi. - Dlatego my się nią zajmujemy! Róbcie, jak wam każe szeryf Clayborne!

Wracajcie do domów i pozwólcie nam w spokoju wykonywać naszą pracę!

- Nigdzie nie pójdę, dopóki nie porozmawiam z tymi kobietami! - wrzasnął reporter.

Ale Cole nie był w nastroju do dalszych głupich rozmów; w mgnieniu oka wyciągnął rewolwer i zestrzelił mu z głowy kapelusz.

- Nie miał pan prawa tego robić! - krzyknął oburzony mężczyzna.

- Miałem, miałem! - odparł Cole z niezmaconym spokojem. - Szeryf Ryan mówił mi kiedyś, że skoro jestem teraz funkcjonariuszem państwowym i szeryfem federalnym, nie mogę być sądzony ani skazany za morderstwo! Więc tak sobie myślę, że mogę zastrzelić każdego z was, jeśli będzie stawiał opór, i nie poniosę za to żadnych konsekwencji! Mówię wam po raz ostatni: wracajcie do domów!

- Cole? - szepnął Ryan za jego plecami.

- Co takiego? - spytał Cole nadal nie spuszczając oczu z tłumu.

- Ja to wymyśliłem.

Cole wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Ale oni o tym nie wiedzą!

Daniel i Cole stali ramię w ramię z marsowymi minami, dopóki mężczyźni nie wykrzyczeli się i nie rozeszli złorzecząc cicho pod nosami. Wtedy Ryan wrócił do więzienia i wypuścił kobiety z celi.

Dziesięć minut później Sloan dołączył do nich. Odprowadził damy do domu i przyniósł od nich wiadomość, że jeżeli mają zostać przesłuchane, to najlepiej jeszcze tego wieczora, żeby nie musiały zawracać sobie tym głowy następnego dnia. Ryan i Cole postanowili podporządkować się życzeniom pań. Zaczęli od Rebeki James.

Panna James mieszkała w hotelu Rockford Falls, podobnie jak Cole i Ryan. Stary, czteropiętrowy budynek, z trzech stron otoczony werandą, stał zaledwie o jedną przecznicę na północ od więzienia na Elm Street. Szeryfowie wysłali jedną z pokojówek do pokoju Rebeki z wiadomością, że czekają na nią na werandzie.

Słońce właśnie chyliło się ku zachodowi, a chłodny wietrzyk był przyjemną odmianą po upalnym dniu.

- Nie dowiemy się niczego istotnego - przepowiadał ponuro Cole. - Wiemy już, że wszystkie trzy kobiety widziano w banku tamtego dnia. Rozmowa z nimi to strata czasu. Cóż mogły zobaczyć?

- Nie wiemy, dopóki nie odpowiedzą na nasze pytania. To nie powinno zająć nam dużo czasu.

Pół godziny później musieli zmienić zdanie. Panna James kazała im czekać na siebie aż do ósmej wieczorem. Kiedy wreszcie zeszła na dół, Cole przechadzał się po werandzie, a Daniel siedział

wygodnie rozciągnięty na jednym z wiklinowych bujanych foteli. Rebeka nie przeprosiła ich za spóźnienie, a widząc jej minę, obaj panowie szybko zrozumieli, że nadal jest na nich wściekła.

Ryan wstał, gdy tylko ją zauważył; zaczekał, aż usiądzie, po czym przyciągnął sobie krzesło i usiadł naprzeciw niej. Cole oparł się o jeden ze słupów podtrzymujących werandę i założył ramiona na piersi.

Rebeka James siedziała na brzegu krzesła z wyprostowanymi plecami i rękami złożonymi na kolanach. Była tak wściekła, iż przez głowę Cole'a przemknęła myśl, że dziewczynie lada chwila zacznie się dymić z uszu.

Odchyliwszy się do tyłu, pozwolił Ryanowi spokojnie przepytować damę, podczas gdy on tylko się jej przyglądał. Wiedział, że to niegrzeczne z jego strony, lecz nie potrafił się powstrzymać.

Panna James była doprawdy wspaniałą kobietą; usiłował znaleźć w niej jakąś skazę, by zapomnieć o fascynacji, jaką w nim budziła.

Widział, że i Ryan się jej przygląda; był ciekawy, czy i on nie robi tego z podobnych pobudek.

- Bardzo pani dziękujemy, że poświęca nam pani swój czas - zaczął Daniel. - Jest nam też bardzo przykro z powodu tego wcześniejszego niefortunnego nieporozumienia.

- Wątpię, czy zdołam panom jakoś pomóc w tym dochodzeniu - odrzekła Rebeka James. - Ale z chęcią odpowiem na wszystkie pytania. Potem wyjadę z tego okropnego miasta i już nigdy tu nie wrócę. Przyznaję, że sama okolica jest czarująca, a wodospady doprawdy wspaniałe, ale ludzie są...

odrobinę dziwni. Odkąd pojawiły się te plotki w gazecie, zrobiło się tu bardzo nieprzyjemnie. Wprost nie mogę się doczekać powrotu do domu.

- Czyli gdzie? - spytał Ryan.

- Do St. Louis. Planowałam wyjechać już w zeszłym tygodniu, by spotkać się z przyjaciółmi w Salt Lake City, ale zachorowałam i musiałam odłożyć termin wyjazdu.

- Czy teraz czuje się pani już lepiej?

- Tak, trochę. Dziękuję. Doktor powiedział, że mam spore szczęście, gdyż dopadła mnie wyjątkowo lekka odmiana grypy.

- Czy pochodzi pani z St. Louis? - zapytał Cole.

- Wychowałam się na wschodzie - wyjaśniła panna James. - Przeprowadziłam się do St. Louis, aby być bliżej przyjaciół. - Odwróciła się do Ryana. - Myślałam, że chcieli panowie porozmawiać o napadzie na bank.

- Ma pani rację - odrzekł Daniel. - Czy pamięta pani, o której godzinie była w banku?

Rebeka James zastanowiła się chwilę.

- Taak, pamiętam. Byłam tam koło drugiej po południu. Z dokładnością do dziesięciu minut.

Stałam w dość długiej kolejce, lecz nie pamiętam, kto tam był jeszcze ze znanych mi osób. Nie zwracałam na nikogo uwagi. Czy zapisuje pan wszystko to, co mówię?

Ryan podniósł wzrok i uśmiechnął się lekko.

- Staram się - powiedział.

- Dlaczego?

Daniel odchylił się na krześle i odłożył notatnik na kolana.

- Było już tak wiele napadów, że to jedyna metoda, by nie pogubić się w natłoku informacji.

Czy to pani przeszkadza?

Rebeka potrząsnęła głową.

- Nie, po prostu nieco mnie to zdziwiło.

W tej chwili szeryf Sloan wszedł na werandę głośno tupiąc. Miał wyjątkowo głupią minę i gdy tylko zobaczył niechęć w oczach obu szeryfów federalnych, odwrócił się, chcąc uciec.

- Siadaj! - Głos Ryana ciął ostro, więc Sloan, niczym dobrze wyszkolony pies, usiadł

natychmiast na pierwszym wolnym krześle.

- Narobił pan niezłego zamieszania, szeryfie - rzekła do niego Rebeka. - Przez pana ludzie w mieście uwierzyli, że macie świadka napadu na bank i popełnionych morderstw. Sama czytałam artykuł w tej waszej gazecie. Wszyscy go przeczytali... Pana wypowiedzi były wielokrotnie cytowane.

Czy ma pan pojęcie, co pan zrobił najlepszego? Jeżeli ludzie, którzy napadli na bank przypadkiem przeczytają ten artykuł, wrócą do Rockford Falls, by zabić Grace, Jessikę i mnie. Wszystko to z powodu pańskiej niekompetencji! Mój Boże, czy zdaje pan sobie sprawę do czego zdolni są ci barbarzyńcy?! Zabili już niejedną kobietę. Na pewno zabicie jeszcze trzech nie zrobi im żadnej różnicy.

- Proszę pani, na pani miejscu nie martwiłbym się o to, że gang z Blackwater może wrócić do Rockford Falls. Na pewno już dawno uciekli do innego stanu.

Jego nonszalancja wyprowadziła Rebeke James z równowagi.

- Żaden ze świadków nie doczekał procesu! - wykrzyknęła. - Wszyscy wiedzą, co się stało z tym biedakiem w Middleton. Ci mordercy zabili także jego żonę, nieprawdaż? Gdyby nawet któraś z nas,

ja, Grace czy Jessika, była w banku podczas napadu, czy naprawdę sądzi pan, że by się przyznała? Przecież tym samym podpisałyby na siebie wyrok śmierci!

- Bardzo mi przykro, że tak się stało - powiedział Sloan czerwieniąc się po uszy. - Ale naprawdę nie sądzę, żeby komukolwiek spoza Rockford Falls wpadła do rąk nasza mała gazetka. Nie miałem żadnego wyboru jeżeli chodzi o ten wywiad... Ten reporter ciągle za mną chodził i nagabywał

mnie o szczegóły... a ja jestem przedstawicielem władzy w tym mieście. Miałem obowiązek powiedzieć mu wszystko, co wiedziałem... ale pamiętam tylko, że powiedziałem mu o torebce znalezionej pod jednym z biur. Wnioski wyciągnął sam. - Udzieliwszy tych wyjaśnień, Sloan wstał i przeprosił. - Obiecałem pewnej znajomej damie, że pójdziemy na spacer... na pewno już na mnie czeka. Czy potrzebuje mnie pan tu jeszcze, szeryfie Ryan?

- Nie.

Rebeka zaczekała, aż Sloan zejdzie z werandy z głupiutko chichoczącą kobietką uczeponą jego ramienia.

- Szeryf pokazał nam znaną w banku torebkę... na pewno nie należy do mnie. Ja nigdy nie noszę torebek dodała. - Mogę już iść? Bardzo bym chciała móc się wreszcie położyć do łóżka. To był niezwykle męczący dzień.

- Na razie nie mam żadnych więcej pytań - powiedział Ryan; zamknął notatnik, po czym spojrzał na Cole'a. - A ty?

- Tylko jedno - odezwał się niedawno mianowany szeryf Clayborne. - Jak długo planuje pani pozostać w mieście?

- Do pojutra... wtedy przez to miasteczko przejeżdża dylizans.

Ryan pomógł jej wstać, na co panna obdarzyła go zdumionym spojrzeniem.

- Chyba nie chce pan przesłuchiwać Jessiki i Grace jeszcze dziś wieczorem? Jest już po ósmej

- powiedziała. - Obie mały dziś wyjątkowo ciężki dzień... a żadna z nich nie czuje się najlepiej.

Powinniście dać im trochę czasu na odpoczynek, zanim zaczniecie zadręczać je pytaniami. Dobranoc, panowie.

Obaj patrzyli za odchodzącą kobietą. Każdy z nich pogrążony był w myślach do chwili, aż panna James odwróciła się w drzwiach i spojrzała na nich przez łzy. Ponieważ była tak opanowana i spokojna podczas przesłuchania, ten nagły wybuch emocji bardzo ich zdziwił.

- Czy wy kiedykolwiek złapiecie tych potworów? Czy macie jakiegokolwiek poszlaki? Szeryf Sloan powiedział, że nie... ale miałam nadzieję, że się mylił.

Ryan trochę się zgarbił.

- Nie, na razie nie mamy żadnych dowodów, poszlak ani świadków. Ale wszystko może się jeszcze zmienić.

- Jedno jest pewne - wtrącił Cole. - Prędzej czy później ich złapiemy. To tylko kwestia czasu.

Może pani na to liczyć.

- Taak, wiem, że ich złapiecie - rzekła Rebeka James.

-Jeżeli będziecie mieć panowie jeszcze jakieś pytania, wiecie, gdzie mnie znaleźć.

Kiedy już znikła za drzwiami, Cole zaklął pod nosem.

- Bycie szeryfem federalnym wcale nie jest taką znowu dobrą zabawą. To strasznie przygnębiające.

- Wiesz, co cię tak naprawdę dręczy? Współczujesz tym trzem kobietom i tyle.

- Taak, masz rację. Przez niekompetencję i wyjątkową głupotę Sloana zostały wrzucone w sam środek paskudnej sprawy. To niesprawiedliwe, że muszą się bać o własne życie. Poza tym, nie sądzę, by to któraś z nich była w banku podczas napadu, a wszyscy w mieście są przekonani, że to jedna z nich widziała rabusiów. Ci tutejsi ludzie jakoś nie potrafią myśleć, nie odnosisz przypadkiem takiego wrażenia? Zresztą, faktycznie bardzo nie podobał mi się widok przerażonej Rebeki.

- Wcale się jej nie dziwię, że jest przerażona - odrzekł Ryan. - Najwyraźniej wie, do czego zdolny jest gang z Blackwater.

- Myślisz, że mogą wrócić tu, do Rockford Falls? Czy posunęliby się do tego tylko z powodu plotek?

- Ludzie wierzą w to, co jest napisane w gazetach. Mielibyśmy wyjątkowe szczęście, gdyby tu wrócili. Przestań tak na mnie patrzeć, Cole. Po prostu jestem z tobą szczery. Byłoby niezwykle przełomem w naszym dochodzeniu, a Bóg jeden wie, że tego nam teraz właśnie trzeba. Możemy ochronić te kobiety. Chodź, porozmawiamy z Jessiką Summers i Grace Winthrop.

- Wydaje mi się to z lekka bez sensu - rzekł Cole ponuro. - Założę się, że one też nic nie widziały.

- Ale musimy zrobić wszystko zgodnie z zasadami - nalegał Ryan uparcie. - A tak przy okazji, podczas przesłuchania powinniśmy robić notatki.

- Ty i tak je robisz, a ja nie znoszę papierkowej roboty. Poza tym i tak pamiętam wszystko, co i kto powiedział.

- Może teraz tak, ale później, po kolejnych dwóch, trzech napadach, nazwiska i daty zaczną ci się mylić.

- Więc złapmy tych drani, zanim obrobiją kolejny bank. - Zmęczony i głodny Cole podążył za Ryanem

w dół ulicy.

- Rebeka powiedziała, że Grace i Jessika są bardzo zmęczone. Pamiętasz? Może naprawdę powinniśmy poczekać do rana z tą rozmową?

- Nie. Chcę porozmawiać z nimi jeszcze dziś.

Cole poddał się; do tej pory praca szeryfa federalnego dostarczała mu ciągłych frustracji.

Chciał zacząć działać, a przesłuchiwanie świadków i papierkowa robota były jak układanie skomplikowanej układanki. Potrzebna była do tego ogromna cierpliwość - cnota, której Cole jeszcze nie posiadał.

CZEŚĆ DRUGA

Połączonych kochanków ramiona splecione,

Kres niosą obawom o samotność i chłód.

Pensjonat Tilly MacGuire znajdował się na końcu Elm Street, długiej, krętej ulicy ocienionej potężnymi, sędziwymi drzewami. Frontowe drzwi hotelu, w którym mieszkała Rebeka James, właściwie wychodziły na frontowe drzwi domu pani MacGuire, ale z powodu krętości drogi i ogromnych drzew ze schodków jednego budynku nie było widać drugiego.

Stary dom MacGuire'ów niedawno został na nowo pomalowany, framugi okien i drzwi były ciemnowiśniowe, a krzesła rozstawione na werandzie miały obicia w podobnym odcieniu. Posiadłość otoczona była płotkiem z białych sztachetek; dom znajdował się nieco z tyłu, oddalony od ulicy. Płot także został niedawno odmalowany, lecz pojedyncze gałązki bluszczu już się dokoła niego okręcały.

Zarówno dom, jak i rozległa murawa kryły się w cieniu ogromnych kasztanowców rosnących po obu stronach werandy. Lekki wietrzyk poruszał listkami gałązek rosnących na potężnych, splatających się ze sobą ponad dachem ganku konarach. Pensjonat Tilly MacGuire był czarującym idyllicznym miejscem, wprost stworzonym do wychowywania gromadki dzieci. Tilly wyszła za mąż w wieku czternastu lat i wydała na świat ośmioro dzieci - same dziewczynki. Kiedy jej najmłodsza pociecha wyszła za mąż i wyprowadziła się z domu, a trzeci mąż zmarł, Tilly zamieniła sześć sypialni na osobne pokoje i zaczęła przyjmować dziewczęta na stancję.

Niepotrzebne były jej pieniądze, tylko towarzystwo, więc wybierała sobie takich klientów, którzy się jej podobali. Nigdy nie wpuszczała do swego domu mężczyzn, a jej podopieczne musiały być w domu przed ósmą wieczorem, co noc, nie wyłączając sobót. W każdą niedzielę musiały chodzić z nią do kościoła i żadnej z nich nie wolno było przegapić kolacji. Domownicy godzili się na te surowe reguły z jednego, bardzo prostego powodu: jak długo ulegali gospodyni, tak długo byli przez nią hołubieni. Jedzenia zawsze było pod dostatkiem i pierwszej jakości, pokoje przestronne i pięknie utrzymane, a pościel zmieniana co drugi dzień. Jednak bardziej niż na wygodach, zależało im na obecności samej Tilly. Była to doprawdy wspaniała kobieta, która traktowała swoje wybrane pensjonariuszki niczym ukochaną rodzinę.

Prawdę mówiąc, mimo wyglądu hetery, Tilly miała duszę anioła i złote serce. Złamała jedną ze swych podstawowych zasad pozwalając Jessice i jej synowi mieszkać pod swoim dachem. Odkąd jej własne dzieci dorosły, Tilly nie zgadzała się, by te chodzące utrapienia przebywały pod jej dachem, lecz dla Caleba uczyniła wyjątek. Maluch zdobył jej serce już pierwszego dnia, gdy spojrzał na nią swymi ogromnymi brązowymi oczkami i pokazał jej różowy języczek.

Właśnie śmiała się z poczynań Caleba, gdy na jej ganku stanęli Daniel i Cole. Tilly była nieduża i miała iskrzące się, błękitne oczy; uśmiechała się do nich przyjaźnie, dopóki na ich piersiach nie dostrzegła błyszczących gwiazd. Ujawszy Caleba za rączkę, podeszła do drzwi.

- Przyszliście tu, by przesłuchać moje dziewczynki, nieprawdaż?

- Zgadza się, proszę pani - odpowiedział Ryan uprzejmie.

Tilly zmarszczyła brwi.

- Obie są bardzo zmartwione i wystraszone... niedawno doszły do siebie po grypie. Biedna Jessika nieomal już wyzdrowiała, ale potem miała ciężki nawrót choroby. Wymiotowała prawie cały wieczór we środe. Dziewczeta nie powinny się tak bać. Mogą panowie wejść do środka. Obie są w kuchni i zmywają garnki. Zazwyczaj nie wpuszczam pensjonariuszy do kuchni, ale dziś obie moje służące leżą w domu chore, a i ja czuje się dość kiepsko... więc łamię własne zasady. W końcu to mój dom - dodała tonem wyjaśnienia. - Chcą panowie porozmawiać z obiema na raz? Jeżeli tak, to zapraszam do kuchni.

Czyściutkie, najwyraźniej dopiero co umyte dziecko trzymało szmacianą lalkę za włosy i zadarłszy główkę do góry wpatrywało się w Cole'a.

- Wolelibyśmy porozmawiać z każdą z nich osobno - rzekł Ryan. - Bylibyśmy wdzięczni, gdyby poprosiła pani Jessikę Summers o wyjście tu do nas na ganek.

- Idź poszukaj mamy, maleńki - poleciła Tilly dziecku.

- Nie! - wrzasnął mały wyrrywając rączkę z jej uścisku, po czym pognał na tyły domu.

Tilly wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- „Nie” to jego ulubione słowo. Powtarza je chyba po sto razy dziennie. Nie chodzi o to, że jest niegrzeczny czy głupi, tylko po prostu strasznie uparty. - Obejrząwszy się za siebie, by się upewnić, że mały jest poza zasięgiem jej głosu, dodała: - Jak już mówiłam, Jessika i Grace są śmiertelnie wystraszone... a wszystko dlatego, że ktoś puścił plotkę, że to jedna z nich jest świadkiem tego napadu na bank. Nawet napisali to w gazecie. Wiem, że moje dziewczynki nic nie widziały, bo gdyby tak było, na pewno by mi o tym powiedziały. I nie życzę sobie, byście mi je tu zastraszały.

Słyszycie?

- Oczywiście, proszę pani - odpowiedział Cole łagodnie.

- Zaraz zawołam tu do was Jessikę. Potem pójdę na górę dzbankiem herbaty, który Grace obiecała mi przygotować... ale o dziesiątej tu wrócę. Mam nadzieję, że skończycie już przesłuchanie do tego czasu?

- Oczywiście, proszę pani - powtórzył Ryan za kolegą.

Ale Tilly nie była jeszcze gotowa do odejścia. Miała coś do powiedzenia dwóm szeryfom, a należała do osób, które uważają, że czas jest zbyt cenny, by go marnować owijając rzeczy w bawełnę.

- To, jak mieszkańcy tego miasteczka się zachowują, woła o pomstę do nieba. To, że moje dziewczynki mieszkają tu od niedawna, to jeszcze nie powód, by od razu brać je na języki. Szkoda mi też tej biednej Rebeki James. Była tak samo chora, jak moje dziewczynki... czy ją też już zdążyliście przepytąć?

Ryan nie odpowiedział.

- Kiedy poznała pani Rebekeę James?

- Po mszy w zeszłą niedzielę - odrzekła. - Bardzo miło nam się rozmawiało... powiedziała nawet, że chyba przeprowadzi się do mojego domu, bo pokoje w jej hotelu są strasznie małe. Byłoby mi bardzo miło ją tu gościć - dodała. - Jestem może stara, ale znam się na ludziach... od razu ją polubiłam. Ta dziewczyna ma złote serce. Była miła nawet dla tego okropnego Lemonta Morgenstaffa... Tak pochwaliła jego ogród, że aż się zarumienił.

- Ilu pensjonariuszy pani przyjmuje? - zapytał Cole.

- Mam pięć pokoi, ale obecnie tylko dwa są zajęte. Mieszkają ze mną Grace i Jessika... no i mały Caleb, rzecz jasna.

Dzieciak właśnie przemknął obok nich i otworzywszy drzwi wybiegł na dwór, zanim Tilly zdążyła go złapać. Mały chłopczyk ubrany był w białą nocną koszulkę płaczącą mu się dokoła kostek i był na bosaka.

- Przypilnujcie, chłopcy, tego krasnala, a ja zaraz zawołam do was Jessikę. Potem zabiorę Caleba na górę... obiecałam mu dziś bajkę.

Właśnie odwracała się na pięcie, gdy następne pytanie Cole'a zatrzymało ją w pół kroku.

- Proszę pani... a gdzie jest ojciec chłopca?

- To dobre pytanie... i gdybym miała prawo o tym rozmawiać, powiedziałabym wam, gdzie on jest, moim zdaniem. Ale obiecałam Jessice, że będę trzymać buzię na kłódkę. Mogę wam tylko powiedzieć, że mama tego słodkiego malca zmarła wydając go na świat. Ale męża nie było wtedy przy niej - dodała.

- Więc Jessika Summers nie jest matką chłopca? - zapytał Daniel.

- Caleb uważa ją za matkę, bo zawsze się nim zajmowała... ale ona nie jest jego rodzoną mamą.

- Czy ojciec Caleba żyje? - spytał Cole.

- Szczerze mówiąc, nie wiem - odparła Tilly marszcząc brwi. - Mam nadzieję, że zapił się na śmierć w jakimś rowie. Ale nie powiem wam już nic więcej - zreflektowała się. - O szczegóły musicie zapytać Jessikę.

Tilly zniknęła w drzwiach wiodących na tyły domu, a Daniel i Cole zwrócili uwagę na malca.

Caleb stał przy frontowych drzwiach i uśmiechał się do nich szeroko. Nagle opadł na rączki i kolanka, i zaczął szybko raczkować w stronę ogrodu pokazując światu białą pieluchę.

- A ty dokąd idziesz? - zapytał Cole pochylając się biorąc małego na ręce. Ryan szybko złapał

ześlizgującą się pieluszkę i ponownie zawiązał troczki. Caleb natychmiast spuścił swą szmaciana

lalkę i sięgnął po odznakę Ryana.

- Wygląda na to, że znasz się na dzieciach - mruknął Cole, ignorując piski i pochrząkiwania małego, który koniecznie chciał wrócić na ziemię.

- Miałem nieco doświadczenia.

- Siostrzeńcy i siostrzenice?

- Nie. Córeczka. - Poklepał dziecko po plecach, po czym odszedł kilka kroków. - Mały pachnie jabłkami i mydłem. To przywołuje wspomnienia. - Oparł się o poręcz werandy zapatrzył

gdzieś w noc. - Jestem chyba już zmęczony - mruknął.

- Nigdy nie mówiłeś, że jesteś żonaty.

- Nigdy nie pytałeś.

W głosie Ryana pojawiła się jakaś ostra nutka, która jasno mówiła, że lepiej będzie, jeżeli Cole nie będzie zadawał żadnych pytań. Ale Cole był zbyt zaintrygowany, by dostrzec ostrzeżenie.

- Jak długo jesteś żonaty?

- W zeszłym miesiącu minęłoby siedem lat.

- Minęłoby?

Ryan skinął głową.

- Obie już nie żyją.

Cole zamrugał; w jego umyśle pojawiło się mnóstwo pytań.

- Jak powiedziałeś? Kiedy zacząłeś pracować nad tym dochodzeniem?

- Nie powiedziałem.

- No, dobra. Nie powiedziałeś. Kiedy?

- Zostałem przydzielony do tej roboty po jednym z napadów.

- Przestań chodzić opłotkami. Powiedz, po którym napadzie to było?

- Dillon - burknął Ryan. - Po napadzie na bank w Dillon.

- W twoim rodzinnym miasteczku?

- Tak.

Zapadła cisza, podczas której Cole usiłował przypomnieć sobie wszystko, co słyszał o napadzie w Dillon.

- Czy twoja żona i córka zachorowały? - zapytał wreszcie.

- Przestań zadawać tyle pytań, Cole!

- Jak to było? - nalegał.

Ryan potrząsnął głową.

- Nie, nie zachorowały. Po prostu znalazły się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie.

Cole westchnął.

- Do diabła... Daniel. To one wtedy zginęły, tak?

Jessika Summers stała przy stole w kuchni i wyglądała przez okno pogrążona w myślach.

Usiłowała sobie przypomnieć, jak to jest mieć dużo wolnego czasu dla siebie i żadnych obowiązków.

Nie pamiętała.

Dziś była już bardzo zmęczona i pewnie dlatego zmartwienia i troski wydawały się jej większe niż były w rzeczywistości, i tak ją przytłoczyły. W ciągu ostatnich dwóch lat jej życie tak bardzo się zmieniło... tyle się wydarzyło... a ostatnio bywały dni, że czuła się jak stara kobieta.

To był właśnie taki dzień. Nie użalała się nad sobą - miała zbyt wiele pracy, by marnować cenny czas na tak idiotyczne zabawy - i choć nie raz była zmęczona do granic wytrzymałości, nadal co dzień dziękowała Bogu za to, że dał jej małego Caleba i powierzył go jej opiece. I choć maluch wprowadzał sporo zamieszania, Jessika nie potrafiła już teraz wyobrazić sobie życia bez niego.

Zmusiwszy się do powrotu do rzeczywistości, wzięła mokrą szmatkę i zaczęła myć jeden z ukochanych porcelanowych talerzy Tilly. Woda chlapała jej na sukienkę. Spojrzawszy w dół, po raz pierwszy zauważyła, jak stary i sprany jest już materiał. I nie leżała już tak dobrze, jak kiedyś; stanik niewygodnie opinał piersi, lecz trzeba tylko trochę przesunąć guziki, a na pewno będzie pasować jak nowy. Sukienka była jeszcze w całkiem niezłym stanie, więc na pewno jej nie wyrzuci, co sugerowała Tilly. W ostatnich czasach Jessiki nie było stać na wyrzucanie jeszcze dobrych rzeczy, a poza tym sukienka miała ładny kolor: wiele lat noszenia i prania sprawiło, że ciemny lawendowy kolor spłówał

do przyjemnego, jaśniejszego odcienia. Tilly nie raz mówiła Jessice, że w tej sukience prezentuje się jak kucharka, lecz dziewczyna powtarzała sobie, że przynajmniej wygląda przyzwoicie.

Boże, jakże się zmieniły jej marzenia! Przypomniała sobie inną sukienkę, którą nabyła w czasie, gdy takie frywolne rzeczy naprawdę miały dla niej znaczenie. Pewnego dnia zauważyła na wystawie sklepowej piękną sukienkę - najwspanialszą kreację, jaką kiedykolwiek widziała - z białego brokatu, ozdobioną szeroką czerwoną atlasową szarfą. Jessika uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie, jak to przysięgła sobie zaoszczędzić tyle pieniędzy, by móc kupić tę suknię.

Teraz marzyła o innych rzeczach; już nie myślała o przyjęciach, balach ani adoratorach.

Wtedy była tylko głupiutką, bezmyślną małą dziewczynką, teraz jest dorosła i ma swoje obowiązki.

Obecnie jej jedynym, najgorętszym życzeniem było być jak najlepszą matką dla Caleba.

Tilly przywołała ją do rzeczywistości mówiąc, że dwaj szeryfowie federalni chcą z nią porozmawiać.

- Czekaają na ciebie na ganku - rzekła.

- Zaraz do nich pójde - obiecała dziewczyna, ale pięć minut później nadal stała przy stole w kuchni. Wiedziała, że to nieuprzejmie z jej strony, że każe na siebie czekać, ale była bardzo zdenerwowana i przestraszona, i nie potrafiła się zmusić do wyjścia przed dom. Odkładała nieuniknione, pomagając swej nowej znajomej, Grace Winthrop, wytrzeć naczynia i schować jedzenie do szafek.

Grace zupełnie nie potrafiła poruszać się w kuchni. Jessika dałaby sobie głowę uciąć, że dopóki Grace nie zamieszkała na stacji u Tilly, nigdy nawet nie była w kuchni; na szczęście braki w wiedzy nadrabiała dobrymi chęciami. Była zdecydowana nauczyć się przygotowywać przyzwoity posiłek i nie było pracy, której by się nie podjęła. Zaledwie wczoraj, zaraz po przyjsciu z miasta, zdjęła kapelusz, i rękawiczki, nałożyła jeden z fartuchów Tilly i na kolanach myła podłogę. Co prawda Jessika zrobiłaby to dwa razy szybciej, lecz gdy Grace już skończyła, podłoga była naprawdę czysta, a stare deski nieomal błyszcząły.

Dwie młode kobiety bardzo się zaprzyjaźniły.

- Boję się - wyznała Jessika szeptem. - Nie chcę z nimi rozmawiać.

- Ja też się boję - przyznała Grace. - Jak już porozmawiają z tobą, pewnie będą chcieli mnie przesłuchać. Może Tilly przekona ich, by wrócili tu jutro?

Jessika potrząsnęła głową.

- Wtedy martwiłabym się i denerwowałam całą noc. Chcę mieć to już za sobą. Inaczej nie będę mogła zasnąć.

- Czy przemyślałaś już moją propozycję? Pan Nelson chce jak najszybciej wiedzieć, czy kupię od niego ten wóz, czy nie. Obiecałam, że dam mu znać jutro rano. Pozwolił mi przyprowadzić go tutaj

- dodała.

- Wiem, widziałam go na polu, przed moimi oknami - powiedziała Jessika. - Taak, już się zdecydowałam. Jeżeli jesteś pewna, że ani ja, ani Caleb nie będziemy ci przeszkadzać, bardzo chętnie się z tobą zabierzemy.

Grace westchnęła cichutko.

- Jestem ci bardzo wdzięczna - rzekła. - Oczywiście, że nie będziecie mi przeszkadzać. Poza tym, nie wiem, czy sama poradziłabym sobie z końmi.

- Razem damy sobie jakoś z nimi radę - zapewniła ją Jessika.

Tilly wróciła do kuchni, by zobaczyć, co zatrzymuje dziewczynę i by nieco ją popędzić.

- Oni nie znikną, moja mała - zaczęła. - Równie dobrze możesz wyjść teraz i porozmawiać z nimi... a gdy będziesz odpowiadać na ich pytania, przyjrzyj się im dobrze. To doprawdy przystojni chłopcy... od dawna nie widziałam tak potężnych mężczyzn. Może i przerazisz się na ich widok, bo są okropnie zmęczeni, nie ogoleni i brudni, ale jeżeli spojrzysz w ich oczy, zobaczysz tam dobroć. Nie bój się...

obaj mają takie śliczne błękitne oczy!

Jessika zmusiła się do uśmiechu, by pokryć zdenerwowanie.

- Niby dlaczego miałabym się im przyglądać? - zapytała.

Zdesperowana Tilly podparła się pod boki i syknęła cichutko.

- Bo teraz masz tego małego aniołka pod opieką i naprawdę nic by nie zaszkodziło, gdyby pomagał ci silny mężczyzna.

Jessika złożyła mokrą szmatkę i odłożyła ją na blat stołu.

- Wiem, że chcesz jak najlepiej, Tilly, ale ja nie potrzebuję pomocy mężczyzny w wychowywaniu Caleba. Doskonale radzimy sobie sami.

- Bzdury - burknęła stara kobieta. - Wiem, że masz wielkie serce i nieulękiego ducha, lecz mężczyzna mógłby ci znacznie ułatwić życie. To wszystko. Gdybym miała czterdzieści lat mniej, sama bym się za którymś z nich zakreśliła... ale muszę przyznać, że nie byłby to łatwy wybór. Chodzi mi tylko o to, byś się im przypatrzyła, moje dziecko, ty także, Grace, bo dobry mężczyzna byłby odpowiedzią na modły twojej rodziny. Jessika, wyjmij tę wstążkę z włosów, jest przekrzywiona.

- Oczywiście - odparła dziewczyna wyciągając wstążkę i szybko przeczesując włosy palcami.

Chciała nie tyle spodobać się dwóm czekającym na nią mężczyznom, co ugłaskać Tilly.

- Masz takie śliczne włosy, Jessie. Powinnaś je pokazać światu... odrobina flirtu też by ci nie zaszkodziła. Założę się, że wiesz, jak to zrobić. W każdym razie mogłabyś spróbować. Wiem, że przyszli tu porozmawiać o naprawdę poważnej sprawie, ale przede wszystkim to mężczyźni... Grace, czekając, aż skończą przepytawać Jessikę, mogłabyś wyjąć spinki z włosów i wyszczotkować je porządnie. Mężczyźni lubią, gdy kobiety mają rozpuszczone włosy, a nie związane na czubku głowy niczym snopek siana.

Obie dziewczyny już dawno nauczyły się, że nie ma sensu sprzeczać się z Tilly, gdy ma napad dobrych chęci. Grace uśmiechała się do starszej pani, lecz Jessika widziała jej zaczerwienione policzki.

- Chyba już pójde - odezwała się z niechęcią.

- Masz rację. - Tilly skinęła głową. - Zabiorę małego na górę, gdy tylko go znajdę.

- Przecież nie czujesz się dziś zbyt dobrze, Tilly. Idź na górę i kładź się do łóżka, ja zajmę się Calebem. Zaparzę ci herbatę i przyniosę do pokoju - zaproponowała Grace. - A Caleb może zostać ze mną w kuchni. Przypilnuję go.

Jessika odetchnęła głęboko i powoli skinęła głową.

- Boże, dlaczego ja się aż tak denerwuję?

Grace pokiwała główką.

- Ja też czuje się tak, jakbym zrobiła coś złego, choć to absurdalne. Och, Boże, jakże żałuję, że w ogóle przyjechałam do tego miasta! Miałam takie wielkie nadzieje...

- Wiem - odrzekła cicho Jessika. - A syn pana Wellsa źle postąpił nie dotrzymując słowa, które dał ci jego ojciec. Obietnica to obietnica. Mężczyzna powinien dotrzymywać słowa, to kwestia honoru.

- Taak, ale młodszy pan Wells nie wie o tym - odparła gorzko Grace.

- Znajdziemy ci inne ranczo - pocieszyła ją przyjaciółka. - Najpierw obejrzymy tę posiadłość pod Denver, a jeżeli nie będzie ci odpowiadać, to słyszałam, że w Kalifornii jest mnóstwo doskonałej ziemi.

- Jest jeszcze tyle do zrobienia, a czas mi się kończy. Mam jeszcze tylko siedem miesięcy, by kupić ziemię i bydło... w przeciwnym razie będę musiała wrócić do domu i przyznać się do porażki.

Gdybym nie straciła tu tak wiele czasu, już dawno mogłabym być w Denver.

- A ja bardzo się cieszę, że przyjechałaś do Rockford Falls. Gdyby nie to, nigdy byśmy się nie spotkały... a zdaje mi się, że się zaprzyjaźniłyśmy. Przyjaźń też jest ważna na tym świecie.

Grace ujęła dłoń Jessiki.

- Masz rację.

- A teraz i ja, i Caleb pojedziemy z tobą do Kolorado... Może jeszcze wszystko się ułoży.

- Przestańcie rozczulać się nad sobą! Jessika, idź wreszcie na ganek!

Zniecierpliwienie Tilly sprawiło, że Jessika wyprostowała się i pospiesznie udała się do dwóch czekających na nią szeryfów. Czuli się tak, jakby to ona miała zostać postawiona przed sądem, co, oczywiście, było idiotyczne. Musi ich tylko przekonać, że nic nie widziała.

Kiedy sięgała do klamki, drżały jej ręce.

- Dobry wieczór, panowie. Przepraszam, że kazałam na siebie czekać.

Stała w drzwiach z uśmiechem na ustach, lecz jej dłoń na klamce była kurczowo zaciśnięta i wyglądało na to, że lada moment dziewczyna rzuci się do ucieczki. Doświadczenie nauczyło Ryana, że ludzie często obawiają się stróżów prawa, więc szybko postąpił krok do przodu i spróbował ją uspokoić.

- To nie powinno zająć nam dużo czasu - wyjaśnił.

Jessika wodziła oczami od jednego szeryfa do drugiego; żaden z nich się nie uśmiechał. Szeryf Ryan wyglądał na przejętego, lecz szeryf Clayborne opierał się o słup ganku z wyraźnie znudzoną miną. Dobry Boże, Tilly miała rację! Obaj byli niesamowicie ogromni i przystojni!

- To tylko rutynowe przesłuchanie - dodał Cole.

- Rozumiem. - Dziewczyna skinęła głową.

Cole uśmiechnął się do niej łagodnie.

- Byłoby nam miło, gdyby wyszła pani do nas na ganek, zamiast stać w drzwiach.

Jessika odetchnęła głęboko i powiedziawszy sobie, że musi być dzielna i przestać się trząść, podeszła do dwóch mężczyzn. Usiadłszy na bujanym fotelu, złożyła dłonie na podołku, zacisnęła kolana i kostki nóg, by powstrzymać ich drżenie. Zaczekała, aż któryś z nich zada jej pierwsze pytanie.

- Chyba powinniśmy się najpierw przedstawić - zaczął Ryan przyciągając sobie krzesło, by usiąść naprzeciw niej.

- To nie jest konieczne. Wiem, kim jesteście. Pan jest szeryfem Danielem Ryanem, a tamten pan to szeryf Cole Clayborne. Poznaliśmy się w więzieniu.

Ryan usiadł okrakiem na swoim krześle, Cole stanął kilka kroków za nim. Dziewczyna musiała zadrzeć głowę, by spojrzeć mu w oczy.

- Nie wygląda pan na stróża prawa - wypaliła nagle. Potem odwróciła się do Ryana. - Pan też nie.

- A jak wyglądamy? - zapytał Daniel.

- Jak bandyci.

- My wyglądamy jak bandyci? - Cole wybuchnął śmiechem. Ich uśmiechy nieco pomogły i Jessika zaczęła się odprężyć; co prawda wolałaby, żeby Cole usiadł, gdyż stojąc nad nią wyprowadzał

ją z równowagi... tym bardziej, że jego ubranie było zmięte, a na twarzy miał cień dwudniowego zarostu. Ryan wyglądał na równie zmordowanego. Wiedziała, że szeryfowie mają obowiązek chronić niewinnych obywateli i teraz musiała ich tylko przekonać, że należy do tej grupy.

- Nie zrobiłam nic złego... - zaczęła, na co Daniel natychmiast skinął głową.

- Wiemy o tym. Ludzie często obawiają się stróżów prawa, choć naprawdę nie rozumiem dlaczego.

- A ja rozumiem - odpowiedziała. - W waszej gestii leży zamknięcie mnie w więzieniu.

- Ale nie możemy zrobić tego bez powodu - odparł.

Jessika uniosła brwi.

- Doprawdy? Dziś po południu zostałam zamknięta w więzieniu bez najmniejszego powodu.
- Nie wiedzieliśmy, że szeryf Sloan posunie się aż tak daleko - wtrącił Cole.
- Był przekonany, że jedna z nas kłamie, ale to chyba jeszcze nie powód, by zamykać nas w celi, prawda? - Zauważyła, że Ryan wyjął z kieszeni notatnik i ołówek.
- Wiemy już, że była pani w banku w dniu napadu - zaczął.
- Taak... Caleb był wtedy ze mną.
- Czy pamięta pani. o której to było godzinie?

Wygładziła spódnicę na kolanach i odpowiedziała patrząc na swoje złożone ręce.

- Pamiętam. To było około drugiej po południu. Z dokładnością do dziesięciu minut. Weszłam do środka i stanęłam w kolejce, lecz nie zwróciłam uwagi, kto tam jeszcze był. Po prostu...
- Miała pani co innego na głowie? - podsunął jej Cole.
- Taak, dokładnie tak.
- Nie zauważyła pani, kto stał przed panią w kolejce? - zapytał Ryan z nutką sceptycyzmu w głosie.
- Byłam bardzo zajęta pilnowaniem Caleba... on czasem bywa wyjątkowo uciążliwy.

Fascynowała go furka oddzielająca część dla pracowników od tej dla klientów... Chciał się na niej huścić. Pan MacCorkle się zdenerwował i nakrzyczał na niego. Zrobił bardzo nieprzyjemną scenę.

Miałam ręce pełne roboty i po prostu nie zwracałam uwagi na ludzi w banku.

Cały czas zerknęła na Cole'a, żeby przekonać się, jak przyjmuje jej tłumaczenia; na pewno wyczuł jej zdenerwowanie. Boże, dlaczego mówi tak szybko? Zwolnij nieco, powiedziała sobie, zwolnij i uspokój się, bo zaraz obaj zrozumieją, że coś ukrywasz.

Ale Cole wcale nie wyglądał, jakby ją o coś podejrzewał; na pierwszy rzut oka zdawało się, że rutynowe przesłuchanie śmiertelnie go nudzi.

- Przykro mi, że nie potrafię panom powiedzieć nic więcej - rzekła odwracając się do Ryana.
- Czy dzieci nie śpią po południu? - zapytał nagle Cole. - Moja młodsza siostrzyczka przez wiele lat spała popołudniami.
- Taak, Caleb też zazwyczaj idzie spać zaraz po lunchu, ale ostatnio wszystko mu się poprzestawiało.

Ja miałam grypę, a ponieważ śpi w mojej sypialni, ciągle go budziłam. Dziś obudził

się koło południa i dlatego jeszcze biega po domu. - Wiedziała, że papie jak najęta, dając im zbyt wiele bezużytecznych i nudnych informacji.

- Czy szeryf Sloan pokazał pani torebkę, którą znaleźliśmy

w banku?

- Tak - odparła. - Powiedział, że wyciągnął ją spod jednego z biurk... ale nie należy do mnie -

dodała z naciskiem. - Ja nigdy nie noszę torebek.

Ryan zamknął notatnik i wsadził go z powrotem do kieszeni wraz z ołówkiem. Jessika zauważyła, że nie zapisał w nim ani jednego słowa.

- Czy jest pani pewna, że była w banku około drugiej? - spytał Ryan.

- Proszę się zastanowić - dodał Cole.

- Tak, jestem pewna - odpowiedziała i zobaczyła, że dwaj szeryfowie wymieniają spojrzenia.

Ryan potarł się po karku.

- Czy planuje pani w najbliższym czasie wyjechać z Rockford Falls? - zapytał.

- Tak, najszybciej, jak to tylko możliwe... W rzeczy samej zamierzamy wyjechać wraz z Calebem jutro rano. Będzie mi brakowało Tilly, ale mam serdecznie dość tego miasteczka. Odkąd zaczęły się te plotki o świadku napadu, strasznie się boję, że ci mordercy tu wrócą. Jeżeli uwierzą, że któraś z nas ich widziała, zabiją nas, tak jak świadków ich poprzedniego napadu.

- Taak, wiemy - burknął Cole.

- Dokąd pani jedzie? - zapytał Daniel.

- Do Kolorado - odpowiedziała.

Nawet jeżeli chciała coś dodać, nie miała już okazji, gdyż na werandzie pojawił się mały Caleb; dziecko zauważyło lalkę leżącą na podłodze i podniosło ją za szmacianą nóżkę. Potem podeszło do Cole'a i oparłszy się o jego nogę, zadarło główkę do góry i zaczęło przypatrywać mu się z uśmiechem.

Jessiki wcale nie zdziwiło zachowanie malucha. Caleb zawsze był na początku nieśmiały wobec obcych, lecz szybko mu to przechodziło. Pomyślała, że dziecko lubi mężczyzn; może fascynował go ich wzrost lub dźwięk głosu?

- Już pora iść spać, Caleb - odezwała się łagodnie.

Mały potrząsnął głową i wyciągnawszy kciuka z buzi, wznosił rączki do góry i popatrzył

blagalnie na Cole'a. Gdy ten wziął go na ręce, Caleb wypuścił szmacianą lalkę i objąwszy go za szyję, przytulił policzek do twarzy mężczyzny.

- Coś mi się zdaje, że malec nie ma jeszcze ochoty iść do łóżka - zauważył Cole.

Dziewczyna stała blisko Cole'a i usiłowała oderwać rączki dziecka od jego szyi, ale niezbyt zwracała uwagę na to, co robi. Tilly miała rację; szeryf Clayborne miał doprawdy piękne oczy.

Szkoda, że starsza pani narobiła takiego szumu dokoła aparycji przedstawicieli prawa, bo teraz Jessica myślała tylko o tym, jak świetnie się razem prezentowali. Przecież gdyby Tilly nie zwróciła na to uwagi, sama nigdy by nie zauważyła ich urody!

Nie szukała męża. Ta myśl pomogła jej się opanować i zająć bieżącym problemem.

- Caleb zawsze zasypia, gdy tylko położę go do łóżeczka i opatulę. Wystarczy, że poczuje poduszkę pod głową i tę szmacianą lalkę u boku - wyjaśniła. - Niestety przechodzi właśnie koszmarny okres, kiedy odmawia wszystkiego, a jego ukochanym słowem jest „nie”. Ale poza tym jest naprawdę grzecznym chłopcem. Prawda, Calebie?

Dziecko skinęło główką, nadal przytulone do policzka Cole'a. Szeryf patrzył na Jessikę z rozbawieniem w oczach. Zastanawiała się, czy on wie, jaki ma na nią wpływ. Czy naprawdę kiedykolwiek myślała, że Cole Clayborne jest groźny? Jego dłonie były co prawda ogromne, lecz jakże delikatnie obejmowały ciało dziecka, jak miękko i pieśczośliwie gładziły plecki malucha.

Caleb potarł oczki piąstkami i z rozanieloną miną wtulił się w zagłębienie między szczęką a szyją szeryfa.

- Nieźle pan sobie radzi z dziećmi - zauważyła Jessica.

- Pani Summers? Może poprosi pani Grace Winthrop, by przyszła tu do nas na werandę? -

Dziewczyna omal nie podskoczyła na dźwięk głosu Daniela Ryana.

- Tak, oczywiście - wyjąkała.

- Pani Summers? - zapytał Cole. - Czy może panna Summers?

- Po prostu Jessica - odpowiedziała obracając się na pięcie. - A Grace jest w kuchni... może wejdziecie do domu i porozmawiamy przy kuchennym stole?

- Doskonale - rzekł Daniel. Postąpił o krok i otworzył przed nią drzwi, a za nimi wszedł do domu Cole z Calebem na rękach. Kiedy doszli do stóp schodów, przekazał śpiące dziecko Jessice.

- Kuchnia jest za tymi drzwiami przy końcu korytarza - powiedziała.

Daniel poszedł szybko w kierunku wskazanych drzwi, podczas gdy Cole cały czas stał przy schodach i obserwował wchodzącą na piętro dziewczynę. Podobały mu się jej ruchy, kobiece, pociągające i seksowne. Podobał mu się także jej niski, dźwięczny głos.

Powiedział sobie, że nie ma nic złego w tym, że podziwia piękną kobietę. Przecież to wcale nie znaczyło, że od razu chce się z nią wiązać. Teraz był stróżem prawa, co oznaczało, że nie powinien romansować z potencjalnym świadkiem. To nie byłoby w porządku. Poza tym, Jessika Summers jest przyzwoitą dziewczyną, niewinną i dobrą, a on już dawno temu się nauczył, że z takimi lepiej się nie zadawać. Mają inne oczekiwania niż on - wolny ptak. Jessika na pewno od razu myślałaby o małżeństwie, a on nie. I już. To było w sumie bardzo proste.

- Cole, idziesz?

Skinąwszy głową, dołączył do Daniela stojącego w drzwiach kuchni.

- O co tu chodziło? - zapytał Ryan kiwając głową w kierunku

schodów.

Cole doskonale wiedział, o co chodzi, ale tylko wzruszył ramionami.

- O nic.

Grace Winthrop stała przy kuchennym piecu; odwróciła się, gdy tylko weszli do kuchni.

Daniel zatrzymał się jak wryty, po czym mimowolnie cofnął się o krok wpadając na Cole'a. Szybko się opanował.

- Jessika powiedziała, że możemy wejść i...

- O, tak... bardzo proszę - odpowiedziała pośpiesznie.

- Właśnie parzę herbatę. Napiją się panowie ze mną?

- Tak, bardzo chętnie - rzekł Daniel wyciągając krzesło spod stołu; Cole usiadł naprzeciw niego, twarzą zwrócony do drzwi.

- Jedli już panowie kolację? - zapytała dziewczyna.

- Nie, proszę pani - odpowiedział Cole.

- Nie jesteśmy głodni - odezwał się Daniel w tej samej chwili.

- A właśnie, że jesteśmy - zaprzeczył Cole.

Grace podeszła do szafek i wróciła z talerzem krojonej szynki; postawiła go na stole obok koszyka ze świeżo upieczonym pieczywem i faski masła. Po chwili przyniosła talerzyki i sztuce.

Cole nałożył sobie szczodrze, ale Daniel nie tknął jedzenia. Całą uwagę skupił na Grace, która nerwowo wycierała ręce w fartuch. Nie potrafiła, czy może nie chciała spojrzeć mu w oczy. Filiżanki zagrzechotały o spodeczek, gdy stawiała je na stole. Do każdego naczynka naląła czarnego, gęstego płynu, który bardziej przypominał pastę do butów niż herbatę.

- Cukru? Śmietanki? - zapytała.

Cole przyglądał się podejrzliwie zawartości swojej filiżanki, lecz oczy Daniela nadal były utkwione w dziewczynie.

- Czy to jest herbata? - zapytał Cole.

- Tak - odrzekła Grace pośpiesznie. - Czy coś jest nie tak?

- Ależ nie! Skąd! - Pociągnął spory łyk, lecz przełknąwszy płyn, nie potrafił ukryć reakcji; herbata smakowała jak gorzki wywar z kory. - Potrzeba tylko trochę cukru - skłamał z uśmiechem.

- Zbyt długo ją gotowałam, tak? - zapytała. - To o to chodzi. Powinnam była bardziej uważać.

Zaraz zrobię świeżą...

- Wołałbym szklanę wody, jeżeli nie sprawi to pani kłopotu - odparł Cole.

Daniel z wysiłkiem powstrzymywał uśmiech; nie chciał zawstydzić dziewczyny bardziej, bo widział, że i tak jest już skonsternowana: widziała grymas Cole'a i była czerwona jak burak.

- Zdaje mi się, że nie powinno się gotować liści herbaty - odezwał się łagodnie.

Grace odgarnęła ciemne włosy z ramion i odrzuciła na plecy.

- Gotowanie jest o wiele trudniejsze niż się na pierwszy rzut oka zdaje - zauważyła.

- A kto zajmował się gotowaniem w pani domu? - spytał Cole.

Dziewczyna zrobiła zdziwioną minę.

- Ależ kucharka, rzecz jasna - odparła. - I jej pomocnicy. Czasem pomagały też pokojówki... w każdym razie tak mi się zdaje. Ma pan ochotę na ogórki kiszone, szeryfie Clayborne? Są wcale niezłe.

- Bardzo chętnie - odpowiedział. - Proszę mówić do nas po imieniu; ja jestem Cole, a on jest Daniel, i niech tak zostanie.

- W takim razie nalegam, byście i mnie mówili po imieniu. Jestem Grace.

Zaczęła kroić ogórki trzymając je w dłoni i ciągnąc ostry, duży kuchenny nóż w kierunku odsłoniętych nadgarstków. Widząc to, Daniel wpadł w przerażenie; schwycił ją za rękę i potrząsnął

nimi mocno.

- Kroić się zawsze w kierunku od siebie - rzekł z naciskiem. - O, tak. - Pokazał jej jak kroić ogórka trzymając nóż skierowany ku talerzykowi na stole. - Tak jest o wiele bezpieczniej.

Kiedy nie wypuścił jej dłoni ze swoim ogromnych łap, Grace spuściła wzrok i jeszcze bardziej się zaczerwieniła.

- Dziękuję, Danielu. Następnym razem zrobię tak, jak mówisz.

Dopiero teraz zauważył ogromną liczbę zacięć i zadrapań na jej delikatnych dłoniach.

- Nie jesteś przyzwyczajona do pracy w kuchni, co? - spytał puszczając jej rękę i odchylając się na krześle.

- Ano nie, ale szybko się uczę.

Znowu nachyliła się nad ogórkami; marszcząc brwi i przygryzając dolną wargę, ze skupieniem, ostrożnie pokroiła kilka ogórków na drobnutki paseczki, poukładała je na talerzyku i postawiła przed mężczyznami. Potem, z triumfalnym uśmiechem, opłukała ręce i wytarła w fartuch.

Ryan nie potrafił oderwać od niej wzroku. Jej delikatna, kobieca uroda zafascynowała go; najbardziej podobało mu się to, że choć była w tej topornej kuchni zupełnie nie na miejscu i nie potrafiła dać sobie rady z podstawowymi obowiązkami, wcale jej to nie irytowało ani nie peszyło.

Zmusił się do zajęcia bieżącą sprawą. Wyciągnąwszy z kieszeni notes, położył go na stole i sięgnął po ołówek.

- Może zaczniemy - zaproponował.

- Ależ, oczywiście. - Skinęła głową.

- O której godzinie byłaś w banku w dniu napadu?

Grace patrzyła na stary obrus na stole.

- Około drugiej po południu.

Cole właśnie miał nadgryźć swą kanapkę, lecz słysząc odpowiedź dziewczyny, zamarł z jedzeniem w pół drogi do ust. Odłożył kanapkę na talerz i rzucił Danielowi krótkie, uważne spojrzenie, jakby ciekaw był jego reakcji.

- Jesteś pewna? - spytał Daniel, lecz w jego głosie słychać

było tylko uprzejme zainteresowanie.

- Tak, oczywiście. Stojąc w kolejce spojrzałam na zegar

wiszący na ścianie... Tam wisi taki ogromny, staroświecki zegar.

- Czy zauważyłaś, kto, oprócz ciebie, stał jeszcze w kolejce do okienka?- zapytał Cole.

Grace zastanawiała się dość długo, po czym potrząsnęła głową.

- Nie. Przykro mi, ale nie pamiętam nikogo... Miałam sporo na głowie i nie zwracałam uwagi na ludzi dokoła.

Co tu się dzieje, u Boga Ojca? Cole właśnie miał zamiar zadać to pytanie Grace, gdy zobaczył, że Daniel kręci głową. Najwyraźniej nie chciał uświadamiać Grace, że jej odpowiedź była identyczna z odpowiedziami Jessiki i Rebeki - wszystkie trzy powtórzyły to samo, nieomal słowo w słowo.

Czyżby w czasie wspólnego pobytu w celi ustaliły własną wersję wydarzeń i twardo się jej trzymały?

A jeżeli tak, to dlaczego?

Daniel zamknął notes i schował ołówek do kieszeni.

- Czy będąc w banku zauważyłaś coś niezwykłego?

- Nie - odpowiedziała Grace pewnym głosem.

- Stałaś w kolejce i...

- Taak... zaczekałam na moją kolejkę... ale nie rozglądałam się dokoła. Myślałam o wszystkich rzeczach, które miałam do załatwienia... a nie było tego mało.

Daniel czuł jak ogarnia go złość, lecz bardzo się pilnował, by tego nie okazać.

- A ta torebka, którą pokazał wam szeryf Sloan? Oczywiście nie należy do ciebie?

- Nie, oczywiście, że nie. Ja nigdy nie noszę torebek. Wszystkie moje suknie mają kieszenie...

to o wiele wygodniejsze.

- Ta, którą masz na sobie, nie ma kieszeni - zauważył Cole.

- Że co, przepraszam?

Była najwyraźniej zaskoczona jego spostrzegawczością i starała się wymyślić sensowne wyjaśnienie.

- Ta sukienka, którą masz teraz na sobie, nie ma ani jednej kieszeni - powtórzył spokojnie Cole.

- Ano nie - przytaknęła. - Ale ta, którą miałam na sobie idąc do banku, miała kieszenie. Dwie kieszenie. Może napijecie się jeszcze trochę herbaty?

Cole spojrział na swą nadal pełną filiżankę i zastanowił się, gdzie ona chce wlać te „jeszcze trochę”? Potrząsnął głową, lecz Grace jakby tego nie zauważyła. Wstała od stołu, podeszła do pieca, wzięła stamtąd dzbanek herbaty i wróciwszy postawiła go tuż obok Cole'a. Na widok Jessiki wchodzącej do kuchni na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi.

Zaskoczona, że dwaj szeryfowie nadal siedzą przy stole, dziewczyna zatrzymała się na progu.

- Och, przepraszam. Nie chciałam przeszkadzać. Myślałam, że już skończyliście i chciałam pomóc Grace ze zmywaniem naczyń. Wrócę później - dodała odwracając się, by wyjść.

- Proszę zostać z nami - odezwał się Daniel, a Grace kiwnęła głową z paniką w oczach. Jessika wpatrywała się w Cole'a; miał ponurą minę i wyglądał na zagniewanego.

Pomyślała, że to dlatego, że im przerwała.

- Nie, nie, dziękuję. Wrócę do siebie, na górę.

- Ależ bardzo prosimy - nalegał Cole; wstał i wysunął krzesło spod stołu. Daniel wstał także i

poprosił Grace, by usiadła. Dwie kobiety wymieniły dziwne spojrzenia, po czym dostosowały się do życzeń panów.

Cole przejął pałeczkę.

- Grace, zamierzasz może wyjechać jutro z Rockford Falls?

- Tak, to prawda - odpowiedziała. Złożyła ręce na stole przed sobą i usiłowała zrobić pewną siebie minę. - Skąd wiedzieliście, że wyjeżdżam.

- Po prostu miałem przeczucie - rzekł sucho. - Dokąd jedziesz?

- Do Kolorado.

- Jessika powiedziała nam niedawno, że także się tam udaje - wtrącił Daniel.

- Bo to prawda - powiedziała Grace. - Zamierzamy podróżować razem.

- Czy do Rockford Falls także przyjechałyście razem? - spytał Cole.

Grace obdarzyła go czarującym uśmiechem.

- Ależ skąd! Kilka miesięcy temu przyplłynęłam do Ameryki z Anglii, z Londynu. Zanim tu przybyłam, zwiedziłam Kentucky, Missouri i Kansas. Szukałam ziemi - dodała po chwili.

- Ziemi? - powtórzył Cole.

- Miałam nadzieję kupić sporo ziemi i zacząć hodować bydło... założyć ranczo - wyjaśniła. -

Szukam dobrej ziemi na pastwiska...

- A potem kupi stado bydła - wtrąciła się do rozmowy Jessika.

- Taak, potem kupię bydło. - Grace skinęła głową; w jej oczach zapaliło się światło.

- Ale potem okazało się, że rodzina pana Wellsa nie chce sprzedać ziemi - rzekła Jessika.

- Kim jest ten pan Wells? - zapytał Cole.

- To dżentelmen, z którym korespondowałam z Londynu - wyjaśniła Grace. - Przyjaciel powiedział mi o nim... Pan Wells miał mnóstwo dobrej ziemi, dokładnie takiej, o jaką mi chodziło, i chciał ją sprzedać.

- Ale okazało się, że nic z tego? - spytał Cole.

- Och, ziemia była wspaniała - odrzekła Grace. - Ogromna połać ziemi, ciągnące się w nieskończoność akry żyznych, zielonych pastwisk... dokładnie tak, jak mi pisał. Zawarłam z nim umowę z Londynu, nawet nie widząc ziemi, ale kiedy przyjechałam do Kentucky, by podpisać

oficjalne dokumenty, okazało się, że biedny pan Wells właśnie umarł, a jego syn nie ma zamiaru honorować naszej umowy.

- Grace zobaczyła w „Gazecie codziennej Rockford Falls” ogłoszenie o ziemi wystawionej na sprzedaż nieopodal Denver, więc jedziemy tam by ją obejrzeć.

- A czy macie choćby najmniejsze pojęcie o hodowli bydła? - zapytał Daniel.

Cole usiłował zachować kamienną twarz, lecz Grace i tak zauważyła jego zdumienie.

- Moja pani, prowadzenie rancza to katorżnicza praca - rzekł siląc się na dyplomację.

Daniel nie miał jego oporów.

- Czyś ty oszalała, kobieto? Przecież nie możesz sama prowadzić rancza!

Grace zeszywniała.

- Nie, nie zwariowałam i zapewniam cię, że osiągnę swój cel. Może i nie mam doświadczenia, ale mam mnóstwo dobrej woli i determinacji.

Daniel był zbyt zdziwiony, by z nią polemizować, natomiast Cole potrząsnął głową.

- Jak to możliwe, że wyjeżdżacie jutro? - zapytał. - Przecież dyliżans przejeżdża przez miasteczko dopiero pojutrze?

- Nie jedziemy dyliżansem - wyjaśniła Jessika.

- Pojedziemy własnym wozem - dodała Grace. - Stoi na polu, zaraz za domem. Na pewno go zauważyliście.

- Powinnyśmy jeszcze dziś załadować na niego walizki - dodała Jessika, a Grace skinęła głową.

- To zaoszczędzi nam czasu rano i będziemy mogli wcześniej wyruszyć. Doskonały pomysł.

- A kto będzie powoził końmi? - Chciał wiedzieć Cole.

- My, oczywiście - odpowiedziała Grace. Wyraz jej twarzy jasno wskazywał, że zupełnie nie rozumie, dlaczego Cole zadaje jej tak dziwne pytanie.

Cole przyglądał się dłoniom Jessiki; potem sięgnął przez stół i ujął je w swoje ręce.

- Masz miękkie dłonie.

Brzmiało to jak oskarżenie, więc pospiesznie wyrwała mu się i popatrzyła na niego z wyrzutem.

- Nałożę rękawiczki.

- Czy kiedykolwiek powoziłaś szóstką koni? - zapytał Daniel. - Albo przynajmniej czwórka?

- No... nie zupełnie - przyznała cicho.

Zaskoczony ich szalonymi planami Daniel odwrócił się do Cole'a, mając nadzieję, że on wytłumaczy tym dwóm niewiastom, jak karkołomną przyszłość mają przed sobą, jeśli uprą się przy tej nedorzecznej podróży.

Cole był równie zdumiony, lecz przynajmniej usiłował zachowywać się dyplomatycznie.

- Jeżeli dobrze zrozumiałem... zamierzacie przejechać same... tylko z małym dzieckiem...

przez najniebezpieczniejsze tereny tego stanu. Czy tak? - Obie dziewczyny zgodnie kiwnęły głowami, na co Cole stracił resztki cierpliwości. - Czyście oszalały?!

Ponieważ patrzył Jessice prosto w oczy, założyła, że to ona powinna odpowiedzieć na to niezbyt grzeczne pytanie.

- Nie, nie oszalałyśmy. Wszystko przemyślałyśmy bardzo dokładnie i zapewniam cię, że doskonale wiemy, co robimy.

Grace potaknęła szybko.

- Oczywiście, że wiemy, co robimy. - Odwróciła się do Daniela. - I nie będziemy podróżować same. Zamierzamy dołączyć do innych wozów...

- I dlatego musimy być w Gramby najpóźniej w poniedziałek - dodała Jessika.

Daniel z natężeniem przyglądał się Grace; miała ogromną ochotę powiedzieć mu, by przestał.

Nie tylko było to wyjątkowo nieuprzejme z jego strony, ale też bardzo ją dekoncentrowało. Miała wrażenie, że on potrafi odczytać jej myśli. Nie bądź gąską, powiedziała sobie, toż to absurd. Nikt nie potrafi zajrzeć do głowy innego człowieka.

- Dlaczego zadajecie nam tyle osobistych pytań? Przecież one nie mają żadnego związku z waszym dochodzeniem?

- Nie zrobiłyśmy nic złego - dodała Jessika.

- Czy już skończyliście z pytaniami dotyczącymi banku? - zapytała Grace. - Jeżeli tak, to wybaczenie nam, ale mamy jeszcze mnóstwo roboty.

Wściekłość Daniela była widoczna na jego twarzy; słyhać ją było także w jego głosie.

- Jeżeli któraś z was wie coś o tym napadzie i nic nam nie mówi, to się nazywa „zatajenie” i jest naruszeniem prawa. Za to można iść do więzienia, drogie panie.

- Czyżby chciał pan nas zastraszyć, szeryfie Ryan? - zapytała buntowniczo Jessika.

Obaj panowie zignorowali jej pytanie, a Daniel odwrócił się

do Grace.

- Mam do ciebie tylko jeszcze jedno pytanie. Czy gdy byłeś w banku, spotkałeś tam może Jessikę?

Grace spojrzała na przyjaciółkę.

- Taak, minęłam się z nią wychodząc z banku. Ona właśnie wchodziła.

- A co z Rebeką? - zapytał Cole. - Czy z nią też się spotkałeś?

W powietrzu aż się zarzyło od ich wściekłości; Grace dopiero teraz rozumiała, że napięcie cały czas wisiało w powietrzu... coś, co powiedziała, musiało ich tak zdenerwować. Schyliła głowę i odpowiedziała tak cichutko, że ledwie było ją słychać.

- Rebeka właśnie wychodziła z banku, gdy ja tam wchodziłam.

Jessika także wyczuwała napięcie panujące w kuchni, lecz była przekonana, że to coś, co ona powiedziała, wywołało taką akcję u stróżów prawa. Była wycieńczona pilnowaniem się na każdym kroku i uważaniem na to, co mówi. Postanowiła, że najlepiej będzie, jeżeli wyprowadzi obu panów najszybciej, jak to możliwe. Odsunęła krzesło, wstała od stołu i podeszła do drzwi. Zaraz potem polecenie Daniela zatrzymało ją w pół kroku.

- Żadna z was nie wyjedzie jutro z miasta.

Obróciła się na pięcie i... wpadła na Cole'a. Nie przeprosiła go za to, ani się nie cofnęła.

- A to niby dlaczego? - zapytała.

- Przecież oni nie mogą nas do tego zmusić, prawda? - spytała Grace. - Nie znam zbyt dobrze prawa tego kraju, lecz wiem, że zatrzymywanie kogoś wbrew jego woli jest naruszeniem jego praw...

- Masz rację - odrzekła Jessika. - Cole, nie możecie...

Ale on jej przerwał.

- Oczywiście, że możemy. Urzędujemy w biurze, w tym samym budynku, gdzie znajduje się więzienie. Wiecie, gdzie to jest, prawda? Spotkamy się tam jutro, punktualnie o ósmej rano. Rebeka też tam będzie.

Jessika i Grace patrzyły na nich ze zdumieniem. Potulnie

poszły za mężczyznami do frontowych drzwi domu.

- Tak nie można - szepnęła Grace.

Daniel to usłyszał i odwrócił się do niej.

- Ano nie można. Ale wszystko się jutro wyjaśni.

- Nie wiem, w co wy się z nami bawicie, ale to już koniec zabawy. Zrozumiano? - warknął

Cole patrząc Jessice prosto w oczy.

Nie czekając na odpowiedź, wyszli na dwór, a dziewczyna zamknęła za nimi drzwi i zaryglowała je szybko. Potem odwróciła się i oparła o nie ciężko.

W oczach Grace kręciły się łzy.

- Och, Boże... oni wiedzą.

Niezwykłe zakończenie wypadków tego dnia oszołomiło Daniela i Cole'a, oraz nieźle ich zirykowało.

- Wszystkie trzy dokładnie się przygotowały na spotkanie z nami. Umówiły się, co będą mówić, kiedy siedziały razem w celi Sloana - warknął Cole, gdy wracali do hotelu.

- Do diabła, sam o tym wiem. Powiedz mi tylko, dlaczego?

- Bo się boją. To jedyne, co mi przychodzi do głowy.

- Taak, wszystkie trzy były mocno zdenerwowane. Rebecce najlepiej udało się to przed nami ukryć, ale widziałem strach w jej oczach.

- I jej dłonie - dodał Cole. - Ciągłe je zaciskała.

- Taak - mruknął Daniel. Sięgnął do karku i roztarł sobie bolący mięsień.

- Ależ się pomyliłem - rzekł Cole. - Myślałem, że rozmowa z Jessika i Grace będzie stratą czasu, a tu coś takiego! W co one się z nami bawią, u wszystkich czortów?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Daniel zmęczonym głosem. - Ja też byłem pewien, że tylko stracimy czas... Po prostu trzymałem się regulaminu mając nadzieję, że może jedna z nich zauważyła coś niezwykłego. Ale się nam pokomplikowało, co?

- Ano tak. - Cole skinął głową. - Poza tym, ich zachowanie nie ma najmniejszego sensu.

Przecież wiedzą chyba, że były widziane w banku wcześniej tego dnia? Wszystkie trzy stały w kolejce z mężczyznami, którzy je na pewno widzieli. Dlaczego zadały sobie tyle trudu i wymyśliły własną historijkę?

- Nie mam pojęcia. Ciekaw jestem tylko, która z nich kłamie?

- Może wszystkie trzy... Najwyraźniej zadają sobie spory trud, żeby którąś spośród siebie ochronić.

- Albo...

- Albo co?

- Może chronią kogoś czwartego? Kogoś, o kim jeszcze nie wiemy?

- Jak dowiemy się prawdy?

- One ją nam powiedzą - odrzekł Daniel. - Jutro, w ten, czy inny sposób, wyciągniemy z Grace, Rebeki i Jessiki,

wszystko, co wiedzą.

- A jeżeli się nam nie uda?

- Nikt mi nie przeszkodzi. Ani mężczyzna, ani kobieta. - Głos Daniela drżał z gniewu. - Jeżeli będę musiał je zamknąć w areszcie, by wydobyć z nich informacje, to, na Boga, zrobię to.

- Nie rób niczego pochopnie. - Zauważywszy ironię własnych słów, Cole roześmiał się cicho.

- Ależ mnie ta odznaka zmienia. Zazwyczaj to ja wyciągam zbyt pochopne wnioski i działam żywiołowo, a teraz udzielam ci rad! Wiem, jak bardzo chcesz dostać tych drani. Do diabła, na twoim miejscu czułbym to samo... ale nie możesz łamać prawa, by to osiągnąć.

Daniel miał na ten temat inne zdanie.

- Zamierzam ich dopaść i zrobię to. Nie obchodzi mnie czy złamię prawo, czy nie. Pomożesz mi?

- Przecież już ci powiedziałem, że tak.

Doszli do hotelu. Po wejściu na górę każdy otworzył drzwi do swego pokoju. Cole podszedł

do okna i otworzył je na oścież, by pozbyć się stęchłego zapachu myszy, potem zdjął ubranie, umył się i położył do łóżka. Z rękami założonymi za głowę rozmyślał o tym, co powiedziały mu trzy kobiety.

Jedna myśl zrodziła następną, i zanim się obejrzał, już myślał o Jessice Summers. Niech to szlag trafi, cóż to za pociągająca kobieta!

Zasnął modląc się w duchu, by nie okazało się, że to ona ukrywała się pod biurkiem w dniu napadu.

Daniel nie od razu zasnął. Dobrą godzinę krążył po swoim maleńkim pokoiku, niczym dzikie zwierzę zamknięte w klatce. Usiłował skupić się na śledztwie, lecz cały czas widział przed oczyma postać Grace Winthrop.

Był zaskoczony swoją reakcją i, szczerze mówiąc, zupełnie nie wiedział, jak sobie z nią poradzić. Aż do dzisiejszego dnia nawet nie zapatrzył się dłużej na żadną kobietę... do żadnej nie poczuł pociągu fizycznego. Natomiast Grace opętała go i czuł się tak, jakby zdradzał pamięć żony.

Zupełnie nie rozumiał, co go w niej tak urzekło; jasne, była wcale ładna i miała najśliczniejszą buzię, jaką widział od długiego czasu... Figurkę też miała wcale zgrabną. Nie wątpił, że miała miłe usposobienie, ale nadal nie umywała się do słodkiej, cudownej Kathleen. Z nią żadna kobieta nie mogła się równać. Jego żona, dobra córka spokojnego farmera, miała niewielkie wymagania i namiętnie kochała życie. Zauroczył go jej szczerzy śmiech i ofiarna natura... zakochał się w niej po uszy już pierwszego dnia ich znajomości. Jakże dziękował Bogu za ten dar miłości, którym został tak hojnie obdarzony; jakże często po kryjomu obserwował Kathleen i rozplęwał się nad jej urodą i dobrocią. Jej silne ręce były niestrudzone, gdy za dnia wykonywały tysiące obowiązków... natomiast nocą, gdy głaskały jego twarz, były tak miękkie i delikatne...

Grace była drobną, szczupłą kobietką, sięgającą mu zaledwie do ramienia. Pochodziła z bogatej, szlacheckiej rodziny i ze swobodą poruszała się po świecie, który jemu był całkowicie obcy.

A jednak była w niej jakaś dziecięca naiwność i łagodność, które potęgowały jego zauroczenie. Ale nie była jego ukochaną Kathleen. Och, dobry Boże, jakże on tęsknił za swą żoną! Jakże chciał wziąć ją w ramiona i znów się z nią kochać... jakże chciał usłyszeć jej niski głos śpiewający kołysankę ich maleńkiej córeczce... usłyszeć ich śmiech... poczuć ich dotyk...

Zmusił się do niemyślenia o przeszłości. Jego życie skończyło się w chwili, gdy jego żona i córeczka zostały mu odebrane... zastrzelone niczym zwierzęta... ale on musi trwać. Musi cały czas szukać i drażyć, dopóki nie znajdzie wszystkich drani odpowiedzialnych za śmierć jego bliskich.

Dopiero wtedy będzie mógł odpocząć.

Wzdychając ciężko, przygotował się do snu, po czym jeszcze raz przejrzał swoje notatki.

Chciał odnaleźć w nich coś, co wcześniej przeoczył, a co pomogłoby mu w poszukiwaniach. Ale nic podobnego się nie wydarzyło. Sfrustrowany i wściekły, rzucił notesem przez cały pokój i opadł na poduszki.

Och, Kathleen, jeżeli jedno z nas musiało umrzeć, dlaczego to musiałaś być ty?

Zasnął myśląc o swej zmarłej żonie, lecz przyśniła mu się nie ona, tylko Grace.

Cole nie wiedział, co go obudziło; w jednej chwili spał jak zabity, a w następnej siedział

wyprostowany na łóżku, napięty, niczym cięciwa w łuku. Zawsze spał lekko i nawet w swoim domu, w Rosehill, słyszał przez sen każdy odgłos. Chociaż tym razem nie dosłyszał nic niezwykłego, sięgnął po rewolwer i podszedł na palcach do drzwi.

Tak, jak się spodziewał, na korytarzu nie było nikogo. Zamknąwszy drzwi podszedł do okna i wyjrzał na ulicę myśląc, że może ktoś wypił za dużo i robi teraz burdy, ale na ulicy także nikogo nie było.

Na twarzy poczuł lekki powiew wiatru. Ziewnął szeroko pomyślał, że warto by jeszcze wrócić do łóżka i trochę się zdrzemnąć, gdy na horyzoncie zobaczył jasno-pomarańczową lunę i zrozumiał, że już nadchodzi świt. Słońce powoli wspinało się już po czarnym niebie i niedługo będzie ranek. Do diabła, szkoda! Nadal chciał mu się spać; miał wrażenie, że dopiero co zamknął oczy.

To pewnie starość, pomyślał ponuro. Przeciągnął się i poszedł napić się nieco wody. Ponieważ w pokoju było jeszcze bardzo ciemno, zapalił lampę naftową. Na stoliku obok łóżka leżał jego kieszonkowy zegarek i ukochany kompas; dopiero gdy zerknął na tarczę zegarka, zdał sobie sprawę, że jest środek nocy.

- Co u licha? - mruknął do siebie.

Raz jeszcze podszedł do okna i przyjrzał się bursztynowym smugom na niebie, po czym...

obrócił się na pięcie i wybiegł pędem z pokoju.

Usiłował jednocześnie założyć koszulę i zapiąć spodnie, lecz nie bardzo mu to wychodziło.

Zabębnił pięściami do drzwi po przeciwnej stronie korytarza.

- Daniel, obudź się! Mamy kłopoty!

Chwilę później na korytarz wypadł Ryan z rewolwerem w garści. Był na wpół ubrany i na wpół zaspany.

- O co chodzi?

- Pali się!

- Gdzie? - zapytał Daniel z paniką w głosie i wrócił biegiem do pokoju, by się ubrać.

- Nie wiem, może w górach... ale nie sądzę. Jest za jasno... Pożar może być nawet na tej samej ulicy... Och, Boże! Pensjonat Tilly!... Chyba nie sądzisz... - Ostatnie słowa Cole wykrzykiwał

zbiegając ze schodów.

Daniel był tuż za nim; nocny stróż spał sobie smacznie na krześle za kontuarem, podpierając głowę na złożonych na blacie ramionach. Kiedy Daniel wpadł do holu, wrzasnął do niego, by zadzwonił dzwonem pożarowym, zaskoczony nagłym hałasem, nieszczęśnik tak gwałtownie poderwał

głowę, że rąbnął się w nisko wiszącą lampę, po czym przewrócił krzesło zrywając się na równe nogi.

- Co... co takiego? Co pan powiedział? - krzyknął przestraszony.

- Dzwon! - ryknął Daniel wypadając przez drzwi za

Cole'em. - Zadzwon w dzwon! Pożar!

Dwaj mężczyźni bieгли ramię w ramię opustoszałą ulicą, a jedynym dźwiękiem rozlegającym się w mroku nocy było tupanie ich butów i świszczące oddechy, gdy pędzili, ile sił w nogach.

Przebiegli może z pół uliczki, gdy do ich nozdrzy doszedł swąd dymu; goniąc tak, jakby ziemia paliła im się pod stopami, popędzili do zakrętu i... zobaczyli ogień. Pierwsze piętro domu płonęło na całego; żarzące się czerwone popioły wyfruwały z okien i ulatywały w czarne niebo, a poczerniałe od sadzy strzępy firanek zaścielały trawnik. Biała farba syczała i gotowała się z piekielnego gorąca pożaru.

Przed domem nikogo nie było. Cole i Daniel jednocześnie przesadzili płot i pobiegli przez trawnik. Daniel pognął na tył domu, by zobaczyć, czy nie uda mu się jakoś wejść do środka, natomiast Cole okrążył dom z przeciwnej strony.

Nagle frontowe drzwi otworzyły się z trzaskiem i zobaczyli w nich Jessikę - zgięta wpół

powoli wychodziła tyłem z domu ciągnąc za sobą nieruchome ciało Grace.

Daniel dopadł werandy nieco przed Cole'em i wziął nieprzytomną kobietę na ręce; w świetle ognia zobaczył krew powoli ciekącą jej po twarzy. Ktoś uderzył ją w skroń, a sądząc po opuchliznie, miała ogromne szczęście, że jeszcze żyła. Przytuliwszy ją do piersi, zbiegł ze schodków i zatrzymał

się dopiero w połowie trawnika, gdzie nie było już żadnego zagrożenia. Potem ostrożnie i delikatnie położył ją na ziemi. Jessika zaczęła biec za nim, lecz nagle się zatrzymała. Wykrzykując imię Caleba, odwróciła się, by z powrotem wbiec do płonącego domu w poszukiwaniu dziecka i Tilly, lecz Cole, przeskoczywszy przez barierkę, powalił ją na ziemię.

Zwalił ją z nóg i pozbawił oddechu, a siła uderzenia rzuciła ich na trawę przed werandą. Nie mogła złapać tchu ani zrozumieć, co się dzieje. Myślała tylko o Calebie i o tym, by dostać się do niego na czas. Gdzież on jest, u Boga Ojca?! Jessika usiłowała przetoczyć się na bok, by móc wstać i odszukać dziecko, lecz Cole trzymał ją mocno. Potem zaczął bić ją dłońmi po odkrytych nogach i wołać na Daniela, by mu pomógł. Dziewczyna wrzasnęła z bólu i zaczęła mu się wyrywać ze zdwojoną siłą.

Płomienie lizały dół jej szlafroka; Cole usiłował ugasić płomienie i zdjąć z niej szlafrok, zanim

splonie żywcem. Udało mu się przetoczyć wierzgającą dziewczynę na brzuch; na szczęście Daniel w tym momencie przyszedł mu z pomocą. Z trudem zerwali z niej płonące ubranie. Cały czas wołając imię synka, Jessika usiłowała się im wyrwać. Gdy Cole pomógł jej wstać, złapała go za koszulę.

- Nie mogę znaleźć Caleba! - krzyknęła z rozpaczą. - Musisz mi pomóc! Był z Tilly... Ona się nim zajęła, podczas gdy ja szukałam Grace! Byli razem ze mną na górze... Gdzie oni są?! Muszę ich znaleźć!

Wyrwała mu się i wbiegłaby z powrotem do płonącego domu, gdyby Cole nie złapał jej od tyłu. Walczyła niczym dzika kotka, drapiąc go po ramionach i kopiąc po nogach.

- Znajdę go! - krzyknął Cole do jej ucha. - Słyszysz mnie, Jessie? Znajdę go! Ty zostań z Grace! Zrobisz to dla mnie?

Musiała go zrozumieć, mimo hysterii, bo spojrzała nieco przytomniej.

- Tak, tak! Zostanę z nią! Ale błagam, pospieszcie się!

- Stara pani i dzieciak ciągle są w środku! - zawołał Cole do Daniela. Potem odwrócił dziewczynę gwałtownie i popatrzył jej w oczy. - Gdzie są ich pokoje?

Wskazała na środkowe okno nad gankiem.

- Pokój Tilly jest tam, pośrodku! A mój i Caleba zaraz na lewo... obok drzewa!

Daniel już był na dachu; wskoczył nań po słupie podtrzymującym werandę i podeszwą buta roztrzaskał szybę w środkowym oknie, po czym odskoczył do tyłu, by uniknąć płomieni i dymu, które buchnęły na zewnątrz. Potem, bez wahania, wskoczył do środka schylając głowę jak najniżej. W tym samym momencie zajął się słup podtrzymujący werandę i Cole musiał obieć dom naokoło, by znaleźć jakąś inną drogę na górę. Nie mógł wejść do domu przez żadne z okien, gdyż cały parter płonął i żar był zbyt duży. Oczy go piekły i zaczęły łzawić od gorąca, więc szybko oceniwszy sytuację, wspiął się na drzewo rosnące przy domu. Grube konary zwisały nisko nad wykuszami i Cole miał nadzieję, że uda mu się przeskoczyć z nich na dach.

W chwili, gdy jego stopy dotknęły dachówek, zobaczył przy oknie Daniela - niósł Tilly, zawiniętą w koc, przerzuconą przez ramię. Zanim Cole zdążył mu pomóc, Daniel wyskoczył przez parapet i pognął po gzymsie w drugą stronę dachu.

- Caleba nie było z Tilly! - wrzasnął. - Uciekaj! Lada moment dach się zapadnie!

Ignorując to ostrzeżenie, Cole popędził w stronę okna, które wskazała mu Jessika. Widział

ogień lizący sufit, słyszał wściekłe syki płomieni, lecz strach dodał mu odwagi. Tak bardzo się bał, że nie odnajdzie Caleba żywego, że nie zastanawiając się, podobnie jak Daniel, na oślep rzucił się do płonącego pokoju.

Zaskoczyło go to, że podłoga nie ugięła się pod nim ani nie zapadła. Wylądował na lewym ramieniu, przetoczył się pospiesznie wstał na nogi. Ogromna kula czarnego dymu z powrotem powaliła go na kolana. Popiół osiadł mu na warzy i posklejał rzęsy. Oczy go paliły i nie mógł

oddychać, a włosy zaczęły mu się tlić. Opadł na podłogę i czując, że tuż przy deskach jest nieco chłodniej, zaczął się czołgać przed siebie. Nabrawszy w płuca powietrza, zawołał Caleba, lecz jego głos zginął w morzu ognia.

Powoli posuwał się naprzód. Nic nie widział, ale miał nadzieję, że niedługo napotka na swej drodze szafę na ubrania. W każdej sypialni jest taka szafa, a z doświadczenia wiedział, że gdy jego mała siostrzyczka była przerażona, zawsze chowała się do szafy. Miał nadzieję, że tego typu zachowania są podobne u wszystkich dzieci i że znajdzie Caleba właśnie w szafie.

A jeżeli nie w szafie, to może pod łóżkiem. Postanowił, że zaraz po szafie sprawdzi łóżko, lecz to na nie najpierw natrafił. Wcisnąwszy ramiona jak najdalej pod boczne deski, wyciągnął rękę i sprawdził teren pod łóżkiem. Nic tam nie było.

Każda mijająca sekunda przybliżała śmierć dziecka. Cole modlił się w duszy do Boga o pomoc i raz jeszcze przejechał dłonią pod łóżkiem, zataczając szeroki łuk. Właśnie się wycofywał, gdy poczuł, że małe paluszki chwytają go za nadgarstek.

Dziecko puściło go równie szybko, jak złapało, więc Cole wcisnął się jeszcze dalej pod łóżko i sięgnął po małego. Caleb siedział wciśnięty w najdalszy kąt, lecz Cole zdołał złapać go za pulchną nóżkę i bardzo ostrożnie pociągnął.

Usłyszał cichutki jęk i głośne mlaskanie, bo maluch ssał z zapałem kciuk. Dla Cole'a były to najpiękniejsze odgłosy na świecie - świadczyły o tym, że mały jest cały i zdrowy. Wyczołgał się spod łóżka, przytulił dziecko do piersi i podniósł się na kolana. Caleb odchylił się do tyłu i złapał za nogę swą ukochaną szmacianą lalkę leżącą na podłodze. Ze szczelin między deskami buchnęły płomienie dokładnie w tej samej chwili, gdy Cole pociągnął malucha do góry.

- Wynośmy się stąd - szepnął Cole; jego ochryply głos z trudem wydobywał się z krtani.

Chciał owinać Caleba kocem, który leżał na łóżku, lecz gdy tylko po niego sięgnął, żarzący się popiół spadł z sufitu na wełniany materiał, który od razu zajął się jasnym płomieniem. Zdesperowany Cole przytulił małego do piersi, objął go jak najmocniej ramionami i pochylił się tak, by własnym ciałem osłonić ciało dziecka.

Wiedział, że ma zaledwie kilka sekund, by wydostać się z płonącego pokoju - potem będzie już za późno. Sypialnia płonęła na dobre: ze szczelin między deskami podłogi wykwitwały czerwone języki ognia, a po suficie i ścianach pełzały szkarłatno-pomarańczowe płomienie.

I wtedy właśnie ściany zaczęły się poruszać, zupełnie, jakby ożyły pod wpływem gorąca: wybrzuszyły się, zachwiały, po czym wydając przeraźliwy świszczący dźwięk cofnęły się i znowu naparły na niego. Słyszał ogień huczący za tymi ścianami i wiedział, że jeżeli zawaha się choć chwilę dłużej, nie wyjdzie stąd żywy.

Klęknął tuż przy podłodze, nabrał jak największy haust powietrza i poderwawszy się na równe nogi, pognął ku otwartemu oknu. Wiedział, że to wyścig ze śmiercią; poczuł, jak podłoga kołysze się pod jego stopami... i w chwili, gdy wyskakiwał przez okno, zapada się z głośnym trzaskiem. Ściany pokoju eksplodowały sekundę później. Ostre kawałki szyb i żarzące się popioły wyleciały przez okno, a podmuch wybuchu rzucił Cole'a do przodu. Okręcił się w powietrzu tak, by wylądować na plecach i nie zgnieść małego ciała dziecka. Ukrop wylewający się z płonącego domu parzył mu skórę i Cole zrozumiał, że ma zaledwie kilka sekund, zanim cała konstrukcja runie. Stał chwiejnie na nogach i rozejrzał się dokoła szukając jakiejś drogi ucieczki. Po słupach podtrzymujących dach ganku sunęły ku niemu czerwone płomienie; ogień odciął też drogę, którą Daniel uciekł wraz z Tilly, zaś gałęzie drzewa, po którym wspinał się na dach, były za wysoko, by mógł ich dosięgnąć trzymając dziecko w ramionach. Znalazł się w pułapce.

Z oddali słyszał metaliczne brzęczenie dzwonu pożarowego... a gdzieś niedaleko rozległ się przeraźliwy gwizd. Odwrócił się, by dojrzeć źródło dźwięku - właśnie w tej chwili Daniel zagwizdał

ponownie. Mrużąc oczy przed gryzącym dymem, Cole zobaczył przyjaciela - siedział okrakiem na gałęzi drzewa znajdującej się tuż nad dachem. Ale i tak był za daleko. Zbyt daleko, by go dosięgnąć.

Niestety, nie mieli innego wyjścia.

- Trzymaj się, Caleb - mruknął cicho. Potem nabrał powietrza w płuca i wydawszy bojowy ryk, skoczył przed siebie, dokładnie nad ogromną kulą ognia, która wybuchła tuż pod jego stopami.

Usłyszał trzask drewna i huk łamiących się krokwi, lecz biegł nadal, tak szybko, że miał wrażenie, iż płuca lada moment mu eksplodują.

Daniel patrzył, jak Cole się zbliża; kiedy był już w połowie dachu, Daniel rozpląszczył się na gałęzi i zaparł się nogami o niższy konar. Owinął ramię dokoła gałęzi pod sobą i wychylił się najdalej, jak potrafił, wyciągając do Cole'a prawą dłoń. To był skok zrodzony z desperacji. Odległość między krawędzią dachu a wyciągniętym ramieniem Ryana była ogromna, lecz Cole miał wrażenie, że leci w powietrzu i że nie ma dla niego rzeczy niemożliwych. Wyskoczył w powietrze i sięgnął do Daniela.

Ich dłonie złączyły się i... tak już zostały. Cole przymknął oczy i westchnął z ulgą.

Daniel aż sapnął pod ciężarem ciała Cole'a, lecz trzymał mocno. Kiedy już Cole przestał się kołysać i Daniel był pewien, że go nie upuści, sięgnął lewą ręką po Caleba, po czym opuścił Cole'a na niższą gałąź. Gdy Ryan unosił Caleba ku sobie, dziecko darło się w niebogłosey. Kilka sekund później wszyscy troje byli na ziemi i biegli, ile sił w nogach, przez trawnik, w bezpieczne oddalenie od płonącego domu. Jessica podbiegła do Daniela, by zabrać od niego Caleba, lecz Cole ją uprzedził: nie zwalniając biegu ujął ją w talii, podniósł i zarzucił sobie przez ramię.

Dobiegli do Grace i Tilly w chwili, gdy ściany i dach domu zapadły się z głośnym hukiem.

Gromada mieszkańców miasteczka, którzy do tej pory biegali we wszystkich kierunkach nosząc kubły wody, nagle odstąpiła i ucichła, by przyglądać się niezwykłemu widowisku. Iskry wyleciały w górę

na co najmniej pięćdziesiąt stóp i spadały na ziemię spiralnymi łukami. Wyglądało to doprawdy niesamowicie, i niektórzy ludzie nie mogli powstrzymać okrzyków zachwytu.

Była to noc, której długo nie zapomną.

Reporter z miejscowej gazety biegał dokoła ludzi usiłując znaleźć kogoś, kto zechciałby udzielić mu wywiadu, a John Cletchem, fotograf, ustawił w pośpiechu sprzęt, by zrobić zdjęcie pożaru, zanim płomienie zdążą wszystko strawić.

Tilly siedziała na trawie i cicho płakała. Grace, nadal nieprzytomna, leżała z głową na jej kolanach. Tilly delikatnie gładziła czoło Grace, a łzy ciekły jej po twarzy. Daniel przyklęknął obok nich; nieśmiało poklepał Tilly po ramieniu, lecz jego uwaga była skupiona na dziewczynie. Z

napięciem obserwował płytkie unoszenie się jej klatki piersiowej i dziękował Bogu za każdy jej oddech.

Wyglądała tak młodo, niewinnie i bezbrinnie. Daniel krzyknął, by ktoś jak najszybciej sprowadził doktora. Jego głos dotarł chyba do Grace, bo poruszyła się niespokojnie; kiedy jej powieki zatrzepotały, a ciemne oczy otworzyły się szeroko, serce w Ryane zamarło i pojawiły się łzy ulgi w jego oczach.

Co się z nim działo, u Boga Ojca? Nie potrafił się powstrzymać i wyciągnąwszy rękę dotknął czule jej policzka. Potem wziął ją w ramiona i wstał.

- Daniel? Jesteś strasznie brudny na twarzy.

- Taak, wiem. Jak się czujesz?

- Głowa mnie boli - odrzekła. - Nie wiem tylko dlaczego - dodała zdziwiona. Uniosła dłoń i przeciągnęła opuszkami palców po jego policzku. - Gdzieś ty się tak ubrudził?

Daniel odwrócił się tak, by mogła zobaczyć zgliszcza

domu, ale ona nadal patrzyła mu w oczy.

- Był pożar - wyjaśnił.

Odwróciła głowę i skrzywiła się, gdyż ruch ten wywołał silny ból. Jej oczy rozszerzyły się z niedowierzaniem i nagle wszystko sobie przypomniła.

- Gdzie Jessika, Caleb i Tilly?

- Nic im się nie stało - zapewnił ją Ryan. - Wszyscy zdołali na czas wydostać się z domu.

Nikommu nic się nie stało... tylko ty jedna ucierpiałaś. Pamiętasz, co się stało?

Grace położyła mu głowę na ramieniu.

- Nie... nic nie pamiętam. Proszę, postaw mnie na ziemi. Muszę...

- Musisz tu poczekać, aż zbada cię lekarz.

Rozejrzał się po tłumie i właśnie miał po raz drugi zawołać na medyka, gdy zobaczył, że przez zgromadzenie przedziera się niewysoki człeczyna. Rebeka ciągnęła go ku Grace i Tilly.

- Danielu? - szepnęła cichutko Grace. - Jak ja się wydostałam z domu?

- Jessika cię wyciągnęła. Gdyby nie ona... ani Cole, ani ja nie zdążylibyśmy znaleźć cię na czas.

- Ocaliła mi życie.

- Tak.

Grace zaczęła płakać, na co Daniel instynktownie zacieśnił uścisk i przytulił ją mocniej do siebie.

Jessika także płakała. Trzymała w ramionach małego Caleba i była tak uradowana i wdzięczna, że jej synek żyje, że cały czas całowała go i tuliła. Ochłonawszy nieco po swej ostatniej przygodzie, maluch już się wyrывał i domagał postawienia na ziemi.

Rebeka odnalazła ich w tłumie.

- Och, Boże! Jessiko! Mogłyście zginąć w tym pożarze! - wykrzyknęła biorąc od dziewczyny chłopca i przytulając go mocno. - Nic wam się nie stało?

Jessika opanowała się z wysiłkiem i spojrzała na przyjaciółkę przez łzy.

- Nam nic nie jest, ale Grace jest ranna. Zdaje się, że jakaś belka spadła jej na głowę.

- Doktor Lawrence już się nią zajął - uspokoiła ją Rebeka.

- Czy ona pamięta cokolwiek?

- Nie wiem - odrzekła Jessika. - Zaopiekujesz się Calebem? Nie spuszczaj go z oczu... Ja muszę kogoś odszukać.

- Jessiko, najpierw musisz coś na siebie nałożyć. Gdzie jest twój szlafrok?

- Zajął się ogniem i spłonął - odparła dziewczyna rozglądając się w tłumie za Cole'em.

- Zaraz znajdę ci coś do okrycia - obiecała jej przyjaciółka.

Jessika nawet jej nie usłyszała; zauważyła w tłumie Cole'a i podbiegła ku niemu. Stał z brzegu gromady ludzi i patrzył, jak płomienie pożerają dom Tilly. Wyglądał na wyczerpanego od stóp do głowy pokryty był sadzą.

Dla Jessiki był w tej chwili najpiękniejszym mężczyzną na świecie.

- Cole?

Zatrzymała się tuż przed nim i po prostu patrzyła na niego. Ogień oświetlał mocne rysy jego twarzy i zapalał dzikie błyski w jego oczach; mimo to wyglądał niczym anioł. Zdawać by się mogło, że sam Bóg go błogosławi za odwagę, jaką się wykazał w obliczu tak strasznego niebezpieczeństwa.

- Chcesz czegoś ode mnie? - zapytał zaskoczony radością i uwielbieniem wymalowanymi na jej twarzy.

Biegła do niego, by podziękować mu za uratowanie życia Calebowi, lecz teraz, gdy stała tuż przy nim, zwykle „dziękuję” zdawało się niewystarczające. Bez chwili zastanowienia rzuciła mu się w ramiona.

Zatoczył się pod tym niespodziewanym ciężarem i instynktownie objął ją ramionami.

Wspiąwszy się na palce, dziewczyna zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go namiętnie.

- Dziękuję - szepnęła.

Nie był to żaden świętoszkowaty pocałunek, lecz namiętny wspianiały, więc Cole nie zamierzał przepuścić okazji. Pewnie odwzajemniłby go z równą namiętnością, gdyby nie poczuł, że dziewczyna drży w jego ramionach. Powstrzymał się więc usiłował cofnąć nieco, lecz ona tylko zacieśniła uchwyt... Cóż więc miał pocałować? Pocałował ją raz jeszcze i mocno przytulił.

Głowa Jessiki opadła mu na ramię i dziewczyna rozplakała się cicho. Oparł brodę na jej włosach i słuchał, jak szeptem powtarza podziękowania.

- Ależ nie ma za co - szepnął, gdy już się nieco uspokoiła i pocałował ją delikatnie w czoło.

Ta chwila została uwieczniona, gdyż fotograf z gazety nie zamierzał zrezygnować z takiej gratki: namiętnie obejmująca się para na tle pożaru - on, pokryty sadzą, i ona, ubrana tylko w cienką nocną koszulę.

Ta fotografia pojawiła się następnego ranka na pierwszej stronie „Gazety codziennej Rockford Falls”.

Rebecce zrobiło się słabo na widok Grace; lewa strona twarzy dziewczyny była obrzmiała, a skroń okropnie spuchnięta. To cud, że przyjaciółka przeżyła tak silne uderzenie.

Daniel ułożył ją na kocu przyniesionym przez jednego z sąsiadów i klęczał przy niej przez cały czas, gdy oglądał ją lekarz. Rebeka była zazwyczaj pewną siebie dziewczyną, lecz na widok tak poważnego obrażenia przyjaciółki, dosłownie odebrało jej mowę. Ryan pomyślał, że panna James lada chwila zemdleje, więc poprosił ją, by usiadła, lecz ona najpierw chciała porozmawiać z ranną.

- Jak się czujesz, Grace? - szepnęła głosem drżącym ze strachu.

Grace spojrzała na stojącą nad nią dziewczynę; nie mogła nie zauważyć, że Rebeka wygląda olśniewająco. Nie była nawet potargana. Nie przybiegła też do pożaru, jak reszta sąsiadów, ubrana tylko w szlafrok i bambosze. O, nie... na tę okazję włożyła czarną suknię bardzo pasującą do sytuacji, lecz jej twarz była kredowobiała.

- Czuję się już o wiele lepiej - odpowiedziała. - Nic mi nie jest, Rebeko. Nie musisz się o mnie martwić.

Panna James uniosła rąbek spódnicy i przyklękła na kocu obok doktora Lawrence'a. Lekarz poklepał Grace po dłoni.

- Nic pani nie będzie, panno Grace - zapewnił ją pogodnie.

- Miała pani wiele szczęścia... Nadal nie wiem, jak to się

stało, że dostała pani uderzenie w głowę. Najprawdopodobniej sufit się zapadł i spadła na panią belka stropowa. - Doktor

powoli podniósł się z koca i odwrócił do Daniela. - To

uderzenie mogło być śmiertelne, szeryfie. Cud, że przeżyła.

Rebeka pochyliła się nad przyjaciółką.

- Czy pamiętasz, co się stało?

- Nie... zupełnie nic.

Dziewczyna skinęła głową z pełnym zrozumienia współczuciem.

- Może to i lepiej. W przeciwnym razie mogłabyś mieć koszmarne sny... Biedna Jessika była w samym środku tego morza ognia... a ty, na szczęście, wszystko przespałaś.

W oczach Grace znowu zakręciły się łzy.

- Ocaliła mi życie. Gdyby nie ona, na pewno bym tam umarła.

Rebeka ujęła jej dłonie i uścisnęła.

- Proszę, nie płacz - szepnęła. - Teraz już jest po wszystkim i wszyscy są bezpieczni.

- Gdzie jest Jessika? - zapytała nagle Grace.

- Poszła do wozu z szeryfem Clayborne'em po czyste ubranie - odpowiedział doktor Lawrence. - Coś mi się zdaje, że i ją powinienem obejrzeć.

Grace spróbowała usiąść, lecz była jeszcze na to za słaba i Daniel musiał ją podeprzeć. Głowa nadal okropnie ją bolała i z trudem mogła się skoncentrować.

- Dzięki Bogu, że wczoraj wieczorem spakowałyśmy wszystkie nasze ubrania. Wszystko, co mamy, jest na tym wozie, z wyjątkiem ubrań, które chciałyśmy włożyć dziś rano. Bo wóz się nie zajął, prawda?

- Nie, nie - zapewniła ją pospiesznie Rebeka.

Ogień nadal szalał, lecz ulica w tyle była ciemna i ktoś w tłumie zapalił pochodnie; Caleb siedział spokojnie na kolanach Tilly, dopóki na trawniku nie zjawił się nieznajomy niosący świetlisty ogień. Przerażone dziecko rozplakało się i zaczęło wołać matkę. Rebeka natychmiast podbiegła do niego i uniółszy go w ramiona, przytuliła tak mocno, jak tylko mogła.

Daniel złapał człowieka z pochodnią za kołnierz i kazał mu się cofnąć.

Grace spróbowała wstać. Trzymała się ramienia doktora Lawrence'a, żeby nie upaść, ale i tak świat dokoła niej wirował.

- Co ty wyprawiasz? - mruknął Ryan widząc jej wysiłki. - Usiądź, zanim znowu zemdlejesz.

- Jest pani biała jak ściana - dodał doktor Lawrence.

- Proszę posłuchać szeryfa Ryana i usiąść natychmiast. Musi pani odpocząć.

- Ale ja muszę znaleźć Jessikę. Muszę z nią porozmawiać.

- Ja ją odnajdę - obiecał jej Daniel i poszedł dokoła płonącego domu, by dostać się do wozu stojącego na polu. Nie doszedł jeszcze nawet do połowy drogi, gdy zauważył Jessikę; najwyraźniej usłyszała płacz synka, bo rzuciła na ziemię czyste ubrania, które dopiero co wzięła z wozu, i biegła, jakby goniło ją stado diabłów. Cole pędził tuż za nią. Daniel zauważył, że na ziemi jest mnóstwo śmieci z pożaru i krzyknął do Jessiki, by uważała, gdzie stawia stopy, gdyż szkło z potłuczonych butelek z łatwością może przeciąć cienką podeszwę bamboszy.

Potem zawołał na Cole'a i zatrzymał się z boku działki; gdy Cole dołączył do niego, zastał go przyglądającego się dwóm pustym butelkom po mleku. Choć przez cały tydzień mocno padało, butelki

były czyste; zaskoczony i zaciekawiony odniósł jedną... i poczuł silny zapach nafty. Kiedy przyjrzał się naczyniu, zobaczył na dnie resztki substancji. Pokazał butelki Cole'owi, który pociągnąwszy nosem, bez zdziwienia skinął głową.

- Kiedy tylko tu dotarliśmy, zauważyłem, że nie widać żadnego źródła ognia. Przód domu palił się równie mocno, co tył... wyglądało to tak, jakby cały dom zajął się równocześnie.

- Ktokolwiek to zrobił, zadał sobie sporo trudu, by okrążyć cały dom i polać go naftą.

- Myślisz, że to robota gangu z Blackwater? Czy jest możliwe, że zobaczyli artykuł w gazecie i postanowili pozbyć się potencjalnych świadków? Rebeka ma szczęście, że jeszcze nie zdążyła się tu wprowadzić.

- Może być następną ofiarą na ich liście - odrzekł Daniel ponuro. - Musimy mieć je wszystkie trzy na oku, a gdy tylko się prześpią i odpoczną, muszą powiedzieć nam prawdę.

- Czy powiesz im, że to było podpalenie?

Daniel wziął od Cole'a butelki i postawił je na ziemi obok drzewa.

- Nie teraz - odparł. - Nie chcę wystraszyć ich jeszcze bardziej. I tak są już przerażone.

Cole spojrział na dogorywający dom.

- Cóż za piekielna noc - mruknął pod nosem.

- Chodźmy zrobić porządek - powiedział Daniel. - Zbyt wielu ludzi tu się kręci... Nie lubię tłumu na miejscu zbrodni.

W tej samej chwili usłyszeli głos Rebeki wydający rozkazy; dziewczyna stanęła przed tłumem i zaczęła komenderować mieszkańcami miasteczka niczym generał. W jej głosie brzmiała jakaś zdumiewająca nieugiętość i wszyscy reagowali na jej polecenia niczym rekruci w wojsku: najpierw wykonywali polecenia, a potem pytali „dlaczego”.

Jessika i Grace nie wiedziały, co by zrobiły bez pomocy przyjaciółki. Rebeka rozesłała sąsiadów po koce dla dwóch dziewcząt i dziecka, zachęciła doktora Lawrence'a, by przyjął pod swój dach Tilly, dopóki nie znajdzie sobie nowego domu, kazała mężczyznom przyprowadzić wóz pod hotel i zorganizowała brygadę, której zadaniem było ugaszenie resztek pożaru, by ogień nie rozprzestrzenił się na pola.

Nikomu nie pozwoliła na bezczynność. Było mnóstwo pracy i Rebeka była zdecydowana przypilnować, by mieszkańcy miasteczka ją wykonali.

Niecałe pół godziny później, wykończeni, całą grupą pomaszerowali w kierunku hotelu.

Chociaż Grace protestowała zażarcie, Daniel wziął ją na rękę, a Cole niósł w ramionach małego

Caleba, który już zdążył smacznie zasnąć. Rebekazaproponowała, by Grace zajęła jeden z pokoi szeryfów, a Jessica z dzieckiem drugi; co prawda w hotelu nie ma już innych wolnych pokoi, lecz mężczyźni mogą chyba spędzić jedną noc na korytarzu?

Cole i Daniel mieli inne zamiary: ani im się śniło spuszczać kobiety z oczu. Postanowili, że Daniel stanie na straży w hollu na dole, a Cole będzie siedział w korytarzu na piętrze, lecz ich plany uległy drobnej zmianie, gdy wchodząc do hotelu natknęli się na szeryfa Sloana, który usiłował

wymknąć się stamtąd jak najciszej.

Daniel opowiedział mu pokrótce, co się zdarzyło, i kazał mu pilnować Rebeki James, na co Sloan zgodził się bez chwili wahania; najwyraźniej było mu głupio, że nawet nie zauważył pożaru.

Był zajęty gdzie indziej, a po dumnym i pełnym satysfakcji wyrazie jego twarzy Daniel i Cole od razu zorientowali się, gdzie był i co robił.

Nocny stróż był przerażony widokiem pokrytych sadzą mężczyzn i wycieńczonych kobiet, lecz okazał im także sporo współczucia. Natychmiast obudził dwie pokojówki, by pomogły mu przygotować dwa pokoje dla niespodziewanych gości, a także by nagrzały wodę na kąpiel dla wszystkich. Caleb nie tylko obudził się podczas kąpieli, lecz był także pełen sił i wigoru. Krótka drzemka po drodze do hotelu najwyraźniej podreperowała jego siły.

Jessika i Grace były skrajnie wycieńczone i gdy tylko położyły się do łóżek, zasnęły jak zabite. Daniel zastawił krzesłem drzwi wiodące do pokoju Grace, usiadł i po minucie on także zasnął

trzymając dłoń na rękojeści rewolweru.

Cole siedział na krześle pod drzwiami Jessiki po drugiej stronie korytarza. Słyszał, jak za zamkniętymi drzwiami Caleb gaworzy i mruczy coś pod nosem; po chwili drzwi się otworzyły i malec wybiegł na korytarz.

Cole złapał go i zaniósł z powrotem do matki, lecz zatrzymał się zaraz za progiem pokoju, zaskoczony widokiem Jessiki. Spała na brzuchu, z rękoma szeroko rozrzuconymi i najwyraźniej była zbyt zmęczona, by naciągnąć na siebie choćby koc. Jej jasnoróżowa koszula podciągnęła się aż za kolana ukazując zgrabne łydki i drobne stopy. Cole pomyślał, że chętnie by sprawdził, czy ma łaskotki.

Twarz miała zwróconą ku oknu i oświetloną promieniem księżyca. Przyglądał się jej rozchyłonym wargom i przypomniał sobie, jak były miękkie, gdy go całowała. Nadal czuł jej ciało przytulone do siebie i niczego tak nie pragnął, jak położyć się obok niej na tym łóżku i..

Opanował się z najwyższym trudem. Powiedział sobie, że ta biedna dziewczyna przeżyła piekło, więc on nie powinien czuć do niej żadnego pociągu fizycznego, nie mówiąc już o spełnianiu.

Poza tym, był teraz szeryfem federalnym, a to stanowisko wiązało się z obowiązkami. Nie miał prawa poddawać się impulsom, choćby były nie wiem jak pociągające.

W tym momencie Caleb zaczął się wiercić w jego ramionach i Cole poczuł, że dziecko ma mokrą pieluszkę. Pospiesznie znalazł pieluszki i położył małego na wąskiej pryczy, którą znalazł dla niego stróż.

- Nie, nie, nie - nucił sobie Caleb pod nosem bez chwili wytchnienia. Kopnął Cole'a w ramię i spróbował zsunąć się na podłogę, lecz szeryf był szybszy.

- O, nie, mój mały - szepnął. - Nigdzie nie idziesz. Przebierzemy cię i zaraz wracasz do łóżka.

Zawiązał pieluchę, ułożył dziecko w łóżku i podał mu szmacianą lalkę. Potem przykrył

małego kołderką i kocem, podczas gdy Caleb cały czas mruczał i uśmiechał się do niego. Cole pocałował malca na dobranoc i po cichu wyszedł z pokoju.

Caleb podążył za nim jak cień. Jessika usłyszała, jak Cole mruczy pod nosem jakieś przekleństwa i zasłoniła dłonią usta, by nie usłyszał jej śmiechu. Była przerażona, gdy obudziwszy się przed chwilą zdała sobie sprawę, że szeryf znajduje się w jej pokoju, ale gdy tylko usłyszała, jak szepcze do jej synka, zrozumiała, że jego intencje są nad wyraz czyste i że nic jej nie grozi. Cole Clayborne był dobrym człowiekiem, a ona i Caleb byli z nim bezpieczni. Zasnęła ponownie z najlepszymi chęciami, by pomóc szeryfowi w uspokojeniu dziecka.

W końcu Caleb przespał kilka godzin na kolanach Cole'a, po czym obudził się roześmiany i rozgadany tylko po to, by zasnąć z powrotem w ramionach Ryana. Nie trzeba chyba dodawać, że obaj mężczyźni nie mieli okazji się przespać.

Następnego dnia o siódmej rano Daniel został wezwany do biura telegrafisty. Cole spotkał się ze Sloanem w holu na dole i polecił mu zawołać dwóch zastępców, którzy pomogliby im w pilnowaniu kobiet. Zaczekał w hotelu, aż szeryf przyprowadzi mu dwóch ponuro wyglądających i silnie uzbrojonych drabów. Nazywali się Robert York i John Carver. Udało im się przekonać Cole'a, że znają się na swojej robocie, więc Cole wytłumaczył im, czego się po nich spodziewa. Jessika i Rebeka miały zostać w swoich pokojach, dopóki on i Daniel po nie nie wrócą, natomiast Grace ma leżeć w łóżku do czasu, aż zjawi się u niej doktor Lawrence.

- Nie wpuszczajcie na górę nikogo oprócz Lawrence'a - poinstruował ich Cole. - York, ty stań pod drzwiami panny Summers, Carver niech pilnuje panny James, a ty, Sloan, zajmij się panną Winthrop.

- Ale ja nawet nie miałem jeszcze czasu napić się kawy - zaprotestował jękliwie Sloan. - Nie mogę zejść na dół choćby na chwilę? Chciałbym zjeść śniadanie.

- Nie możesz - odrzekł Cole sucho. - Będziesz trzymał wartę pod drzwiami Grace Winthrop.

Brak snu sprawił, że Cole miał jeszcze mniej cierpliwości niż zazwyczaj i Sloan miał tyle rozumu, by go nie prowokować. Cole wziął od szeryfa klucze do więzienia i poszedł przez miasteczko; w biurze było wyjątkowo duszno, więc zostawił drzwi otwarte, by się nieco przewietrzyło. Może dlatego nie miał apetytu, że wszystko pachniało tu spalenizną.

Daniel dołączył do niego dopiero po ósmej. W jednej ręce niósł zwitek telegramów, a w drugiej dzbanek kawy. Nie tracił czasu.

- Złapano jednego członka gangu z Blackwater - zaanonsował od progu.

- Gdzie go dostali?

- Krył się w jaskini nieopodal północnej granicy Teksasu. Zawieziono go z powrotem do Blackwater.

Cole poszedł umyć filiżanki, poczym nalał kawy i spojrzał ciekawie na Daniela.

- Żyje?

- Taak, ale niewiele mu brakuje - odparł Ryan. - Szeryf z Maple Hills władował w niego sporo kulek. Miał niesamowite szczęście, że się na niego natknął... Drań leżał w grocie z gorączką i prawie nieprzytomny, zdaje się, że złapał grypę, lecz nadal walczył jak lew. Mam nadzieję, że pożyje przynajmniej do procesu. Do diabła, jakże chciałbym być teraz w Blackwater! Nie mogę się doczekać rozmowy z tym draniem!

- Wątpię, czy powie ci cokolwiek.

- Oj, powie, powie. Wyśpiewa mi wszystko, co wie.

- Czy zamierzasz tylko z nim porozmawiać, czy też coś jeszcze chodzi ci po głowie? - zapytał

Cole cichym głosem.

- To zależy od wyniku procesu. Tak czy inaczej, nie wywinie się z tego - odparł Ryan. Potem potrząsnął głową i dodał: - Poza tym, sędzia Rafferty i tak na to nie pozwoli. Jeżeli nasz ptaszek naprawdę należy do gangu z Blackwater, Rafferty osobiście go powiesi.

- Zdaje się, że znasz dość dobrze tego sędziego.

- Bo tak właśnie jest. Znają go wszyscy w Teksasie... a przynajmniej słyszeli o nim. Rafferty ma niezłą reputację. Ludzie mówią, że Wieszający Sędzia Cyrus Burns wygląda przy Raffertym jak aniołek. Wszyscy wiedzą, że jeżeli ktoś zajdzie mu za skórę, nie dożyje chwili, w której będzie się mógł tym pochwalić. Poza tym, on także ma osobiste podejście do tej sprawy - dodał po chwili Ryan.

- Podczas napadu w Kansas, gang z Blackwater zabił jego przyjaciela z dzieciństwa... Rafferty mocno przeżył jego śmierć i teraz chce się zemścić.

- Więc jest w to zamieszany. Dobry adwokat mógłby

wnioskować o innego sędziego.

- Może, ale i tak by przegrał - odrzekł Daniel. - Słowo Rafferty'ego jest w Teksasie silniejsze od prawa... na szczęście, bo sędzia jest także uczciwy do granic możliwości. Gdyby nie to, już dawno oddałby tego drania w ręce tłumu i z uśmiechem przyglądał się linczowi.

- Myślisz, że mieli kłopoty?

- Aha.

Cole zastanawiał się przez długą chwilę, po czym wstał i podszedł do okna.

- Co jest w pozostałych telegramach?

- Wszystkie są od Rafferty'ego. Chyba stał w biurze telegrafisty w Blackwater i był w nastroju do pogaduszek. Chciał wiedzieć, czy mamy jakieś poszlaki, więc mu odtelegrafowałem, że jest nikłe prawdopodobieństwo, że mamy świadka ostatniego napadu. Bardzo się do tego zapalił. Powiedziałem mu, że w banku podczas napadu najprawdopodobniej ukrywała się kobieta... że jest to jedna z trzech, z którymi rozmawialiśmy, ale żadna nie chce się przyznać...

- I co on na to?

- Chce, byśmy przywieźli wszystkie trzy do Blackwater. Mówi, że potrafi zmusić je do powiedzenia prawdy.

- Czy on może nam rozkazywać? To znaczy, czy ma taką

władzę?

Daniel oparł się o ścianę i spojrzał Cole'owi w oczy.

- I tak, i nie - odrzekł. - Jesteśmy agentami federalnymi i musimy słuchać tylko rozkazów naszych przełożonych z Waszyngtonu, więc wcale nie musimy słuchać Rafferty'ego.

- Ale...

- Rafferty ma bardzo wpływowych przyjaciół w Waszyngtonie. Może nas zmusić do wykonania jego rozkazu... ale ja nie chcę go rozzłościć. Po co? Więc powiedziałem mu, że będziemy współpracować. Że do wieczora dam mu znać, czy mamy świadka, czy nie.

- A zdołasz tego dokonać?

- Pewnie, do diabła.

- Możliwe, że Grace nie będzie mogła jeszcze dziś rozmawiać. Może będziemy musieli poczekać...

- Porozmawiamy z nią dziś po południu, po tym, jak obejrzy ją doktor Lawrence. Do wieczora przekonamy się, czy mamy świadka - powtórzył z uporem Daniel.

Cole burknął pod nosem jakieś przekleństwo, gdyż właśnie zobaczył na ulicy Rebekę James.

Miała na sobie śliczną różową suknię i biało-różową parasolkę; była tak śliczna, że mężczyźni zatrzymywali się na chodniku na jej widok. Carver, jej strażnik, szedł kilka kroków za nią i bacznie rozglądał się wokół.

- Nadchodzi Rebeka - rzekł Cole. - O, do diabła, właśnie zatrzymała się, by porozmawiać z reporterem.

Ryan wyjrzał na ulicę.

- Cały czas kręcił się dokoła biura telegrafisty, gdy ja tam byłem, a gdy wyszedłem, zaraz wskoczył do środka. Pewnie i tak już wie wszystko, a sądząc po minie panny James, właśnie jej wypaplał, że schwytali członka gangu.

- Skąd oni to wiedzą?

Daniel odwrócił się i spojrzał na Cole'a nie bardzo rozumiejąc, o co mu chodzi.

- Nie rozumiem?

- Skąd wiedzą, że człowiek, którego złapali, należy do gangu z Blackwater?

- Miał przy sobie dużą ilość gotówki.

- No i co z tego? Mnóstwo ludzi, udając się w podróż, zabiera ze sobą dużą ilość gotówki.
 - Masz rację - rzekł Ryan. - Ale znaleźli przy nim także egzemplarz „Gazety codziennej Rockford Falls” z datą z dnia napadu na bank.
 - To tylko poszlaka, a nie dowód.
 - A czy wspomniałem ci już, że usiłował zabić szeryfa, zanim go złapali?
 - Nie, nie wspomniałeś. - Cole potrząsnął głową. - Więc już się nie wymiga. W najgorszym wypadku będą go sądzić za usiłowanie morderstwa.
 - Ale ja chcę go dorwać za napady na banki. Jeżeli naprawdę należy do gangu, wszystko mi wyśpiewa. Chcę znać ich nazwiska.
 - A jak zamierzasz go zmusić do gadania?
 - Już ja coś wymyślę - odrzekł Ryan. - Byłoby o wiele łatwiej, gdybyśmy mieli świadka, który mógłby go rozpoznać...
 - Nie liczyłbym na to, Danielu. Te trzy panie mogły opowiedzieć tę samą historyjkę z zupełnie innego powodu. Sądzisz, że dwie robią wszystko, co w ich mocy, by ochronić trzecią. Ja nie jestem tego taki pewien. Nic o nich nie wiemy... może czas przypatrzeć się z bliska ich przeszłości?
 - Niczego, co powiedzą, nie wezmę za pewnik, dopóki tego nie sprawdzę - odrzekł Daniel z irytacją.
 - To świetnie - burknął Cole. Wyjrząwszy jeszcze raz przez okno, zobaczył, jak Rebeka uderza reportera w ramię parasolką. Nawet z tak znacznie odległości widać było jej wzburzenie; nie zważając na ludzi dokoła, uniosła spódnicę i pobiegła w stronę więzienia, omal przy tym nie wpadając pod wóz ciągnięty przez parę koni. Carver złapał ją wpół i odciągnął w ostatniej chwili.
- Po chwili dziewczyna wpadła do biura zostawiając przed drzwiami strażnika. Cole i Daniel czekali, aż odzyska spokój. Cole zaproponował, by usiadła, lecz odmówiła i zaczęła przechadzać się po pokoju niczym zwierzę po klatce.
- Dlaczego kazaliście temu człowiekowi mnie pilnować? - zapytała wreszcie.
 - Bo tak jest bezpieczniej - wyjaśnił spokojnie Cole.
 - Ale dlaczego uważacie, że potrzebna jest mi ochrona?
 - Po tym, co wydarzyło się wczoraj wieczorem, uważaliśmy, że będzie najlepiej, jeżeli ktoś was będzie chronić. Nie chcemy, by przydarzyło się wam coś złego.
 - Czyżby strażnik panią denerwował?- spytał Cole.
 - Nie, skądże. To nie pan Carver mnie denerwuje. Wszak tylko wykonuje swą pracę...

- W takim razie, o co chodzi?

- Właśnie usłyszałam przerażające wieści od tego okropnego reportera. Powiedział, że schwytano jednego z członków gangu z Blackwater. Czy to prawda, czy też ta kreatura znowu kłamie?

Ponieważ zadając to pytanie patrzyła na Daniela, postąpił krok w jej stronę i odpowiedział:

- Tak, to prawda. Złapano jednego z tych morderców.

- Żywego czy martwego? - krzyknęła z przerażeniem.

- Żywego, lecz jest ciężko ranny - odrzekł Daniel.

- Mam nadzieję, że umrze - szepnęła Rebeka, po czym opuściła głowę. - Nie, nie powinnam tak mówić. Po prostu było już tyle zła i śmierci... i jeżeli to on jest za to odpowiedzialny, powinien zapłacić. Czy znają jego nazwisko?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Ryan, - Może i znają, ale ja nie pytałem.

- Czy przywiozą go do Rockford Falls na proces?

- Nie, będą go sądzić w Blackwater, w Teksasie.

- Czy to daleko stąd?

- Taak - odrzekł Cole, na co dziewczyna odetchnęła z ulgą.

- To dobrze - wyszeptała. - W takim razie nie muszę się martwić, że jeśli wydostanie się na wolność, wróci tu, by zemścić się na mnie, Jessice i Grace. - Opadła na krzesło i zaczęła wachlować się chusteczką. - Czy przyznał się do napadów i morderstw?

- Nie, jeszcze nie.

- Ale są pewni, że to jeden z gangu? Nie wypuszczą go na wolność, prawda?

W jej głosie brzmiała panika, więc Daniel pospieszył ją uspokoić.

- Nie, na pewno go nie wypuszczą.

Rebeka wbiła wzrok w podłogę.

- Och, Boże... ręce mi się trzęsą. Nie jestem przyzwyczajona do tak mocnych wrażeń, a ten ostatni tydzień był wprost okropny. Najpierw ten napad na bank, potem artykuł w gazecie mówiący, że jestem świadkiem... i jeszcze ten pożar wczorajszej nocy. To po prostu... zbyt wiele... zbyt wiele... -

Jej głos się załamał.

Daniel przysiadł na krawędzi biurka i spojrzał jej w oczy.

- Wiem, jakie to dla pani trudne, ale...

- Nic pan nie wie! - wykrzyknęła ze łzami w oczach. - A... ja... tak... strasznie... się boję! - To powiedziawszy rozplakała się. - Byłam takim tchórzem! Ale teraz nadszedł czas, bym zrobiła to, co do mnie należy! Nie musicie zawracać głowy Jessice, ani Grace, bo...

Urwała. Daniel nachylił się nad nią i przybrał współczujący

wyraz twarzy, a Cole podał dziewczynie szklankę wody.

- Proszę to wypić - rzekł.

Rebeka wytarła twarz chusteczką i spojrzała na nich z obawą.

- Proszę, postarajcie się mnie zrozumieć. Nie chciałam, by ktokolwiek się dowiedział... Jestem zaręczona z najcudowniejszym człowiekiem na świecie. Jest szanowanym biznesmenem i bardzo dba o swoją reputację. Taki skandal mógłby go zrujnować. Pięć lat zbierał się na odwagę, by mi się oświadczyć. Myślałam, że będę mogła wrócić do domu i udawać, że nic się nie wydarzyło... Sądziłam, że prędzej czy później złapiecie tych zbirów. Mój narzeczony obraca się w bardzo bogatym, snobistycznym środowisku... czy już rozumiecie, dlaczego milczałam?

- Rebeko, co ty chcesz nam powiedzieć? - spytał Cole.

- Że to ja jestem waszym świadkiem. To ja schowałam się pod tym biurkiem, gdy do banku wpadł gang z Blackwater, Ta torebka, którą znaleźliście, należy do mnie.

Obaj szeryfowie usiłowali ukryć, jakie wrażenie wywarła na nich ta wiadomość. Cole doznał

ogromnego uczucia ulgi, że to nie Jessika siedziała pod tym biurkiem w banku, lecz zaraz ukłuły go wyrzuty sumienia. Daniel poczuł, że serce zaraz mu pęknie z podniecenia. Była tam. Rebeka James tam była i wszystko widziała.

- Oni będą się starali mnie zabić, prawda? - wyszeptała.

- Ochronimy cię - obiecał pospiesznie Cole.

- Będziecie się starać, ale oni i tak znajdą sposób, by mnie uciszyć.

- Nie pozwolimy, by ktokolwiek cię skrzywdził - przyrzekł Ryan.

Rebeka otarła łzy z policzków.

- Wiem, że powinnam była powiedzieć to wcześniej, ale tak bardzo się bałam... Chciałam udawać, że to się w ogóle nie zdarzyło. I miałam nadzieję, że bez mojej pomocy także ich złapiecie.

Tak bardzo mi przykro, że skłamałam... Takie tchórzostwo jest do mnie zupełnie niepodobne... Nie wiem, co mnie opętało.

- Bałaś się - rzekł Cole ze zrozumieniem.

- Tak - szepnęła. - A teraz biedna Jessika i Grace zostały przeze mnie wciągnięte w ten koszmar. Żadna z nich nie była w banku tuż przed zamknięciem... Wiem na pewno, bo ja tam byłam...

Gdybym miała odwagę wcześniej wam to powiedzieć, nie musiałyby teraz drżeć o swoje życie.

- Widziano cię w banku wcześniej tamtego dnia - odezwał się Cole.

- Tak... byłam tam, ale później wróciłam. Musiałam dokończyć załatwianie pewnej sprawy.

Myślałam, że uda mi się po prostu wejść na chwilę i... - Na twarzy dziewczyny pojawił się smutek. -

Pojadę z wami do Blackwater i przyjrzę się temu schwytanemu mężczyźnie - wyszeptała. - Jeżeli to jeden z rabusiów, wskażę go i będę zeznawać przeciwko niemu w sądzie. - Przerwała na chwilę, by wytrzeć łzę spływającą po policzku. - Błagam was... Pozwólcie Grace i Jessice odejść w spokoju i zająć się własnymi sprawami... Wiem, że chcą jak najszybciej wyjechać z tego miasta i uważam, że powinniście im na to pozwolić. Nie możecie ich prześladować ani karać za to, że ja zachowałam się jak tchórz. I nie musicie się martwić, że gang z Blackwater będzie je prześladować... długo o tym myślałam i wpadłam na doskonały sposób, który zapewni im bezpieczeństwo.

- A cóż to takiego? - spytał uprzejmie Daniel.

- Zamierzam udzielić wywiadu temu wścibskiemu reporterowi i powiedzieć mu, że to ja jestem świadkiem napadu. Jestem pewna, że ukaże się to na pierwszej stronie jutrzejszego wydania...

zamierzam udać się do niego, gdy tylko skończę z wami rozmawiać.

Ryan gwałtownie potrząsał głową, a Cole odstawił na j biurko kubek kawy i postąpił krok w kierunku dziewczyny.

- Nie możemy ci na to pozwolić.

- Nie możecie mnie powstrzymać! - wykrzyknęła Rebeka z rozpaczą. - Zrobię, co w mojej mocy, by chronić Grace i Jessikę. To moja wina, że zostały wciągnięte w sam środek tego koszmaru!

Przy odrobinie szczęścia jeden z członków gangu zobaczy wywiad ze mną w gazecie i powie pozostałym... a wtedy zostawią te biedne kobiety w spokoju!

- A właśnie, że możemy cię powstrzymać! - odparł rozeźlony Daniel. - Nie będziesz rozmawiać z żadnym reporterem. Zrozumiano?

- Ależ muszę przekonać wszystkich, że to nie Grace ani Jessika były w banku, tylko ja! Nie rozumiecie tego? Od kilku dni mieszkańcy tego miasteczka traktują je niczym trędowate! A przecież nie zrobiły nic złego.

W głosie panny James zaczęły pobrzmiwać histeryczne nutki i Cole pospiesznie spróbował ją

uspokoić.

- Ty też nie zrobiłaś nic złego, Rebeko. Po prostu byłaś w nieodpowiednim miejscu, w nieodpowiednim czasie.

- Czy Grace i Jessika wiedzą, że przysłałaś tu do nas i się przyznałaś? - zapytał Daniel. - Czy kiedy Sloan zamknął was razem w celi, powiedziałaś im, że to ty jesteś świadkiem napadu? Czy to dlatego opowiadałyście wszystkie trzy tę samą historię?

Na twarzy dziewczyny pojawił się wyraz zaskoczenia.

- One obie były wtedy bardzo przestraszone... Pamiętam, że mówiłam im, co dokładnie zamierzam wam powiedzieć, Dlaczego pytacie? Czyżby powtórzyły wam moją historię?

Żaden z szeryfów nie odpowiedział na jej pytanie.

- Czy powiedziałaś im, że widziałaś napad i morderstwa? - naciskał Cole.

- No... nie, ale podejrzewam, że się domyśliły. Ochraniały

mnie... nic wam nie powiedziały, bo chciały mnie osłonić. Obie mają złote serca... Mogę się spakować i być gotowa za godzinę... Chciałabym wyruszyć jak najszybciej.

Skinieniem brody Daniel poprosił Cole'a na słówko na osobności; wychodząc na dwór zostawili drzwi otwarte, lecz mówili tak cicho, żeby Rebeka nie mogła dosłyszeć, o czym rozmawiają.

- Ona nie może się zbliżyć do reportera - mruknął Daniel.

- Oczywiście - zgodził się Cole. - Ale z drugiej strony ma

rację, że trzeba jak najszybciej stąd wyjechać.

- Chciałem zaczekać...

- Na co? - zniecierpliwił się Cole.

- Szeryf federalny Cooper wraz z kilkoma pomocnikami wyruszył niedawno z Salt Lake City, by nam pomóc. Powinni być tu lada moment, więc chciałbym na nich zaczekać. Mogliby zająć się Jessiką i Grace, kiedy my będziemy eskortować Reбекę do Blackwater.

- A jeżeli Grace i Jessika zechcą wyjechać z Rockford Falls? Czy będą bezpieczne?

- Taak - odrzekł Daniel. - Już Cooper i jego ludzie tego dopilnują.

- Ufasz mu?

- Taak, to dobry człowiek - burknął Daniel Ryan. - Już nie raz z nim pracowałem... Zaufaj mi, wiem,

co mówię. Cooper zna się na tej robocie jak nikt inny.

W tej chwili usłyszeli, że Rebeka znowu płacze, więc natychmiast do niej pospieszyli.

- Dopadną mnie, prawda?

Cole już chciał skłamać, lecz Daniel go uprzedził... i był niezwykle szczery w odpowiedzi na pytanie dziewczyny.

- Taak, bardzo prawdopodobne, że będą się starali cię unieszkodliwić... ale my im nie damy.

- Musimy wyjechać jak najszybciej. Dzisiaj, teraz - nalegała ze łzami w oczach. - Nie zostanę tu ani chwili dłużej. To zbyt niebezpieczne.

- Zanim podejmiemy jakąkolwiek decyzję, musisz nam dokładnie opowiedzieć o tym, co wydarzyło się w banku.

- Nie, musimy się zbierać! Opowiem wam o wszystkim w pociągu... tam będę bezpieczna.

- Rebeko, musimy znać wszystkie szczegóły, i to natychmiast - nalegał Daniel.

Teraz płakała już naprawdę przerażona i drżała na całym ciele.

- To było okropne - wyszeptała zaciskając dłonie w pięści. - Pamiętam, że bardzo się spieszyłam i bardzo byłam zniecierpliwiona stanieniem w kolejce. Nie rozmawiałam z żadnym z pozostałych klientów... Było tuż przed trzecią i bałam

się, że pan MacCorkle zamknie bank, zanim zdążę wszystko załatwić. Och, mój Boże... Franklin mnie obsługiwał, a teraz nie żyje! Poznałam go w kościele... taki był z niego miły człowiek!

Zanim zdążyła cokolwiek dodać, do biura wpadł zdyszany posłaniec z hotelu. Był to młody, wysoki i niezgrabny młodzieniec o twarzy pokrytej pryszczami.

- Szeryfie Ryan? Przepraszam, że przeszkadzam, ale powiedziano mi, że mam jak najszybciej przekazać panu wiadomość. - Podając zalakowaną kopertę Danielowi, przyglądał się z niepokojem płaczącej kobiecie. - Dlaczego ona płacze? Nikt nie raczył mu odpowiedzieć. - Czy mogę coś dla pani zrobić?

Rebeka potrząsnęła głową; młodzieniec wzruszył więc ramionami i spytał Daniela, czy ma zaczekać na odpowiedź. Ryan przeczytał wiadomość i zastanowił się chwilę.

- Proszę, przekaz pannie Winthrop, że stawię się w hotelu za kilkanaście minut.

- Ale ona powiedziała, że to bardzo pilne, szeryfie - rzekł młodzik z naciskiem. - Panienska chce wyjechać z miasta... sama mi to powiedziała na krótko przed tym, jak przyszedł do niej doktor Lawrence.

- Więc wróć do hotelu i powiedz panie Winthrop, że przyjdę, gdy tylko dopilnuję tu paru spraw.

- Ona nie jest żadną panną Winthrop - burknął posłaniec już od progu. - To lady Winthrop...

ona pochodzi z angielskiej szlacheckiej rodziny... jest utytułowana.

Ale Daniel nie zwracał na niego żadnej uwagi; Rebeka ocierała sobie łzy chusteczką Cole'a.

Gdy tylko za młodzieńcem zamknęły się drzwi, Ryan odwrócił się do dziewczyny zarzucił ją pytaniami.

- Ilu było bandytów?

- Siedmiu - odparła. - Widziałam siedmiu mężczyzn... ale nie widziałam wszystkich twarzy.

- Zaczynij od początku - odezwał się Cole. - Opowiedz nam wszystko, co pamiętasz.

Rebeka skłoniła głowę, przymknęła oczy, a potem opowiedziała im ze szczegółami o rzezi w banku, chlapiąc i kurczowo trzymając Cole'a za rękę.

- To wszystko znowu do mnie wróciło... cały ten koszmar... to tak, jakbym znowu tam była...

Cole uściśnął jej dłoń.

- Wiemy, jakie to dla ciebie trudne - rzekł współczująco. - Ale bardzo nam pomagasz - dodał

Daniel, na co Cole energicznie pokiwał głową.

- Czy mamy jeszcze jakieś pytania, Daniel?

- Nie... na razie to wszystko.

Rebeka wstała i odetchnęła głęboko, by się uspokoić.

- Złapcie ich wszystkich, prawda? Obiecujcie!

- Oczywiście, że obiecujemy - odpowiedział natychmiast Cole.

Daniel odprowadził dziewczynę do drzwi.

- Może najpierw trochę odpoczniesz, a dopiero potem zaczniesz się pakować. W ten sposób niczego nie zapomnisz.

- Czy się to wam podoba, czy nie, jeszcze dziś wyjadę z tego miasta - zagroziła. - Jeżeli macie w sercach choć odrobinę przyzwoitości, nie powiecie Grace ani Jessice, że to ja jestem świadkiem. To by je tylko zdenerwowało... a ja nie chcę, by mną pogardzały za to, że stchórzyłam i wcześniej się nie przyznałam.

- Jestem pewien, że obie doskonale rozumiałyby twoje motywy, ale o nic się nie martw. Ani Cole, ani ja nie mamy skłonności do paplania. I jeszcze dziś wyjedziemy z Rockford Falls - obiecał

Daniel Ryan.

- Dziękuję... będę gotowa do wyjazdu za godzinę.

Młody człowiek czekający na Rebekeę za drzwiami, odeskortował ją do hotelu. Zaproponował, by poszli jedną z węższych uliczek, równoległych do głównej, na co dziewczyna zgodziła się bez wahania. Strażnik uzbrojony był w dwa sześciostrzałowe rewolwery i strzelbę; Daniel zauważył, jak rozgląda się na boki podążając za Rebeką. Teraz już był przekonany, że jego świadek znajduje się w dobrych rękach.

- Co napisała ci Grace? Co było aż takie pilne? - zapytał Cole.

- Napisała tylko, że chce ze mną porozmawiać w hotelu, zanim wyjedzie z miasta. Wyobraża sobie, że wstanie z łóżka tak ot, i wsiądzie na wóz. Ta kobieta nie ma pojęcia, o czym mówi!

- Jest po prostu zdeterminowana - odrzekł Cole. - Obawiam się, że jeżeli się nie pospieszysz, możesz jej nie zastać.

- Nie możemy jej pozwolić na wyjazd... w każdym razie nie samej - odparł Daniel. - Cooper będzie ich pilnował, dopóki ostatni z członków gangu z Blackwater nie zostanie schwytany.

- Ale to może być cholernie długo...

- Nie sądzę - odpowiedział Daniel. - Jeżeli członkowie gangu dowiedzą się o Rebecę, zrobią wszystko, co w ich mocy, by ją zabić. A wtedy już my ich dopadniemy! Inaczej nie nazywam się Daniel Ryan!

- Chcesz jej użyć jako przynęty, prawda?

- Zamierzam dowieść ją do Blackwater żywą!

Cole skinął głową.

- Tak właśnie myślałem, że to Rebeka jest świadkiem... może to było tylko przeczucie? Nie...

to nieprawda... po prostu miałem nadzieję, że to nie Jessika.

- Rozumiem. Ona i tak aż za dużo dźwiga na swoich barkach... sama wychowuje dziecko i w ogóle.

Cole właśnie wyglądał przez okno na ulicę.

- Czy nie mówiłeś, że Grace chce się z tobą spotkać w hotelu?

- Tak mi napisała - odparł Daniel.

- Właśnie przechodzi przez ulicę, a Sloan depcze jej po piętach.

- A niech to szlag...

Daniel wybiegł z biura w chwili, gdy Grace wchodziła na schodki. Złapał ją za rękę i pociągnął do środka.

- Co ty tu robisz, na miłość boską?

Jego zaniepokojenie było uzasadnione: dziewczyna była blada jak płótno i wyglądała tak, jakby miała lada chwila zemdleć. Lewa strona jej twarzy nadal była podpuchnięta; Daniel miał ochotę wziąć ją w ramiona i zanieść z powrotem do hotelu. Przyciągnąwszy ją do siebie, wyjrzał na ulicę i zobaczył, że Sloan opiera się o żerdkę do przywiązywania koni.

- Musiałam się z wami zobaczyć - wyjaśniła. - Szeryf

właśnie jadł śniadanie, więc wyśliznęłam się bocznymi

drzwiami.

- Zobaczyłem ją w ostatniej chwili, gdy zbiegała po schodach - wtrącił Sloan. - Musiałem zostawić talerz pełen jedzenia, by za nią gonić.

Grace z trudem panowała nad złością.

- Danielu, muszę z tobą porozmawiać. Przykro mi, że jest ci to teraz nie na rękę, ale to, co mam ci do powiedzenia jest ogromnie ważne. - Rozejrzała się dokoła i spytała: - Nie ma tu jeszcze Jessiki? Przecież powiedziałeś, że mamy się tu spotkać dziś rano?

- York odprowadził ją do domu doktora Lawrence'a, by zaopiekowała się Tilly - wyjaśnił

Sloan. - Zabrała ze sobą dziecko.

- Co wy, baby, wyprawiacie, u Boga Ojca? - warknął Cole. - Trzech potencjalnych świadków napadu i morderstwa płacze się po mieście i uważa, że wszystko jest w porządku. To by wytrąciło z równowagi nawet świętego! Zaraz idę do domu Lawrence'a i zabiorę Jessikę z powrotem do hotelu. -

Potem, spoglądając groźnie na Sloana, dodał: - Nawet gdybym miał ją zaciągnąć za kołnierz!

Szeryf Sloan szedł wściektemu Cole'owi z drogi, a Daniel zatrzasnął mu drzwi przed nosem, żeby mogli z Grace spokojnie porozmawiać.

- Dlaczego Cole jest taki zdenerwowany?

- Bo ty, Rebeka i Jessika uniemożliwiacie nam ochranianie was!

- Nie sądzę, by w jasny dzień, w środku miasta mogło nam coś grozić...

Nie pozwolił jej dokończyć.

- Zaraz odprowadzę cię do hotelu!

- Nie! Muszę ci coś powiedzieć! To bardzo ważne, Danielu.

Usiłowała oderwać się od niego, gdyż trzymanie go za rękę w takiej sytuacji mogło być poczytane za oznakę słabości. Bała się tak bardzo, że nie potrafiła pozbierać myśli. To, co zamierzała zrobić, nieodwracalnie zmieni jej przyszłość i wszystkie jej marzenia legną w gruzach. Wiedziała jednak, że nie ma wyboru.

Daniel poddał się. Niech mówi.

- No, dobrze, Grace. Co chcesz mi powiedzieć?

- To ja jestem waszym świadkiem - wypaliła bez ostrzeżenia. - To ja chowałam się pod biurkiem w dniu napadu.

Zdawało się, że Ryan zupełnie nie zareagował na tę piorunującą wiadomość; tylko mały mięsień drgał mu z boku szczęki.

- To ty jesteś świadkiem napadu, tak? - upewnił się.

- Tak. Przepraszam, że nie miałam odwagi przyznać się wcześniej... ale tak bardzo się bałam.

Jessiki i Rebeki nie było niż w banku... mówiły prawdę. Ale ja kłamałam, i wiem, że narobiłam im tym sporych kłopotów. Czy teraz zostawicie je w spokoju i pozwolicie im wyjechać z miasta?

Daniel z początku nic nie powiedział. Coś mu podpowiadało, że Grace Winthrop kłamie; im dłużej stał naprzeciw niej patrzył jej w oczy, tym większa ogarniała go złość.

- Ilu było napastników?

- Siedmiu - odrzekła bez zastanowienia.

W jej oczach błyszczały łzy i Daniel nagle miał ochotę wziąć ją w ramiona i pocieszyć... a potem zaraz zamordować. Nie poddał się żadnej z tych chęci.

- No, dobrze... teraz odprowadzę cię do hotelu... tam mi o wszystkim opowiesz.

- Ale ja martwię się o Jessikę i Rebeke! - wykrzyknęła. - Wpadłam na doskonały pomysł... jak dopilnować, by nic więcej już im nie groziło.

Daniel odgadł, o czym Grace mówi, i jęknął cicho.

- O, do diabła, chyba nie zdążyłaś porozmawiać z reporterem, co?

To pytanie zaskoczyło dziewczynę, gdyż sam pomysł przyszedł jej do głowy dopiero przed chwilą.

- Nie, ale zamierzam - odparła. - Pomyślałam sobie, że pójde do redakcji gazety i poproszę urzędującego tam dżentelmena, by wydrukował prawdę w jutrzejszym wydaniu. Jestem pewna, że ten wścibski reporter wysłucha tego, co mam mu do powiedzenia.

- Nie będziesz rozmawiać z nikim z gazety - warknął gniewnie Ryan i uścisnął jej dłoń na znak, że nie żartuje.

Grace była zaskoczona jego wybuchem. Dopiero teraz, gdy zobaczyła, że jego błękitne oczy przybrały kolor zimowego nieba, zrozumiała, jak bardzo jest wściekły. Pochyliła głowę.

- Myślałam, że ucieszysz się z mojego wyznania - szepnęła. - Zupełnie nie rozumiem twojej złości, Danielu.

Ryan odetchnął głęboko.

- Czy mówisz mi prawdę, Grace? - spytał. - Czy to ty byłaś w banku tamtego dnia?

Wyrwała dłoń z jego uścisku i spojrzała mu gniewnie w oczy.

- Jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć.

- Taak? Niby co? - zapytał zjadliwie.

- Ten pożar... to nie był wypadek - wyznała. - Pamiętam, co się stało... pamiętam... jabłka.

- Jabłka? - powtórzył Daniel, nic nie rozumiejąc.

Grace skinęła głową.

- Nie mogłam zasnąć, co samo w sobie nie jest jeszcze takie dziwne. Nigdy nie spałam zbyt dobrze, nawet w dzieciństwie... A potem usłyszałam dziwne odgłosy dobiegające z dołu. Coś jakby pobrząkiwanie szkła.

- Nie rozumiem.

- No, wiesz... jak podczas toastu, gdy uderzasz swoim kieliszkiem o kieliszek innej osoby... To był właśnie taki dźwięk.

- I co zrobiłaś?

- Tilly nie czuła się najlepiej, więc nie chciałam jej niepokoić... założyłam więc szlafrok i bambosze i zesłam na dół, zobaczyć o co chodzi. Gdyby ktoś pukał do drzwi, na pewno bym nie otworzyła... miałam zamiar powiedzieć temu

komuś, kto łomotał na dole, by przyszedł rano. Ale gdy doszłam do holu, zobaczyłam, że okno w

jadalni jest szeroko otwarte. Wiatr rozwiewał zasłony... to mnie bardzo zaniepokoiło, gdyż sama wieczorem zamykałam to okno... a ostatnia kładłam się spać.

- I co potem?

- Poszłam do jadalni, by zamknąć to okno i wtedy poczułam zapach węgla i oleju.

- Masz na myśli naftę?

- Taak, właśnie. Oparłam się rękoma o parapet, a on cały mazany był czymś tłustym... takim, jak nafta. Zupełnie, jakby ktoś dopiero co ją tam wylał.

- I co dalej?

- Po kolacji Tilly postawiła na stole w kuchni koszyk jabłek... dostała je od jednej z córek.

- A co mają z tym wszystkim wspólnego jabłka?

- Poczułam ich zapach. Wiem, że to wydaje się szalone... ale jestem pewna, że ktoś, kto polał

parapet naftą, poczęstował się jednym z jabłek. Chciałam pobiec na górę, by obudzić Tilly i Jessikę, ale bałam się poruszyć. Widziałam, że drzwi między jadalnią a kuchnią są uchylone i słyszałam cichutkie skrzypienie podłogi, jakby ktoś chodził po kuchni. Potem, kątem oka zobaczyłam, że ktoś ku mnie idzie... czułam to. Odwróciłam się, usiłowałam uciekać... krzyczałam... ale nie wiem, czy wydałam z siebie jakikolwiek dźwięk...

- I potem ktoś uderzył cię w głowę, tak?

- Tego nie pamiętam. Pamiętam tylko, że się odwróciłam... a potem ty się nade mną pochylałeś... i byłam już na zewnątrz, a dom płonął. Gdyby Jessika mnie nie odnalazła i nie wyciągnęła, spłonęłabym tam żywcem! To ja jestem waszym świadkiem - powtórzyła szeptem. - Nie chcę, by Jessice, czy Rebecce stało się coś złego. One są niewinne.

Daniel nie mógł się powstrzymać; wyciągnął rękę i delikatnie otarł łzę spływającą po jej policzku.

- Ty także jesteś niewinna. Grace.

Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy. Ryan miał ogromną ochotę pomóc jej, opiekować się nią i chronić ją przed złem tego świata. Jego żona i córka zginęły, bo on nie potrafił ich obronić, ale teraz postanowił, że to się nie powtórzy. Zrobi, co w jego mocy, by Grace nic się nie stało. Nie spuści jej z oczu. Każdy, kto by chciał ją skrzywdzić, będzie musiał zabić najpierw jego.

- Danielu, nic ci nie jest?

- Nie, wszystko w porządku.

- Wyglądasz na okropnie... wściekłego.

- Nie chcę, by stało ci się coś złego, Grace.

Trzymał ją za ramiona i z napięciem patrzył jej w oczy. Jego uścisk sprawiał jej ból, lecz wiedziała, że jeżeli mu to powie, będzie mu przykro. Delikatnie wyswobodziła się z jego uchwytu.

- Nic złego mi się nie stanie.

- Będę cię chronić.

- Wiem o tym - odparła zgodnie. - A ja muszę chronić Jessikę i Caleba.

Ryan uniósł brwi ze zdumieniem.

- Dlaczego? - spytał.

- Bo ona ryzykowała dla mnie... bo uratowała mi życie - odpowiedziała po prostu.

- A co z Rebeką? Czy za nią też czujesz się odpowiedzialna?

- W pewnym sensie tak. Była dla mnie bardzo dobra i miła.

Daniel objął ją za ramiona.

- Chodźmy. Zabieram panią do hotelu, panno Winthrop. Nie, tak nie można - dodał z uśmiechem. - Przecież jesteś lady Winthrop! Czyż nie?

- Nie, Danielu. Jestem Grace. Zwyczajna Grace.

- Oj, Grace, Grace. W tobie nie ma nic zwyczajnego!

Dziecko było na linii strzału. Co prawda bardzo chciał najpierw zastrzelić chłopca, lecz wtedy matka miałaby okazję gdzieś się schować, a to ona była głównym celem. Szef bardzo wyraźnie podkreślił, że to kobieta musi zginąć. U jej boku kroczył młody zastępca szeryfa, uzbrojony po zęby i czujnie rozglądający się na boki, który, przy odrobinie pecha, może wpakować w człowieka kulkę przy jednym nieostrożnym posunięciu.

Johnson poprawił się nieco; leżał na brzuchu na dachu sklepu skąd miał doskonały widok na trójkę idącą ulicą. Postanowił zaczekać, aż przejdą na drugą stronę. Wiedział, że ze swojego ukochanego Winchestera na pewno nie chybi. Cierpliwości, powiedział sobie i poczuł nagły przypływ podniecenia. Najpierw zastępca szeryfa, potem kobieta, a na końcu dziecko. Raz, dwa, trzy - lekko, łatwo i przyjemnie. Czekanie podniecało go; dreszczyk emocji poprzedzający każde zabójstwo przypominał ten, który odczuwał przy zbliżeniach z kobietą. Nie... był lepszy.

Znacznie lepszy.

Trójka ludzi na chodniku szła wolno, niespiesznie, głupio pewna siebie i cudownie nieświadoma czyhającego zagrożenia. Nie wiedzieli, że zostali im zaledwie sekundy życia. Ich kat uśmiechnął się ponuro, a potem zaśmiał cicho, jak młody chłopak.

Jessika sprzeczała się ze swoim strażnikiem; teraz, gdy już odwiedziła Tilly, chciała iść do więzienia na umówione spotkanie z szeryfami, lecz ponury zastępca wybrany do jej ochrony przez szeryfa Sloana nalegał, żeby wracali do hotelu. Ogromny mężczyzna o smutnej twarzy był raczej dość pospolicie wyglądającym farmerem, którego jedyną dumą były sumiaste, ogromne wąsy. Czarne włosy rosnące na jego górnej wardze kręciły się ku górze, a dzięki pomadzie, którą je smarował, były tak sztywne, że nie ruszały się nawet wtedy, gdy ich właściciel mówił.

Schodząc z chodnika na ulicę, Jessika wzięła Caleba za rączkę. York ujął ją pod ramię i robił, co w jego mocy, by wyglądało na to, że to on ją przeprowadza przez ulicę, choć tak naprawdę to ona ciągnęła go za sobą. Na drodze wiodącej do domu doktora Lawrence'a nie było żadnego ruchu, gdyż kończyła się ślepo zaraz za następnym budynkiem. Kiedy Caleb krzyknął, że chce pobiec przodem, Jessika upewniła się, że nic malcowi nie grozi i puściła jego rączkę.

Cole właśnie pojawił się na zakręcie ulicy i szedł długimi krokami w ich stronę, gdy Caleb go zauważył. Ruszył biegiem, lecz zanim dotarł do swego ogromnego przyjaciela, potknął się dwa czy trzy razy i przewrócił w pył ulicy; nie zrażając się tym jednak, szybko wstawał na pulchne nóżki i biegł dalej. Jessika i York wydłużyli kroki, by go dogonić. Caleb cały czas mruczał coś pod nosem i uśmiechał się radośnie, a dziewczyna obserwowała go z dumą. Chłopczyk zatrzymał się jakieś dziesięć metrów od Cole'a i podniósłszy rączki wrzasnął:

- Podnieś!

W tej samej chwili Johnson przysunął się do krawędzi dachu, uniósł Winchestera i wypalił.

Niczym figurka na strzelnicy w wesołym miasteczku zastępca szeryfa York upadł twarzą w kurz ulicy.

Jessika wrzasnęła. Kula przeszła prosto przez serce mężczyzny, tak, jak Johnson zamierzał.

Nigdy nie chybiał. Dziewczyna upadła na kolana przy martwym ciele mężczyzny próbując odwrócić go na plecy. Wszędzie dokoła była krew: na jej spódnicy, rękach, na drodze...

- Panie York! - Jęknęła. - Nie... Och, Boże, nie... nie... panie York...

Sięgnęła po rewolwer do kabury, którą miał na biodrze, lecz w tej samej chwili następny strzał

wyrzucił w powietrze garść piasku tuż obok leżącego. Krzyknęła przeraźliwie i wypuściła broń z rąk, po czym znowu ją schwyciła.

- Na ziemię! - ryczał Cole biegnąc ku niej, ile sił w nogach. Wiedział, że strzały padają z dachu sklepu po przeciwnej stronie ulicy, lecz nie widział, gdzie dokładnie czai się zamachowiec.

Chciał, by Jessika ukryła się, by przyłgnęła do ziemi i jak najszybciej wycofała się spod ostrzału, lecz ona go nie słuchała.

Mrużąc oczy od słońca, spojrzała na dach sklepu i uniosła rewolwer; trzęsła się tak bardzo, że omal znowu go nie wypuściła, lecz gdy wreszcie wystrzeliła, kula nie doleciała do dachu, tylko wybiła okno na drugim piętrze. Odgłos wystrzałów przeraził Caleba, który teraz pędził z powrotem do matki.

- Nie! - krzyknęła przerażona Jessika.

Johnson przyglądał się, jak biegnie do swego dziecka. Bawił się nią. Jej strachem. Sprawiało mu to tak wielką przyjemność, że nie mógł się powstrzymać. Wiedział, że powinien wykonać swoje zadanie jak najszybciej, lecz cóż złego w tym, że pobawi się z tą głupią babą w kotka i myszkę?

Wyraz śmiertelnego przerażenia na twarzy ofiary tylko zwiększał jego przyjemność. Chłopiec bardzo szybko wrócił w zasięg jego strzału - jak to miło! Rozradowany Johnson znowu zastanowił się, czy nie warto byłoby zastrzelić małego przed matką. Jak fajnie byłoby zobaczyć jej minę...

Jessika biegła zbyt szybko, by mógł ją trafić. Musimy jakoś temu zaradzić, pomyślał

oprzytyk, wybuchnął obłąkańczym śmiechem i strzelił jej tuż pod stopy. Zatrzymała się jak wryta.

- Tak już lepiej - szepnął, ale w tym momencie dziewczyna znowu ruszyła, więc ponownie wystrzelił. Kurz i piach buchnęły jej prosto w twarz.

Po chwili Jessika znowu ruszyła przed siebie. Johnson zastanawiał się, czy pójdzie prosto do nieba. Ciekawe, czy była tak niewinna, jak wyglądała? Nie... na pewno nie. Nie ma czegoś takiego jak niewinna kobieta. A jemu wcale nie przeszkadzało, że zamiast do nieba, pošle tę damulkę prosto do piekła. Ale najpierw będzie musiała trochę pocierpieć. Takie były zasady tej gry.

- No, dosyć tego dobrego - szepnął mierząc prosto w brzuch dziewczyny.

Minęło zaledwie kilka sekund, odkąd rozbrzmiał pierwszy strzał, lecz dla Cole'a była to wieczność.

Kiedy wreszcie dopadł Jessiki, porwał ją w ramiona i rzucił na ziemię, przetaczając się tak, że leżał na niej i własnym ciałem chronił przed kulami. W ułamku sekundy wyciągnął broń i mrużąc oczy w słońcu, wpatrywał się w dach nad sklepem. Tam... w rogu... błysk słońca na metalu...

- Mam cię - mruknął... i w tej samej chwili otworzył ogień. Drugi strzał trafił celu; bandyta szarpnął się i wstał, potem zgął się wpół i przechyliwszy przez barierkę, spadł z dachu. Mimo to Cole nie przestawał strzelać i trafił go jeszcze trzy razy, zanim bandzior uderzył o ziemię.

Powoli wstał i podszedł do mordercy; w uszach dźwięczały mu wrzaski Caleba, który siedział

w kurzu ulicy i wołał matkę. Jessika wstała i podeszła do niego chwiejnym krokiem. Była tak słaba, że gdy wzięła dziecko na ręce, opadła pod jego ciężarem na kolana. Malec objął ją za szyję i przytulił się do niej ze wszystkich sił, a ona kołysała się w przód i w tył nadal nie mogąc otrząsnąć się z szoku i płacząc cicho.

Daniel usłyszał strzały; wybiegł z biura szeryfa i popędził ku domowi doktora Lawrence'a.

Zobaczywszy Jessikę klęczącą po środku ulicy, zwolnił, by zobaczyć, czy nic się jej nie stało, po czym podszedł do Cole'a. Dysząc ciężko, przyglądał się, jak jego towarzysz przewraca martwego mężczyznę na plecy. Przy upadku twarz mordercy została zmiażdżona tak okropnie, że nawet rodzona matka by go nie poznała.

- Wiesz, kto to taki? - zapytał Daniel.

Cole potrząsnął głową.

- Może Rebeka nam powie... jeżeli zdoła go rozpoznać. Prawdopodobnie był jednym z gangu.

- Taak... przed chwilą Grace powiedziała mi, że to ona jest naszym świadkiem. Że to ona ukrywała się w banku pod biurkiem. Przysięga na wszystko, że to prawda.

Cole spojrzał na niego zaskoczony.

- Która mówi prawdę?

- Nie wiem, niech to piekło pochłonie! - mruknął Ryan.

Kucnął obok zwłok bandyty i zaczął przetrząsać jego kieszenie w poszukiwaniu czegoś, co pomogłoby go zidentyfikować. Cole czekał jeszcze kilka minut, aż ochłonie, po czym powoli podszedł do Jessiki, która nadal klęczała po środku ulicy tuląc do siebie Caleba. Objął ją za ramiona i podniósł; usiłowała mu się wyrwać, lecz na darmo. Cole zobaczył, że dziewczyna nadal ściska w dłoni rewolwer Yorka, więc odebrał jej go pospiesznie i odrzucił.

Caleb wyciągnął do niego rączki, lecz Jessika nie wypuściła synka z objęć. Drżała na całym ciele i oddychała szybko, urywanie.

- Dlaczego, u wszystkich diabłów, nie padłaś na ziemię, gdy ci kazałem? - zapytał Cole bardzo

łagodnie.

To, co powiedział, i sposób, w jaki to powiedział, zaskoczyły dziewczynę. Nie potrafiła rozpoznać, czy jest na nią wściekły, czy nie.

- Co powiedziałaś?

- Poprosiłem, żebyś mi wyjaśniła, dlaczego nie padłaś na ziemię i nie usiłowałaś się schować, chociaż ci kazałem? - powtórzył jeszcze łagodniej.

- Jesteś zły?

- Jestem wściekły.

- I masz ogromną ochotę na mnie nawrzeszczyć, prawda?

- Prawda - przyznał spokojnie. - Ale nie zrobię tego. To by tylko zdenerwowało Caleba... poza tym, to bezcelowe. Następnym razem, Jessiko, rób, co ci każę. I to od razu. Jak mam cię chronić, skoro mnie nie słuchasz?

- Następnym razem? - krzyknęła rozpaczliwie, na co Caleb wybuchnął płaczem.

- O, do diabła, popatrz, co narobiłaś - burknął Cole. W tym momencie podszedł do nich Daniel i bez pytania zabrał małego Jessice. Odwróciwszy się tak, by mały nie zobaczył zwłok, przytulił go i pogłaskał po plecach.

- Moje biedactwo - zamruczał czule. Maluch, uspokojony zadowolony z okazanej mu czułości, przytulił się do niego położywszy mu główkę na ramieniu, wsadził kciuka do buzi.

- Znalazłeś coś ciekawego? - zapytał Cole.

- Nie, nic - odparł Daniel. - Nie miał nic w kieszeniach.

Jessika złapała Cole'a za rękę; dopiero teraz dotarło do niej to, co powiedział.

- Nie zrobiłam tego, co mi kazałeś, bo nie mogłam myśleć

logicznie. Chciałam tylko ochronić mego synka przed tym

szaleńcem.

- Rozumiem - odparł. - Ale, Jessiko, ja nie mogę...

Uścisnęła mu dłoń i nie dała dokończyć.

- Przykro mi, jeżeli to cię drażni czy sprawia ci przykrość... ale przysięgam, że gdyby ta sytuacja miała się powtórzyć... znowu postąpię tak samo. Nikt nie skrzywdzi mego dziecka! Dobry Boże... nie

mogę na to pozwolić. Przecież on dzisiaj... prawie... on mógł zginąć!

Nie musiał jej do siebie przyciągać: sama padła mu w ramiona. Tuląc ją do siebie ze wszystkich sił, Cole szepnął:

- Chyba się nie rozpłaczysz, co? Wtedy Caleb znowu by się zdenerwował.

- Nie, nie będę płakać, ale zrozum mnie - szepnęła

- Przeze mnie zginął pan York. A to był taki miły człowiek! Gdyby nie ja, nic by mu się nie stało...

- Ciii... To nie twoja wina. Moja biedna... moja maleńka Teraz już nic ci nie grozi. Wiem, że to musiało być przerażające.

- Nie rozumiesz.

- Czego nie rozumiem, kochanie?

Cole był bardziej zaskoczony tym czułym wyrażeniem, niż Jessika. Zdumiało go to, że tak łatwo mu przyszło.

- Nie wiedziałam, jak wystrzelić z tego rewolweru.

- Świetnie sobie poradziłaś - zapewnił ją Cole.

- Nie, nieprawda - odrzekła spokojnie. - Musisz mnie nauczyć, jak się strzela.

- Jessie, wiem, że to było straszne, ale ten drań już nie żyje. Zastrzeliłem go. Potrafię cię ochronić... Zaufaj mi i pozwól mi w spokoju wykonywać moją pracę.

- Ufam ci i wierzę, że mnie ochronisz, ale muszę umieć sama chronić moje dziecko.

Daniel podał jej Caleba.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Taak. Nic się jej nie stało, jest tylko mocno wstrząśnięta.

- To ja - wypaliła nagle Jessika. - To ja tam byłam.

- Co takiego? - zapytał Daniel.

Cole pierwszy zrozumiał, o co chodzi dziewczynie.

- Niech no zgadnę - burknął.

Ale Jessica patrzyła Danielowi w oczy ponad jego ramieniem.

- To ja jestem waszym świadkiem.

- A niech to szlag - mruknął Daniel z cichym westchnieniem, a dziecko natychmiast powtórzyło przekleństwo.

- I co teraz? - spytał Cole zacieśniając uścisk dokoła ramion Jessiki. Przyszła do niego sama, lecz prędzej diabli go wezmą, niż ją teraz puści.

- Co tu się dzieje? - spytał Ryan czując wzburzoną w nim złość.

- Wiesz, co właśnie przyszło mi do głowy? - spytał nagle Cole. - Pod tym biurkiem musiał panować niezły tłok.

W biurze znajdującym się w tym samym budynku, co więzienie, aż roiło się od stróżów prawa. Szeryf federalny Jack Cooper, głównodowodzący z Salt Lake City i jego dwóch pomocników, Spencer i Cobb, dopiero co przyjechali do Rockford Falls. Podróżowali długo i szybko, więc byli zmęczeni, głodni i pokryci grubą warstwą kurzu.

Cooper był dobrym przyjacielem Daniela Ryana. W przeszłości nie raz pracowali wspólnie i choć w żadną z wcześniejszych spraw nie były zamieszane kobiety, wydawało się im, że ta jest najbardziej skomplikowana ze wszystkich. Podobnie jak Danielowi, Cooperowi nieobce były brutalne, często nielogiczne i dziwaczne zachowania przestępców.

Pewnego razu Jack Cooper eskortował do więzienia łagodnego, niewinnie wyglądającego, wykształconego księdza, który zabił szesnaście rudowłosych osób tylko dlatego, że uważał, iż kolor ich włosów wskazuje na to, że są dziećmi szatana. Szaleniec gadał jak najęty przez całą podróż, przeinaczając cytaty z Pisma Świętego, twierdząc, że co dzień, dokładnie w południe, Bóg do niego przemawia, i stanowczo odmawiając adwokata. Twierdził, że sam Bóg zstąpi z niebiosów i będzie zeznawał w jego sprawie. Na ironię sędzieja przewodniczący w jego procesie miał włosy koloru marchewki i nie tracąc czasu uznał go winnym i skazał na powieszenie.

Nie było rzeczy, której Cooper by nie zrobił czy nie widział. Mocno opalona twarz pobrużdżona zmarszczkami, brązowe, łagodne oczy i przedwcześnie posiwiałe włosy pasowałyby raczej do senatora niż do stróża prawa... lecz nie było lepszego detektywa niż Jack Cooper.

Przeczytawszy notatki Ryana, rzucił je na biurko i usiadł ciężko. Jego dwaj pomocnicy opierali się o ścianę tuż za jego plecami.

- Coś mi się zdaje, że pozwalasz, by te trzy panie wodziły cię za nos - mruknął wyciągając nogi przed siebie i krzyżując je w kostkach.

Cole właśnie wszedł do biura i usłyszał tę uwagę. Daniel przedstawił go Cooperowi i jego pomocnikom.

- To jest szeryf federalny Clayborne - rzekł. - Od niedawna na służbie.

Dwaj młodzieńcy pospiesznie uścisnęli mu dłoń, a na twarzy Spencera zagościł wyraz pełen zdziwienia i szacunku.

- Czy ma pan na imię Cole? - spytał. - Jest pan jednym z tych... braci Clayborne'ów?

- Taak - odparł Cole z lekkim zdziwieniem.

- Wiele o panu słyszałem, sir.

- Naprawdę? - Cole był ciekaw, co też ten młody człowiek mógł o nim słyszeć.

- O, tak, proszę pana - odrzekł Spencer. Potem, spojrzawszy na swego kolegę, wyszeptał: -

Clayborne'owie są w Montanie żywą legendą.

Cobb z uwielbieniem wpatrzył się w Cole'a, który przewrócił oczyma z irytacją, po czym wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Idźcie, chłopcy, do hotelu i umyjcie się po podróży. Potem coś zjedzcie i przejmijcie wartę.

Niech ludzie tego Sloana też odpoczną.

- Tak jest - powiedział służbiście Spencer. Pociągnął Cobba do drzwi, lecz jeszcze na chwilę zatrzymał się przed Cole'em. - Szeryfie Clayborne? Czy to prawda, co ludzie opowiadają o zdarzeniach w Springfield?

- Nie wierz we wszystko, co usłyszysz - poradził mu Cole z lekkim zniecierpliwieniem.

- Idź już, Spencer - rozkazał Jack Cooper. - Nie widzisz, że wprawiasz szeryfa Clayborne'a w zakłopotanie?

Cole roześmiał się głośno.

- Są strasznie młodzi - powiedział, gdy tylko zamknęły się drzwi.

- To prawda, że są młodzi - odrzekł Cooper. - Ale strzelają celnie i szybko, i obaj bardzo chcą być stróżami prawa. Są twardsi niż się wydaje.

Daniel spojrział na Cole'a.

- Postanowiłem, że trochę zmienimy nasz plan działania. Cooper zabierze Rebekę do Blackwater, a my zajmiemy się Grace i Jessiką. Pojedziemy różnymi drogami i we czwartek spotkamy się w Red Arrow.

- Doskonale - rzekł Cole.

- Uważam, że powinniśmy wszyscy jechać razem - wtrącił Cooper. - Ale Daniel sądzi, że będzie lepiej, gdy pojedziemy różnymi pociągami.

- Trzy piękne kobiety na pewno przyciągną uwagę - zauważył Cole.

- Jack właśnie mnie poinformował, że dostaliśmy oficjalny rozkaz podpisany przez sędziego Abbotta.

- Kto to jest Abbott?

- Sędzia z Salt Lake City - wyjaśnił Ryan. - Sędzia z Blackwater zatelegrafował do Salt Lake City i prosił Abbotta o zapewnienie mu naszej współpracy. Co prawda, nie ma żadnego prawa mówiącego, że mamy z nimi współpracować, ale uważam, że lepiej będzie zrobić to, o co proszą.

Jedna z tych kobiet widziała morderstwa i żeby miał mnie szlag trafić, będzie zeznawać w sądzie.

- Sędzia z Blackwater jest wściekły jak wszyscy diabli - wtrącił Cooper. - I wcale mu się nie dziwię. Najpierw Daniel telegrafuje do niego z wiadomością, że prawdopodobnie ma świadka, potem te panie mówią, że nie było ich w banku, a potem wszystkie trzy twierdzą, że tam były i widziały napad. Czy już doszliście do tego, która mówi prawdę? Która naprawdę jest świadkiem?

- Jeszcze nie - odparł Daniel. - Myślałem, że zdołam się zorientować, gdy podadzą mi więcej szczegółów.

- No i...?

- Każda opowiada własną wersję. To wyjątkowo irytujące.

- A gdybyście musieli zgadywać, na którą byście stawiali?

- Na Rebeke - odparli jednocześnie Cole i Daniel.

- A, to interesujące - mruknął Jack.

- Szczegóły, które nam opowiedziała, są bardzo przekonujące... Poza tym dość dokładnie opisała nam kilku członków gangu.

- Jessika na razie powiedziała nam niewiele.... nadal jest bardzo wstrząśnięta po tej strzelaninie dzisiaj rano.

- Muszę wam coś powiedzieć - rzekł Jack Cooper. - Te panie wielce mnie intrygują.

Doskonale rozumiem, dlaczego zaprzeczały, że były tamtego dnia w banku... rozumiem, że się bały.

Na pewno wszystkie słyszały, co się stało z poprzednimi naszymi świadkami... Ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego naraz wszystkie trzy zmieniły śpiewkę i twierdzą, że tam były.

- Daniel uważa, że połączyły swe siły i kryją się nawzajem - wyjaśnił Cole. - Szeryf Sloan wsadził je swego czasu do jednej celi i Daniel uważa, że to wtedy uknuły swój plan.

- Co wy właściwie o nich wiecie? Czy zdążyliście już dowiedzieć się czegoś o nich samych?

Skąd one się tu znalazły?

- Na razie wiemy bardzo niewiele... - odparł Ryan. - Kazałem każdą sprawdzić, ale sam wiesz, jak powolne są tego typu dochodzenia. Zanim dostanę jakiegokolwiek informacje, pewnie już dawno będziemy w Blackwater. Wiem to i owo. ale jeszcze nic nie zostało zweryfikowane ani potwierdzone.

- Na przykład co? - chciał wiedzieć Cooper.

- Ludzie w Rockford Falls wiedzą, że Rebeka James urodziła się w Nowym Jorku, gdzie mieszkała wraz z rodzicami i ośmiorgiem rodzeństwa w dwóch pokojach. Oboje rodzice bardzo szybko zapili się na śmierć. Rebeka sama zatroszczyła się o swoje wykształcenie i jakieś trzy lata temu przeprowadziła się do St. Louis zrywając wszelkie kontakty z rodziną. Tak poznała szanowanego biznesmena, którego ma zamiar poślubić na jesieni. Co niedzielę chodzi do kościoła, a w ciągu tygodnia pracuje w bibliotece.

- Jeżeli naprawdę jest zakochana, będzie się starała go ochronić. Pewnie wie, że gang z Blackwater chętnie użyje jego, by się do niej dostać - odezwał się Cooper z namysłem.

- A co z Grace i Jessika? Wiecie coś o nich?

- O Grace na razie nic nie wiemy... tyle tylko, że pochodzi z Anglii i że chce tu, w Stanach, kupić ranczo. Posłałem telegram do pewnego znajomego w Londynie, ale nie dostałem jeszcze odpowiedzi.

- A Jessika?

- Jej matka zmarła jakieś dwa lata temu, a ojciec opuścił je, gdy była jeszcze bardzo mała.

Jessika przyjechała do Rockford Falls z Chicago jakieś dwa lata temu, by pomóc swej ciotce, która spodziewała się dziecka. Ciotka była rodzoną siostrą jej matki i jedynym żyjącym członkiem rodziny.

- Mówisz w czasie przeszłym. Czyżby już nie żyła? - zapytał Cooper.

- Tak. Zmarła kilka godzin po porodzie w wyniku poważnego krwotoku. Była już piętnaście lat po ślubie, gdy zaszła w ciążę, lecz jej mąż nie chciał tego dziecka. Po śmierci żony nie został w miasteczku nawet na tyle długo, by nadać dziecku imię. Wyjechał z miasta tego samego dnia i od tej pory nikt o nim nie słyszał.

- Co się stało z maluchem?

- Jessika się nim zajęła - wyjaśnił mu Daniel. - Jest jeszcze bardzo młoda, ale świetnie sobie radzi wychowując chłopca całkiem sama.

- To trudne zadanie dla samotnej kobiety - cicho zauważył Jack.

- Ale ona daje sobie radę - wtrącił Cole. - To silna kobieta.

- Taak... Jeżeli to ona jest naprawdę świadkiem, rozumiem, że może milczeć ze względu na dziecko. Prawdopodobnie wiele by zrobiła, żeby tylko uchować go od nieszczęścia.

- Może i Grace ma kogoś, kogo stara się ochronić - dodał Cole.

- Ano ma - burknął Daniel. - Rodziców.

- Skąd wiesz?

- Od Tilly MacGuire - odrzekł spokojnie Ryan. - Jak już powiedziałem, nic nie jest jeszcze potwierdzone, ale Tilly to istna kopalnia wiadomości. Zdaje się, że wie wszystko o wszystkich mieszkańcach miasteczka, a nawet o przyjezdnych. Była bardzo pomocna.

Cooper wstał i przeciągnął się, aż chrupnęło mu w stawach.

- Kiedy zamierzasz wyjechać do Blackwater? - spytał.

- Nie wcześniej niż jutro. Doktor Lawrence mówi, że Grace powinna jeszcze co najmniej jeden dzień leżeć w łóżku. Może i ty powinieneś nieco się przespać przed podróżą? Wyglądasz, jakbyś lada moment miał paść na pysk.

- Sam nie wyglądasz najlepiej, Danielu.

- Nic mi nie jest - odparł Ryan i uśmiechnął się wyraźnie zmęczony. - Cole, kiedy zamierzasz wyjechać z Jessiką?

- Poczekaj, poczekaj! Nie mogę zabrać z nami Caleba. To wykluczone!

Daniel skinął głową.

- To co zamierzasz z nim zrobić?

Cole już się nad tym głowił.

- Nie chcę go zostawiać w Rockford Falls. Wszyscy wiedzą, że to synek Jessiki Summers - wyjaśnił. - Chcę go gdzieś schować i zdaje się, że znam doskonałe miejsce na kryjówkę dla niego.

- Masz na myśli Rosehill?

- Co to jest Rosehill? - zapytał zbaraniały Cooper.

- Moje ranczo; moja matka mieszka tam na stałe, a bracia i siostra często przyjeżdżają w odwiedziny - wyjaśnił Cole, po czym odwracając się do Ryana dodał: - Nie. Mama Róża jest obecnie w Szkocji z moją siostrą i jej mężem... wróci najwcześniej za miesiąc.

- W takim razie gdzie chcesz schować Caleba?

- U Toma i Josey Nortonów.

Daniel uśmiechnął się szeroko.

- Pięknie, Cole, naprawdę pięknie. Tom nie pozwoli, by małemu cokolwiek się stało, lecz Josey może go zamordować swoim gotowaniem.

- Musimy zaryzykować - odparł Cole. - Powiem Tomowi, że Caleb musi zniknąć na jakiś czas. Jeżeli

to Jessica jest świadkiem, nie chcę, by któryś z tych zbirów z Blackwater dobrał się do jej dziecka. -
Potem wskazał na mapę wiszącą

na ścianie. - Gdzie jest Red Arrow? - spytał. - Nigdy o nim nie słyszałem.

- To taka mała dziura w ziemi - wyjaśnił Cooper. - To ostatnia stacja kolejowa na szlaku.

Miasteczko szczyci się saloonem, burdelem i stacją. Ale w Red Arrow śpi się pod gołym niebem,
gdyż nie mają hotelu. To miejsce zapomniane przez Boga.

- Jest otoczone górami - dodał Daniel. - Naprawdę bardzo piękne.

- Zostawię Jessikę pod opieką Spencera i Cobba, a sam odwiozę Caleba do Nortonów. Wrócę w
mgnieniu oka.

- To ci się nie uda - odezwał się Daniel.

- Tak będzie bezpieczniej dla nas wszystkich. I dla dziewczyny, i dla dzieciaka.

- Ale i tak ci się nie uda.

- Niby dlaczego nie?

- Bo Jessica pojedzie z tobą.

Ten pomysł nie przypadł Cole'owi do gustu.

- Tylko mnie opóźni - odparł. - Jak już powiedziałem, bezpieczniej będzie dla niej zostać w
Rockford Falls. Kiedy odwiozę Caleba do Nortonów, wrócę tu na skrót, ale to bardzo ciężka droga.

- Nie jesteś żonaty, co, synu? - wtrącił się Jack Cooper.

- Nie, nie jestem żonaty. I nie jestem też twoim synem. Jesteś stary, Cooper, ale nie aż tak stary.

Jack roześmiał się głośno.

- Ja też nigdy nie byłem żonaty - przyznał. - Daniel nie dopuściłby mnie do tego śledztwa, gdybym
miał rodzinę. On chce tu widzieć tylko starych kawalerów, na wypadek, gdyby któryś z nas miał
zginąć. Ale mój brat jest żonaty.

- Taak, i co z tego? - zapytał Cole, zastanawiając się, dlaczego Cooper opowiada mu o swojej
rodzinie.

- A to z tego, że ma pięć córek i dwóch synów, i przysięgam ci, że gdybyś usiłował któreś z nich
odebrać ich matce, całe piekło zwałiłoby ci się na kark. Jak ty sobie wyobrażasz, że odbierzesz
Jessice jej dziecko, co?

Ale Cole nie przewidywał tu żadnych problemów.

- Po prostu wytłumaczę jej, jak się sprawy mają. - Urwał widząc niedowierzanie na twarzy Coopera.
- Wiem, że ten pomysł niezbyt się jej spodoba i że zapewne będzie usiłowała się ze mną kłócić, ale na koniec na pewno się podda. Przez ostatnie dwa dni niezłe ją poznałem i gdy już wyjaśnię jej sytuację, z pewnością podejmie rozsądną decyzję.

Jessika zagroziła, że go zabije. Była daleka od podjęcia jakiegokolwiek, a co dopiero mówić o rozsądnej, decyzji. Cole wierzył, że ponieważ jest szeryfem federalnym, panna Summers zrobi wszystko, co on jej każe. To był jego pierwszy błąd. Drugim błędem było przysunięcie się do niej, gdyż wtedy właśnie Jessika schwyciła jego rewolwer i zagroziła, że jeżeli odbierze jej dziecko, przestrzeli na wylot jego podstępne, czarne serce. Spakowawszy swe torby podróżne, Cole poszedł do jej pokoju i zapukał do drzwi. Otworzył je szeroko - by pilnujący Jessiki mężczyźni widzieli, że nie robi nic złego - wyjaśnił krótko i zwięźle, że zabiera Caleba na północ, a ona ma na niego poczekać w Rockford Falls, po czym, po jego powrocie, udadzą się do Teksasu.

Na szczęście mały chłopczyk przespał całą awanturę, która potem nastąpiła. Caleb leżał na wąskiej pryczy zwinięty w kłębuszek, a jego podbródek mokry był od śliny. Wyglądał jak mały aniołek - niestety w oczach jego matki paliły się ognie iście piekielne. Zachowywała się jak niedźwiedzica usiłująca bronić swego młodego.

- Chyba oszalałeś! Naprawdę sądzisz, że pozwolę ci zabrać moje dziecko?!

- Jessika! Przestań wymachiwać moim rewolwerem! Jest nabity i może wypalić! Natychmiast mi go oddaj.

W tej chwili na progu stanął Spencer.

- Potrzebuje pan pomocy, szeryfie Clayborne?

Cole potrząsnął tylko głową.

- Nie, wszystko jest w porządku.

Jessika stała u nóg podwójnego łóżka i nadal trzymała rewolwer w obu dłoniach, lecz skierowała już lufę w podłogę. Była spięta i zdenerwowana, a pod jej oczyma widniały sine kręgi.

Stres minionych dni najwyraźniej dawał się jej we znaki.

- Musisz się nad tym poważnie zastanowić... - zaczął, lecz nie dała mu skończyć.

- Nie pojedę do Blackwater - rzekła potrząsając głową. - I nie pozwolę ci zabrać Caleba.

- Wiem, jakie to dla ciebie trudne, ale przysięgam ci, że tam, dokąd go zabiorę, mały będzie bezpieczny.

- Wynoś się stąd!

Zignorował jej polecenie i przeszedłszy obok niej tak blisko, że otarł się o nią ramieniem, usiadł na krześle stojącym obok łóżka. Mógł z łatwością odebrać jej broń, lecz nie uczynił tego.

- Powiedziałaś, żebyś się wynosił!

- Nigdzie nie pójde, dopóki nie zaczniesz myśleć logicznie!

Oderwała wzrok od Cole'a i spojrzała na młodego szeryfa nadal stojącego na progu pokoju.

Cole miał jeszcze jeden rewolwer w kaburze na biodrze, co czyniło go nad wyraz niebezpiecznym, a Spencer trzymał dłoń na rękojeści swojej broni.

- Nie mogę się zdecydować, którego z was mam zastrzelić pierwszego.

Spencer rzucił okiem na Cole'a, by przekonać się, jak zareaguje na tę groźbę. Cole zignorował go i cały czas przyglądał się Jessice.

- Odejdź, proszę, zanim zrobię coś, czego potem będę żałować!

- Spencer - rzekł Cole, jakby nie słysząc jej słów - zamknij proszę, drzwi. Muszę porozmawiać z Jessiką na osobności.

- O, nie! Co to, to nie - warknęła ze złością dziewczyna.

- Jest pan pewien, że nie chce pan, żebym został, szeryfie Clayborne? - upewnił się Spencer z ręką już na klamce u drzwi.

- Jestem pewien.

Młodzieniec wyglądał na zawiedzionego. Cole zaczekał, aż drzwi się za nim zamkną, po czym poprosił, by dziewczyna usiadła. Potrząsnęła głową i nadal wpatrywała się w niego z dziką wściekłością.

Uśmiechnął się do niej. Szczerze mówiąc, nie mógł oderwać od niej wzroku. Przebrała się i wyglądała jeszcze piękniej niż przed godziną, gdy się rozstawali. Miała na sobie staroświecką wyblakłą sukienkę w kolorze miodu, która dawno temu pewnie była złota. Teraz była nieco poprzecierana na łokciach

i wystrzępiona przy mankietach, lecz na niej nadal wyglądała wspaniale. Jessika związała włosy na karku cienką białą wstążką, lecz cieniutkie kosmyki wyswobodziły się spod uczesania i okalały jej twarzyczkę. Była bardzo kobieca i zmysłowa, a gdy postąpiła krok w jego stronę, dobiegł go delikatny zapach fiołków.

- Na co się tak patrzysz? - zapytała gniewnie.

- Na ciebie - odrzekł. - Jesteś bardzo piękną kobietą, Jessiko.

Komplement zupełnie ją rozbroił. Tym razem nie rozkazał jej, by usiadła, lecz grzecznie poprosił.

- Chcę, byś wysłuchała tego, co mam ci do powiedzenia. Jeżeli potem nadal będziesz miała ochotę mnie zastrzelić, pozwolę ci na to. Zgoda?

- Przecież wiesz, że cię nie zastrzelę - mruknęła oddając mu broń. - Chociaż bardzo bym chciała. Jednak nie zrobię tego. Hałas mógłby obudzić dziecko.

- Ależ ty zmyślasz, Jessie. - Cole roześmiał się cicho.

- Nie możesz mnie zmusić, bym pojechała z tobą do Teksasu.

- Ależ mogę, mogę - odrzekł cichym, lecz pewnym

i nieugiętym głosem.

Jessika ukryła twarz w dłoniach.

- Nie zrobiłam nic złego. Dlaczego nie chcesz zostawić mnie i Caleba w spokoju?

- Przecież wiesz, że nie mogę tego zrobić.

Położyła mu głowę na ramieniu i cicho zapłakała. Cole wyciągnął z kieszeni chustkę, podał jej bez słowa; nie powiedział, by przestała płakać, gdyż wiedział, że dziewczyna musi jakoś wyrzucić z siebie cały stres, którego i on sam jest też po części przyczyną.

Minęły długie minuty, zanim Jessika odzyskała panowanie nad sobą. Cole tulił ją do siebie i gładził po włosach.

- Wiem, że nie zrobiłaś nic złego - szepnął. - Sędzia z Teksasu chce, byś pojechała do Blackwater.

- Ale co z Rebeką i Grace?! - wykrzyknęła Jessika. - Czy one...

- Ciii... mów ciszej, bo obudzisz dziecko - upomniał ją Cole. - Nie musisz się martwić o swoje przyjaciółki. Daniel będzie je miał na oku... Na pewno nic im się nie stanie.

- Jak mam się nie martwić?!

- Zaufaj mi - odparł z niezmaconą pewnością siebie.

- Postaram się, ale nie potrafię przestać o nich myśleć. Przecież przeze mnie znalazły się w niebezpieczeństwie!

- To prawda. Wasze nazwiska pojawiły się w gazecie wraz z komentarzem, że każda z was jest potencjalnym świadkiem zdarzeń w banku... moim zdaniem, mordercy nie zatrzymają się, dopóki was nie uciszą. Na zawsze. Rozumiem, dlaczego żadna z was nie chciała się przyznać na początku, ale...

Jessika znowu się rozplakała; na widok łez spływających po jej policzkach, Cole poczuł się jak ostatni łajdak. Wyciągnął ku niej rękę, lecz zaraz się powstrzymał.

- Nie znoszę płaczek - burknął.

- W takim razie musisz mnie szczerze nienawidzić, bo ja ciągle płaczę, chociaż przy Calebie staram się nad sobą panować. Czasem... późno w nocy, naciągam poduszkę na głowę, żeby mnie nikt nie usłyszał, i płaczę, ile dusza zapagnie.

Objął ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Bardzo mi się to nie podoba. Dlaczego płaczesz po nocach, hm?

- Bo się boję.

- Czego się boisz?

- Tego, że mi się nie uda.

- Wiem, że nie jest ci łatwo... Masz ciężkie życie, ale...

- O, nie, nie! Mam cudowne życie... bardzo kocham Caleba - wyszeptała. - Jestem bardzo zadowolona... ale, po prostu... czasami... jestem tak strasznie zmęczona! Wszystko szło tak wspaniale, aż do dnia, gdy weszłam do tego przekłętą banku! Jeżeli chcesz, mogę ci teraz to wszystko opowiedzieć - dodała. - Może wtedy mi uwierzysz, że mówię prawdę. Wiem, że wcześniej cię okłamywałam, że nie powinnam była ci mówić, że nie było mnie w banku, ale usiłowałam chronić Caleba.

- Pomogę ci, Jessiko. Znalazłem bezpieczną kryjówkę dla twego synka. Przecież nie możesz zabrać go ze sobą do Blackwater... a wiesz, że musisz tam pojechać.

Dziewczyna długo milczała, lecz wreszcie pogodziła się z tym, co nieuniknione.

- Taak, wiem - rzekła z ociąganiem. - Ale czy nie mogłabym zostawić go z Tilly? Ona go bardzo kocha i wiem, że dobrze by się nim zajęła. Caleb ją zna... nie bałby się z nią zostać. Nie myślałby, że go opuszczam.

Ale Cole nawet nie chciał o tym słyszeć.

- Jessie, wszyscy tu wiedzą, że Caleb jest twoim dzieckiem... Tym mordercom bardzo łatwo byłoby odebrać go Tilly. To stara kobieta, jak miałyby go bronić? Uważam, że zostawienie go w Rockford Falls byłoby szalenie ryzykowane.

- Ale niby dlaczego ktoś miałby go porwać? - zapytała patrząc na niego przez łzy.

- Porwanie twego dziecka byłoby niezłym sposobem na zapewnienie sobie twego milczenia w sądzie.

- Och, dobry Boże...

- Jessie, ludzie, o których pomyślałem, naprawdę dobrze zajmą się twoim synkiem. Są już starsi... będą dla niego jak dziadkowie...

Przez następne piętnaście minut opowiadał jej o Tomie i Josey Nortonach: opowiedział

wszystko, co sam wiedział, szczegółowo mówił o przeszłości Toma, kładąc nacisk na fakt, że w przeszłości był słynny z odwagi oraz szybkości i celności strzałów. Jedyne, o czym nie wspomniał, to umiejętności kulinarne - czy raczej ich brak - u Josey. Kiedy już skończył, Jessika miała mniej niechętną minę.

- Powiedziałaś, że oni zawsze pragnęli mieć dzieci...

- Bo tak jest.

- Czy gdybyś miał syna, zostawiłbyś go pod ich opieką?

- Tak, bez wahania - odrzekł, zgodnie z prawdą.

- Muszę ich zobaczyć, zanim podejmę ostateczną decyzję. Jeżeli mi się nie spodobają, jeżeli po spotkaniu z nimi dojdę do wniosku, że nie będą potrafili odpowiednio zaopiekować się Calebem, nie zostawię go z nimi, zgoda?

Była zdecydowana jechać z nim i chyba nic na świecie nie odwiódłoby jej od tej decyzji. Cole skinął głową.

- Kiedy wyjeżdżamy? - zapytała.

- Oj, Jessie, tylko się znowu nie rozpłacz. Wszystko będzie w porządku. Przecież chyba chcesz się przekonać, że twój synek będzie bezpieczny?

- Tak, tak, oczywiście. Chodzi po prostu o to, że nie znam Nortonów i...

Cole wstał i ruszył ku drzwiom.

- Spakuj tylko niezbędne rzeczy. Jedna torba dla ciebie i jedna dla Caleba.

- Przed wyjazdem muszę porozmawiać z Grace.

- Wykluczone.

- Czy kiedy już odwieziemy Caleba do Nortonów, wrócimy jeszcze do Rockford Falls?

- Nie, od razu udamy się do Teksasu.

- A co z moimi rzeczami? Wszystko, co posiadam, leży spakowane na wozie Grace.

- Kazałem zanieść twoje pakunki do miejskiej stajni. Za niewielką opłatą właściciel zaopiekuje się twoimi bagażami. Potrafisz jeździć konno, prawda?

- Tak - odparła, nie dodając, że wychodzi jej to dość marnie. - Zanim wyjedziemy, chciałabym kupić

rewolwer i byłabym wdzięczna, gdybyś mnie nauczył, jak się nim posługiwać. Chcę się nauczyć celnie strzelać.

Cole'owi bardzo się to nie podobało.

- Wystarczy wycelować i pociągnąć za spust - odburknął. - Oto cała filozofia. Poza tym, wcale nie potrzebujesz rewolweru... ja cię będę bronił.

- Wiem, ale mimo to bardzo chciałabym posiadać własną broń - rzekła. - Czy nauczysz mnie strzelać?

- Przecież już strzelałaś z broni Yorka!

- Ale chcę strzelać celnie - powtórzyła z uporem.

Cole postanowił nie tracić czasu na czcze sprzeczki.

- Wyjedziemy, gdy tylko Caleb się obudzi. A teraz co znowu? - spytał widząc, że dziewczyna potrząsa głową.

- Caleb musi jeszcze zjeść.

- Doskonale. Kiedy już zje, wyjedziemy. Powinnaś też zapakować dla niego trochę jedzenia -

dodał po chwili namysłu.

- Jak długo zajmie nam podróż do domu Nortonów?

- Niezbyt długo - obiecał. - I, Jessie, nie chcę, byś komukolwiek mówiła, dokąd zabieramy Caleba. Nawet nie wymawiaj nazwiska Nortonów... jeszcze ktoś podsłucha. Zgoda?

- Zgoda. - Stał już przy drzwiach z ręką na klamce, gdy zawołała za nim: - Cole?

- Taak?

- Obiecuj, że nie pozwolisz, by mojemu synkowi stała się jakaś krzywda!

- Obiecuję.

CZEŚĆ TRZECIA

Zapominamy o znoju, o łzach i trudzie,

O mrozie i o kwiatów zwarzonych płatkach.

Rebeka siedziała na kamiennej ławeczce w małym ogródku na tyłach hotelu; na ziemi obok niej stały spakowane walizki. W ogrodzie było cicho i spokojnie, gdyż o tej porze dnia żaden z gości hotelowych nie miał ochoty na smażenie się w gorącym popołudniowym słońcu. Nieduży teren otoczony był ze wszystkich stron wysokim ceglany murem porośniętym winoroślą; Spencer i Cobb stali przy drzwiach prowadzących do hotelu, podczas gdy ich przełożony, szeryf federalny Cooper, przechadzał się nerwowo po trawniku, niecierpliwie czekając na pojawienie się powozu.

Rebeka martwiła się, że Grace lub Jessika zobaczą, iż wyjeżdża. Sprawdziła, która jest godzina, po czym zerknęła na drzwi prowadzące do holu hotelowego.

- Strasznie się czuję, nie mogąc się pożegnać z Jessiką i Grace, ale nie chcę, by wiedziały, że jadę do Teksasu, by rozpoznać tego człowieka, którego tam przetrzymują. Na pewno bardzo by się o mnie martwiły - dodała pospiesznie. - Mam nadzieję, że wychodząc z hotelu nie natkniemy się na nie.

- Proszę się o to nie martwić - odparł szeryf Cooper.

- Żadna z tych dam nie zobaczy pani odjazdu.

- Skąd pan może być tego taki pewien?

- Doktor polecił Grace nie wychodzić do jutra z pokoju

a szeryf Ryan trzyma wartę pod jej drzwiami. Na pewno jej

nie wypuści, ani nikogo do niej nie wpuści.

- A co z Jessiką?

- Wyjechała z miasta wraz z szeryfem Claybornem kilka godzin temu.

- Jak to, wyjechała? Dokąd? - wykrzyknęła Rebeka - Czy miała jakąś ważną sprawę do załatwienia? Czy wróci jeszcze dziś?

- Nie.

- To gdzie ona jest?

- W dobrych rękach - odparł Cooper. - Nie musi się pani o nią martwić.

- Jak dawno temu wyjechała? Powiedział pan, że kilka godzin?

- Ano tak. My też powinniśmy byli wtedy wyjechać, ale znalezienie porządnego powozu nie jest takie proste w tych stronach. Jest pani pewna, że nie może pojechać konno do stacji kolejowej?

- Oczywiście, że nie! Wychowywałam się w mieście, szeryfie Cooper, i nigdy w życiu nie jeździłam

konno. Skręciłabym sobie kark.

- No, cóż... - Cooper westchnął ponuro. - Mam nadzieję, że powóz niedługo tu będzie.

Musimy tylko zaczekać.

- Nadal nie powiedział mi pan, dokąd pojechała Jessika.

Cooper wziął głęboki oddech, zanim odważył się spojrzeć Rebecę w oczy; nie chciał, żeby wiedziała, jaki efekt robi na nim jej uroda. Dobry Boże, dlaczego ten przeklęty Ryan nie uprzedził go, jak piękną kobietę przyjdzie mu chronić? Rebeka była prześliczna; w promieniach popołudniowego słońca, odbijających się w jej złotych włosach, wyglądała, jakby miała na głowie aureolę. Kiedy po raz pierwszy spojrział w jej anielską twarzyczkę, omal nie padł jak długi. Daniel naprawdę powinien był go uprzedzić!

Spencer i Cobb byli wyraźnie zuroczeni wszystkimi trzema paniami i od początku zachowywali się jak mali chłopcy, którzy dopiero co odkryli płec przeciwną. Było to doprawdy zdumiewające!

Spuścił oczy i poprosił, by Rebeka powtórzyła pytanie.

- Chcę wiedzieć, dokąd pojechali Jessika i Cole.

- Nie wiem - odparł Cooper.

- Na północ - wypalił w tej samej chwili Spencer.

Cooper posłał podwładnemu spojrzenie mówiące, że ma się natychmiast zamknąć i nie mówić nieproszonego słowa.

- Cole i Jessika pojechali odwiedzić dziecko do domu przyjaciół.

- Przyjaciół Cole'a? - spytała Rebeka. - Na pewno... Wszyscy przyjaciele Jessiki zostali w Chicago... oprócz Grace i mnie. Jesteśmy jej jedynymi przyjaciółkami w tej głuszy. Bardzo się kochamy. Ale dlaczego zabrała Caleba z Rockford Falls? I dlaczego nie chce mi pan powiedzieć, dokąd pojechali? Przecież jest pan szeryfem federalnym, na miłość boską! Powinien pan wiedzieć takie rzeczy!

- Przykro mi, ale naprawdę nie wiem - odrzekł Cooper.

- Martwię się o nią, to wszystko.

- Wszystkie trzy bardzo się polubiłyście, prawda?

- Tragiczne okoliczności zbliżyły nas do siebie i przekonaliśmy się, że mamy wiele wspólnego.

Cooper poczuł ukłucie współczucia dla dziewczyny; była

taka zmartwiona i wyglądała tak bezbrannie!

- Bardzo szybko spotka się pani z powrotem z przyjaciółkami - obiecał.

- Naprawdę? - zapytała z ożywieniem. - Kiedy?

- Jessika, Cole, Grace i Daniel dołączą do nas w podróży.

Rebeka zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem. Chce mi pan powiedzieć, że Jessika i Grace także jadą do Teksasu?

- Tak.

- Ale dlaczego? Przecież to ja jestem świadkiem w tej sprawie!

- Wiem o tym - odparł Cooper. - Mimo to musimy zapewnić pozostałym damom bezpieczeństwo aż do procesu Kiedy złoży już pani swoje zeznanie, cały ten koszmar się skończy. Ale aż do tego czasu, potrzebują pani ochrony. i my ją wam zapewnimy. Poza tym. sędzia Rafferty chce porozmawiać z wami wszystkimi.

- Kiedy się znowu spotkamy?

- Jesteśmy umówieni z nimi w Red Arrow - wyjaśnił Cooper. - Prawdopodobnie przybędziemy na miejsce przed Jessiką i Cole'em. Ale może się pospieszą i jeszcze zdążą na nasz pociąg.

- Więc to właśnie Red Arrow jest ostatnią stacją? Tam wysiadamy? Czy to znaczy, że do Blackwater będę musiała jechać konno?

Cooper uśmiechnął się pod wąsem.

- Może pani jechać ze mną, albo znajdziemy gdzieś powozik.

Rebeka przyglądała się swoim dłoniom zaciśniętym na kolanach.

- To wszystko jest nie tak, jak trzeba - wyszeptała

- Gdybym się wcześniej przyznała, Jessika i Grace nie musiałyby teraz żyć w strachu.

- Więc dlaczego nie przyznała się pani na samym początku? Bała się pani konsekwencji?

- Tak - odrzekła bezradnie.

- Kłamiąc szeryfowi federalnemu może pani napytać sobie strasznej biedy - zawołał do niej Cobb, a jego przyjaciel

Spencer przytaknął z entuzjazmem.

- Można za to iść do więzienia - dodał.

- A co to ma za znaczenie? - zapytała Rebeka. - Już i tak mam kłopoty. Ci mordercy będą mnie tropić jak jakieś zwierzę i trzeba istnego cudu, żebym przeżyła. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego jeszcze nie usiłowali mnie zabić?! Dlaczego jeszcze nie spróbowali mnie uciszyć?

- Bo byli zajęci gdzie indziej - odpowiedział Daniel od drzwi wiodących do hotelu. Zszedł szybko z kilku stopni i podszedłszy do Coopera, podał mu telegram. - Był kolejny napad na bank. Sześćdziesiąt mil na południowy wschód stąd.

Cooper zaklął szpetnie.

- Czysty?

- Nie. - Daniel patrzył na kolegę ponuro.

- Co to znaczy, czy napad był czysty? - zainteresowała się Rebeka.

- To znaczy, czy były jakieś ofiary - wyjaśnił jej Daniel, na co dziewczyna pobladła.

- Ilu zabitych?

- Trzech mężczyzn - odrzekł szeryf federalny Ryan.

- Wszyscy byli pracownikami banku.

- Biedacy - wyszeptała Rebeka.

Daniel nakazał Cooperowi gestem, by odszedł z nim na stronę. Gdy doszli do ocienionej części ogrodu, rzekł zniżonym głosem:

- W tym przypadku było coś dziwnego. Niepokojącego.

- Co takiego?

- Wszystkie biurka wewnątrz banku były poprzewracane, a do ściany przybity był numer „Gazety codziennej Rockford Falls” umazany krwią.

- Dają nam znać, że wiedzą o świadku.

Daniel skinął głową.

- Wynośmy się stąd do wszystkich diabłów. I to jak najszybciej.

Podróżowanie z małym dzieckiem wcale nie było takie trudne, jak się Cole'owi z początku zdawało; było koszmarne - gorsze niż w najpotworniejszych snach można wyśnić. Mały zupełnie nie potrafił być cicho, a to, co mówił, przeważnie nie miało sensu. Mimo to Caleb oczekiwał

natychmiastowej odpowiedzi na każde swoje pytanie. Cole był święcie przekonany, że malec po prostu upaja się dźwiękiem swego własnego głosu rozbrzmiewającego po lesie. Ukochanym słowem dziecka było „nie”. Caleb szeptał je, wykrzykiwał, wyspiewywał i jęczał do upadłego. Zanim zapadł zmierzch, Cole miał wrażenie, że usłyszał je już dwieście tysięcy razy.

Było już prawie ciemno, gdy wreszcie rozbili obóz nad brzegiem niedużego jeziora w kształcie podkowy. Nieopodal tafli wody wprost z ziemi wystawały ogromne skały - niekiedy dochodzące nawet do pięćdziesięciu stóp wysokości - które dawały doskonałą ochronę przed wiatrem i deszczem. Co więcej, nikt nie zauważony nie mógłby się podczołgać do ich obozowiska, chyba, że potrafiłby chodzić po wodzie. Do małego gniazda pośród skał prowadziła tylko jedna ścieżka, tuż nad brzegiem jeziora.

Kiedy Cole oporządzał konie, Jessika dała Calebowi kolację, lecz malec był znacznie bardziej zainteresowany poznawaniem otoczenia niż jedzeniem, i dziewczyna musiała się bardzo nabiedzić, zanim zdołała namówić synka na cokolwiek. Cole nie martwił się tym, że dziecko cały czas szczebiocze, gdyż wiedział, że nikt ich nie śledzi; dwa razy zawracał i jechał po własnych śladach, by to sprawdzić. Caleb po prostu potrzebował teraz ruchu i zabawy; przez większą część dnia był zmuszony do siedzenia u matki na kolanach i teraz nadrabiał zaległości.

Z uśmiechem na pyzatej buzi biegał pędem od jednego końca obozu do drugiego i cały czas coś mruczał pod nosem. Co chwila wybuchał radosnym śmiechem i aż trząsał się cały z uciechy. Mały był uroczy, nawet gdy wściekał się na cały głos, kiedy Jessika zabroniła mu wchodzić do jeziora.

Najdziwniejsze było to, że Caleb spełniał od razu wszystkie polecenia Cole'a: kiedy mężczyzna kazał mu siedzieć, mały siadał, kiedy kazał mu być cicho, dziecko milkło. Teraz, zdjęwszy buciki i skarpetki, Caleb siedział wyprostowany na jednym z siodeł opartych o skały i z zainteresowaniem przyglądał się, jak Cole czyści konie. Koszulka podjechała mu aż do połowy pękatego brzuszka, a pieluszka zsunęła się na okrągłutkie bioderka; malec wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

Natomiast jego matka wyglądała jak półtora nieszczęścia: najwyraźniej była wycieńczona.

Cole pomyślał, że wygląda niczym szmaciana lalka jego siostrzyczki, zbyt długo wystawiona na działanie deszczu i słońca. Długie włosy dziewczyny zwisały w strąkach, biała bluzka pokryta była kurzem z drogi i upačkana dżemem truskawkowym, którym smarowała grzanki dla Caleba, a pod jej oczami widniały sine kręgi.

Mimo to Cole uważał, że wygląda cudownie. Jessika była zbyt zmęczona, by jeść, lecz mimo to

poddała się namowom Cole'a, zupełnie tak samo jak niedawno jej synek poddał się i zjadł wreszcie kolację. Cole był na tyle rozsądny, że nie wypominał jej tego.

Sam też był okropnie głodny i zjadł podwójną porcję szynki, fasolki i sucharków, ani na chwilę nie spuszczał dziewczyny z oczu. Wyraźnie była w podłym nastroju; przecierpiawszy kilkanaście minut jej grobowego milczenia, Cole poddał się i zapytał, o co chodzi?

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że będziemy dziś nocować pod gołym niebem? Powinieneś być mnie uprzedzić!

- Dlaczego? Czy zrobiłabyś coś inaczej?

Zaskoczona skinęła głową, lecz potem zastanowiła się.

- No... nie wiem. Ale na pewno nalegałabym, żebyś wybrał bezpieczniejsze miejsce.

- To było najbezpieczniejsze, jakie zdołałem znaleźć - odpowiedział.

- Nikt nas tu nie zajdzie od tyłu, a jeżeli będzie usiłował dostać się do nas ścieżką od jeziora, na pewno go usłyszę.

- Nie o to mi chodziło - odparła. - A teraz jeszcze rozpałiłeś ogień. Nie mogę być w trzech miejscach jednocześnie.

Cole nie był pewien, o co Jessika tak się wścieka. Odchylił się i oparłszy plecami o skałę, spojrzał na dziewczynę.

- Ognisko jest nam potrzebne - powiedział spokojnie. - W nocy będzie bardzo zimno... w górach jest tak nawet w środku lata. Pogoda nie robi dla nas wyjątku.

Jessika przygładziła ręką włosy.

- Ale czy musiałeś rozbić obóz nad samym brzegiem jeziora?

- Konie potrzebują wody do picia, podobnie jak i my, Jessie - odparł rozsądnie.

Ale jej nie obchodziło to logiczne rozumowanie.

- Czy nie rozumiesz, jak wielką pokusą dla Caleba jest woda? Nie zmrużę dziś oka, bo będę się bać, że się obudzi, pójdzie do jeziora... i się utopi. Poza tym, może odejść od obozu... zgubić się w lesie albo nadepnąć na węża...

- Jessie, uspokój się, proszę. Nie pozwolę, by twojemu dziecku stała się jakakolwiek krzywda.

Równie dobrze mógł sobie oszczędzić trudu i nic nie mówić.

- Może się potknąć i wpaść do ogniska, albo nadepnąć na rozżarzone polano - ciągnęła. - Co ty sobie

myślisz?

Choć Cole nadal nie rozumiał jej troski, był lekko zirytowany tym, że dziewczyna mu nie ufa.

Wszak już powiedział, że zaopiekuje się Calebem!

- Nie dopuszczę do tego, żeby się utopił, zgubił, sparzył, ani żeby go coś ugryzło.

- Ale ja i tak się martwię - odparła szeptem. Spojrzała na synka i zobaczyła, że właśnie kopie dołek w piasku patykiem, który znalazł przy skałach. Potem odwróciła głowę i zapatrzyła się na jezioro. W gasnącym świetle dnia woda była czerwono-pomarańczowa i lśniąca w promieniach zachodzącego słońca.

- Wiesz, co sobie myślę? - odezwał się nagle Cole, przywołując ją do rzeczywistości.

- Nie, co takiego? - spytała z cichutkim westchnieniem.

- Że przydałaby ci się kąpiel.

Odwróciła się ku niemu ze zdumieniem.

- Że co, przepraszam?

- Powiedziałem, że przydałaby ci się kąpiel. Wyskakuj z ubrania i idź popływać. Dobrze ci to zrobi. Po całym dniu podróży na pewno jesteś spocona, zmęczona i brudna. Kąpiel dobrze ci zrobi -

powtórzył. - No, idź, ja się zaopiekuję Calebem. Też wezmę go do wody. I nie martw się o swoją skromność. Odwrócę się i wcale nie będę na ciebie patrzeć.

Dziewczyna znowu obejrzała się na jezioro.

- Nie chodzi o to. Wiem, że nie wykorzystałbyś sytuacji. Nie możesz.

Gdyby nie ostatnie zdanie, przyjąłby jej słowa jako komplement; czyż nie przyznawała, że mu ufa? Ale...

- Co to znaczy, że nie mogę? - zapytał z ciekawości.

- Dlaczego nie możesz wykorzystać nadarzającej się okazji?

- No właśnie.

Uśmiechnęła się czarująco.

- Bo jesteś szeryfem federalnym - odparła, jakby to już wszystko wyjaśniało.

- No i co z tego? - zapytał Cole.

- A to z tego, że składałaś przysięgę. Jesteś tu po to, żeby mnie chronić, a nie... - Nie bardzo wiedziała, jak skończyć - No... wiesz.

Cole nie wiedział, czy ma być rozbawiony, czy zły na nią. Zazgrzytał zębami w cichej frustracji, gdyż wreszcie zrozumiał, o co jej chodzi. Postanowił wyjaśnić sprawę.

- Jessiko, wbrew twoim przekonaniom, szeryfowie nie są kastrowani w chwili zaprzysięgania.

Ta praca wcale nie zakłada rezygnacji z seksu.

Oczy dziewczyny rozszerzyły się nieco.

- Chcesz mi powiedzieć...

- Tak, właśnie to chcę ci powiedzieć.

Cole spodziewał się, że dziewczyna się zarumieni albo ucieknie wzrokiem; nic podobnego się nie stało.

- Nie zamierzam się martwić - oznajmiła spokojnie. Potem zapatrzyła się na jezioro i dodała trochę nerwowo: - A powinnam?

Im dłużej Cole zastanawiał się nad tą rozmową, tym bardziej był zrozpaczony.

- Powiem ci, kiedy powinnaś zacząć się martwić, zgoda?

Jessika roześmiała się głośno.

- Zgoda.

- No to jak? Chcesz iść popływać? - zapytał, po czym odwrócił się ku skałom. - Caleb, przestań kopać dołki i chodź tutaj.

Dziecko upuściło patyk i przypędziło do niego, ile sił w nóżkach. Cole posadził sobie małego na kolanach i zdjął mu koszulkę.

- Czy woda jest tu bardzo głęboka? - spytała Jessika.

- Nie mam pojęcia - odparł Cole beztrudno odpinając Calebowi pieluszkę. - Pewnie nie za bardzo. Dlaczego pytasz? Czyżbyś nie potrafiła pływać?

- Nie za dobrze - przyznała dziewczyna. - Nigdy nie miałam czasu ćwiczyć.

- Nie pływałaś ani nie bawiłaś się w wodzie, gdy byłaś mała? - zdziwił się Cole.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Nie miałam zbyt wiele czasu na zabawę.

- To co, w takim razie, robiłaś? - zapytał.

- Miałam inne zajęcia.

Cole wyczuł, że nie chce o tym mówić; gdyby był nieco wrażliwszy, może porzuciłby temat jej dzieciństwa, lecz wrażliwość nie należała do jego cnót.

- Jakie? - zapytał.

Jessika westchnęła.

- Pomagałam matce w sklepie... w sklepie z damską odzieżą - sprecyzowała po chwili. - Kiedy byłam całkiem mała, zostawałam pod opieką sąsiadów albo przebywałam w szkole. Nigdy nie miałam zbyt wiele czasu na zabawę.

- Byłyście same? Twój ojciec nie mieszkał z wami?

- To prawda, odszedł od nas.

- Wiesz, gdzie jest teraz?

- Słyszałam, że nie żyje, ale nie wiem, czy to prawda. Zabierasz Caleba do wody już teraz?

- Tak.

- Tylko trzymaj go mocno - poprosiła. - On robi się strasznie śliski, gdy jest mokry.

Cole ściągnął koszulę przez głowę i rzucił na ziemię, potem zdjął pas z rewolwerami i wstał.

Dziewczyna pośpiesznie odwróciła wzrok w stronę jeziora, lecz nie dość szybko, by nie zauważyć, jak muskularną miał pierś i jak szerokie ramiona. Skórę miał opaloną na jasnobrązowo, więc wywnioskowała, że często chadza bez koszuli. Gęstwina ciemnoblonde włosów znaczyła jego pierś i schodziła aż do pępka. Och, Boże, naprawdę nie powinna mu się przyglądać! Musiałaby być ślepa, żeby nie zauważyć, jak przystojnym jest mężczyzną. i jakie ma piękne, błękitne oczy. Jednak najbardziej podobała się jej cierpliwość, jaką okazywał jej synkowi; zdawało się, że nic, co Caleb robi czy mówi, go nie drażni. Cały czas był łagodny, czuły i ani na chwilę nie tracił zimnej krwi.

Byłby wspaniałym ojcem. Odsunęła tę myśl w pośpiechu i przypomniała sobie, że i jej, i Calebowi jest bardzo dobrze na świecie. Nie potrzebują ani Cole'a Clayborne'a, ani żadnego innego mężczyzny.

- Szkoda, że nie mogłam porozmawiać z Grace, zanim wyjechaliśmy. Obiecałam, że pomogę jej w pracy na ranczu. Zaproponowała mi pracę, a Caleb miałby wspinać dzieciństwo. Nie wyobrażam sobie lepszego miejsca na wychowywanie dziecka, niż ranczo. Miałby tyle swobody, ile dusza zapagnie.

- A co ty byś robiła na ranczu?

Jessika zeszywniała.

- Mogłabym robić mnóstwo rzeczy. Nigdy nie bałam się ciężkiej pracy - dodała obronnym tonem.

- Hej, nie musisz się od razu na mnie złościć. Nie chciałem cię obrazić ani się z tobą nie drażniłem. Po prostu byłem ciekawy.

- Grace powinna wiedzieć, co się dzieje. Wyjaśniłabym jej, jak sprawy stoją i obiecałabym, że dołączę do niej w Denver. Jest pod ogromną presją i kończy się jej czas. - Cole nie zrozumiał tego ostatniego zdania, lecz Jessika nie

chciała mu nic wytłumaczyć. - Jeżeli Grace będzie chciała opowiedzieć ci o swoim życiu, sama ci wszystko wyjaśni.

- Przestań się o nią martwić - rzekł Cole. - Nic jej nie będzie. Poza tym, już wkrótce znowu się zobaczycie.

Nie zdążyła zareagować, gdyż w tej samej chwili Caleb rzucił się jej w ramiona; nie miał na sobie nic i strasznie śmierdział.

- Przyniosę mydło - mruknęła.

- Jessie?

- Taak? - spytała puszczając dziecko.

- Zamknij oczy na chwilę.

Nie spytała dlaczego. Zacisnęła mocno powieki i odwróciła się dla pewności, lecz w końcu ciekawość zwyciężyła.

- Chyba nie zdjąłeś z siebie całego ubrania, co?

- Jasne, że tak - odrzekł radośnie. - Obaj z Calebem jesteśmy golusieńcy, jak nas Pan Bóg stworzył.

Jessika miała ochotę na niego spojrzeć, lecz powiedziała sobie, że jest po prostu ciekawa, gdyż nigdy dotąd nie widziała nagiego mężczyzny. A przecież, skoro jest matką, chyba powinna? Zerknęła ostrożnie, lecz tylko jednym okiem. Niestety - zbyt długo zwlekała: zobaczyła już tylko plecy, pośladki i uda Cole'a, gdy zanurzał się w wodzie. Zastanowiło ją, że każdy cal jego ciała był równo opalony - co on robił? Pracował w polu nago? Było to tak nieprawdopodobne, że dziewczyna uśmiechnęła się.

Caleb trzymał się kurczowo szyi mężczyzny i radośnie szeptał mu coś do ucha; wcale nie wyglądał na zaniepokojonego i nagle Jessika także zapragnęła być z nimi w wodzie. Lecz zamiast się rozebrać i wskoczyć do jeziora, wstała i poszła do juków po mydło. Przeszukując bagaże usłyszała głośny plusk, po którym nastąpił radosny okrzyk malca.

Najwyraźniej nic na świecie nie przerażało Caleba.

- No i dobrze - szepnęła do siebie. Wiedziała, że nie jest idealną matką, a z każdym mijającym dniem uczyła się czegoś nowego o wychowywaniu dzieci i, miejmy nadzieję, gdy Caleb osiągnie jakieś pięć, sześć lat, będzie się już swobodnie czuć w tej roli. Pewnie będzie się martwić o wiele rzeczy, ale w końcu która matka o nic się nie martwi? Chciała być jak najlepszą matką i robiła, co w jej mocy, by chłopczyk był szczęśliwy, miał radosne wspomnienia z dzieciństwa i poczucie własnej wartości. W przeciwieństwie do wszystkich innych mężczyzn w jej życiu, Caleb będzie dobrym człowiekiem.

- Jessie, przynieś wreszcie to mydło!

Podskoczyła na dźwięk głosu Cole'a i schwyciwszy mały kawałek różanego mydła, które niedawno sama zrobiła pobiegła z powrotem nad brzeg.

- Mam ci rzucić?

- No jasne! - odrzekł ze śmiechem. Wymierzyła i rzuciła ze wszystkich sił, lecz i tak trafiła dobre dziesięć stóp od Cole'a

- Rzucasz jak dziewczyna! - zawołał ze śmiechem.

- Bo jestem dziewczyną! - odkrzyknęła i zdjawszy buciki usiadła na porośniętym trawą brzegu.

Zdjęła także pończochy, lecz to było wszystko, na co sobie pozwoliła. Obserwowała, jak Cole myje jej synka od stóp do główki, a potem bawi się z nim długo. Przez chwile zapragnęła znaleźć się na miejscu dziecka, w uścisku silnych dłoni mężczyzny.

Serce w niej zamarło, gdy Cole wyrzucił jej synka wysoko w powietrze i pozwolił, by dziecko z pluskiem wpadło do jeziora; zanim zdążyła krzyknąć ostrzeżenie, Cole wyciągnął malucha z wody, zaczął, aż przestanie prychać i podrzucił go znowu.

Caleb bawił się jak nigdy w życiu i Jessika miała nadzieję, że niedługo zmęczy się i pójdzie grzecznie spać. Dziewczyna siedziała na brzegu jeziora mocząc palce stóp w przezroczystej toni, dopóki na dworze nie zrobiło się całkiem ciemno. Temperatura powietrza dość szybko spadała i było już chłodno. Poszła po ręcznik dla Caleba i czekała, aż Cole podpłynie do niej i odda jej synka.

Dolna warga dziecka drżała z zimna, ale mimo to walczył zaciekle, gdy wyjmowała go z wody; chciał się jeszcze choć chwilę pobawić. Jessika zaniósła go do ogniska, szybko osuszyła i przygotowała do snu. Wcześniej rozłożyła na ziemi koc, a na środku położyła ukochaną szmacianą lalkę Caleba. Gdy tylko położyła go na pościeli, chłopczyk przytulił się do zabawki, włożył kciuk do buzi i zamknął oczki.

- Popilnuję go, jeżeli chcesz iść się wykąpać - odezwał się Cole stanąwszy za nią.

- Dziękuję - wyszeptała.

W jego głosie czaił się śmiech, gdy powiedział, że nie musi się obawiać i może już na niego patrzeć.

- Jestem ubrany.

Nie za bardzo, stwierdziła w myślach Jessica. Miał na sobie tylko parę skórzanych, ściśle dopasowanych spodni; włosy miał mokre i przyglądzone do tyłu, a na skórze jego ramion i klatki piersiowej lśniły kropelki wody.

Miała ogromną ochotę na kąpiel, zaczęła jednak, aż Caleb uśnie i dopiero wtedy zabrała czyste ubrania, mydło i ręcznik, i odeszła od ogniska. Oddaliła się spory kawałek od obozu, by Cole nie mógł się jej przyglądać podczas kąpieli. Położyła ręcznik na ziemi, a na nim resztę rzeczy, po czym powoli zdjęła z siebie ubranie. Bolały ją wszystkie mięśnie i nagle poczuła się tak strasznie zmęczona, że ledwie mogła się skoncentrować na tym, co robi. Westchnęła głęboko i zanurzyła się w cudownie chłodną wodę. Szła coraz głębiej, wyczuwając dno palcami stóp.

Cóż za rozkosz! Nie przeszkadzał jej nawet chłód, lecz zanim wyszorowała się do czysta i umyła włosy, dygotała z zimna, a skórę na dłoniach i stopach miała pomarszczoną niczym stuletnia staruszka.

Jakże chciała móc wśliznąć się w ciepłą, miękką nocną koszulę... lecz wiedziała, że w obecności Cole'a byłoby to niezręczne. Tak więc osuszywszy się szorstkim ręcznikiem, włożyła czystą koszulkę i szarą sukienkę, co najmniej dwa rozmiary za dużą. Podobnie jak większość jej ubrań, pochodziła z drugiej ręki i Jessica nie miała do tej pory czasu przerobić jej na siebie: wieczorami była zbyt zmęczona całodziennym uganianiem się za Calebem, a w dzień po prostu nie miała kiedy tego zrobić. Wciągając sukienkę przez głowę, przysięgła, że już wkrótce lepiej zorganizuje sobie czas.

Wróciwszy do ogniska zastała Caleba przytulonego pleckami do boku Cole'a i smacznie śpiącego. Wydawało się jej, że mężczyzna także śpi - leżał na plecach, a pod głowę podłożył sobie siodło.

Dziewczyna usiadła po przeciwnej stronie ogniska; zrzuciła buciki i podwinawszy stopy pod siebie, zaczęła rozczesywać mokre włosy. Uwielbiała tę porę nocy, gdy jest cisza i spokój, a ona wreszcie ma chwilę czasu tylko dla siebie. Wiedziała, że powinna jak najszybciej iść spać, gdyż nadchodzący dzień zapowiadał się równie wyczerpujący co poprzedni, lecz zbytnio cieszyła się swą wolnością. Dogorywające płomienie ogrzewały jej twarz; przekrzywiła głowę tak, żeby mokre włosy nie opierały się o jej sukienkę i były jak najbliżej ogniska.

- Zaraz zajmiesz się ogniem - odezwał się Cole, a dziewczyna aż podskoczyła na dźwięk jego głosu.

- Myślałam, że śpisz - szepnęła, by nie zbudzić Caleba.

- Nie musisz szeptać. Twój synek śpi jak zabity... w tej chwili nic nie jest w stanie go obudzić.

- Ma za sobą długi dzień - odparła dziewczyna z uśmiechem.

Kilka minut upłynęło w milczeniu, po czym Cole znowu się odezwał.

- Jesteś dobrą matką, Jessiko.

Odłożyła szczotkę do włosów i spojrzała na niego.

- Nie, nie jestem, ale cały czas się staram - odparła. - Dorastając niewiele miałam do czynienia z dziećmi i wiem, że popełniłam kilka błędów w wychowaniu Caleba. Teraz jestem już bardziej pewna siebie i mam nadzieję, że nie zrobiłam nic, co by mu wyrządziło jakąś krzywdę na przyszłość. Wiem, że go rozpieściłam, ale wcale się tym nie przejmuję. Dzieci powinny być rozpieszczane.

- Chłopiec potrzebuje ojca - rzekł Cole. - Czy zamierzasz znaleźć mu tatusia?

- Nie, absolutnie nie - powiedziała z naciskiem i bez wahania. - Caleb ma ojca... który go opuścił w dniu narodzin, pamiętasz?

- Tak jak twój ojciec opuścił ciebie?

Nie odpowiedziała na jego pytanie.

- Nie zamierzam wychodzić za mąż... To by mi zbyt skomplikowało życie.

- Zdajesz sobie sprawę, jak trudno będzie ci samej wychowywać to dziecko?

- Jakoś sobie poradzę.

Cole długo wpatrywał się w ogień, rozmyślając nad okolicznościami, które ukształtowały Jessikę. Była zbyt młoda na takie opinie o małżeństwie i mężczyznach.

- Nie wszyscy mężczyźni odchodzą...

- Ale wielu tak.

- Nieprawda, większość zostaje - upierał się przy swoim.

- Przyznaję, że jesteś odważna, lecz musisz spojrzeć na to z praktycznego punktu widzenia.

Jesteś piękną kobietą i wielu mężczyzn zapragnie cię poślubić.

Chciał jej powiedzieć, że jest wprost stworzona do miłości, lecz powstrzymał się. Nie chciał

dawać jej złudnej nadziei, że to on jest zainteresowany małżeństwem. Pewnie, że bardzo chciałby się z nią kochać i wiedział, że byłaby to noc, której nie zapomniaby do końca życia... ale na małżeństwo nie miał ochoty.

- Niby dlaczego uważasz, że potrzebuję pomocy mężczyzny w wychowywaniu Caleba? -

zapytała buńczucznie, lecz tym razem to on zignorował pytanie.

- Masz piękny kolor włosów.

Komplement zupełnie ją zaskoczył.

- Naprawdę tak uważasz? Zazwyczaj mężczyznom nie podobają się brązowe włosy.

- Skąd ci to przyszło do głowy? Kiedy mężczyzna po raz pierwszy patrzy na kobietę, nie przygląda się włosom.

- Nie? A czemu?

Cole uśmiechnął się lekko.

- Przygląda się całości... zauważa każdy szczegół od szyi w dół.

Jessika zarumieniła się i roześmiała cicho.

- Nie powinieneś tak mówić.

- Niby jak? Po prostu odpowiedziałem na twoje pytanie. Poza tym, twoje włosy nie są brązowe... mają kolor cynamonu.

Bardzo nie podobał się jej temat tej rozmowy; nie powinien jej powtarzać, że jest piękna, skoro tak nie jest.

- Dlaczego się nie ożeniłeś? - zapytała.

- Nigdy nie chciałem mieć żony - odpowiedział uczciwie

- Poza tym, w mojej pracy małżeństwo nie wchodzi w grę.

- Ale dlaczego nie chcesz się żenić? - drążyła.

- Nie podoba mi się pomysł bycia uwiązany gdzieś na stałe. Nie chcę mieć żadnych zobowiązań.

Jessika skinęła poważnie głową.

- Rozumiem. Ja także nie chcę zobowiązań.

- Ale ty jesteś jeszcze za młoda, by mieć tak sprecyzowane zdanie na temat małżeństwa.

- Chcesz powiedzieć, że jestem cyniczna? Pewnie, że jestem.

- Odpowiedni mężczyzna mógłby zmienić twoje poglądy na świat.

- A odpowiednia kobieta twoje - stwierdziła.

Cole przyglądał się jej przez kilka chwil, po czym odwrócił wzrok w stronę ogniska; na jego twarzy pojawił się zamyślony wyraz, który ją zaskoczył. Dużo by dała, żeby wiedzieć, o czym Cole Clayborne myśli w tej chwili.

Wstała, odłożyła szczotkę do juków i wygrzebała jedną ze wstążek do włosów. Potem usiadła na kocu obok Caleba.

- Postanowiłam, że przywiążę jego nadgarstek do mojego... w ten sposób, jeżeli wstanie, ja też się obudzę.

- Jessie, to wcale nie jest konieczne.

Ale ona nie chciała ryzykować. Wsunęła pętelkę z żółtej wstążki na rączkę dziecka, a drugą na swój nadgarstek. Potem położyła się obok Caleba i zamknęła oczy.

- Nie mogłabym zmrużyć oka martwiąc się o niego.

Niecałą minutę później twardo spała. Cole dorzucił kilka polan do ognia i przechyliwszy się nad Jessiką, odwiązał wstążeczkę od rączki dziecka. Zbyt wiele luźnej wstążki leżało między Calebem a jego matką, i Cole martwił się, że

dzieciak może ją sobie niechcący zawinąć dookoła szyjki. Nie zamierzał ryzykować; poza tym, gdyby dziecko się obudziło, na pewno by to usłyszał. Z dala od domu Cole zawsze sypiał bardzo lekko i budził go najłżejszy szmer.

Jessika westchnęła przez sen i przekręciła się na bok, tak że teraz leżała twarzą do niego.

Przyglądając się jej ślicznej twarzyczce, Cole nagle pomyślał, że jeżeli tylko jest gdzieś na świecie odpowiednia dla niego kobieta, jest nią właśnie Jessika. Ta myśl zirytowała go.

Przez jego głupie amory wszystko mogło się skomplikować, a on szczerze nie znośił komplikacji.

Wyciągnął się na plecach i wpatrując się w rozgwieżdżone niebo nad głową, przypomniał sobie o podstawowej dewizie swego życia: żadnych zobowiązań.

Szeryf Tom Norton i jego żona Josey mieszkali w dwupiętrowym, szarym domu na Grant Lane, zaledwie dwie przecznice od głównego placu Middleton, gdzie Tom miał swoje biuro i więzienie. Trzy kamienne schodki prowadziły na ganek, gdzie stały niedawno pomalowane na czarno bujane fotele a przy poręczy - czarne donice wypełnione różowymi i czerwonymi wiosennymi kwiatkami. Po kolumnach ganku piął się dziki bluszcz.

Było już ciemno, gdy dotarli przed dom Nortonów, lecz Cole nalegał, by podeszli od tyłu i zastukali do kuchennych drzwi. Na rękę niósł Caleba, a drugą ręką ciągnął za sobą opierającą się Jessikę.

- Jestem pewna, że już dawno poszli spać. Jest strasznie późno, Cole.

- Nie tak bardzo - odparł. - Poza tym, gdyby spali, na pewno nie zostawiliby świateł we wszystkich pokojach. No, chodźże! Musimy to przecież kiedyś załatwić!

Pociągnęła go mocno za rękę, tak, że się zatrzymał i spojrzał na nią ponuro.

- Jeżeli ci ludzie mi się nie spodobają, nie zostawię u nich Caleba. Zgoda?

Cole usiłował zapanować nad ogarniającym go zniecierpliwieniem.

- Już się przecież na to zgodziłem. Zgodziłem się, że go tu nie zostawimy, jeśli Nortonowie ci się nie spodobają. To było zaledwie dwie godziny temu, pamiętasz?

- Po prostu chciałam się upewnić.

Cole objął ją za ramiona i lekko przytulił do siebie.

- Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

Właśnie chciał zastukać do drzwi, gdy Jessika poprosiła, by chwilę zaczekał. Wyciągnąwszy rękę, przesunęła palcami, niczym grzebieniem, po włosach dziecka, które zaprotestowało jękliwie.

- Gotowa? - spytał Cole.

Dziewczyna odetchnęła głęboko.

- Taak - odrzekła z ociąganiem. - Mam nadzieję, że nie przeszkodzimy im zbyt. Jest strasznie późno - powtórzyła z uporem.

Nortonowie wcale jeszcze nie spali i bardzo się ucieszyli z przybycia nieoczekiwanych gości.

Josey właśnie skończyła zmywać naczynia po kolacji, a Tom nadal siedział przy stole pijąc kawę.

Usłyszawszy odpowiedź na swoje pukanie, Cole delikatnie popchnął Jessikę do środka i pociągnął ją za sobą do jasno pomalowanej kuchni.

Josey od razu pochyliła się nad dzieckiem, które opanowane nagłą nieśmiałością, wtuliło twarzyczkę w szyję Cole'a.

- Ojej, jaki śliczny chłopczyk! Tylko popatrz na te loczki, Tom! Nie wiedziałam, że masz rodzinę, Cole... a ta piękna dziewczyna to pewnie twoja żona! Bardzo miło mi cię poznać, moja droga

- dodała kobiecina z szerokim uśmiechem.

- Nie jestem jego żoną - wyjaśniła Jessika. - Ale to jest mój synek. Ma na imię Caleb.

Tom Norton wstał od stołu, by uścisnąć Cole'owi prawicę. Potem zaprosił gości do stołu.

- Usiądź i powiedz, co, u wszystkich diabłów, robisz z powrotem w Middleton? Chyba nie sądzisz, że zanosisz się na następny napad, co?

- Nie, nie - odparł Cole pospiesznie, usiadł i posadził sobie Caleba na kolanie. -

Przyjechaliśmy, by z wami porozmawiać

- Naprawdę? - zdziwił się Tom. - Jakie to dziwne. Zaledwie wczoraj o tobie myślałem! Jak mi Bóg miły! Widzę że nadal nosisz gwiazdę. Czyżbyś się jednak zdecydował na zostanie szeryfem?

- Przynajmniej na jakiś czas - odrzekł Cole. Podziękował Josey za kubek kawy, który przed nim postawiła, i z powrotem odwrócił się do Toma. - Jestem szeryfem zbyt krótko, by móc zdecydować, czy podoba mi się ta praca, czy nie. - To powiedziawszy zerknął na Jessikę, która bacznie obserwowała Josey - zdawało się, że dokładnie analizuje każdy ruch gospodyni.

Caleb sięgnął po kubek z kawą, lecz zanim Jessika lub Cole zdążyli zareagować, Josey odsunęła naczynie poza zasięg jego rączek.

- Czy mogę dać małemu ciasteczko? Dopiero co upiekłam. Co prawda mają w sobie orzechy, a niektóre dzieci nie lubią orzechów. Może w takim razie dam mu mleka? Mam mnóstwo...

- Caleb na pewno chętnie zje ciasteczko i napije się mleka - odpowiedziała dziewczyna. - Ale narobi tu straszego bałaganu. Mam nadzieję, że nie będzie mu pani miała tego za złe.

- Nie, oczywiście, że nie. Jest jeszcze za malutki, by jeść nic nie rozrzucając - rzekła Josey. -

A czy wy jedliście już kolację? Mogę wam usmażyć...

- Nie, nie, już jedliśmy - przerwał jej pospiesznie Cole.

- Dziękujemy bardzo.

- Nie jesteśmy głodni - dodała dziewczyna.

- Tom, czy mogę zamienić z tobą słówko na osobności? - zapytał Cole.

Szeryf zaprowadził go do salonu; Caleb nadal był lekko oszołomiony tyloma nowymi sprzętami, głosami i twarzami, więc nie protestował, gdy Cole podał go matce i wyszedł z kuchni mrugając porozumiewawczo.

Jessika przytuliła do siebie dziecko i trzymała je tuż przy sobie, rozglądając się niepewnie na boki. Kuchnia była przestronna i czysta. Zauważyła, że nigdzie nie było ani śladu brudu. Najwyraźniej Josey była niezłą gospodynią, lecz czy wytrzyma z Calebem? Czy nadaży za nim wszędzie? Czy będzie mieć dla niego dość cierpliwości?

Jaka szkoda, że nie mieli więcej czasu! Polegała na osądzie Cole'a, lecz był tylko mężczyzną, nie miał instynktu macierzyńskiego. Ufał Nortonom, a ona nie... przynajmniej jeszcze nie.

Musiała przyznać, że nie byli potworami. Dobroć bijąca z oczu Josey powiedziała jej aż nadto wyraźnie, że starsza kobieta kocha dzieci. Była oczarowana Calebem, a i dziecko już się do niej przyzwyczajało. Co prawda nadal trzymał kciuk w buzi, lecz uśmiechał się szeroko i zaczynał coś mrużyć pod nosem.

Ale co on tam wiedział, wszak był tylko małym dzieckiem. To ona musi zdecydować, czy ten dom się dla niego nadaje... czy Nortonowie dobrze się nim zaopiekują. Jak mogła go zostawić? Kto będzie go kochał tak mocno, jak ona go kocha? Przecież nikt!

Josey postawiła na stole talerzyk z ciasteczkami. Nalała mleka do dwóch szklanek - wysokiej dla Jessiki i mniejszej dla Caleba. Potem usiadła naprzeciw dziewczyny i uśmiechnęła się.

- Gorąco dziś było, prawda?

- Taak, bardzo - odparła dziewczyna. Odpowiedziała uśmiechem na uśmiech starszej kobiety i przytrzymała Caleba, który usiłował wysliznąć się z jej objęć. - Ma pani śliczny dom.

- Przecież widziałas tylko kuchnię - wytknęła jej Josey śmiejąc się cicho.

- Czy ma pani dzieci?

- Nie... Zawsze chcieliśmy z Tomem mieć dużą rodzinę lecz Bóg zdecydował inaczej. Ale zajmowałam się całym mnóstwem siostrzenic, siostrzeńców, bratanic i bratanków więc sporo wiem o dzieciach i nigdy mi ich w domu nie brakowało.

- Przecież nigdy nie jest za późno na własne. Ile ma pani lat?

Było to bardzo bezpośrednie pytanie, lecz Josey wcale to nie przeszkadzało.

- Za stara już jestem na rodzenie dzieci. W przyszłym miesiącu skończę czterdzieści siedem lat. Dlaczego zadajesz mi takie dziwne pytania?

- Przepraszam, to było niegrzeczne z mojej strony - odpowiedziała Jessika cicho. - Nie chciałam być nieuprzejma. Po prostu mam tak mało czasu...

Nie mogła mówić dalej. Gdyby spróbowała wszystko wyjaśnić starszej kobiecie, na pewno by się rozplakała. Wzięła kilka głębokich oddechów, by zapanować nad szalejącymi w niej emocjami.

Josey przyglądała się jej ciekawie; zauważyła, że dziewczyna jest strasznie blada, że oczy ma podkrążone i smutne. Chciała zapytać, czy ma jakieś kłopoty, a jeżeli tak, to czy ona albo Tom mogą jej jakoś pomóc, ale zanim zdążyła otworzyć usta, Jessica znowu się odezwała.

- Czy uważa się pani za osobę cierpliwą?

- Że jak, przepraszam?

- Czy jest pani cierpliwa?

- Tom zawsze twierdzi, że tak - odpowiedziała.

- A co pani robi, gdy się pani rozzłości?

Josey odchyliła się na krześle, zaskoczona dziwaczными pytaniami gościa.

- Sprzątam.

- Słucham? - spytała Jessica, nie rozumiawszy.

- Sprzątam - powtórzyła Josey. - Jeżeli coś mnie rozwścieczy, myję podłogi, ściany i sprzątam w całym domu, aż mi złość przejdzie. Potem rozmawiam o tym z Tomem. Czy powiesz mi wreszcie, dlaczego zadajesz mi takie dziwne pytania?

W oczach Jessiki stanęły łzy.

- Tak, oczywiście. Wszystko pani wyjaśnię, gdy tylko Cole skończy rozmawiać z pani mężem.

Czy trzyma pani rozpuszczalniki pod stołem?

- Czy co robię?! - Josey nie wierzyła własnym uszom.

- Czy trzyma pani rozpuszczalniki pod stołem? - powtórzyła dziewczyna.

- Dobry Boże, oczywiście, że nie - odrzekła Josey. - Jak już powiedziałam, często opiekuję się dziećmi mojego brata i sióstr... niektóre są w wieku twojego maleństwa. Włazą wszędzie i psocą, ale nie mają jeszcze za grosz rozumu. Mogłyby się napić rozpuszczalnika i umrzeć, więc muszę go trzymać tam, gdzie na pewno go nie dosięgną. Czyżbyś miała jakieś poważne kłopoty, Jessiko?

- Tak - wyszeptała. - Przepraszam, że byłam tak... podejrzliwa, ale musiałam wiedzieć.

- Wiedzieć? Co chciałaś wiedzieć?

- Cole wszystko pani wyjaśni - odparła dziewczyna łamiącym się głosem. - A ja obiecuję, że nie

będę już pani dręczyć żadnymi pytaniami.

Josey sięgnęła przez stół i poklepała dziewczynę po dłoni.

- Cole to dobry, silny mężczyzna... na pewno ci pomoże. Możesz mu zaufać.

- Cole jest szeryfem federalnym i jest częścią moich problemów. Gdyby nie on, nie musiałabym jechać do Teksasu.

Josey zmarszczyła brwi.

- Zdaje się, że będę musiała cierpliwie poczekać, aż Tom wszystko mi wyjaśni. Twój synek od pięciu minut usiłuje dosięgnąć ciasteczek - dodała specjalnie zmieniając temat, gdyż Jessica znowu była bliska łez. - Możesz go puścić, niech zje. Czy potrafi już pić prosto ze szklanki?

Jessika spojrzała na synka; podsunęła mu szklankę mleka i powiedziała, by pokazał Josey, jakim jest już dużym chłopcem. Właśnie przechwalała się jego zdolnościami, gdy Caleb wylał połowę mleka na stół.

- Zupełnie jak mój Tom - rzekła Josey i roześmiała się cicho. Starła stół i przytrzymała szklankę przy buzi Caleba, tak, by dziecko mogło się napić.

Malec wreszcie zdobył się na odwagę i zaczął krążyć po kuchni; dziewczyna poszła za nim, przytrzymując drzwiczki szafek, by nie mógł powyrzucić z nich garnków i przypraw.

- Usiądź przy stole i daj mu się pobawić - zaproponowała Josey.

- Ale on zniszczy pani kuchnię! Caleb jest szalenie ciekawski i nie liczy się ze skutkami swoich postępów - ostrzegła ją Jessica.

Josey otworzyła drzwiczki szafy stojącej pod kuchennym blatem.

- Moi siostrzeńcy strasznie lubią bawić się garnkami i patelniami... O, właśnie! - dodała, gdy Caleb sięgnął po dużą drewnianą łyżkę.

Dziewczyna usiadła naprzeciw gospodyni i prowadziła spokojną pogawędkę, podczas gdy jej synek z zadowoloną miną uderzał łyżką o garnki i w ogóle demolował kuchnię. Nie minęło pół

godziny, a zupełnie zaakceptował Josey; pozwolił nawet, by go podniosła i pocałowała w puciołowaty policzek.

Kilka minut później Tom i Cole wrócili do kuchni. Spojrzawszy dziewczynie w oczy, Cole skinął głową.

- Josey, przez jakiś czas będziemy się opiekować tym malcem - zapowiedział Tom.

Starsza pani poklepała dziecko po plecach i uśmiechnęła się do Jessiki.

- Nic dziwnego, że zadawałaś mi te wszystkie pytania. Bardzo chętnie się nim zajmę - dodała.

- A Tom nie pozwoli, by stało mu się coś złego.

- Jessika jest świadkiem w procesie przeciwko gangowi z Blackwater i jedzie z Cole'em do Teksasu, żeby zeznawać w sądzie - wyjaśnił Tom żonie. - Cole uważa, że dziecko może ucierpieć w takiej podróży.

- Kiedy wrócicie? - spytała Josey.

- Nie wiem - odrzekł poważnie. - Może za dwa tygodnie... może trochę później.

- Przecież on całkiem mnie zapomni! - wykrzyknęła zrozpaczona Jessika.

- Ależ skąd! - odparła Josey. - Nie pozwolimy mu o tobie zapomnieć!

Tom zaproponował, by Cole wraz z dziewczyną spędzili tę noc z nimi, żeby rozstanie z matką nie było dla Caleba zbyt wielkim szokiem. Jessika zgodziła się, by to Josey wykąpała malca przed snem, lecz sama nadzorowała kąpiel i przyglądała się wszystkim poczynaniom starszej kobiety, niczym zapobiegliwa kwoka. Josey napełniła ogromną miednicę ciepłą wodą i postawiła na podłodze w kuchni. Potem pozwoliła maluchowi chlapać się, ile dusza zapagnie, mimo iż w ciągu kilku minut cała kuchnia zalana była wodą.

- Doskonale pani sobie z nim radzi - zauważyła Jessika. Potem poszła za Josey do gościnnego pokoju na piętrze, a Caleb zerkał na nią znad ramienia pani domu.

- On zawsze śpi ze swoją szmacianą lalką. Zaraz ją przyniosę - powiedziała Jessika. - Oj, i jeszcze coś: nie znosi marchewki. Nawet gdyby pani usiłowała zmusić go do jedzenia, i tak ją wypluje.

- Niby dlaczego miałabym go do czegokolwiek zmuszać? - obruszyła się Josey. - Poza tym, ja też nie lubię marchewki. Wiem, że choćbym nie wiem co ci powiedziała, i tak będziesz się o niego martwić, lecz obiecuję ci, że zajmę się twoim dzieckiem jak własnym. A teraz może wrócisz na jakiś czas na dół, żeby Caleb przywyknął do mnie? Zawołam cię, jeśli będę potrzebować pomocy.

- Doskonały pomysł - odrzekła dziewczyna. Będzie to także test. Usypianie Caleba wymagało ogromnej cierpliwości i uporu; od czasu do czasu, gdy dziecko było przemęczone lub rozdrażnione, potrafiło urządzić wieczorem istne piekło. Teraz Caleb był bardzo podniecony nowym towarzystwem i otoczeniem, a to już stanowiło zapowiedź nadchodzących kłopotów Jessika zostawiła na łóżku w gościnnym pokoju tobolek z rzeczami dziecka, po czym wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Zszedłszy na dół, zobaczyła, że Cole stoi w salonie przy oknie i wygląda w mrok nocy. Przyglądała mu się długą chwilę, po czym odwróciła się na pięcie i już miała wyjść, gdy on się odezwał.

- No i o co ci chodzi?

Dziewczyna zaczęła nerwowo krążyć po pokoju.

- To wszystko twoja wina - szepnęła. - Nie widzisz, że to wszystko łamie mi serce?

Chciał do niej podejść, lecz powstrzymała go obronnym gestem wyciągając przed siebie rękę.

- Nie mogę go zostawić. Przepraszam cię, ale tak to już jest. Beze mnie będzie samotny...

przerażony i... nieszczęśliwy.

W tej samej chwili rozległ się radosny śmiech dziecka, na co Cole potrząsnął głową.

- Nie wydaje mi się, żeby był taki nieszczęśliwy...

- Nie zrobię tego. Już się zdecydowałam - wyszeptała

Odwróciła się, by z powrotem wejść na górę, lecz Cole złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- Tom! - zawołał. - Idziemy z Jessiką na spacer!

Ponieważ ścisnął ją mocno za ramię, poszła za nim potulnie na tyły domu. Doszedłszy do kępy drzew, Cole zatrzymał się.

- A teraz mnie posłuchaj... - zaczął, lecz nie dała mu dokończyć.

- Nawet nie waż się mówić do mnie tym tonem! Nie zostawię mojego dziecka u obcych ludzi.

Przepraszam, Cole, ale tak postanowiłam. To ostateczna decyzja.

Usiłowała mu się wyrwać, lecz trzymał ją mocno i przyciągnął do siebie jeszcze bliżej. Stała oparta nieomal o jego pierś, a jego twarz była oddalona od niej zaledwie o kilka cali. Cole miał ochotę nawrzeszczeć na nią i urządzić jej piekło za to, że jest tak cholernie uparta, lecz potem zobaczył łzy w jej oczach i zmienił zdanie.

- Wiem, jakie to dla ciebie trudne...

- Nie, nie wiesz. Nie masz pojęcia. Nie jesteś matką Caleba!

- Masz rację. - Skinął głową. - Ale musisz postępować rozsądnie. Znam Toma Nortona i mówię ci, że można mu zaufać! Kiedy zginął Luke MacFarland i jego żona, Nortonowie chcieli zająć się ich dziećmi.

- Więc dlaczego tego nie zrobili?

- Nie pozwolili im na to krewni Luke'a. Rozdzielili dzieci między siebie i zabrali stąd.

- Rozdzielili rodzeństwo? - szepnęła.

- Tak, Tom robił, co w jego mocy, by do tego nie dopuścić, lecz mu się nie udało. To dobry człowiek, podobnie jak jego żona. Josey zajęła się mną, gdy byłem chory. Byłem dla niej kimś zupełnie obcym, a jednak pielęgnowała mnie dzień i noc. To dzięki niej wyzdrowiałem. Nortonowie

nie pozwolą, by twemu dziecku stało się coś złego. Pokochają małego, a my nie możemy go zabrać ze sobą. Przecież wiesz o tym, prawda?

- Nie jadę z tobą do Teksasu.

- Czy musisz być taka uparta? Nie wiesz, że nie masz wyboru? To już nie zależy od ciebie.

Musisz jechać, a Caleb musi tu zostać.

- Strasznie mi się to nie podoba! - wykrzyknęła. Przytulił ją do siebie i mocno uściskał.

- Ciebie też nie lubię - dodała. - To wszystko twoja wina

- No dobrze już, dobrze. Wiem, że to moja wina - szepnął przez następne kilka minut gładził

ją po plecach i szeptał jej do ucha czułe słowa, dopóki się nie uspokoiła.

Nie potrafiła przestać myśleć o niebezpieczeństwie, w jakim znalazł się Caleb, gdy bandyta zabił pana Yorka. Jej synek także mógł wtedy zginąć.

Nortonowie nie pozwolą, by stało mu się coś złego. W głębi serca wiedziała, że to prawda.

Nagle odsunęła się od Cole'a

- Nieprawda. To nie twoja wina. Ty tylko wykonujesz swoją pracę... robisz, co do ciebie należy. Poza tym, masz rację. Przede wszystkim musimy chronić Caleba.

Wyprostowała się, odwróciła na pięcie i pospiesznie wróciła do domu Nortonów.

Josey siedziała przy kuchennym stole i czekała na nią: chciała jej opowiedzieć, jak to Caleb od razu zasnął niczym aniołek, lecz zobaczywszy łzy płynące po twarzy dziewczyny poderwała się i podeszła do niej szybko.

- Obiecuję, że zaopiekuję się twoim chłopcem, Jessiko, Tom i ja będziemy go traktować jak własne dziecko.

- Bardzo wam dziękuję, że zgodziliście się nim opiekować. Wiem, że nie mam prawa was prosić...

- Możesz prosić, o co tylko zechcesz. Zrobię wszystko, jeżeli tylko będzie to w mojej mocy.

- Jeżeli nie wrócę...

- Nawet tak nie mów! - przerwała jej starsza kobieta.

- Oczywiście, że wrócisz - dodał Cole od drzwi. Jessika zignorowała oba protesty.

- Jeżeli nie wrócę, Josey, czy zajmiesz się moim synem? Czy wychowasz go?

Josey spojrzała na Cole'a ponad głowę dziewczyny.

- Tak, oczywiście. Tom i ja wychowamy go najlepiej, jak

potrafimy. Masz na to moje słowo.

- Dziękuję - odrzekła dziewczyna spokojnie. - Prosiłabym też, żebyście oficjalnie zmienili jego nazwisko... żeby legalnie należał do waszej rodziny...

- Jessiko, na miłość boską! Przestań tak mówić! Nic ci się nie stanie.

- Po prostu muszę się zabezpieczyć na wszelki wypadek. Jestem to winna Calebowi.

Josey zrozumiała ją.

- Oficjalnie go adoptujemy. Masz na to moje słowo - powtórzyła.

Jessika złapała ją kurczowo za rękę.

- Ostatnia rzecz, a będę mogła odjechać... Obiecuj mi, że nigdy go nie opuścisz!

Daniel był rozdarty między dwoma obowiązkami: przede wszystkim musiał eskortować Grace do Teksasu, lecz chciał też pojechać do małego miasteczka Clarkston, gdzie zdarzył się ostatni napad, by przyjrzeć się dowodom i pomóc tamtejszemu szeryfowi w prowadzeniu dochodzenia.

Nie mógł posłać tam tym razem Coopera, gdyż ten zajmował się Rebeką i pilnował, by cała i zdrowa dotarła do Teksasu. Wyjechali na stację kolejową zaledwie przed dwiema godziemi, a Cooper wysłał swoich dwóch młodocianych pomocników do Clarkston. Rebeka nalegała, że musi wysłać telegram do hotelu w Salt Lake City z wiadomością, że odwołuje rezerwację, i by zawiadomić przyjaciółkę o zmianie planów. Gdy tylko wyszła z biura telegrafisty, Cooper wsadził ją do powozu i odjechał.

Jack Cooper zaproponował, że mogą poczekać, aż Grace wyzdrowieje - wtedy on zabierze obie panie do Teksasu, a Daniel pojedzie do Clarkston; lecz Ryan odmówił. Każda z kobiet wierzyła, że tylko ona jest tą, która się przyznała, że jest świadkiem i był zdecydowany trzymać je z dala od siebie, aż do czasu, gdy spotkają się w Red Arrow. Nie chciał, by miały sposobność do ułożenia nowego planu wspólnego działania. Chociaż sam święcie wierzył, że to Rebeka James jest prawdziwym świadkiem - podała najwięcej najbardziej przekonujących szczegółów - postanowił, że będzie najlepiej, jeżeli sędzia z Blackwater sam zadecyduje, która z dziewczyn mówi prawdę.

Nie miał okazji zobaczyć się z Cole'em, zanim ten wyjechał z Rockford Falls z Jessiką i Calebem. Wyruszyli w niecałą godzinę po tym, jak Cole zastrzelił zamachowca. Daniel nadal nie znał

nazwiska martwego bandyty, lecz był przekonany, że to jeden z członków gangu. Z wcześniejszych informacji wynikało, że gang z Blackwater liczy sobie siedmiu członków; jeden siedział w więzieniu w Blackwater, drugi - dzięki Cole'owi - leżał teraz martwy w Rockford Falls, więc gdzieś tam, na prerii, zostało jeszcze pięciu opryszków... tylko czekających na sposobność uśmiercenia trzech kobiet, które znajdowały się pod jego opieką.

Był jeszcze jeden powód, dla którego Daniel nie chciał puścić Grace do Teksasu pod opieką Coopera, lecz nigdy by się do niego głośno nie przyznał. Choć ufał Jackowi i wiedział, że jest doskonałym fachowcem, uważał, że nikt, tak jak on sam, nie przypilnuje Grace. Poza tym, coś go do niej ciągnęło i miał nadzieję, że po wspólnie odbytej podróży to dziwaczne zauroczenie jakoś mu przejdzie.

Daniel spędził tę noc w hotelu Rockford Falls, śpiąc na krześle pod drzwiami pokoju Grace; następnego ranka zszedł na dół na śniadanie. Podczas jedzenia postanowił, że wyjadą po południu, gdy przez miasto będzie przejeżdżał dyliżans.

Niestety, Grace miała inny pomysł. Daniel właśnie przebrał się w czyste ubranie i stał na werandzie rozmawiając z doktorem Lawrence'em, gdy zobaczył, że dziewczyna schodzi po schodach.

Była ubrana w jasnoróżową suknię, białe rękawiczki i pasujący do całości kapelusz. Podeszła prosto do biurka recepcjonisty i powiedziała, że wyjeżdża. Za nią włókł się Sloan taszcząc walizkę.

Danielowi bardzo nie podobał się tłum w holu. Mnóstwo ludzi wymeldowywało się z hotelu i panował ogólny rozgardiasz. Pospiesznie podszedł do Grace i kazał jej wracać na górę

- Możesz odpoczywać aż do popołudnia. Dylizans ma przejeżdżać przez miasto dopiero około trzeciej.

- Nie chcę odpoczywać już ani chwili dłużej. Czuję się doskonale - odrzekła z uporem. - Czy nie zmieniłeś przypadkiem zdania co do odwiezienia mnie do Teksasu?

- Nie, nie zmieniłem.

- Tak też sądziłam... ale wolałam zapytać. Muszę z tobą porozmawiać, Danielu.

- Na górze.

- Nie, nie na górze. Tutaj, i to teraz. Spodziewam się, że potem zabierzesz mnie prosto do więzienia.

- Zabiorę cię prosto do Teksasu - wyszeptał ze złością, ciągnąc ją w odosobniony róg holu.

- Szeryf Sloan powiedział mi, że w Blackwater przetrzymują pewnego mężczyznę... że uważają, iż należy do gangu. Czy to prawda?

- Tak.

- Więc dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? - zapytała gniewnie. - Gdybym wiedziała, nigdy bym nie...

- Nigdy byś czego nie zrobiła? - zapytał zimno.

- Skłamałam! - wykrzyknęła Grace ze łzami w oczach. - Nie jestem waszym świadkiem! To nie ja byłam w banku podczas napadu! Powiedziałam tak tylko po to, by chronić Jessikę i Rebekę.

Wiem, że źle zrobiłam i bardzo mi przykro z tego powodu. Proszę, nie złość się na mnie! Czy długo będę musiała siedzieć w więzieniu?

- Nie pójdziesz do więzienia - mruknął Daniel Ryan.

- Ale przecież popełniłam krzywoprzysięstwo! Skłamałam...

- Wszystkie trzy od samego początku nie robicie nic innego, tylko kłamiecie! - odparł gniewnie. - Naprawdę nie wiem, komu wierzyć...

- Teraz mówię prawdę. Nie było mnie w banku podczas napadu.

- W tej chwili niewiele mnie to obchodzi. Sędzia Rafferty kazał nam przywieźć was wszystkie trzy do Blackwater... i tam właśnie pojedziemy, gdy tylko przybędzie dylizans.

- Ale dlaczego jadą też Jessika i Rebeka?

- Przecież dopiero co ci powiedziałem, że sędzia Rafferty chce porozmawiać z wami wszystkimi.

- Czy wsadzi mnie do więzienia za to, że skłamałam?

Widząc jej przerażenie, Daniel spróbował nieco ją uspokoić.

- Na razie ma większe zmartwienia, niż wsadzanie angielskich dam do więzienia. Chodź.

Wrócimy do twego pokoju, gdzie zaczekasz, aż do miasta przyjedzie dyliżans.

Grace potrząsnęła głową.

- Jeżeli już muszę jechać...

- Musisz.

- Nie chcę czekać na dyliżans. Nie możemy pojechać konno? Szeryf Sloan powiedział, że byłoby znacznie szybciej. Moglibyśmy pojechać na krótko.

- Na skróty - poprawił ją Daniel z uśmiechem.

Koścista, starsza kobieta przepychała się przez tłum w ich kierunku z oczami utkwionymi w Grace. Daniel zauważył ją kątem oka i wysunąwszy się nieco do przodu, stanął przed dziewczyną.

- Najmocniej pana przepraszam - zaczęła kobieta. - Czy mógłby pan usunąć się z drogi?

Chciałabym porozmawiać z lady Winthrop.

Grace szturchnęła lekko Daniela i wysunęła się przed niego.

- Dzień dobry pani - odezwała się uprzejmie.

Kobieta zrobiła coś, co miało zapewne być dygnięciem, lecz niezbyt jej wyszło.

- Poznanie pani to dla mnie zaszczyt - rzekła. - Nazywam się Winifred Larson - dodała czerwieniąc się lekko. - Nie mogłam nie zauważyć tego pięknego kapelusza, który ma pani na sobie.

Czy mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie go kupiła? Bardzo bym chciała nabyć identyczny. Czy mogłabym przyjrzeć mu się z bliska?

Grace z uśmiechem podała jej kapelusz; słomkowe rondo pokryte było koronką i sztucznymi kwiatami, a z tyłu chwiały się dwa purpurowe pióra.

- Jest doprawdy przepiękny - rzekła Winifred. - Po prostu muszę taki mieć. Widzi pani, mam purpurową suknię i wiem że doskonale by do niej pasował. - W tym momencie podszedł do nich chudy, łysiejący mężczyzna, którego Winifred szybko przedstawiła. - To mój mąż, Lionel. - Potem

scenicznym szeptem kazała mu uklonić się lady Winthrop.

- Ależ to wcale nie jest konieczne - odrzekła pośpiesznie Grace.

- Czy byłaby pani tak uprzejma i powiedziała mi, gdzie kupiła to чудо? - ponowiła pytanie Winifred.

- Kupiłam tylko zwykły słomkowy kapelusik - wyjaśniła dziewczyna. - Potem sama go przyozdobiłam.

- W takim razie na całym świecie nie ma drugiego takiego samego?

- Już wiem, do czego to prowadzi - mruknął jej mąż pod nosem.

Grace nie zrozumiała.

- Słucham?

- Kiedy moja Winifred ma na coś ochotę...

- Czy mogę go od pani kupić? - wypaliła w tej samej chwili starsza dama. - Byłoby to dla mnie ogromnym zaszczytem... po prostu muszę go mieć. Czy wystarczy pięć dolarów?

Grace patrzyła na nią z niedowierzaniem. Potem zerknęła na Daniela, by przekonać się, jak zareagował i uśmiechnęła się, widząc jego zaskoczoną minę.

- Szczerze mówiąc, pani Larson, nigdy nie zastanawiałam się nad sprzedażą tego kapelusza...

- Jeżeli jest tylko jeden taki na całym świecie, moja droga - wtrącił Lionel scenicznym szeptem - powinnaś zaoferować znacznie więcej.

- Tak, no, tak. Oczywiście. Może więc dziesięć dolarów? Czy to wystarczy?

W tej chwili Daniel postanowił włączyć się do akcji. Widział, że Grace robi się czerwona i pomyślał, że pewnie czuje się szalenie niezręcznie.

- Zdaje mi się, że lady Winthrop...

- Sprzedane - wypaliła w tym samym momencie Grace.

- Sprzedane za dziesięć dolarów!

Lionel zapłacił jej pośpiesznie, jakby w obawie, że może się rozmyślić. Dziewczyna wsadziła pieniądze do kieszeni i wyraziwszy nadzieję, że kapelusz będzie dobrze służył, życzyła im miłego dnia.

- Może przejdziemy się teraz do miejskiej stajni? - zapytała Daniela.

Widząc dziki błysk w jej oczach, Ryan zrozumiał, że Grace chce jak najszybciej wydostać się z

miasteczka.

- W twoim stanie nie powinnaś jeździć konno. Lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś w trakcie podróży spokojnie posiedziała w dylizansie i odpoczęła.

- Nie mam po czym odpoczywać.

Daniel sprzeczał się z nią przez następne kilka minut, aż wreszcie się poddał. Po głowie cały czas kołatała mu myśl, że gdyby pojechali konno, faktycznie mogliby skorzystać ze skrótu i dotrzeć do stacji kolejowej na czas, by zdążyć na wieczorny pociąg. Jadąc dylizansem na pewno by na niego nie zdążyli, a następny pociąg odchodzi dopiero następnego dnia w południe.

Stojąc w hotelowym holu i zastanawiając się, co jest teraz ważniejsze - czas, czy zdrowie dziewczyny - Daniel przyglądał się jej z zainteresowaniem. Włosy miała spięte w dwa warkocze opadające na ramiona, a miękkie pasma spływały delikatnie po obu stronach jej twarzy. Uniósł jedno z nich, by obejrzeć siniak na skroni; był większy, niż poprzedniego dnia lecz opuchlizna już prawie całkiem zeszała.

Delikatnie dotknął palcami jej policzka.

- Jesteś pewna, Grace?

Łagodnie odsunęła jego dłoń.

- Tak, jestem pewna.

Daniel przyglądał się jej tak natarczywie, że pomyślała, iż może szuka w niej jakiejś oznaki słabości. Wyprostowała się uśmiechnęła i raz jeszcze zaproponowała, by wyszli z hotelu

- Czy możemy zatrzymać się przy moim wozie? Musze wziąć inny kapelusz - wyjaśniła. -

Dama nie powinna chodzić z odkrytą głową. Tak się po prostu nie robi.

- Więc dlaczego sprzedawałaś tamten kapelusz?

- Ależ Danielu, przecież ona mi zaproponowała całe dziesięć dolarów!

Ryan wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Zdziwiło cię to, co?

- Właściwie nie specjalnie - odparła zgodnie z prawdą

- To już trzeci kapelusz, który sprzedawałam, odkąd tu przyjechałam... i za każdym razem to te panie mnie zaczepiały Biedactwa, nie mają takich sklepów jak my, w Londynie Muszą zamawiać fatałaszkę z katalogów i podobno bardzo często okazuje się, że to, co zamówiły, a to, co otrzymały, tu dwie całkiem różne rzeczy. Podejrzewam, że musi to być szalenie frustrujące.

- Na pewno - odparł Daniel sucho.

Dziewczyna roześmiała się wesoło.

- Kapelusze są bardzo ważne dla dam... ale nie dla mężczyzn. Czyż nie tak?

- Chodźmy - burknął. - Twój wóz został przetoczony do stajni... tam będziesz mogła wziąć sobie drugi kapelusz.

Ujął ją pod ramię i pociągnął ku drzwiom, lecz Grace odsunęła się od niego.

- Niegrzecznie będzie wyjechać bez pożegnania z Rebeką i Jessiką.

- One już wyjechały; Jessika i Cole wyruszyli wczoraj, by odwiedzić Caleba do domu przyjaciół

Cole'a, a Rebeka wyjechała z szeryfem federalnym Cooperem. Spotkamy się z nimi w Red Arrow -

dodał unosząc jej walizę i biorąc jeszcze raz pod ramię.

- Chcesz biec do stajni?

Natychmiast zwolnił kroku. Kiedy wyszli przed hotel, Ryan całą uwagę skupił na ulicy.

- Myślisz, że zdołamy dogonić Rebeke lub Jessikę?

- Nie.

- Miło byłoby jechać razem z nimi w pociągu.

- Nawet gdybyśmy zdążyli na ten sam pociąg, nie pozwoliłbym ci siedzieć wraz z nimi w przedziale.

- Ależ dlaczego?

- Później ci to wytłumaczę - odparł zniecierpliwiony.

Grace odsunęła się od niego.

- Danielu, jeżeli ktoś do ciebie mówi, to okropnie niegrzecznie jest na niego nie patrzeć -
upomniwała go.

Daniel uśmiechnął się pod nosem; Grace mówiła tonem surowej nauczycielki, która wyjaśnia podstawy dobrego zachowania wyjątkowo niesubordynowanemu uczniakowi.

- Grace, ja tylko uważam, czy nikt nie usiłuje cię zastrzelić. Ale jeżeli wolisz, bym patrzył ci w oczy...

- Nie, nie... wolałabym, żebyś obserwował ulicę. Naprawdę uważasz, że ktoś może chcieć mnie

zastrzelić?

- Oprócz mnie'?

- To wcale nie było śmieszne.

Chwilę później znaleźli się przed miejską stajnią. Wóz stał na tyłach budynku i Grace szybko znalazła trzy kapelusze, których potrzebowała. Dwa wepchnęła do walizy, a jeden wzięła ze sobą.

Potem Daniel pociągnął ją do stajni, gdzie zaczął oporządzać swego konia.

Właściciel stajni, niski, przysadzisty mężczyzna o grubym karku i wydatnym brzuchu, podszedł do dziewczyny, by się przedstawić. Na twarzy miał szeroki, szczery uśmiech i pachniał

końmi.

- Nazywam się Harry i chętnie uściskałbym pani dłoń, panienko, ale jestem strasznie brudny.

Czy mogę w czymś pomóc?

- Tak, oczywiście, że może mi pan pomóc - odparła Grace z uśmiechem.

- Ta pani potrzebuje dobrego wierzchowca - zawołał Daniel. Właśnie siodłał swego konia, pięknego karego ogiera o zadziwiająco łagodnym usposobieniu, lecz ani na chwilę nie spuszczał oczu z dziewczyny. - Śliczna różyczka - szepnął do siebie.

Grace zupełnie nie pasowała do swego otoczenia; ubrana w tę piękną sukienkę, elegancki kapelusz i śmieszne buciki z miękkiej skórki, powinna stać teraz w salonie mody, a nie w stajni. Mimo to, bardzo się podobała Harry'emu. Z uśmiechem przyklejonym do warg, mały człowieczek usiłował

niepostrzeżenie zbliżyć się do niej. Może dlatego, że tak ładnie pachniała? Ale Daniela niewiele obchodziły powody zachowania stajennego; chciał tylko, by mężczyzna się cofnął.

- Może tak znajdziesz pani jakiegoś konia, co Harry? - zawołał dość ostro.

- Ależ pani mąż jest zazdrosny - szepnął Harry, po czym odwrócił się do Ryana. - Zaraz pokażę państwu najlepszego z moich koni.

Kilka minut później wrócił prowadząc za uzdę łękowatego wałacha, który pewnie już dawno stracił wszystkie zęby. Biedne zwierzę było na ostatnich nogach. Grace tylko rzuciła okiem na nieszczęsną istotę i uprzejmie odmówiła.

- Nie, dziękuję.

Harry potarł szczękę zastanawiając się, które zwierzę pokazać jej w następnej kolejności.

- Niedawno odziedziczyłem tę stajnię po bracie i jeszcze nie za dobrze wiem, co tu jest -

wyjaśnił. - Ale właśnie przypominałem sobie śliczną małą klaczkę. Na pewno się pani spodoba - obiecał odwracając się na pięcie i odchodząc pospiesznym krokiem.

Niestety, Grace nie chciała także ślicznej małej klaczki.

- A niby cóż jest z nią nie tak? - obruszył się Harry.

- Po prostu nie takiego wierzchowca szukam - odparła dziewczyna łagodnie. - Ona już dawno powinna być na emeryturze. Nogi ma tak cienkie, że ledwie się nadaje na spacer po mieście. Czy mogę spojrzeć na inne konie?

Harry wyprostował się dumnie.

- Nie, nie może pani. Proszę tu zostać, a ja pani przyprowadzę najlepszego wierzchowca, jakiego mam.

Grace zaczęła cierpliwie, lecz widząc jeszcze jedną starą i lękowatą szkapę, potrząsnęła głową.

Pokonany Harry wyrzucił ręce w górę w geście poddania się.

- No, dobrze... niech się pani rozejrzy. Pozwolę pani wziąć pierwszego konia, który się pani spodoba.

Znalezienie dobrego wierzchowca zajęło Grace kilka minut, lecz kiedy wskazała na zgrabną klaczkę stojącą w jednym z ostatnich boksów, Harry natychmiast usiłował ją zniechęcić.

- Oj, pewnie, że jest ładna i szybka, ale to wściekła bestia - wyjaśnił. - Nie chciałby pan ryzykować. To nie koń dla damy - dodał odwracając się do Daniela.

- Grace?

- Słucham, Danielu?

- Potrafisz sobie z nią poradzić?

- Tak.

- Posłuchajcie no, państwo - wtrącił się Harry. - Ona zawiezie panią daleko, ale...

Grace poklepała zwierzę po lśniącej szyi.

- Jest śliczna. Właśnie takiego konia mi potrzeba. Jak ma na imię?

- Cholera.

Oczy Grace rozszerzyły się z oburzenia.

- Harry, jeżeli nie chcesz mi jej sprzedawać, po prostu to powiedz. Nie musisz od razu kłąć.

- Ależ ja wcale nie przeklinam. Ona właśnie tak ma na imię - wyjaśnił. - Poprzedni właściciel powiedział mi o tym jak już dałem mu pieniądze i nie mogłem się wycofać. Więc ja mówię prawdę: ma na imię Cholera.

- Tak nie można - rzekła Grace. - Ja będę ją nazywać Daisy.

Harry przewrócił oczyma ze zniecierpliwieniem.

- Zdaje się, że pani nie rozumie. Może sobie pani na nią wołać, jak tylko zechce, ale ona i tak zareaguje tylko na Cholereę. Nadal chce pani ją kupić?

- Oczywiście. Danielu, czyż ona nie jest śliczna?

Szeryf Ryan usiłował zapanować nad swoim rozbawieniem kiedy Harry powiedział im, jak koń ma na imię, policzki Grace zrobiły się równie różowe jak jej bluzka. Ale skoro Cholera się jej podobała, on nie miał nic przeciwko temu. Byleby wyruszyli jak najszybciej.

Jednak gdy tylko Harry wziął od Daniela pieniądze za konia i siodło, zaczął mieć wątpliwości.

- Jest pan pewien, że żona poradzi sobie z tak znarowionym koniem?

- Jest pewien - odpowiedziała Grace, zanim Daniel zdążył otworzyć usta.

Harry poddał się.

- Zaraz przyniosę pani szpicrutę - rzekł. - Będzie jej pani potrzebować przy tej diablicy.

- Nie, dziękuję - odmówiła dziewczyna uprzejmie.

- Mówię pani, że ta wścieklica nic nie zrobi, dopóki jej pani dobrze nie wychłosta. Będzie pani potrzebować szpicruty.

Ta rozmowa pewnie ciągnęłaby się w nieskończoność, gdyby Daniel jej nie przerwał; doszedł

do wniosku, że Harry pracuje w złym miejscu: najwyraźniej bał się koni i nie potrafił się z nimi obchodzić. Pospiesznie osiodławszy klacz, Ryan podprowadził ją do dziewczyny.

Harry właśnie błagał ją, by zmieniła zdanie, nalegał, że da jej szpicrutę za darmo, lecz ona i tak nie chciała jej przyjąć.

- Chodź, Grace, czas już na nas - rzekł Daniel, po czym, przytroczywszy jej bagaże za siodłem, wsadził dziewczynę na konia.

Była lekka jak piórko i nie potrafił powstrzymać uśmiechu, gdy zobaczył, jak nakłada kapelusz na głowę. Białe wstążki spływały jej na plecy. Dziewczyna wyglądała, jakby właśnie wybierała się na

niedzielny spacer po parku.

Ale Daniel wiedział, że wygląd może być mylący; czyż nie dowiodła przed chwilą, że zna się na koniach? A sądząc ze sposobu, w jaki siedziała w siodle, nie skłamała też mówiąc o swoich jeździeckich umiejętnościach.

- Dlaczego się uśmiechasz? - zapytała.

- Pomyślałem właśnie, że może jednak zdążymy na ten pociąg - odparł.

Na brodzie Daniela widniała plamka brudu, i zanim Grace zdążyła się zastanowić nad tym, co robi, sięgnęła i delikatnie ją starła.

Ryan szarpnął się do tyłu i odskoczył, jakby go uderzyła.

- Jedziemy - zarządził. - Harry, otwórz tylne drzwi stajni, wyjedziemy tamtędy.

- Jak długo będziemy w Teksasie? - spytała Grace.

Daniel właśnie szykował się do wskoczenia na konia, gdy zaskoczyło go jej pytanie; zamarł z jedną ręką opartą na łuku siodła i odwrócił się ku niej lekko przekrzywiając głowę. Grace pomyślała, że wygląda dokładnie tak, jak dzicy rewolwerowcy, o których czytała. Jak ci nieokiełznani, żądni przygód młodzieńcy, którzy przemierzają bezkresne prerie zachodu zostawiając za sobą szlak złamanych serc. Czy Daniel był jednym z nich? Pomyślała, że pewnie tak. Wyglądał na kogoś, kto się nigdy nie ustatkuje i nie osiedli.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział, zastanawiając się

czemu dziewczyna tak marszczy brwi. - Dlaczego chcesz

wiedzieć?

- Bo mam inne zobowiązania - wyjaśniła. - Osobiste. Czy mógłbyś mi to powiedzieć, przynajmniej w przybliżeniu Naprawdę bardzo mi na tym zależy.

- Droga do Blackwater zajmie nam tydzień, może dwa w zależności od tego, na jakie kłopoty natkniesz się po drodze. Potem będziesz musiała poczekać, aż proces się skończy i wszyscy członkowie gangu zostaną schwytani...

- Ale po co? - wtrąciła. - Przecież to może trwać długie miesiące!

- Nie mogę ci pozwolić odjechać, dopóki nie będę pewien że nikt na ciebie nie czyha.

Grace przymknęła oczy.

- No, dobrze - szepnęła. - Twierdzisz, że mogę być w Teksasie dwa tygodnie lub kilka miesięcy, czy tak?

- Może nawet jeszcze dłużej...

Jej reakcja go zaskoczyła: w oczach Grace pojawiły się łzy

- W takim razie to już koniec.

- Jaki koniec? - zapytał zdumiony smutkiem brzmiącym w jej głosie.

Była tak zrozpaczona, że nie wiedziała, co robić dalej.

- To koniec. Przegrałam.

- Grace, o czym ty mówisz?

- Naprawdę nie mam do ciebie pretensji, Danielu. Wiem że to nie twoja wina.

- Czy ty wreszcie zaczniesz mówić do rzeczy?! - zdenerwował się Ryan. - Możesz mi wyjaśnić, o co chodzi?

- O moją przyszłość! - wykrzyknęła łamiącym się głosem - Wszystko skończone. Nawet miesiąc opóźnienia to za długo! Czy ty nic nie rozumiesz? No, nie, oczywiście, że nie rozumiesz. Ale to i tak nie ma teraz znaczenia. To moja wina... to ja byłam tak głupia, by marzyć... Och! I tak zmarnowałam już tyle czasu! Nigdy nie uda mi się tego dokonać. Mam za mało czasu. - Westchnęła ciężko. - Zanim wyjedziemy z miasta, muszę zatrzymać się przy biurze telegrafisty.

- Wykluczone - burknął Daniel.

- Przykro mi, ale nalegam.

- Powiedz mi, dlaczego.

- Kiedy człowiek czegoś się boi, czy nie lepiej załatwić to

jak najszybciej, by nie było się już czego bać?

Daniel nie miał pojęcia, o czym ona mówi, ale najwyraźniej Harry wiedział, gdyż postąpił o krok do przodu i zaoferował swoją opinię.

- Ma pani na myśli na przykład wyrwanie zęba? - zapytał.

- Tak, coś takiego - zgodziła się, kiwając smutno głową.

- Ona mówi panu, że musi wysłać telegram, by przestać się martwić - zwrócił się Harry do Daniela.

- Nie potrzebuję tłumacza! - wybuchnął Ryan. - Możesz wysłać telegram z Blackwater. A teraz jedźmy już wreszcie!

Ale Grace tylko potrząsnęła głową.

- To tylko odciągnie nieuniknione.

To powiedziawszy, zebrała wodze klaczy i ruszyła ku tylnym drzwiom stajni, a Daniel, klnąc dziko, ruszył za nią. Harry złapał jej konia za uzdę i przytrzymał.

- Proszę pani, pani mąż już się nieźle zirytował. Co jest tak strasznie ważnego, że nie może poczekać?

Grace wybuchnęła płaczem.

- Muszę wyjść za mąż.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Nic mnie to nie obchodzi - odparł Daniel. - Masz to powiedzieć, dlaczego musisz wyjść za mąż. Chcę wiedzieć i koniec.

Grace postanowiła, że najlepiej będzie go zignorować. Oparła się o miękkie oparcie siedzenia w ich prywatnym przedziale kolejowym i wyjrzała przez okno na umykającą prerię. Pociąg jechał

niezwykle szybko, a ponieważ siedzieli w ostatnim wagonie, strasznie kołysało przy każdym zakręcie. Przyprawiało ją to o mdłości, a sądząc po zaciśnięciu ust Daniela i szarym kolorze jego twarzy, kołysanie pociągu wywoływało mdłości i u niego.

- Dobrze się czujesz?

- Doskonale - warknął.

- Nie musisz się na mnie złościć, Danielu.

Siedzieli naprzeciwko siebie w małym przedziale; podobno było w nim miejsce dla czterech dorosłych osób, lecz Daniel zajmował całą wolną przestrzeń siedzenia po swojej stronie.

Długie nogi wyciągnął przed siebie, tak że Grace nie miała jak wyjść nie niepokojąc go. No, ale przecież ona i tak nie miała zamiaru nigdzie wychodzić. Poza tym, drzwi do przedziału były zamknięte od wewnątrz, by na pewno nikt im nie przeszkodził.

- To wszystko jest strasznie niepoprawne - odezwała się Grace.

- Co jest niepoprawne?

- Takie wspólne podróżowanie. W Anglii ludzie bardzo by się krzywili na wspólne podróżowanie kobiety z obcym mężczyzną bez obecności przyzwoitki.

- Jestem stróżem prawa - przypomniał jej Ryan. - A to zmienia postać rzeczy.

- Ale mimo to nadal jesteś mężczyzną.

- Ostatnim razem, gdy sprawdzałem, faktycznie byłem - odparł szczerząc zęby w uśmiechu.

Grace znowu odwróciła twarz do okna, lecz nie dość szybko, by nie zauważył jej uśmiechu.

- Czy zechcesz mi wreszcie powiedzieć, dlaczego musisz wyjść za mąż?

- Nie, nie zechcę.

- Czyżbyś wpadła w tarapaty, Grace?

- Taak, chyba można tak to ująć - odrzekła nie patrząc na niego.

Daniel spojrział na nią zdziwiony; była tylko jedna możliwość przemawiająca za takim rozwiązaniem, lecz Grace nie wydawała mu się typem dziewczyny, która pozwoliłaby mężczyźnie dotknąć się przed ślubem. Była niewinna, słodka i na pewno nietknięta.

- Przecież chyba nie jesteś w ciąży.

- Dobry Boże, oczywiście, że nie - wyjąkała. - Jak mogłeś pomyśleć, że ja...

- Powiedziałaś, że musisz wyjść za mąż... powiedziałaś, że wpadłaś w tarapaty, więc po prostu dodałem dwa do dwóch, ale potem zrozumiałem, że to nie może być prawda. Do Teksasu mamy długą drogę, Grace... i prawdopodobnie prędzej czy później powiesz mi wszystko. Równie dobrze możesz zrobić to teraz.

- Dobry Boże, Danielu. Nie sądziłam, że mężczyzna może być tak uciążliwy. Doskonale.

Wygrałeś. Obiecałam moim rodzicom, że jeżeli tu, w Ameryce, mi się nie powiedzie wyjdę za mąż za lorda Nigela Edmondsa.

- Nadal nic z tego nie rozumiem. Co ci się nie powiodło

Grace zmarszczyła brwi.

- Moi rodzice są utytułowani i mają wysoką pozycję społeczną. Są też bardzo ubodzy i ciężko jest im utrzymać właściwą stopę życiową. Pożyczyli pieniądze pod zastaw ziemi i okazało się, że nie mają jak spłacić długów bankowi. Było to dla nich strasznie upokarzające.

- A czy nikt nie powiedział twojemu ojcu, że może powinien rozejrzeć się za pracą?

- Och, nie... to na nic. On jest utytułowany - powtórzyła

- Ale to chyba nie ułatwia postawienia chleba na stół.

- Ano nie.

- Więc jeżeli nie może, czy nie chce pracować, powinien sprzedać ziemię i wszystko inne, co ma cennego.

- Właśnie dlatego ja muszę wyjść za mąż.

- Nadal nic z tego nie rozumiem.

- Mój ojciec ma tylko mnie...

- Chcesz mi powiedzieć, że cię sprzedaje? - spytał Daniel z niedowierzaniem, pochylając się ku niej.

- Nie, nie... oczywiście, że nie. Po prostu zaaranżował dla mnie odpowiednie małżeństwo.

- Które rozwiąże wszystkie jego finansowe problemy, tak?

- No... tak.

- Więc cię sprzedaje.

- Nie, nieprawda. Wcale mnie nie sprzedaje - rozzłościła się Grace. - Zaaranżowane małżeństwa, które przynoszą korzyść obu rodzinom są praktykowane w Anglii od wieków. Mój ojciec nie robi nic złego. Szczerze mówiąc, był dla mnie wyjątkowo dobry i cierpliwy. Poprosiłam go o rok czasu... miałam nadzieję... właściwie bardzo głupiutkie marzenie, że... uda mi się kupić ziemię i zarobić pieniądze...

- Myślałaś, że uda ci się zarobić na utrzymanie rodziców?

- Nie, nie... Moi rodzice są już starszymi ludźmi. Urodziłam się, gdy byli już po czterdziestce -

wyjaśniła. - Ale są bardzo otwarci na nowe propozycje. Gdyby udało mi się tu nabyć ranczo i rozkręcić interes, mogliby wyjechać z Anglii i zamieszkać tu ze mną. Polubiłbyś ich, Danielu. Myślą bardzo praktycznie, zupełnie tak jak ty.

- Za młoda jesteś, by dźwigać taki obowiązek na swoich barkach.

- Wiek nie ma tu nic do rzeczy. Moja przyszłość została zdeterminowana już w dniu moich narodzin.

- Dlaczego?

- Bo urodziłam się damą.

- Wiem, że jesteś damą - odpowiedział z uśmiechem.

- Nie, nie rozumiesz. Urodziłam się jako lady Grace Winthrop... a tytuł pociąga za sobą odpowiedzialność i obowiązki. Zhańbiłabym moich rodziców, gdybym nie podporządkowała się ich życzeniom.

Ogromna różnica kulturowa istniejąca między nimi zafascynowała Daniela. To, co było ważne w Anglii, nie miało najmniejszego znaczenia w Stanach Zjednoczonych.

- U nas tytuły nic nie znaczą.

- Wiem - odrzekła. - Ale co jest ważne? Pieniądze?

- Dla niektórych na pewno - zgodził się Daniel

- A co jest ważne dla ciebie?

- Honor.
- Ależ ja właśnie to usiłuję ci wytłumaczyć. Tu stawką jest mój honor. Muszę zrobić to, co do mnie należy.
- W Stanach Zjednoczonych słowo mężczyzny jest ważniejsze, niż jego pozycja społeczna.
- Odpowiedzialność jest dla mnie bardzo ważna - odparła Grace. - Mam dokładnie określone obowiązki.
- Na przykład wyjście za mąż za człowieka, który ma pieniądze i władzę?
- Jeżeli to pomoże mojej rodzinie, to tak.
- Co znaczy, że tobie wcale nie musi się to podobać. - Nie raczyła mu odpowiedzieć. - Niee..

tobie wcale się to nie podoba - powtórzył. - Gdybyś zgadzała się z rodzicami, nie poprosiłabyś ich o odroczenie wyroku. Czy kochasz mężczyznę, którego dla ciebie wybrali?

- Jestem pewna, że z czasem nauczę się go kochać Wydaje się przyzwoitym człowiekiem.
- Wydaje się przyzwoitym człowiekiem? Wydaje się - po wtórzył Daniel z niedowierzaniem.

Grace zarumieniła się po uszy.

- No... nie znam go zbyt dobrze. Prawdę mówiąc, spotkałam go tylko raz. Zostałam mu przedstawiona na jakimś balu charytatywnym i muszę przyznać, że nie zrobił na mnie większego wrażenia. Z drugiej strony, nie powinnam tak mówić

- Nie ma nic złego w szczerości - odpowiedział Ryan
- Za to ty musiałaś zrobić na nim piorunujące wrażenie.

- Zdaje się, że tak - rzekła Grace. - Następnego dnia po balu przysłał bilecik memu ojcu z prośbą o spotkanie. Matka powiedziała mi, że Nigel zakochał się we mnie od pierwszego wejrzenia, lecz ja nie wierzę w takie bzdury.

- Założę się, że pożądał cię od pierwszej chwili.

- Chyba nie powinniśmy kontynuować tej rozmowy. Mam wrażenie, że cię to drażni.

- Wcale mnie nie drażni - odburknął. - Po prostu zachowanie twego ojca wydaje mi się okropnie barbarzyńskie!

- Ależ Danielu! W moim społeczeństwie zaaranżowane małżeństwa są sprawą naturalną.

- A ty jesteś posłuszną córką.

Grace zeszywniała.

- Właśnie, jestem posłuszną córką. Moi rodzice byli wyjątkowo wspaniałomyślni, że dali mi rok czasu...

- Odroczenia wyroku?

- Nie mów tak - upomniała go. - Chcieli dać mi szansę spełnienia marzeń. Mieli ogromną wiarę we mnie.

Jego błękitne oczy wpatrywały się w nią z napięciem.

- Ale ty nie masz zbyt wiele wiary w siebie, co, Grace?

- Ależ oczywiście, że mam.

- Więc dlaczego się tak szybko poddałaś?

- Bo muszę pojechać do Teksasu - odpowiedziała cicho. - Nie mogę być w dwóch miejscach jednocześnie. Nie mam szansy na spełnienie swoich marzeń, jeżeli muszę czekać, aż złapiecie wszystkich członków gangu. Już zmarnowałam cztery miesiące. Wyprawa do Teksasu zajmie kolejne dwa.

- Poddajesz się - powtórzył Daniel.

Uderzył zbyt blisko bolącego ją punktu, by mogła to zignorować; usiłował zmusić ją do zaakceptowania faktu, który przez całe życie usiłowała ominąć: że ilekroć droga stawała się dla niej zbyt wyboista, wysiadała z wozu.

- Ależ ja się wcale nie poddam - powtórzyła.

- A mnie się zdaje, że tak.

- Taak? A cóż ty możesz wiedzieć? Dla ciebie wszystko wygląda inaczej.

- Dlatego, że mieszkam w Stanach Zjednoczonych?

- Dlatego, że jesteś mężczyzną - powiedziała cicho. - Nigdy nie będziesz musiał się ożenić wbrew swojej woli, i pewnie nigdy tego nie zapragniesz. Nie należysz do mężczyzn, którzy się osiedlają i zakładają rodziny.

Daniel przesunął się nieco, by móc swobodniej wyciągnąć nogi.

- Byłem żonaty.

Grace spojrzała na niego zdumiona.

- Naprawdę?

Skinął głową.

- Przez prawie siedem lat. Mieliśmy córeczkę... nazywała się Bridget.

Nie zadawała mu już więcej pytań, lecz cisza, która zapadła między nimi nie była nieprzyjemna. Daniel nie rozumiał dlaczego opowiada jej o swej przeszłości... ale nie potrafił ją powstrzymać płynących słów.

- Obie nie żyją. Od dwóch lat...

- Tak bardzo mi przykro.

- Taak.. mnie również.

Mówił spokojnie, jakby o obcych osobach, lecz w jego oczach dziewczyna zobaczyła ogromne cierpienie i zapragnęła go pocieszyć. Chciała go przytulić i dać mu choć najmniejsze ukojenie, lecz wiedziała, że on by go nie przyjął. Nie chciała okazać, jak bardzo wstrząsnęły nią jego słowa więc znowu odwróciła się ku oknu.

Nie odzywała się przez kilka minut, a potem odważyła się spytać:

- Jak miała twoja żona na imię?

- Kathleen.

- Śliczne imię. Bardzo ją kochałeś, prawda, Danielu?

- Tak - odparł bez wahania. - Kochałem ją... nadal ją kocham.

- Jak myślisz, czy jeszcze kiedykolwiek się ożenisz?

- Nie - rzekł równie pewnie.

- Z czasem...

Ale on potrząsnął głową.

- Tylko mi nie mów, że czas leczy rany.

Grace nie rozumiała, dlaczego nagle stał się tak rozdrażniony

- Wcale nie chciałam tego powiedzieć.

- Więc co?

- Że z czasem będziesz w stanie myśleć o nich z uśmiechem... Będziesz pamiętać wszystkie radosne

chwile wspólnie spędzone. Ból nigdy nie odejdzie, lecz zmniejszy się...

- A niby skąd możesz to wiedzieć?

Grace zignorowała jego wrogość.

- Masz rację. Nie wiem, ale życzę ci tego z całego serca.

- Strasznie tu gorąco, nie czujesz?

Skinęła głową i sięgnęła do okna, by je otworzyć, lecz nie ustąpiło pod naporem jej dłoni.

- Coś mi się zdaje, że jest zamknięte na amen.

Daniel obdarzył ją długim spojrzeniem i nacisnął na klamkę okna; otworzyło się od razu, a do przedziału wdarło się świeże powietrze.

- Powiedz mi, jaka była Kathleen?

- Dlaczego pytasz?

- Bo jestem ciekawa, to wszystko.

Daniel oparł nogi na siedzeniu obok Grace, odchylił się do tyłu i zamknął oczy. Z ramionami założonymi na piersi, wyglądał, jakby szykował się do drzemki.

- Była twoim zupełnym przeciwieństwem - odpowiedział. - Zarówno z wyglądu, jak i z usposobienia.

- Jak wyglądała?

- Była wysoka, miała brązowe oczy i włosy... i mnóstwo piegów - dodał z uśmiechem. - Cały czas martwiła się o swoją wagę, lecz zupełnie niepotrzebnie. Była idealna... Kathleen była piękną kobietą... duszę też miała piękną. Podobnie jak nasza córeczka.

Minęło w ciszy kilka minut, zanim Grace odważyła się zadać następne pytanie.

- Jak się poznaliście?

- Pewnego dnia, jadąc do Dillon, zatrzymałem się przy farmie jej ojca. Pracowała w ogrodzie.

Kłęczała wrywając chwasty, a promienie słońca prażyły jej plecy. Wystarczyło, że spojrzała na mnie i uśmiechnęła się... przepadłem z kretesem. Chyba zakochałem się w niej właśnie wtedy.

- Ja także lubię pracować w ogrodzie - odezwała się Grace, wierząc, że ze zmarłą żoną Daniela miały wspólne zainteresowania. - Wyhodowałam najpiękniejsze kwiaty w całej Anglii. We wszystkich kolorach tęczy.

Ale Ryan potrząsnął głową.

- W ogrodzie Kathleen rosły warzywa. Wychowała się na farmie i nigdy nie miała czasu na pielęgnowanie kwiatów Zbierali plony z pól i hodowali zwierzęta, by mieć co włożyć do garnka. Ty wychowałaś się w mieście, prawda?

- Ale mieliśmy także dom na wsi - odparła. - Jeździliśmy na wieś, gdy w letnie upały trudno było w mieście wytrzymania.

Daniel spojrział na nią karcąco.

- Kathleen nie należała do warstwy uprzywilejowanej i nigdy nie miała czasu na martwienie się upałami czy konwenansami. Pracowała od świtu do zmierzchu, bez względu na pogodę. Nie miała szafy pełnej sukni balowych, lecz miała honor, odwagę i dobre serce.

- A ja nie? Czy to właśnie chcesz mi powiedzieć, Danielu Powiedziałeś, że jestem całkowitym przeciwieństwem Kathleen. Skoro ona była honorowa, to znaczy, że ja nie jestem?

- Po prostu mówię, że bardzo się od siebie różnicie.

Grace spojrzała mu w oczy.

- I co? Może jeszcze powiesz, że nie chciałeś mnie zranić.

Nie odpowiedział. Grace wyglądała przez okno, by nie mógł zobaczyć, jak bardzo ją zranił tą okrutną uwagą. Dlaczego ma o niej tak złe zdanie? - zastanawiała się ze smutkiem. I właściwie dlaczego ona aż tak się tym przejmuje?

Zacisnęła mocno powieki, by powstrzymać cisnące się łzy Gdyby zobaczył choć jedną, na pewno pomyślałby sobie, że jest słaba. A przecież jest silna! No, pewnie, że nigdy nie szła za pługiem ani nie sadiła jarzyn w ogródku, lecz to wcale jeszcze nie oznacza, że nie potrafiłaby tego robić.

Wściekłość nieco złagodziła jej ból. Jak on śmie tak łatwo ją osądzać?!

- Przepraszam, Grace. Nie chciałem cię obrazić.

- Ależ owszem, chciałeś - odparła, nawet na niego nie patrząc.

- Do diabła, chyba nie zamierzasz się rozpłakać, co?

Spojrziała na niego z wściekłością.

- Nie, nie zamierzam - warknęła. - Po prostu nie kłam. Chciałeś mnie zranić, więc przynajmniej mógłbyś się do tego przyznać.

- Doskonale. Chciałem cię zranić. A teraz zamknij okno, dobrze? Zrobiło się tu strasznie zimno.

- Przecież jest gorąco jak w piecu - zaoponowała.

- Po prostu zamknij okno. Dobrze?

Dziewczyna wstała, by spełnić jego prośbę.

- Chyba się nie rozchorujesz? - spytała odwracając się ku niemu.

- Nie, nie rozchoruję się - mruknął. - Jestem tylko zmęczony.

Usiadła obok Daniela, z trudem wciskając się między niego u ścianę. Zanim zdążył ją powstrzymać, dotknęła jego czoła wierzchem dłoni.

- Masz gorączkę, Danielu. Zdaje się, że złapałeś grypę.

- Grace, usiądź na swoim miejscu i zostaw mnie w spokoju. Proszę.

Odsunęła się i zrobiła, co kazał, lecz nadal bardzo się o niego martwiła.

- Teraz już rozumiem, dlaczego jesteś taki rozdrażniony. Źle się czujesz.

Pociąg właśnie brał następny zakręt i zarzuciło ich wagonem tak mocno, że Danielowi żołądek podszedł do gardła.

- Wcale nie jestem rozdrażniony - burknął. - Powiedziałem to wszystko po to, żebyś się trzymała ode mnie z daleka. Było to głupie i okrutne, i nie powinienem był tego robić, lecz muszę cię trzymać na dystans, Grace. Tak to już jest. Dlaczego, u Boga Ojca, ten pociąg musi tak pędzić?

- Wcale nie pędzi. Właściwie zwalnia. Nie rozumiem tylko, jak chcesz, żebym trzymała się od ciebie z daleka? Jesteśmy zamknięci w jednym przedziale, a ty nie chcesz nawet na chwilę spuścić mnie z oczu. Co ja zrobiłam, że jesteś aż tak urażony?

- Och, do diabła, Grace. Nie zrobiłaś nic złego. Po prostu jesteś taka cholernie ładna i słodka...

Zupełnie nie wiedziała, co o tym myśleć. Słowa były pochlebne, lecz sposób, w jaki je powiedział, wyjątkowo uwłaczający. Dlaczego to, że była ładna i słodka, tak strasznie go drażniło?

- Danielu, to, co mówisz, nie ma najmniejszego sensu.

Ale jemu właśnie zrobiło się okropnie niedobrze; wziął głęboki oddech, by uspokoić żołądek.

- Posłuchaj, to naprawdę szalenie proste.

- Naprawdę? - zapytała cicho.

- Tak - warknął. - Od śmierci żony nie pragnąłem żadnej kobiety... ale od kiedy poznałem ciebie... ja...

Grace czekała cierpliwie, co powie dalej, lecz gdy cisza przedłużała się, ponagliła go:

- No... co?

Daniel zrozumiał, że ma jakieś piętnaście sekund na dotarcie do łazienki z tyłu wagonu, więc poderwał się do drzwi.

- Pragnę cię, Grace. Teraz już rozumiesz? Zamknij za mną drzwi i nikogo nie wpuszczaj.

Grace była tak zaskoczona, że nie mogła się ruszyć. Wypadł z przedziału i ryknął jej imię najgłośniejszym, jak potrafił by wykonała jego rozkaz; zaczekał, aż usłyszy kliknięcie zamka w drzwiach, po czym pognął do łazienki.

Za pierwszym razem udało mu się zwymiotować prosto do umywalki. Za drugim razem już nie poszło tak gładko zwymiotował na podłogę i do kubła, który przyniósł mu konduktor. Zdawało mu się, że zwymiotował także na Grace lecz miał nadzieję, że to był tylko figiel, który spletała mu wyobraźnia. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak potwornie choroba wyssała z niego wszystkie siły, nie mógł nawet ruszyć ręką i mimo sześciu koców, którymi przykryła go Grace, cały czas trzął się z zimna.

Dziewczyna przygotowała mu łóżko. Przesiedziała cała noc, trzymając jego głowę na kolanach, przykładając mu do czoła zimne kompresy i Daniel był pewien, że gdyby nie ona, na pewno umarłby w kolejowym przedziale. Do północy przestał wymiotować i przespał się trochę. Obudziła go około świtu, by powiedzieć, że dojechali na stację, gdzie czeka ich przesiadka. Naprawdę nie wiedział, jak zdołał przejść z jednego pociągu do drugiego, a zdumiał się jeszcze bardziej widząc, że ich bagaże także są w nowym miejscu. Czy to ona je tu przyniosła? Nie. Przecież miała ręce pełne roboty z nim.

Nie był w stanie jej pomóc, a gdy uświadomił sobie, jak łatwym celem byli podczas przesiadki, znowu zrobiło mu się niedobrze.

Daniel zasnął, gdy tylko upewnił się, że drzwi do przedziału są dobrze zamknięte. Obudził się z głową znowu na kolanach dziewczyny. Grace opierała się o ścianę... oczy miała zamknięte i wyglądała wyjątkowo spokojnie i ślicznie. Usiłował poruszać się jak najciszej, by jej nie obudzić.

Kiedy już się umył i zmienił koszulę na czystą, usiadł naprzeciw niej i przyjrzał się jej z podziwem.

Zauważył, że zmieniła ubranie; teraz miała na sobie białą bluzkę, spiętą pod szyją śliczną broszką i granatową spódnicę. Zmieniła także buciki, tak że pasowały kolorem do spódnicy. Kiedy znalazła na to czas? I dlaczego zadała sobie tyle trudu?

- Dzień dobry, Danielu? Lepiej się dziś czujesz?

- Tak, znacznie lepiej. Czyżbym cię obudził?

- Nie, nie spałam. Tylko odpoczywałam. Wcale nie wyglądasz, jakbyś się lepiej czuł. Pochyl się i pozwól, że sprawdzę ci temperaturę - dodała wyciągając dłoń, lecz cofnęła się pospiesznie.

- Nie musisz się tak martwić, Grace. Nic mi nie jest.

Ale dziewczyna zupełnie się tym nie przejęła.

- Gdzież ja to już słyszałam?

- Nie rozumiem.

- Całą noc powtarzałeś mi, że nic ci nie jest, choć najwyraźniej byłeś bardzo chory. A teraz nachyl się, proszę

Słyszając w jej głosie nutkę zdecydowania, zrobił, o co prosiła

- Jesteś strasznie uparta - mruknął.

Przyłożyła mu dłoń do czoła i zmarszczyła brwi.

- Zupełnie nie mogę wyczuć - rzekła cicho. - Nawet jeżeli masz gorączkę, to niewysoką. Nie możesz jednak na razie nic jeść ani pić, bo znowu zrobi ci się niedobrze. Masz wiele szczęścia. Odchylił się na siedzeniu i rozparłszy wygodnie, założył ramiona na piersi.

- Jak to?

- Masz dość łagodny przypadek grypy. Mogło być znacznie gorzej. Jessica wymiotowała cały tydzień. Bałam się, że umrze.

- Ja chciałem umrzeć zeszłej nocy - przyznał Daniel - A tak przy okazji, dziękuję ci bardzo...

wiesz, za co.

- Nie ma o czym mówić.

- Dlaczego się przebrałaś? - zapytał z ciekawością. - Czyż bym pogniótł ci ubranie? Pewnie tak - dodał, zanim zdążyła odpowiedzieć. - Choć zdaje mi się to stratą czasu. I tak nie zobaczy cię nikt oprócz mnie.

- To było konieczne.

- Dlaczego?

Grace westchnęła cicho.

- Bo zwymiotowałam na mnie.

- Och, Grace, tak bardzo cię przepraszam!

Roześmiała się.

- Ależ Danielu, przecież nie zrobiłeś tego specjalnie...

- Czy to konduktor pomógł ci...

Nie dokończył pytania, bo zobaczył, że Grace kręci przecząco głową.

- Nie pozwoliłam konduktorowi wejść do przedziału. Przecież kazałeś mi przysiąc, że nikt tu nie wejdzie, nie pamiętasz?

- Nie - przyznał spokojnie. - Nie pamiętam. Więc kto w takim razie tu posprzątał?

- Ja.

Miał tak nieszczęśliwą minę, że dziewczyna pożałowała, iż powiedziała mu prawdę.

- Może zmienimy temat?

- Na przykład na jaki?

- Porozmawiajmy o pogodzie - zaproponowała.

- Chyba żartujesz!

- Tylko to udało mi się wymyślić na poczekaniu. Może otworzysz okno i wpuścisz tu nieco świeżego powietrza?

Wstał i zrobił, o co prosiła; wiatr przyjemnie chłodził mu rozpaloną skórę. Usiadł ponownie i spojrzał na nią.

- Masz ochotę coś zjeść lub wypić?

- A jesteś pewien, że nie zrobi ci się niedobrze, gdy ja będę jeść?

- Masz rację. Mogłabyś nieco zaczekać?

Grace nie jadła nic od poprzedniego dnia rano i umierała z głodu, lecz tylko skinęła głową.

- Oczywiście.

- A masz może ochotę na szklankę wody? Bo ja mam.

- Ale jej nie dostaniesz - odparła władcym tonem, który wcale mu się nie spodobał.

- Dlaczego nie?

- Wiesz doskonale, dlaczego nie. Bo znowu zrobi ci się niedobrze. A ja nie mam ochoty na ponowne sprzątanie.

- I kto jest teraz nie w humorze? - warknął niczym rozsierdzony niedźwiedź. I tak też właśnie wyglądał. Na twarzy miał szczecinę jednodniowego zarostu, włosy rozczochrane, a koszula wychodziła mu ze spodni. Mimo to Grace uważała, że jest bardzo przystojny.

No i pragnął jej. Nadal nie mogła wyjść ze zdumienia nad tym zaskakującym faktem i bardzo chciała móc z nim o tym porozmawiać. Ale na razie bała się wspomnieć to choć słowem. Zaczeka, aż przejdzie mu ten drażliwy nastrój.

Daniel nie miał podobnych skrupułów.

- A jeżeli chodzi o to, co wczoraj powiedziałem...

- To znaczy... o co?

- No, wiesz... że cię pragnę.

Dziewczyna splotła palce i położyła dłonie na kolanach.

- Wiem, że nie mówiłeś tego poważnie. Czy to chcesz mi powiedzieć? Nie ma sprawy. Wiem, że mówiłeś w gorączce.

- Nie, nie... mówiłem bardzo poważnie.

- Naprawdę? - szepnęła, zaskoczona, że Daniel mówi o tym tak otwarcie. Dała mu furtkę do ucieczki, lecz on z niej nie skorzystał.

- Tak - odparł mrukliwie. - Ale nie zamierzam nic robić, więc nie nabijaj sobie głowy szalonymi pomysłami.

Grace aż otworzyła usta ze zdumienia.

- Słucham?

Widząc ogień w jej oczach, Daniel zrozumiał, że popełnił błąd.

- To znaczy, pomyślałem, że możesz moje słowa przyjąć jako komplement, ale nie przejmuj się nim zbyt, bo nie zamierzam zrobić nic niestosownego.

- Oj, tak. Piękny komplement! Powiedziałeś, że mnie pragniesz, a zaraz potem zwymiotowałeś na mnie!

Daniel wybuchnął śmiechem.

- Naprawdę bardzo mi przykro z tego powodu. Grace.

- Oj, idź do licha!

Znowu się roześmiał.

- Teraz to już na poważnie cię zdenerwowałem, prawda? Do głowy mi nie przyszło, że potrafisz się wściekać, ale potrafisz, co? Pod tą dobrze ułożoną, słodką warstewką masz niezły temperament,

nieprawdaż, lady Winthrop? Zastanawiam się tylko, co na to dobry stary Nigel?

- Czy musisz być tak nieprzyjemny?

- Nadal chcesz jak najszybciej wysłać telegram z wiadomością, że zgadzasz się wyjść za mąż za szlachetnego Nigela?

- Czy możemy zmienić temat?

- Jasne - zgodził się spokojnie. - Znowu chcesz rozmawiać o pogodzie?

- Przecież wcale o niej nie rozmawialiśmy! I nie, nie chcę rozmawiać o pogodzie. Chcę porozmawiać o Rebecce i Jessice. Miałam nadzieję, że spotkamy się z nimi podczas przesiadki na tamtej stacji... ale nie widziałam żadnej z nich.

- Cole i Jessika nie zdążą do nas dołączyć. Mają co najmniej jeden dzień opóźnienia... a Cooper i Rebeka wyruszyli wczoraj.

- Ale przecież zaoszczędziliśmy sporo czasu jadąc konno... a oni mogli nie zdążyć na wczorajszy pociąg.

- Może, ale to mało prawdopodobne - odpowiedział Daniel.

- Ja też się za nimi rozglądałem, lecz nikogo nie widziałem.

- No, jasne, że nie. Leżałeś na mnie i prawie nic nie widziałeś.

- Jestem pewien, że twoim przyjaciółkom nic nie jest. Nie martw się. Cole i Cooper na pewno dobrze się nimi opiekują.

- Tak sądzisz?

- Tak. Przestań się martwić. Znajac Coopera, sądzę, że pewnie już zdążył nauczyć Reбекę grać w pokera. Założę się, że bawi się jak nigdy dotąd.

Rebeka miała dość zamknięcia; myślała, że oszaleje, jeżeli choć chwilę dłużej będzie musiała przebywać w jednym przedziale z szeryfem Cooperem. Mimo iż był przystojny i miły, doprowadzał ją do szału. Naprawdę usiłował jakoś uprzyjemnić jej ten czas: przez kilka godzin grali w karty rozmawiali, zjedli lunch przyniesiony im przez konduktora... a potem dziewczyna zaczęła się nudzić.

Pragnęła tylko tego, by Cooper wreszcie zostawił ją w spokoju. Zdesperowana wynalazła wymówkę, by odesłać go choć na parę minut. Poprosiła go, by przyniósł jej brązową walizkę, którą konduktor wcześniej załadował do przedziału bagażowego, bo schowała w niej lekarstwo, a właśnie okropnie rozboleła ją głowa. Prośbę swą poparła groźbą, że jeżeli nie napije się mikstury, dopóki ból nie jest jeszcze tak straszny, będzie musiała wysiąść z pociągu na następnej stacji, znaleźć gdzieś hotel i położyć się do łóżka.

Poczuła lekkie ukłucie winy kłamiąc mu, gdyż Cooper był naprawdę przemiłym i wyrozumiałym człowiekiem.

- Wiem, że powinnam była zapakować lekarstwo do podręcznej torby, ale zupełnie o nim zapomniałam.

- Bardzo cię boli? - spytał Jack Cooper z wyraźnym zatroskaniem.

- Potwornie - odpowiedziała. - Jeżeli zaraz nie wezmę lekarstwa, będę chora przez najbliższy tydzień. Ten ból jest po prostu paraliżujący.

Coopera nie trzeba było dłużej przekonywać. Obiecał, że się pospieszy, po czym kazał jej zamknąć za sobą drzwi na zasuwę i wyszedł z przedziału. Rebeka posłusznie zamknęła drzwi i stojąc pośrodku maleńkiego przedziału, wydała z siebie długie westchnienie ulgi - wreszcie była sama, a cisza panująca dokoła była wręcz cudowna. Potrzebowała ciszy i spokoju, by zastanowić się nad przyszłością i zrobić plany.

Dobry Boże, miała tyle do zrobienia i tak mało czasu! Spodziewała się, że Coopera nie będzie przez co najmniej piętnaście minut, może więcej. Przedział bagażowy znajdował się trzy wagony dalej, a gdy szeryf już tam dotrze, będzie musiał przekopać się przez wszystkie toboły, by odnaleźć jej walizkę. A jednak, niecałą minutę po jego wyjściu, rozległo się pukanie do drzwi.

- No i co znowu? - mruknęła do siebie, pewna, że to Cooper wrócił, by wydać jej jeszcze jedno idiotyczne polecenie.

Podeszła do drzwi i odsunąwszy zasuwkę, otworzyła je. Zdawało się, że drzwi eksplodowały, odrzucając ją aż na przeciwległą ścianę. Nie mogła nawet krzyknąć. Próbując odzyskać równowagę, widziała tylko wycelowaną w siebie czarną lufę rewolweru.

Upadła na siedzenie przyciskając dłoń do piersi i dysząc ciężko.

- Co ty tu robisz? - zapytała.

Rewolwerowiec bez słowa wszedł do przedziału i kopniakiem zamknął za sobą drzwi. Był ubrany w ciemny, elegancki garnitur i lśniące czarne buty. Wcale nie wyglądał na mordercę.

- Wstawaj, suko - syknął.

Rebeka nie ruszyła się dostatecznie szybko, więc złapał ją za ramię i szarpnięciem przyciągnął

ku sobie, przyciskając broń do jej brzucha. Kiedy puścił ramię dziewczyny, usiłował, się cofnąć, potrząsając głową w niemej prośbie, by nie robić jej krzywdy, lecz on nie przejmował się jej przerażeniem.

- Błagam - jęknęła Rebeka, jednak to tylko podsyciło jego podniecenie.

- O to chodzi! Błagaj mnie, suko - mruknął. - Chcę, byś mnie błagała.

Sięgnął ręką do jej piersi i jednym brutalnym ruchem rozerwał bluzkę aż do pasa; uśmiechnął

się słysząc jej krzyk. Zanim zdążyła zakryć się dłońmi, ścisnął boleśnie jej nagą pierś.

- Nie, nie rób tego - szepnęła.

Rzucił broń na siedzenie i wybuchnąwszy opętańczym śmiechem, przyciągnął ją do siebie.

Wplątał palce w jej włosy, gwałtownie pocałował w usta. Jego pocałunek był brutalny, mokry i gorący. Przygryzł jej dolną wargę tak mocno, że popłynęła krew, a potem zlizął ją co do ostatniej kropelki.

Całował ją długo, raz za razem, trzymając mocno, bo cały czas się z nim szamotała, a gdy wreszcie nieco się odsunął schwycił jej dłoń i cały czas patrząc jej w oczy, pociągnął ją w dół, ku swemu kroczu.

- Pragnę cię.

Rebeka zamknęła oczy, wydała rozkoszny jęk i oparła się o niego.

- Ty zawsze mnie pragniesz - odparła śmiejąc się gardłowo.

Zacieśnił uchwyt na jej dłoni, pocierając nią z wolna o swą wzwiedzioną męskość. Czowała jego gorący oddech na twarzy i to ją podnieciło. Zarzuciła mu ramiona na szyję i zaczęła się o niego ocierać jak kotka w rui.

- Zniszczyłeś mi bluzkę. Jesteś zbyt brutalny.

- Przecież to cię podnieca!

Zadrżała gwałtownie.

- Taak, masz rację - szepnęła, - Bardzo mnie to podnieca...

Z wolna zaczął całować ją po szyi, aż zamruczała z rozkoszy.

- Nie powinniśmy... szeryf zaraz wróci... Och, Boże, jak cudownie... - Odsunęła się od niego na tyle, by móc spojrzeć mu w oczy. - Widzę, że dostałeś mój telegram. Czy chłopcy też tu są?

Pocałował ją raz jeszcze, zanim odpowiedział na jej pytanie.

- Johnson jest w Rockford Falls... czeka na sposobność zabicia tamtych dwóch. Reszta pojechała do Red Arrow. Jeżeli Johnsonowi się nie uda, oni je zastrzelą, gdy będą wysiadać z pociągu.

Jesteś pewna, że to tam mają jechać?

- Jestem pewna - odparła buńczucznie.

- Czy już się domyśliłaś, która z nich była wtedy w banku?

- Nie - rzekła Rebeka. - Obie są śmiertelnie przerażone, ale żadna nie chciała mi się zwierzyć.

Szkoda, że nie zginęły w pożarze - dodała przeczesując palcami włosy. - W końcu zadałam sobie sporo trudu...

- Nie martw się - odparł łagodnie. - Jeżeli Johnson ich nie załatwi, dopadnie je reszta moich chłopców w Red Arrow.

- A wtedy ja będę jedynym świadkiem.

Jej gardłowy śmiech podniecił go.

- Tak, tak - wyszeptał. - Och, cudownie, cudownie...

Jej dłoń powoli zsunęła się po jego klatce piersiowej i po chwili znowu pieściła jego męskość; wiedziała, jaki efekt wywiera na nim jej nagość i podniecało ją to w osobliwy sposób - czuła, że ma nad nim władzę.

Sięgnął pod jej spódnicę, lecz potrząsnęła głową.

- Nie, nie możemy - szepnęła, gdy usłyszała szelest pękającej bielizny. - Nie mamy czasu. To zbyt niebezpieczne.

- Zawsze jest na to czas. Pragnę cię, Rebeko. Teraz. Zaraz.

Widząc dzikość płonącą w jego oczach poddała się; odstąpiła krok do tyłu i zaczęła się dla niego rozbierać. Bluzka była w strzępach, więc pozbycie się jej zajęło tylko chwilę, potem zrzuciła spódnicę i halkę.

- Jesteśmy głupcami tak ryzykując, Donaldzie - powiedziała zsuwając ramiączka koszulki. W

tej samej chwili on miał dość czekania; podszedł do niej szybko i wepchnąwszy jej rękę między uda, popchnął ją gwałtownie na siedzenie

Szybko pozbyła się resztek bielizny i zrzuciła je na podłogę... potem wyciągnęła się na siedzeniu i szeroko rozłożyła uda zachęcając go, by wziął ją jak najszybciej. Oblizwał suche wargi i przyglądał się pożądliwie jej nagim piersiom. Uklęknął na jednym kolanie między jej udami; czuł, że jeżeli zaczeka choć chwilę dłużej, wybuchnie.

- Wiesz, że doprowadzasz mnie do szaleństwa, suko?

Roześmiała się.

- O, tak, wiem - szepnęła. - I kto by pomyślał, że taki

elegancki i dobrze wychowany dżentelmen może mieć tak

gwałtowny apetyt.

- Ile mamy czasu?

- Co najmniej piętnaście minut - odparła.

Donald właśnie szamotał się z guzikami rozporka, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Nie mógł

sobie przypomnieć, czy je zamknął na zasuwę. Poderwał się z siedzenia i skoczył w kąt przedziału na chwilę przed tym, nim Cooper otworzył drzwi.

- Rebeko, powiedziałem ci przecież, żebyś... - zaczął popychając drzwi.

Był tak zaskoczony jej nagością, że urwał w pół słowa i zatrzymał się na progu. Nie rozumiał, co się tu dzieje. Donald stał za drzwiami i rozpaczliwie szukał po kieszeniach rewolweru.

- Co, u diabła? - mruknął Cooper wchodząc do przedziału.

Rebeka podparła się na łokciu i z przerażeniem patrzyła na Donalda, czekając, by jakoś zareagował na pojawienie się stróża prawa. Cooper zobaczył, gdzie dziewczyna spogląda, i odwrócił

się w chwili, gdy Donald ruszył do przodu.

- Sukinsyn! - wrzasnął Cooper.

Rebeka spanikowała. Zobaczyła na siedzeniu obok siebie rewolwer Donalda, więc przekręciła się na bok, złapała go i... wypaliła.

Cooper właśnie sięgał po broń, gdy dosięgła go kula. Siła była tak straszna, że odrzuciło go z

powrotem na korytarz. Uderzył w okno tak mocno, aż szkło zabrzęczało.

Rebeka wstała; by powstrzymać się od krzyku, zakryła dłonią usta i raz jeszcze wystrzeliła.

Tym razem spudłowała - Cooper właśnie osuwał się na ziemię i kula trafiła w szybę.

Posypało się szkło.

- Och, Boże... och, Boże... - jęczała przerażona dziewczyna. - Zabiłam go? Och, Boże!

Donaldzie, upewnij się, że on nie żyje. Pospiesz się!

Rycząc strasznie, niczym przerażone zwierzę, Donald wyszedł na korytarz; rozejrzał się na boki, by sprawdzić, czy nikt ciekawski nie zainteresował się hukiem.

- Jeżeli nawet jeszcze żyje, to już niedługo - burknął Donald. - Przestań płakać i ubieraj się.

Musimy wysiąść z tego pociągu.

- Tak, tak - odparła płaczącym tonem i odwróciła się, by zrobić, co jej kazał.

Donald pospiesznie zaciągnął bezwładne ciało szeryfa Coopera do drzwi łączących wagon z następnym, zostawiając za sobą smugę krwi na podłodze. Pociąg właśnie zwalniał na zakręcie... tuż około nasypu kolejowego widać był czarną toń jeziora. Pochyliwszy się, wziął Coopera pod ramiona, i dysząc ciężko z wysiłku, na pół wypchnął, na pół skopał szeryfa do jeziora. Stał w otwartych drzwiach i z uśmiechem patrzył, jak bezwładne ciało ginie pod taflą wody.

Nikt tego nie zauważył. Był też pewien, że nikt nie usłyszał wystrzału, gdyż stukot kół

pociągu o szyny przypominał huk gromu.

Po raz kolejny udało mu się wywinąć z oskarżenia o morderstwo. Podniecenie popłynęło mu żyłami i zaczął ciężko dyszeć z euforii. Zdawało mu się, że kącikiem oka dostrzegł jakiś ruch, lecz nie był tego pewien; odwrócił się jednak, by na pewno nikt nie zobaczył jego twarzy i powoli ruszył ku przedziałowi, w którym czekała na niego Rebeka. Krew już wsiąkła w dywanik na podłodze wagonu i wydawało się, że rdzawa plama jest tam od bardzo dawna. Nikt nie rozpozna świeżej krwi, chyba że padnie na kolana i poczuje wilgoć. Tym razem Donald pamiętał, by zamknąć drzwi na zasuwę. Rebeka jeszcze nie zdążyła się ubrać. Na siedzeniu leżało nowe ubranie, a dziewczyna pospiesznie wciskała podarte szmatki do walizki. Donald złapał ją brutalnie od tyłu popchnął na ścianę i gwałtownie posiadł. Nikt nie usłyszał jej krzyków.

Rozstanie z Calebem było dla Jessiki męczarnią. Kiedy żegnała się z nim, zrobiła taką minę, jakby za chwilę miało jej pęknąć serce. Nie uroniła jednak ani jednej łzy, podobnie jak jej synek, może dlatego, że przez noc zdążył już polubić Toma i Josey Nortonów. Wyrwał się z jej ramion, gdy Jessika całowała go na pożegnanie, nie dał się zmusić do pomachania ani nie raczył jej obdarzyć jednym spojrzeniem, gdy wychodziła z kuchni Nortonów. Miał lepsze zajęcie - w tej chwili na przykład zajęty był demolowaniem kuchni Josey.

Zachowanie Jessiki zaskoczyło Cole'a. Wiedział, że nie będzie płakać przy dziecku, lecz spodziewał się, że gdy tylko wyjadą z miasta, rozplacze się i długo nie da się uspokoić. Przygotował

sobie nawet małe przemówienie pod tytułem „Tak jest najlepiej dla was obojga”, ale okazało się to zbyt bezużyteczne. Jessika nie rozplakała się; przez cały dzień była wyciszona, spokojna i opanowana.

Naprawdę zasługiwała na nagrodę za tak dzielne zachowanie. Jechali szybko cały dzień, zatrzymując się tylko dwa razy, by dać koniom wytchnienie. Pod wieczór jasne było, że dziewczyna jest psychicznie i fizycznie wykończona.

W zapadającym zmierzchu Cole zatrzymał swego konia obok jej wierzchowca i zganił się w myślach za to, że był dla niej tak nieczuły. Nie była zbyt doświadczoną amazonką i dwa dni jazdy musiały być dla niej wyczerpujące, a jednak nie poskarżyła się nawet jednym słowem.

- Jutro rano wsiądziemy do pociągu w Edwardsville - rzekł - Miasto leży jakieś pięć mil na południe stąd. Wątpię, czy znajdziemy tam jakiś elegancki hotel, ale przynajmniej prześpiemy się w łózkach - dodał. - Albo możemy nieco nadłożyć drogi i zanoćować przy wodospadach.

- Chyba nie myślisz o powrocie do Rockford Falls.? - zapytała kręcąc głową z niedowierzaniem.

- Jesteśmy bardzo daleko od Rockford Falls - zapewnił ją Cole. - Tu w okolicy jest całe mnóstwo wodospadów. Miejsce, o którym myślałem, jest położone na uboczu... jest tam jeden mały wodospad spadający do niedużego, bardzo czystego jeziora.

- Ile mil drogi musimy nadłożyć? - zapytała zmęczonym głosem. Odsunęła z oczu kosmyk włosów i zauważyła, że cały aż lepi się od kurzu z drogi. Wieczorna kąpiel byłaby luksusem.

- Jakaś milę - wyjaśnił Cole. - Ale jeżeli zamierzamy tu zanoćować, będziemy musieli jutro wcześniej wstać, by zdążyć na pociąg.

- A co ty wolałbyś zrobić? Zanoćować w mieście, czy tutaj?

Cole zawsze wolał noclegi pod gwiazdami, z dala od hałasu i tłumu, ale chciał choć trochę uprzyjemnić dziewczynie życie.

- Cokolwiek zdecydujesz, będzie mi odpowiadać.

- Chętnie bym się wykąpała.

- Jestem pewien, że w Edwardsville będziesz mogła wziąć kąpiel w hotelu.

- Ale wolę zanoćować na dworze. Czy ten wodospad naprawdę jest na uboczu? Jest tam cicho, bezpiecznie i odludnie?

- Tak.

- W takim razie będę mogła tam nieco poćwiczyć.

- Co chcesz ćwiczyć? - zapytał.

- Zobaczysz - odparła wymijająco. - Nie mogę tego robić sama. Będziesz musiał mi pomóc.

Cole uniósł brwi.

- Czy to twoje ćwiczenie zakłada nasze wzajemne dotykanie się? - spytał żartobliwie, spodziewając się, że Jessika zarumieni się i zmieni temat. Ale zdziwił się widząc, że poważnie kiwa głową.

- O, tak. Będziesz musiał mnie objąć. Tak mi się przynajmniej zdaje. Nie jestem pewna. Nie mam zbyt wiele doświadczenia w tych sprawach...

Cole szturchnął swego konia piętami zmuszając go do klusa i pojechał wąską drogą w dół stromego zbocza. Jessika jechała tuż za nim.

Umysł Cole'a przeskakiwał z jednej możliwości do drugiej, lecz żadna nie wydawała mu się prawdopodobna. Co też ta dziewczyna zamierzała ćwiczyć, u wszystkich diabłów?

Obejrzał się za siebie.

- Czy to twoje ćwiczenie... wymaga odosobnienia?

Jessika powstrzymała uśmiech.

- O, tak. Jak najbardziej.

- Dlaczego?

- Bo zamierzam narobić mnóstwo hałasu. Poza tym, gdyby w okolicy byli ludzie, czułabym się strasznie skrępowana.

Cole ściągnął wierzchowcowi wodze i zaczął czekać, aż dziewczyna się z nim zrówna. Zobaczył w jej oczach isierki uśmiechu i zrozumiał, że się z nim drażni.

- Chyba nie mówisz o tym, o czym myślę, że mówisz?

Zatrzepotała rzęsami, na co Cole wybuchnął śmiechem.

- A jak myślisz, o czym mówię? - zapytała tonem niewiniątka.

- O seksie.

- Nie - wypaliła i także parsknęła śmiechem.

- Mężczyźni nie lubią, by się z nimi droczyć, Jessie. Zapamiętaj to.

Ruszył przed siebie, a dziewczyna pojechała za nim. Przez długie minuty nic nie mówiła, lecz potem ciekawość wzięła w niej górę.

- Cole?

- Słucham?

- Czy jesteś zawiedziony?

- Czym mam być zawiedziony?

- Że nie mówiłam o seksie.

- Nie - warknął. - Wcale nie jestem tym zawiedziony.

Dziewczyna zgarbiła się nieco i ku swemu ogromnemu zdumieniu, sama poczuła falę zawodu.

- W takim razie... ty nigdy... nie myślałeś o tym... ze mną?

Cole nie wierzył własnym uszom; czyżby nie zdawała sobie sprawy z wrażenia, jakie na nim wywiera? Pewnie nie. Była niewinna i na pewno nietknięta, lecz to się już wkrótce zmieni, jeżeli nie przestanie mu zadawać podobnych pytań.

- Tak. Myślałem o tym.

- No i...?

- No i co? To się nie stanie. Nie dopuszczę do tego, Jessie.

- Nie, oczywiście, że nie - zgodziła się pospiesznie. - Ale ja też o tym myślałam. I to nie raz.

Cole omal nie spadł z konia.

- Czy ty wreszcie przestaniesz o tym gadać?

- Nie musisz na mnie krzyczeć. Po prostu byłam z tobą szczerą. Dobrze mi się z tobą rozmawia... a przynajmniej rozmawiało, dopóki się nie rozzłościłeś. Przyznanie się do tego, że myślałam o kochaniu się z tobą, nie jest żadną zbrodnią. Nie zamierzam wprowadzać tego w czyn.

Nawet nie wiedziałabym, od czego zacząć.

- Więc nie muszę się przynajmniej martwić, że zrobisz coś głupiego.

- Na przykład co?

Nie raczył jej odpowiedzieć. Przysiągł sobie, że nie odezwie się do niej już ani słowem. A na pewno nie będzie się na nią oglądać... na pewno nie do czasu, aż przejdzie mu ochota, by ściągnąć ją z konia, zedrzeć z niej ubranie i kochać się z nią na trawie.

- Mam nadzieję, że woda będzie ciepła - odezwała się dziewczyna.

Cole miał nadzieję, że woda będzie zimna... lodowata. Ostatnia mila podróży ciągnęła się dziewczynie niemiłosiernie. Miała wrażenie, że jada nie jedną milę, lecz dwadzieścia. Zanim dojechali na miejsce, ledwie trzymała się na nogach. Cole pomógł jej zsiąść z konia. Jego dłonie pozostały zaciśnięte na talii dziewczyny znacznie dłużej, niż było to konieczne, lecz Jessica oparła się o niego z wdzięcznością. Nogi tak bardzo drżały jej ze zmęczenia, że pewnie upadłaby, gdyby jej nie podtrzymał.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy chcąc podziękować, lecz zobaczywszy jego zaciśnięte mocno szczęki, szybko się od niego odsunęła. Najwyraźniej nadal był na nią zły za tamte nieprzystojne uwagi.

Postanowiła nie zwracać się do niego, dopóki humor mu się nie poprawi. Miejsce, które wybrał na nocleg, oczarowało ją: woda była szmaragdowo niebieska, a las i trawa dokoła zielone.

Przechadzała się nad brzegiem jeziora, dopóki nie poczuła, że zmęczone mięśnie nóg nieco się rozprostowały. Wodospad nie przypominał w niczym tych z Rockford Falls; był o wiele mniejszy i nie aż tak wspaniały, ale równie czarujący. Równy strumień wody spadał z poszarpanych skał w górze i wpadał prosto do małego jeziora, a kropelki wody odbijały promienie słońca i niczym pryzmaty rzucały dokoła różnokolorowe tęcze.

Podczas gdy Cole oporządzał konie, Jessica przygotowała obóz: zebrała naręcze drewna na ognisko, rozłożyła koce i wyłożyła jedzenie, które przygotowała im Josey.

- Kolacja gotowa - zawołała.

- Zjem później - odkrzyknął.

Cole skończył szcztokować konie i pozwolił im się paść na młodej trawie. Szum wody spadającej na kamienie był kojący i zbyt pociągający, by mu się oprzeć; tak więc gdy dziewczyna siedziała przy ognisku i jadła kolację, Cole podszedł do brzegu jeziora, zdjął ubranie i zanurkował do krystalicznie czystej wody.

Lodowaty chłód pomógł mu choć na chwilę przepędzić myśli o Jessice i przypomnieć sobie, dlaczego nie powinien jej dotykać. Zobowiązania. Dziewczyna na pewno warta była grzechu, ale w wianie wniosłaby mu całe mnóstwo zobowiązań. Poza tym nie była typem kobiety, z którą mężczyzna

może iść do łóżka, a potem ją zostawić i odejść. Zaslugiwała na coś więcej - na kogoś lepszego niż on.

Więc dlaczego tak bardzo drażniła go myśl o niej z innym mężczyzną?

- Czy zamierzasz całą noc spędzić w wodzie?

Pytanie dziewczyny oderwało go od ponurych rozmyślań. Wszedł z jeziora, pospiesznie się wytarł i włożył spodnie. Potem wrócił do obozu; przesunął ich poślanie nieco bliżej skał, na wypadek, gdyby w nocy miało padać. Poprawił stosik ogniska, który dziewczyna ustawiła, zapalił suche drewno i usiadł na kocu, by zjeść kolację.

Ponieważ wiedział, że to Josey Norton przygotowała dla nich jedzenie, nie był zdziwiony, że smakowało okropnie. Jessica nie narzekała, lecz widząc, ile dla niego zostawiła, zrozumiał, że niewiele zjadła.

Schrupała natomiast prawie wszystkie miętówki, które zapakowała im Josey. Potem zabrała ręcznik i mydło, odeszła od ogniska, zdjęła ubranie na brzegu jeziora i wskoczyła do wody. Ponieważ nie mogła odejść zbyt daleko, skorzystała z wodospadu jak z parawanu oddzielającego ją od Cole'a.

Było chłodno, lecz nie za zimno. Poddając się masażowi spadającej wody, dziewczyna przymknęła oczy i rozkoszowała się kąpielą: nie minęło dziesięć minut, a już czuła się o wiele lepiej.

Cole miał wrażenie, że znalazł się w czyścucu... i była to jego własna wina. Nie powinien był przyglądać się jej kąpeli, ale nie potrafił też zmusić się do odwrócenia. Jeżeli zachowywał się jak zboczeniec lub podglądacz, no... to trudno.

Jessika była taka śliczna! Stała po pas w wodzie odwrócona do niego tyłem, a każdy jej ruch pełen był gracji i erotyzmu. Przyglądał się, jak mydli całe ciało; a zaraz potem musiał przymknąć oczy, by zwalczyć pokusę ponownego wskoczenia do wody i wykąpania się razem z nią. Może zobowiązania nie były aż takie złe...?

Otrząsnął się gwałtownie; rozgrywająca się przed nim scena była pociągająca i kusząca.

Każdy mięsień w jego ciele był napięty i sprężony do skoku; jakże chciał jej teraz dotknąć! Przez umysł przewijała mu się jedna pożądliva myśl za drugą i Cole zrozumiał, że wpadnie w poważne kłopoty, jeżeli szybko nad nimi nie zapanuje. Z głośnym westchnieniem opadł na koc i podłożywszy ręce pod głowę, zapatrzył się w rozgwieżdżone niebo. Zazwyczaj miał lekki sen, więc gdyby Jessica czegoś od niego potrzebowała, nie powinna mieć problemu z obudzeniem go.

Najpierw liczył owce; potem liczył krowy. Potem konie. Wreszcie zaczął liczyć sposoby, na jakie chciałby się z nią kochać.

- Cole, śpisz?

- Nie - odparł nie otwierając oczu.

- Czy coś się stało? Masz taki ochryply głos.

- Nic mi nie jest. Czego chcesz?

- Chciałam tylko spytać, czy nie będzie ci przeszkadzał hałas?

- Że co? Co ty chcesz zrobić?

- Poćwiczyć strzelanie.

Usiadł gwałtownie i zobaczył leżący na jej kolanach rewolwer.

- Skąd to masz?

- Tom Norton mi go dał.

- Odłóż go w tej chwili!

- Chcę się nauczyć celnie strzelać.

- Nie, wcale nie chcesz.

- Muszę się nauczyć, jak się bronić. Nie przepadam bronią i miałam nadzieję, że nigdy nie będę musiała nosić rewolweru, lecz ostatnie wydarzenia wszystko zmieniły. Jestem odpowiedzialna za siebie i moje dziecko... nie pozwolę, by ktokolwiek nas skrzywdził.

- Wyszus włosy i idź spać.

Dziewczyna odsunęła wilgotny kosmyk z twarzy i przerzuciła przez ramię, potem otworzyła pudełko z nabojami które także dostała od Toma i zaczęła ładować rewolwer.

Cole obserwował jej wysiłki i z trudem panował nad gniewem. Patrzył jak strzela i do szału doprowadzało go to że ciągle od nowa popełnia te same błędy. Wreszcie, gdy nie mógł tego znieść już ani chwili dłużej, wstał i podszedł do niej.

Stanął za nią i położywszy jej dłonie na talii, przyciągnął ją do siebie. Potem ujął jej dłonie trzymające rewolwer.

- Do czego ty właściwie strzelasz? - zapytał ze zniecierpliwieniem.

- Do tego drzewa naprzeciwko. A jak myślisz, do czego

- Do gwiazd - odparł. - Mierzysz stanowczo za wysoko

Następne pół godziny Cole spędził ucząc dziewczynę, jak celować, pociągać za spust i trafiać w cel. Szczerze mówiąc bardzo mu się ta cała zabawa nie podobała. Jessica nie musi znać się na strzelaniu; powinna siedzieć gdzieś w eleganckim salonie, popijać herbatkę i obserwować Caleba bawiącego

się u jej kolan. Była damą, a damy nie noszą broni. Popęłnił jednak błąd - podzielił się z nią swymi myślami

Natychmiast zaproponowała.

- Przyznaję, że niezbyt mi się podoba pomysł ciągłego noszenia broni przy sobie, ale i tak zamierzam to robić dopóki ostatni członek gangu z Blackwater nie zostanie schwytany. Jeżeli to oznacza, że nie jestem już damą... to trudno. Niech tak będzie.

- Śliczna jesteś, kiedy się tak złościś. W twoich oczach pojawiają się iskry, wiesz?

- Mnóstwo kobiet nosi przy sobie broń dla... Coś ty powiedział?

Odwróciła głowę, by spojrzeć mu w oczy, i rąbnęła czołem w jego brodę.

- Powiedziałem, że jesteś śliczna - powtórzył.

- Dziękuję - szepnęła, zaskoczona tym komplementem.

Potem odwróciła głowę, by móc znowu się skoncentrować.

- Kobiety na Dzikim Zachodzie muszą nosić przy sobie broń, bo czyha tu na nie mnóstwo...

Co ty robisz?

Cole pochylił głowę i muskał ustami jej kark.

- Całuję cię... ale nie pozwól, by ci to przeszkodziło. Zdaje się, że chciałaś mnie uraczyć niezgorszą tyradą. Co mówiłaś?

- Że jest tu mnóstwo dzikich zwierząt... na przykład niedźwiedzi i innych drapieżników... -

Westchnęła, po czym przechyliła głowę na bok, by mógł całować bok jej szyi i wrażliwe miejsce tuż pod uchem. Zadrżała czując ciepło jego oddechu na swej skórze; wiedziała, że powinna go powstrzymać... i postanowiła, że zaraz to zrobi... za chwilę.

- Drapieżników? - zapytał, gdy nie dokończyła zdania.

- Tak, tu jest okropnie dużo drapieżników.

- Gdzie?

Ale ona straciła już kontakt z rzeczywistością i zdolność logicznego myślenia.

- No... nie wiem... gdzieś.

Roześmiał się cicho.

- Podoba ci się, prawda? - spytał, powoli obracając ją w ramionach, tak że po chwili stała już twarzą do niego i bez trudu mógł ją całować. Gdy tylko jej ramiona otoczyły jego szyję, przytulił ją mocno do siebie, aż poczuł jej piersi napierające na niego i pocałował ją gorąco w rozchylone usta. Jej ciało tak wspaniale pasowało do jego ramion, jakby była stworzona tylko dla niego; poza tym, była taka słodka, zmysłowa i cudowna.

I niewinna. To przywróciło mu ostrość myślenia. Nie mógł zmusić się do wypuszczenia jej z objęć, lecz przestał ją całować; pozwolił jej chwilę odetchnąć i zaczerpnąć tchu. Potem lekko pociągnął jej dolną wargę zębami, by rozchyliła usta, pocałował ją mocno i namiętnie, a po chwili rozluźnił uchwyt.

Tym razem to ona nie chciała go puścić. Drżąc z pod niecenia, całowała go z całą od dawna tłumioną namiętnością i dzikim oddaniem; to ona stała się teraz agresorem, naśladując go i najpierw nieśmiało, po czym coraz odważniej tuląc się do niego. Cole wydał gardłowy pomruk, czując jej język ocieni jacy się o wnętrze jego ust.

Dobry Boże, ależ ona była słodka! Smakowała jak cukierek. Jej podniecenie wzruszyło go i zrozumiał, że gdyby tylko chciał, mógłby natychmiast się z nią kochać. Była zbyt niewinna, by zważać na konsekwencje.

Jedno z nich powinno pomyśleć o jutrzejszym dniu, i Cole wiedział, że to on musi się opamiętać.

Ujął ją za nadgarstki i odsunął jej ramiona od siebie, po czym cofnął się o krok.

- Nie powinienem był tego robić - mruknął ponuro.

Zaskoczona, oszołomiona, patrzyła, jak odchodzi.

- Cieszę się, że to zrobiłeś - wyszeptała. - Chciałam przekonać się, jak by to było...

- Nie jestem naukowym eksperymentem, Jessie - warknął odwracając się do niej z gniewem.

Widząc jego wściekłość, dziewczyna postąpiła krok w jego kierunku, po czym zatrzymała się niepewnie.

- Wiem o tym. Po prostu chodziło mi o to, że od dawna chciałam, byś mnie pocałował.

- No, tak. Cóż... to się już więcej nie powtórzy.

- Dlaczego nie?

Cole nie wierzył własnym uszom.

- Wiesz, do czego prowadzą takie pocałunki?

Powoli skinęła głową.

- Zdaje mi się, że tak... ale ja jeszcze nigdy...

Przerwał jej, bo gdyby choć chwilę dłużej ciągnęli ten temat, znowu wziąłby ją w ramiona... i tym razem już by się nie powstrzymał.

- Po prostu musimy trzymać się od siebie z daleka. Rozumiesz?

Skinęła, a potem zaraz pokręciła głową.

- A jak mamy tego dokonać, na miłość boską? Przecież razem podróżujemy!

- Po prostu trzymaj ręce przy sobie - odparł szorstko i zaraz roześmiał się chrapliwie. Nigdy wcześniej nie odezwał się tak do kobiety i nie mógł uwierzyć, że naprawdę wypowiedział te słowa pod adresem Jessiki.

To przez tę cholerną odznakę, pomyślał. To przez nią jestem tak diabelnie szlachetny.

Dziewczyna założyła ramiona na piersi.

- Jeżeli tego właśnie chcesz, dołożę wszelkich starań, by dostosować się do twego życzenia.

Cole'a nagle ogarnęła wściekłość.

- Nie, nie tego chcę. Chcę zedrzeć z ciebie ubranie, rzucić cię na ziemię i zrobić z tobą to wszystko, o czym marzyłem od tylu dni!

- Marzyłeś o mnie? - spytała, a jej oczy rozszerzyły się z niedowierzania.

- Przestań, Jessie.

- Ja także o tobie marzyłam. Cole, czy chciałbyś się ze mną kochać?

- Nie, nie kochać - poprawił ją brutalnie. - Chciałbym się z tobą przespać... uprawiać seks.

Rozumiesz różnicę? Gdybyśmy teraz uprawiali seks, jutro rano zrozumiałabyś, że popełniłaś błąd.

Żałowałabyś tego do końca życia.

Jessika poczuła, że i w niej budzi się złość.

- A ty? Czy ty także zrozumiałabyś, że to był błąd?

- Tak, oczywiście.

- I czy ty także żałowałabyś go do końca życia?

- Pewnie, że bym żałował, ale nie za długo. Naprawdę nie rozumiesz? Dla mnie niewiele by to znaczyło...

Dziewczyna zauważyła rewolwer leżący na ziemi i podniósłszy go, przeszła obok Cole'a z wysoko uniesioną głową.

- Ze wszystkich aroganckich bzdur, jakie słyszałam...

- Jestem z tobą po prostu szczerzy, Jessie. Większość mężczyzn skłamałaby tylko po to, by móc przespać się z kobietą taką jak ty.

- Kobieta taką jak ja? To znaczy jaką?

Poszedł za nią w stronę ogniska.

- Niewinną... czystą i atrakcyjną jak diabli. Jesteś piękna i nie powinnaś być naiwna. To niebezpieczne i głupie.

- Więc teraz jestem głupia? To, że jestem niedoświadczona, wcale nie znaczy, że jestem głupia! Wypraszam sobie! - Upuściła rewolwer na koc i stała z rękoma założonymi na piersi, patrząc mu z gniewem w oczy. - Odpowiedz na jeszcze jedno moje pytanie, a raz na zawsze skończę z tym tematem.

- Co znowu?

- Dlaczego jesteś taki pewny, że żałowałabym tej nocy do końca życia? Dlatego, że jestem kobietą, czy dlatego, że jestem głupia?

- Chcesz mi powiedzieć, że nie żałowałabyś? Żałowałabyś, żałowała... Kobiety chcą wygodnego życia, męża, dzieci...

- Zobowiązań?

- Właśnie, zobowiązań. A mężczyźni wcale nie chcą zobowiązań.

- Czy w takim razie wszyscy ci żonaci mężczyźni zostali związani i siłą zawleczeni do ołtarza?

- Tak, prawdopodobnie tak.

- Czy twój szwagier został zmuszony do poślubienia twojej siostry?

Cole na śmierć zapomniał, że opowiedział jej o swojej rodzinie.

- Mary Rosę i Harrison? - Ale zanim zdążyła powiedzieć słowo, potrząsnął głową. - Harrison chciał się z nią ożenić.

Jessika usiadła na kocu i zaczęła rozwiązywać sznurowadła u bucików. Cole stał nad nią i usiłował zrozumieć, jak to się stało, że wdali się w tak idiotyczną rozmowę.

- Posłuchaj, Jessie... ja tylko mówię, że...

- Nie chcesz zobowiązań.

- Właśnie! - To był nieomal krzyk.

- No to przygotuj się na niespodziankę, Cole. Ja także nie chcę żadnych zobowiązań -

szeptęła. - Nie chcę wychodzić za mąż... i nigdy tego nie uczynię - dodała kiwając głową.

- Ależ oczywiście, że wyjdiesz za mąż i to pewnie już całkiem niedługo - odparł Cole i natychmiast się zachmurzył.

- Dlaczego? Bo życie byłoby dla mnie łatwiejsze, gdybym miała męża?

Położył się na swoim kocu i zapatrzył w gwiazdy, zastanawiając nad odpowiedzią.

- Tak, byłoby ci znacznie łatwiej... a poza tym, dobrze by było, gdyby Caleb miał ojca.

- Ani mój syn, ani ja, nie potrzebujemy towarzystwa mężczyzny. Sami doskonale dajemy sobie radę. Oj, jakże ty mnie denerwujesz, Cole. Jesteś dokładnie taki sam jak większość ludzi, z którymi się spotkałam. Ty także uważasz, że wiesz lepiej ode mnie, co jest dla mnie dobre!

- Życie samotnej matki jest bardzo trudne.

- Wiem to i bez ciebie... Ale jestem szczęśliwa. Naprawdę szczęśliwa. A gdybym poślubiła kogoś tylko po to, by zdobyć szacunek w oczach innych ludzi, byłabym bardzo nieszczęśliwa i byłaby to wyłącznie moja wina!

- Szacunek innych ludzi? A co to ma z tym wszystkim wspólnego?

- Zapomnij...

- Sama o tym wspomniałaś. Wyjaśnij mi, bo nie rozumiem

- Gdy tylko ludzie dowiadują się, że nigdy nie byłam zamężna, zakładają, że Caleb jest nieślubnym dzieckiem i...

- I co? - nalegał, gdy dziewczyna urwała.

- I robią wszystko, co w ich mocy, bym wiedziała, jak się na to zapatrują.

- To znaczy, co robią? - spytał przyglądając się jej uważnie

- Daj mi jakiś przykład.

Jessika wzruszyła ramionami, udając, że cały ból, jak przyszło jej wycierpieć z powodu innych ludzi, niewiele dla niej znaczy.

- Na przykład, gdy pewnego dnia poszłam z Grace na zakupy, pewna kobieta uderzyła mnie w twarz,

bo dowiedziała się, że nigdy nie byłam zamężna. Kiedy ta kobieta zobaczyła Caleba, zapytała, do której z nas należy. Grace odparła, że jest moim synkiem.

Cole był oburzony.

- I co zrobiłaś?

- Zabrałam małego i wyszłam ze sklepu.

- Szkoda, że jej nie oddałaś.

Jessika uśmiechnęła się.

- Chciałam, ale nie poddałam się tej chęci, bo to byłoby niegodne damy... Poza tym, Caleb był

ze mną. Nie chciałam, by widział mnie... no, wiesz. Ale Grace zajęła się wszystkim - dodała radośnie.

- To był dopiero widok! Stałam na ulicy i przyglądałam się wszystkiemu przez okno.

Cole także uśmiechnął się widząc jej dobry humor.

- Co zrobiła?

- Schwyciła drewniana linijkę leżącą na ladzie i zapędziła babę pod ścianę. Nie uderzyła jej, lecz tak wychłostała ją słowami, że biedaczka się rozplakała. To było naprawdę okropnie śmieszne, bo Grace była od niej o połowę mniejsza. Potem razem śmiałyśmy się z tego do rozpuku.

- Ale i tak bolało, co?

Nie odpowiedziała, tylko przez długą chwilę wpatrywała się w płomienie.

- Grace jest moją pierwszą prawdziwą przyjaciółką - szepnęła. - Zrobiłabym dla niej wszystko...

- A ona zrobiłaby wszystko dla ciebie, czyż nie?

- O, tak. Na pewno - odparła Jessika. - Czy ty masz jakichś bliskich przyjaciół?

- Rodzinę - powiedział łagodnie. - Bardzo kocham moich braci. Czasem doprowadzają mnie do szału, ale zabiłbym każdego, kto chciałby ich skrzywdzić.

Jessika nie potrafiła sobie wyobrazić, jak to jest, gdy ma się rodzeństwo i prosiła, by jej opowiedział o swoim dzieciństwie i dorastaniu w tak ogromnej rodzinie. Była szczerze zdumiona, gdy dowiedziała się, że jego bracia, siostra i matka nie są

związani ze sobą więzami krwi.

Przez ponad godzinę Cole opowiadał jej o swoim dzieciństwie i latach dorastania, zabawiając ją

radosnymi, lecz także smutnymi historyjkami ze swego barwnego życia. Ciepło w jego głosie i oczach świadczyło, że bardzo kocha swą rodzinę i gdy skończył, Jessika czuła niesprecyzowaną tęsknotę. Jakże chciała mieć rodzinę... być kochaną.

- Postanowiliśmy być rodziną, więc zostaliśmy razem - wyjaśnił Cole. - Nigdy, ani razu, nie przeszło mi przez myśl, że któryś z nich mógłby się odwrócić do mnie plecami i odejść. A ty zawsze podejrzewasz coś takiego, prawda, Jessie?

- Doświadczenie nauczyło mnie nikomu nie ufać.

- A co z twoją przyjaciółką Grace?

- O, jej ufam całkowicie.

- A Rebecę?

- Nie znam jej zbyt dobrze, ale sądzę, że jej także mogłabym zaufać. Była bardzo miła i dla mnie, i dla Caleba.

- Od dnia, gdy was poznaliśmy, wszystkie trzy jesteście bardzo lojalne względem siebie.

- Żadna z nich pochopnie nie pomyślała, że Caleb jest moim nieślubnym dzieckiem... -

wyjaśniła Jessika. Usiadła i wyciągnawszy w górę ramiona, przekręciła kilka razy głową na boki, by zmniejszyć napięcie mięśni. - Postanowiłam, że gdy wraz z Grace dojadę do Denver, będę wszystkim mówię że jestem wdową.

- Jedno kłamstwo szybko poprowadzi do następnego - odparł spokojnie. - Popatrz tylko, jakiego bałaganu narobiłyście oszukując nas co do tego, która z was jest świadkiem. Gdybyście powiedziały prawdę, zanim reporter z „Gazecie Codziennej” napisał swój genialny artykuł, wasze życie znacznie mniej by się skomplikowało. Sędzia Rafferty nie nalegałby, żebyśmy z Danielem przywieźli was do Teksasu i podejrzewam, że wraz z Grace byłybyście już w drodze do Denver.

- Przecież już ci powiedziałam, że to ja jestem świadkiem napadu - przypomniała mu Jessika. -

Czy Grace i Rebeka, także będą musiały pojechać do Blackwater?

- Pewnie są już w drodze.

Spojrzała na niego z przerażeniem.

- Dlaczego nic mi wcześniej nie powiedziałaś?

- Bo właśnie miałaś się rozstać ze swoim synkiem. Miałaś i tak mnóstwo zmartwień na głowie.

- Dlaczego ten sędzia chce porozmawiać z nami trzema. Przecież powiedziałam ci, że to ja...

- No, tak... ale Rebeka i Grace powiedziały nam to samo.

- To niemożliwe! - zawołała.

- Wszystkie trzy najpierw zaprzeczałyście, że byliście po południu w banku, po czym wszystkie trzy powiedziałyście że siedziałyście pod tym biurkiem w czasie napadu.

- Nie!

- Ależ tak.

- Nic dziwnego, że mi nie uwierzyłeś. Nie chciałeś, bym ci powiedziała, co się tam wtedy wydarzyło... a ja próbowałam..

- Nie chciałem wysłuchiwać nowych kłamstw.

Jessika odetchnęła głęboko i usiłowała opanować rosnącą w niej złość; miał prawo jej nie wierzyć. W końcu już raz go okłamała.

- Dlaczego Grace i Rebeka powiedziały, że tam były, skoro to nieprawda?

- Ty mi to powiedz.

Jessika zastanowiła się.

- Grace pewnie uważa, że w ten sposób mnie ochrania... Wie, że ja zrobiłabym dla niej to samo. Ale nie rozumiem, po co Rebeka miałaby kłamać?

- Ona nie kłamie, Jessie. Ona jest naszym świadkiem. A teraz idź już spać. Jestem zmęczony i nie mam ochoty się z tobą sprzeczać.

Dziewczyna położyła się na swoim pościeliu i zawięła kocem, potem przekręciła się na bok, tak, by móc wpatrywać się w ognisko. Zupełnie nie mogła zrozumieć, dlaczego Cole był przekonany, że to Rebeka jest świadkiem napadu.

- Cole?

- Co znowu?

- Widziałam tego mężczyznę na dachu sklepu w Rockford Falls. Zabił pana Yorka i usiłowałam go zastrzelić, ale upuściłam rewolwer.

- Pamiętam. I co z nim?

- Ja go już wcześniej widziałam. Rozpoznałam go.

Cole westchnął ciężko.

- Gdzie go widziałaś?

- W banku. Nazywa się Johnson. Widziałam, jak zabijał tych bezbronnych ludzi.

Opowiedziała mu wszystko; pamiętała każde wypowiedziane słowo, każdy uśmiech i każdy krzyk. Opowiedziała mu o ciotce, o rozwiązanej sznurowadłe i o mordzie. Przez cały czas mówiła spokojnym, pozbawionym emocji głosem. Cole nie zadawał jej żadnych pytań, a gdy skończyła, wstała od ogniska i poszła nad brzeg jeziora.

Cole nie wiedział, czy dziewczyna chce być sama, czy też chce, by za nią poszedł; nie miało to większego znaczenia, bo i tak wstał, i poszedł za nią. Nic na świecie nie mogłoby go powstrzymać.

Stała tuż nad wodą, spięta, z ramionami założonymi na piersi. Kiedy spróbował ją objąć, odsunęła się.

- Nie rób tego.

Zignorowawszy jej protest, Cole stanął przed nią zasłaniając jej widok na jezioro i mocno przyciągnął ją do siebie.

- Nie musisz mnie pocieszać - rzekła ze złością, a ponieważ był to pierwszy przejaw emocji, odkąd powiedziała mu prawdę, Cole bardzo się z niego ucieszył i nadal tulił ją do siebie.

- Ale ja chcę cię pocieszyć - odparł łagodnie.

Jeszcze raz spróbowała mu się wyszarpnąć, i tym razem puścił ją.

- Nic nie rozumiesz. Jestem takim okropnym tchórzem! Powinam była coś zrobić, ale nic nie zrobiłam. Pozwoliłam, by ci dranie ich zamordowali. Patrzyłam na to...

Odetchnęła głęboko by uspokoić nerwy, lecz gdy Cole chciał się do niej zbliżyć, powstrzymała go wyciągniętą ręką.

- No, dobrze. Zgadzam się, masz rację. Czy to właśnie chcesz usłyszeć? - zapytał. - Powinnaś była jakoś temu zapobiec. A teraz powiedz mi z łaski swojej, co takiego mogłaś zrobić, by powstrzymać morderców?

Jessika bezradnie potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Byłam tak przerażona, że nie potrafiłam myśleć logicznie. Mój Boże, zaraz po tym, jak wtargnęli do banku, myślałam tylko o moich głupich pieniądzach. Powinam była...

- No co? - nalegał. - Niby co mogłaś zrobić? Mogłaś umrzeć wraz z Franklinem i całą resztą.

Czy właśnie dlatego czujesz się winna? Bo ty przeżyłaś, a oni nie? Naprawdę sądzisz, że powinnaś była wyczołgać się spod tego biurka, uklęknąć wraz z innymi i dać się zabić?

- No... nie. Ale może gdybym zaczęła krzyczeć, ktoś na zewnątrz by to usłyszał i...

- Dość tych bzdur - warknął gniewnie i przyciągnął ją do siebie, zadowolony, że tym razem mu się nie opiera. - Nie mogłaś nic zrobić.

- Ty pewnie byś zrobił... - szepnęła opierając mu głowę na piersi.

- Tak, ja pewnie bym coś zrobił - odrzekł spokojnie. - Gdybym miał broń, pewnie bym spróbował jakoś temu zaradzić i najprawdopodobniej bym zginął. Nie mógłbym zastrzelić ich wszystkich.

- Ale przynajmniej byś spróbował. Ja nic nie zrobiłam.

- Czy miałaś jakąś broń, którą mogłabyś przeciw nim użyć?

- Nie, ale...

- Nic nie mogłaś zrobić, do ciężkiej cholery, i gdzieś tam, w głębi serca, wiesz o tym.

Drżąc na całym ciele, objęła go mocno i przytuliła się do niego z całej siły.

- Chcę...

- Co takiego, kochanie? - zapytał nachylając się i całując ją w czubek głowy.

Oparła mu głowę na piersi i przymknęła oczy. Dziś wieczorem potrzebowała jego siły, jego pocieszeń i... jego miłości.

- Powinnaś się przespać - dodał biorąc ją na rękę i z łatwością niosąc z powrotem do ogniska.

Położył ją delikatnie na kocu i ukląkł obok niej marszcząc brwi z niepokojem

- Nic ci nie będzie - dodał, bardziej by przekonać siebie, niż ją. Już zaczął się od niej odwracać, gdy Jessica złapała go za rękę.

- Zostań ze mną - szepnęła.

Choć nie okazał żadnej reakcji na jej prośbę, serce w nim zamarło.

- Nie - odparł ochryple; niczego tak nie pragnąc w tej chwili, jak dotknąć jej...

W świetle ogniska jej włosy były nieomal czerwone i potrafił myśleć tylko o tym, jak cudownie byłoby wpleść w nie palce całować czerwone usta i przykryć swoim ciałem jej cudowne słodkie, kuszące ciało.

- Nie ma mowy.

- Tylko na chwilę - błagała. - Nie chcę być sama...

- Nie jesteś sama. Ja będę spać zaledwie pół metra od ciebie. Mówię ci, że to fatalny pomysł.

- Dlaczego?

- Chcesz, żebym ci to wytłumaczył? Doskonale. Chcę zostać z tobą, lecz nie po to, by spać.

- Chcesz się ze mną kochać?

- Do diabła, pewnie, że tak!

W jego błękitnych oczach zapłonął jakiś dziwny ogień, a dłonie, które trzymała, zacisnęły się w pięści.

- Nie chcę, byś robił cokolwiek wbrew sobie - rzekła, po czym, puściwszy jego ręce, przekręciła się na bok i odsunęła od niego. - Dobranoc.

Cole nie poruszył się. Klęczał tocząc ze sobą cichą wojnę, aż wreszcie się poddał. Położył się obok niej, zamknął oczy i usiłował wmówić sobie, że leży sam.

Przysiągł sobie, że jej nie dotknie. Czyżby ona nie zdawała sobie sprawy z tego, do czego go zmusza? Czyżby nie rozumiała, jak na niego działa? Potrzebowała go, ale nie tak, jak on jej potrzebował i pragnął. Była samotna i czuła potrzebę kontaktu z drugim człowiekiem; nie miało to nic wspólnego z pożądaniem, które on odczuwał.

Doprowadzała go do szaleństwa. Jej włosy łaskotały go w nos, lecz gdy tylko spróbował je odsunąć, dziewczyna przekręciła się na drugi bok i przytuliła do niego, opierając mu głowę na ramieniu. Pachniała różami i Cole'owi nagle przypomniał się dom. Usiłował skupić się na tym, co zrobi w Rosehill po powrocie do domu, lecz nie potrafił nic wymyślić.

- Pięć minut, Jessie - burknął. - Zostanę z tobą tylko pięć minut.

Ale jej najwyraźniej nie zraził ostry ton jego głosu. Jeszcze raz przekręciła się na posłaniu, tak że teraz leżała odwrócona do niego tyłem, przytulona plecami do jego piersi, podczas gdy jej biodra wtulały się w niego doprowadzając go do szaleństwa.

Cole poczuł, że zaczyna się pocić. To właśnie było piekło - leżał obok kobiety której pragnął, i nie mógł jej dotknąć. Jedynym jego pocieszeniem było to, że gorzej już być nie mogło.

Mylił się. Po paru minutach dziewczyna zaczęła się wiercić i pożądanie Cole'a sięgnęło zenitu.

- Nie ruszaj się - warknął. - Po prostu śpij.

Najwyraźniej nie zrażona jego szorstkością, złapała go za rękę i przyciągnęła do siebie tak, że obejmował ją w pasie. Nie potrafił się powstrzymać i odruchowo zacieśnił uchwyt przyciskając ją do siebie. Jego dłoń spoczywała tuż poniżej miękkiej krągłości jej piersi... wystarczyło, by wyprostował palce, a już mógłby dotknąć jej cudownej... Erotyczna wizja prysła, gdy dziewczyna znowu się poruszyła.

Obiecał jej pięć minut. Chyba oszalał! Ale dał słowo, więc teraz zaczął liczyć upływające sekundy. Dobry Boże, dopomóż Jeżeli wytrwa minutę bez całowania jej, wytrwa całe życie. Chciał spędzić z nią resztę swego życia.

W chwili, gdy sobie to uświadomił, zdziwił się niepomrotnie. Zrozumiał, że już zbyt długo ignorował oczywistą prawdę. Wiedział nawet, kiedy dokładnie po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, że ją kocha - kiedy ten drań Johnson stał na dachu ze swą strzelbą i próbował ją zabić. Pędził

wtedy ku niej ile sił i zrozumiał, że jeżeli ją straci, życie przestanie mieć sens. Był tak przerażony, że zamiast powiedzieć jej o swej miłości, nawrzeszczał na nią.

Jeżeli tak miała wyglądać prawdziwa miłość, to nie chciał mieć z nią nic wspólnego. A jednak chciał zostać z Jessiką do końca życia i nigdy nie wypuszczać jej z ramion.

Najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem wydawało się to, że całuje jej ramię, szyję i ucho, więc pozwolił sobie na to, cały czas powtarzając sobie, że to szaleństwo. Była taka miękka i słodka... i tak ślicznie pachniała.

Czy minęło już pięć minut? Może ona już zasnęła, pomyślał z nadzieją, ale w tej samej chwili Jessica znowu usiłowała przekręcić się w jego ramionach.

- Nie ruszaj się - szepnął.

- Chcę cię pocałować na dobranoc - szepnęła nieśmiało, a w nim serce zadrżało.

- Nie - warknął.

- Proszę...

Cole westchnął z ustami tuż przy jej włosach.

- Jeżeli mnie pocałujesz, przysięgam, że się nie powstrzymam. Zostaw mnie w spokoju i śpij już wreszcie!

Ale sam zaprzeczył ostrym słowom całując ją w kark. Uwielbiał dotykać jej miękką skórę, uwielbiał jej słodki zapach i cichy pomruk z głębi gardła, jaki wydawała po każdym jego pocałunku.

Jessika nie ruszała się przez kilka chwil, po czym powoli przekręciła się w jego ramionach, wiedząc dokładnie, do czego to ich doprowadzi. Nie przejmując się konsekwencjami, pogładziła go po policzku, patrząc mu prosto w oczy przesunęła dłoń na jego kark i przyciągnęła jego głowę ku sobie.

- Chcę, byś mi dał tę noc... tę jedną noc.

- Jessie - wyszeptał głosem przepełnionym pragnieniem - nie wiesz, o co prosisz. Jutro będziesz tego żałować...

- Potrzebuję cię, Cole. Kochaj się ze mną.

Nie potrafił być szlachetny już ani chwili dłużej. Odszukał wargami jej usta i pocałował mocno, drżąc z pożądania. Przez długie minuty tylko ją całował i pieścił jej piersi przez materiał sukni, lecz w końcu to ona sięgnęła do guzików jego koszuli i zaczęła się z nimi szamotać. Cole ukrył twarz w jej włosach.

- Zwolnij, kochanie - wyszeptał. - Zwolnij, bo inaczej ja...

Chciał, by ten pierwszy raz był dla niej idealny, ale jej namiętność tak bardzo go podniecała, że nie potrafił się opanować. Jego dłonie gwałtownie zdzierały z niej ubranie, a gdy zsunął jej z ramion ramiączka koszulki, jego oczom ukazały się śliczne piersi. Aż westchnął... Ból pożądania zmieszał się z dziką ekstazą, gdy wreszcie przykrył jej ciało swoim i poczuł pod sobą jej miękką skórę.

Jej jęk rozkoszy doprowadził go do szaleństwa. Jej pieszczoty stały się równie śmiałe, co jego... a gdy poczuł jej paznokcie drapiące go po udach, aż jęknął z rozkoszy.

Całował każdy skrawek jej ciała, podniecony jej okrzykami i cichym jękiem. Kiedy wsunął dłonie między jej uda usiłowała go odepchnąć, lecz już chwilę potem błagała go, by nie przestawał.

Jej namiętność dorównywała jego pożądaniu.

- Teraz, Cole - krzyknęła.

Była gotowa na przyjęcie go, lecz Cole chciał przedłużyć jej rozkosz tak, by potem nie poczuła bólu penetracji. Jessika wierciła się na kocu płonąc z oczekiwania, aż wreszcie Cole uklęknął pomiędzy jej rozchylonymi udami.

- Spójrz na mnie - rozkazał głosem drżącym z dzikie, namiętności. - To jest już na wieczność...

- Błagam...

- Powiedz to - zażądał patrząc jej w oczy.

- Na wieczność. - Jęknęła.

Jego usta znowu spoczęły na jej wargach i Cole przesunął się nad nią i opadł na jej ciało, by wreszcie ją osiąść. Wszedł w nią delikatnie, lecz pewnie i szybko, ukrywając twarz w jej czerwonych włosach rozrzuconych po kocu.

Była dokładnie taka, jak ją sobie wyobrażał... doskonała Usłyszał jej cichy krzyk i zrozumiał, że sprawił jej ból... więc znieruchomiał w niej, by mogła się do niego dopasować Szeptał jej do ucha

czułe słowa, lecz był tak oszalały z podniecenia, że nie wiedział, czy dziewczyna go rozumie.

Jak coś może tak boleć i zarazem być tak cudowne? Jessica chciała jednocześnie, by ją puścił... i by nigdy jej nie zostawiał

- Zaraz wszystko będzie w porządku - usłyszała jego urywany głos i dopiero wtedy zdała sobie sprawę z tego, że i ona dyszy.

Objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie, a ten drobny ruch wywołał kaskadę rokoszy.

Poruszyła się jeszcze raz i usłyszawszy jego pomruk zrozumiała, że jemu także sprawia to rozkosz.

Cole powoli się wycofał i równie wolno wszedł w nią z powrotem.

- Przestań się ze mną drażnić! - wykrzyknęła z rozpaczą.

Roześmiał się ochryple.

- Ja tylko staram się być delikatny...

- Przestań - błagała. - Chcę...

Uciszył ją następnym pocałunkiem i zaczął się w niej poruszać coraz szybciej. Jej namiętność go wzruszyła; po raz pierwszy był z kobietą, która tak otwarcie okazywała swe pożądanie.

Chciał kochać się z nią jak najdłużej, więc znowu zwolnił tempo... ale ona mu to uniemożliwiła. Wyginając się w łuk poruszała się wraz z nim, doprowadzając go do szaleństwa. Ich miłość była dzika, namiętna, wolna i nie podobna do niczego, czego wcześniej doświadczył. Poczł, jak jej mięśnie zaciskają się na nim, usłyszał, jak wykrzykuje jego imię i poddaje się fali spełnienia, dokładnie w tej samej chwili, co i on.

Opadł na nią zmęczony, zaspokojony i szczęśliwy; nie miał siły się poruszyć. Dopiero gdy usłyszał, że Jessica płacze, gdy poczuł jej gorące łzy na swoim ramieniu, podniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

- Zraniłem cię, prawda, kochanie?

Przepelniła go odraza do samego siebie... był zbyt brutalny, zbyt ostry w porywie namiętności.

To był jej pierwszy raz... powinien być o wiele bardziej uważny... czuł... delikatny...

- Jessie, powiedz coś...

Przerażenie w jego głosie wyrwało ją z otępienia. Gdy otworzyła oczy, Cole zobaczył w nich tyle czułości, że serce omal nie pękło mu z miłości.

- Nie, nic mi nie zrobiłeś... to znaczy, zrobiłeś... ale to

nie... To było... niesamowite.

Cole wyszczerzył zęby i uśmiechnął się z arogancką satysfakcją. Dobry Boże, jak on uwielbiał jej twarz! Jej oczy nadal były zaszklone pożądaniem, a usta czerwone i obrzmiałe od pocałunków.

Wyglądała na zaspokojoną i zadowoloną z siebie. Boże, jak on miał nie kochać tej cudownej kobiety?

- Taak... to było rzeczywiście niesamowite. - Niechętnie odsunął się od niej. - Ale...

Zakryła mu usta dłonią.

- Nie - szepnęła. - Nie mów tego. Miało nie być żalu.

- Żadnego żalu - zgodził się Cole.

Dziewczyna przytuliła się do niego i oparła mu głowę na ramieniu.

Nic nie trwa wiecznie.

Zamknęła mocno oczy, by powstrzymać cisnące się pod powieki łzy. Szeptał, że ją kocha...

Jakże chciałaby móc mu uwierzyć. Nie... przecież wiedziała, że on naprawdę ją kocha Ale wiedziała jednocześnie, że jutro albo za miesiąc, albo za rok, odejdzie od niej. Zostawi ją i nigdy nie wróci.

- Ja też cię kocham - szepnęła. - Na wieczność.

Uwiodła go. Jessica stała nad brzegiem jeziora i zastanawiała się nad wydarzeniami minionej nocy. Zaraz potem zrozumiała coś jeszcze: wcale tego nie żałowała. Na resztę życia zachowa wspomnienie jego pieszczot, jego czułych słów i miłości. To będzie jej musiało wystarczyć.

Podszedł do niej od tyłu, objął w pasie i pocałował w ramię. Gdy tylko jej dotknął, zrozumiał, że coś jest nie tak. Poczuł, jak dziewczyna sztywnieje pod jego dotykiem.

- Powiedz mi, co się stało.

- Nadszedł ranek, to wszystko.

- Więc po prostu powiedz mi „Dzień dobry”, uśmiechnij się do mnie i nie rób takiej miny -

rzekł obracając ją w ramionach, lecz gdy spróbował ją pocałować, uciekła przed jego ustami. - No, dobrze, Jessie... O co chodzi?

- Wczorajszej nocy...

Urwała i nie powiedziała już nic więcej, więc po chwili Cole ujął jej twarz w obie ręce i uniósł zmuszając, by spojrzała mu w oczy. Najwyraźniej była zdenerwowana i pomyślał, że wie już, dlaczego.

- Żałujesz tego, co się między nami wydarzyło, tak?

Ale ona potrzęsnęła gwałtownie głową.

- Nie. Wczoraj mówiłam poważnie, że nigdy nie będę tego żałować. - Słyszac te słowa Cole znowu przyciągnął ją do siebie i chciał pocałować, lecz odwróciła głowę i zamiast jej ust, pocałował

ucho. - Proszę, nie utrudniaj mi tego - błagała - Mieliśmy ostatnią noc i to nam musi wystarczyć.

- Mamy całą wieczność.

Jessika wpatrywała się w jego koszulę na piersi i usiłowała podjąć jakąś rozsądną decyzję.

- Powinniśmy już wyruszyć. Pociąg nam ucieknie, jeżeli się nie pospieszymy.

Cole nie poruszył się. Po prostu stał, tuląc ją i czekając, aż znowu spojrzy mu w oczy.

- Nigdzie nie pojedziemy, dopóki mi nie powiesz, co też ci chodzi po głowie.

- Mieliśmy ostatnią noc... tylko dla nas.... Ale teraz musimy ruszać.

Cole wreszcie zrozumiał.

- Nie wierzysz w to wszystko, co ci wczoraj powiedziałem czy tak? To o to ci chodzi?

Myślisz, że powiedziałem, że cię kocham, tylko po to, byś mi pozwoliła się dotknąć.

- Pragnęłam ciebie, a ty pragnąłeś mnie. To była wspólnie podjęta decyzja.

- To prawda.

- I ja jej nie żałuję. Nie oczekuję od ciebie nic więcej,

żadnych zobowiązań. Ja też nic ci nie obiecuję.

Cole nie wierzył własnym uszom.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie chcesz zobowiązań?

- Tak.

- A niech to wszystko szlag trafi...

Dziewczyna odwróciła się i pobiegła ku osiodłanym koniom Cole podążył za nią i zanim zdążyła sama wskoczyć na siodło złapał ją i wsadził na konia.

- Dasz sobie radę? Możesz dziś jechać konno?

- Tak, oczywiście.

- Wiem, że wczoraj w nocy cię zraniłem...

- Nic mi nie jest.

Widząc jej rumieniec. Cole nieco się zdetonował. Była taka słodka, kochana i irytująca.

Położył jej dłoń na udzie.

- Spójrz na mnie, bardzo proszę.

Powoli zrobiła, o co prosił. Czułość w jego oczach wzruszyła ją; chciała mu się rzucić w ramiona i nigdy go nie puszczać.

- Słucham? - spytała cicho.

- Czy ty mnie kochasz?

Zacisnął dłoń na jej udzie, aż wreszcie odpowiedziała.

- Nie będę cię okłamywać, Cole. Kocham cię, ale...

Nie dał jej dokończyć.

- Ilu mężczyznom powiedziałaś to przede mną?

- Żadnemu. Jeszcze nigdy nie powiedziałam żadnemu mężczyźnie, że go kocham.

Cole wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Doskonale. To właśnie chciałem usłyszeć.

Podszedł do swego wierzchowca i wskoczył na siodło; potem zebrał wodze i podjechał do dziewczyny. Zatrzymał konia tuż obok jej wierzchowca i zanim zdążyła go powstrzymać, położył jej rękę na karku i przyciągnął do siebie. Pocałował ją mocno, długo i namiętnie. Kiedy wreszcie uniósł głowę, dojrzał w jej oczach iskierkę rozbawienia i skinął głową z satysfakcją.

- A teraz posłuchaj mnie, kobieto. Właśnie tak chcę być całowany co rano. Chcę też dużo więcej, ale zaczniemy od pocałunku.

- Jak długo, Cole?

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że wymówiła te słowa na głos, dopóki nie zobaczyła błysku w jego oczach i nie usłyszała odpowiedzi.

- Do końca naszego życia. A twoje będzie naprawdę bardzo krótkie, jeżeli nadal będziesz mieć takie idiotyczne myśli.

- Przecież ty nie wiesz, co ja sobie myślę.

- Jasne, że wiem - odparł nieco chełpliwie. - To tak, jakbym patrzył w lustro. - Potrząsnął

głową. - Mój brat Adam zawsze mnie ostrzegał, że kiedyś się doigram i wszystko wróci do mnie z nawiązką.

- Co wróci?

- Moje podejście do życia - odparł. - To ja nigdy nie chciałem żadnych zobowiązań... a teraz ty uraczyłaś mnie dokładnie tym samym. Nawet nie wiesz, jakie to frustrujące

- Bo ja naprawdę nie chcę żadnych zobowiązań! - wykrzyknęła zdesperowana.

- Ty tylko atakujesz pierwsza.

- A cóż to ma znaczyć?

- Jesteś tak pewna, że kiedyś od ciebie odejdę, że wolisz zrobić to pierwsza. Mam rację? - Ale nie dał jej czasu na odpowiedź, tylko drażył dalej: - No, cóż... mam dla ciebie niespodziankę, dziecinko.

To się nie stanie. Ja nie zamierzam ciebie zostawić, ani ty nie zostawisz mnie. Mówię poważnie Jessie. Jesteśmy złączeni na wieczność. Obiecałem ci to a jeżeli mnie pamięć nie myli, ty obiecałaś mi to samo.

Jessika jeszcze nigdy w życiu nie była tak nieszczęśliwa. Dobrze pamiętała nocne obietnice, lecz wiedziała, że były to tylko puste słowa. Teraz Cole ją kochał, lecz kiedyś, pewnego dnia, zmieni zdanie i opuści ją.

- Nie chcę, byś został ze mną ze względu na to, co się między nami wydarzyło. Poprosiłam cię o jedną noc i dałeś mi ją.

- Czyżbyś chciała mi teraz podziękować? - Ton jego głosu był wyraźnie wrogi.

- Jedźmy już - odparła łagodnie.

- Wystawiasz moją cierpliwość na ryzykowną próbę - szepnął Cole.

Przez następną godzinę nie odezwał się do niej ani słowem. Co jakiś czas oglądał się przez ramię, by zobaczyć, czy jeszcze za nim jedzie, lecz za każdym razem miał coraz bardziej ponurą minę.

Jessika wiedziała, że go zraniła, ale najlepszym rozwiązaniem było zakończyć to tu i teraz.

Powtarzała sobie, że w ten sposób chroni siebie i swego synka. Wiedziała, że jeżeli pozwoli Cole'owi zagościć w swym sercu, da mu nad sobą władzę. I moc zniszczenia jej. Nie mogła aż tak ryzykować.

A jednak, na samą myśl o życiu bez niego, bolało ją serce. Nie znosiła się bać, a miłość do Cole'a przerażała ją. Nie chciała mu ufać, a jednak...

- Jessie, zrobiliśmy to wszystko nie tak.

Patrzyła na jego plecy, czekając, aż powie jej, że to ona ma rację, lecz nic podobnego się nie stało. Cole nie wyjaśnił jej tych zagadkowych słów, dopóki nie wjechali pod ostatnią górę i nie znaleźli się na drodze prowadzącej do miasta.

- Mieliśmy naszą noc poślubną jeszcze przed ślubem. Po prostu zrobiliśmy to na odwrót.

Jeżeli tylko będzie trochę czasu, naprawimy to jeszcze przed odjazdem pociągu.

- Niby jak zamierzasz to zrobić?

- Znajdę księdza.

Jessika aż otworzyła usta ze zdumienia.

- Ależ ja nie wyjdę za ciebie za mąż.

- A ja cię wcale nie proszę o rękę.

- I dobrze, bo...

- Mówię ci, że się pobierzemy. Podjęłaś tę decyzję, gdy mi się oddałaś zeszłej nocy.

Cole nie ukrywał złości, ale nie chciał, by poznała, jak bardzo się martwi. Gdyby nie to, że znał się za dobrze, pomyślałby, że się boi. Miłość wstrząsnęła nim do głębi... lecz nie wiedział, jak przekonać Jessikę, że naprawdę ją kocha... i będzie kochać aż do skończenia świata.

- Caleb...

- Będę dla niego dobrym ojcem.

- Nie chcę, by przeżył rozczarowanie. Przywiąże się do ciebie, a potem ty odejdiesz... - Nie dokończyła, bo Cole spojrzał na nią dziwnie.

- Jest jeszcze coś, czego o mnie nie wiesz - rzekł.

- Co takiego?

- Ja zawsze wygrywam.

Ze stu dwudziestu trzech pasażerów jadących pociągiem zmierzającym na południe tylko jedna osoba wyglądała przez okno dokładnie w tej chwili, gdy szeryf federalny Cooper został

wyrzucony z pociągu do jeziora, ale ta jedna wystarczyła. Mildred Sparrow, koścista kobieta w podeszłym wieku i potężnej postury, siedziała na twardym siedzeniu w ostatnim wagonie wraz ze swym mężem, George'em. Mężczyzna spał opierając głowę na ramieniu żony. W jednej chwili Mildred podziwiała piękny widok rozpościerający się za oknami pociągu, a w następnej wrzeszczała jak wariatka. Była tak zdenerwowana, że ledwie mogła wytłumaczyć mężowi, co przed chwilą zobaczyła. George jej nie uwierzył; powiedział, że na pewno zasnęła i przyśniło się jej, że z pociągu wypchnięto mężczyznę. Otworzył nawet okno i wyjrzał na zewnątrz, lecz nic nie zobaczył.

Jednak Mildred nie dała się tak łatwo uciszyć. Zrobiła ogromną awanturę i uspokoiło ją dopiero zapewnienie konduktora, że zaraz zatrzymają pociąg i sprawdzą, czy nie wydarzyło się jakieś nieszczęście. On także uważał, że kobieta dała się ponieść wyobraźni, lecz mimo to kazał zatrzymać pociąg.

Konduktor sam poprowadził wyprawę poszukiwawczą na miejsce rzekomego wypadku.

Ścieżka prowadząca wzdłuż torów była porośnięta chwastami i wysokim zielskiem; za konduktorem poszło ze dwadzieścia osób. Poszłoby może i więcej, ale powszechnie było wiadomo, że w tej okolicy nietrudno o grzechotniki.

Kiedy dotarli na wzgórze nieopodal jeziora, wszystkim wycieczkowiczom brakło tchu.

Spojrzawszy na toń wody rozpościerającą się w dole, konduktor wyszeptał pobielającymi wargami:

- Dobry Boże, miała rację...

Cała grupa stała na wzgórzu z pochylonymi głowami, patrząc, jak rybacy z pobliskiego miasteczka wyciągają na brzeg nieruchome ciało.

Black Creek Junction było cichym, małym miasteczkiem położonym pośrodku ogromnej połaci niczyjej ziemi; w zasięgu ludzkiego wzroku nie rosło ani jedno drzewo, ani jeden krzak czy kwiat. Zachody słońca były jedynym powodem do dumy mieszkańców tej miejsciny. Każdego dnia, gdy słońce chyliło się ku horyzontowi, pomarańczowe promienie światła rozpałały na czerwono połączenie rudej gliny i niebo na zachodzie wybuchało niesamowitymi kolorami. Ci, którzy obserwowali zachód z miejskiego rynku, przysięgali, że widzą czerwone płomienie tańczące na ziemi. Był to widok zapierający dech w piersi, a wszystko było jeszcze piękniejsze, gdy staruszek Towers miał ochotę zagrać na skrzypkach. Mieszkańcy miasteczka chętnie opowiadali przyjezdnym, że płomienie liżące ziemię o zachodzie poruszają się w takt nut wygrywanych przez Towersa.

Grace była zaskoczona pięknem zachodu słońca, który obserwowała z okna pociągu zbliżającego się do stacji. Choć Daniel nie chciał jej odciągać od okna, musiał myśleć praktycznie.

- Mamy tylko godzinę, by zjeść coś i rozruszać - przypomniał jej łagodnie.

Na samo wspomnienie o jedzeniu Grace zrobiła się strasznie głodna. Założyła kapelusz i rękawiczki i poszła za nim korytarzem.

- Czy ty zawsze zakładasz rękawiczki, gdy wychodzisz do miasta? - zapytał Daniel ciekawie.

- Dama nie może pokazywać się publicznie z gołymi rękami.

Daniel uśmiechnął się i potrząsnął głową z niedowierzaniem. Była zawsze tak poprawna, czasami śmieszna i słodka... Och Boże, jakaż ona była słodka! Zastanawiał się, jak by się zachowywała w łóżku.

- Myślisz, że możesz już jeść? - zapytała dziewczyna - Wszak jeszcze niedawno nie potrafiłeś niczego utrzymać w żołądku...

- Przestań zachowywać się jak stara niańka! Nic mi nie jest

Kolację podawano w restauracji mieszczącej się w hotelu na obrzeżach miasta, nieopodal stacji kolejowej. Jednak nic zdążyli jeszcze zejść z peronu, gdy do Daniela ktoś podszedł.

- Czy pan jest szeryfem Ryanem?

Odwróciwszy się, Daniel zobaczył potężnie zbudowanego mężczyznę o krzywych nogach.

- Tak. Słucham? W czym mogę pomóc?

- Tak też myślałem, że to pan. Konduktor opisał mi pana dokładnie. Nazywam się Owen Wheeler i jestem miejscowym szeryfem. Znajomi wołają na mnie Ryś, wy też możecie, jeżeli chcecie.

- Potrząsnął dłonią Ryana i dodał: - To zaszczyt pana poznać.

- Co mogę dla pana zrobić, szeryfie?

Ryś zauważył dziewczynę stojącą za Danielem i uchylił kapelusza.

- Dzień dobry pani.

- Dzień dobry, panie Rysiu.

- Wystarczy samo Rysiu - odparł. - Nie trzeba dodawać tego pana.

- Skąd pan ma takie dziwne przydomki? - zainteresowała się Grace.

Mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jakiś czas temu natknąłem się na rysia i miałem z nim niezłą przeprawę. Do tej pory zostały mi blizny na brzuchu. Chce pani obejrzeć...?

- Nie, nie... dziękuję. Wierzę panu na słowo.

Szeryf Ryś najwyraźniej nie mógł oderwać wzroku od dziewczyny. Daniela oburzyła jego bezczelność.

- Zdaje się, że chciał pan, bym w czymś pomógł? - zapytał ze zniecierpliwieniem, na co szeryf pospiesznie przytaknął.

- Aaa, taak. Mamy tu pewien kłopot. Mówiłem właśnie o nim konduktorowi waszego pociągu, gdy rzekł, że widział pana... widział odznakę i domyślił się, kim pan jest. Pomyślałem, że może mi pan nieco pomoże.

- A na czym konkretnie polega ten problem?

- Wczoraj syn Gladys Anderson, Billy, wyciągnął z jeziora jakiegoś mężczyznę. Billy miał co prawda pracować w tym czasie w stajni, ale wolał iść na ryby... całe szczęście, że taki z niego nicpoń.

Ten człowiek by utonął, gdyby chłopak go nie zauważył. Billy widział też, jak to się stało.

- Jak co się stało?

- Billy siedział sobie w swojej łódce i patrzył na przejeżdżający pociąg. Tory kolejowe biegną tuż obok jeziora - wyjaśnił. - No i nagle zobaczył, że z pociągu wypada jakiś człowiek... przeleciał przez nasyp i wpadł prosto do jeziora. Od razu poszedł pod wodę, ale dopiero gdy Billy go wyciągnął, zobaczył, że biedaczysko ma ranę postrzałową. Mam wrażenie, że ktoś najpierw go postrzelił, a potem wyrzucił z pociągu.

Grace była przerażona.

- Jakie to okropne! - zawołała. - Czy ten człowiek wyzdrowieje?

Ryś potrząsnął ponuro głową.

- Nasz doktor mówi, że jest naprawdę w fatalnym stanie. Fatalnym. Kula przeszła na wylot, więc doktor nie musiał jej wyciągać, ale wdało się zakażenie. Pomyślałem, że to pana zainteresuje, szeryfie Ryan, bo ten umierający facet jest jednym z waszych ludzi. - Daniel spojrzał na niego pytająco - Miał odznakę - dodał Ryś tonem wyjaśnienia. - Mówi, że nazywa się Cooper. Zna go pan?

- Gdzie on jest? - zapytał Daniel ostro. Nowina przeraziła go.

- W hotelu. Doktor nie pozwolił nam go zabrać do szpitala, powiedział, że to za daleka droga.

Mówi, że biedaczysko walczy o życie, ale pewnie się już z tego nie wyliże.

Wstrząśnięty tym, co przed chwilą usłyszał, Daniel złapał Grace za rękę i poszedł szybko we

wskazany kierunku. Szeryf Rys z trudem dotrzymywał im kroku.

- Czy przepytal pan wszystkich z tego pociągu? - spytał Daniel.

- Tak - odparł szeryf, nieco urażony. - Pewna kobieta widziała, jak wpadał do wody, lecz nie zobaczyła nic poza tym. Nikt też nie usłyszał strzału - dodał dysząc ciężko. - Jedno z okien na korytarzu było strzaskane przez kulę, więc zakładam, że wystrzelono dwie: druga ugodziła szeryfa Coopera.

Dopadłszy hotelowych drzwi, Daniel otworzył je gwałtownie i zobaczył w salce na dole ogromny tłum wygłodniałych ludzi, czekających, aż ktoś poda im obiad. Widząc schody wiodące na piętro, podszedł ku nim energicznie; Grace cały czas podążała za nim.

- A co z kobietą, z którą podróżował szeryf Cooper? - spytał Daniel przeskakując po dwa stopnie na raz. - Gdzie ona jest?

- Nie ma żadnej kobiety - odparł Rys.

- Ale była - mruknął Ryan.

- Konduktor z tamtego pociągu powiedział mi, że faktycznie pański kolega podróżował z jakąś damą... pamiętali ją także niektórzy pasażerowie. Możliwe, że była z nim, gdy to wszystko się zaczęło, ale nie było jej w pociągu, gdy się tu zatrzymał. Niech mnie diabli porwą, jeżeli mówię nieprawdę!

- A co z jej bagażami? - spytała Grace. - Czy znaleźliście jakąś walizkę albo torbę?

- Nie, proszę pani. Nic nie znaleźliśmy. Przedział, w którym jechali, był pusty... nie zostało nic, co wskazywałoby na obecność kobiety.

Dotarli właśnie do końca korytarza, gdzie stał lekarz; skinął tylko Danielowi głową i wpuścił go do pokoju, gdzie leżał ranny.

- Grace, zaczekaj tu z szeryfem - odezwał się Ryan. - Szeryfie, niech pan nie pozwoli nikomu wejść na górę. Rozumie pan?

- A co mam zrobić, jeżeli ktoś się uprze?

- Proszę go zastrzelić.

Oczy Rysia rozszerzyły się. Grace czekała, aż Daniel wejdzie do pokoju, w którym leży Cooper, po czym opuściła głowę i zmówiła modlitwę za życie rannego szeryfa.

- Czy ta zaginiona kobieta była żoną szeryfa Coopera? - zapytał Rys.

- Nie - wyjaśniła dziewczyna. - Nie byli też spokrewnieni. Szeryf Cooper miał odeskortować Rebekę

do Teksasu.

- Więc gdzie ona jest, u licha?

Grace potrząsnęła głową.

- Nie mam pojęcia - wyszeptała.

Wzdrygnęła się. Rebeka zniknęła.

Niech Bóg ma ją w swojej opiece.

Daniel siedział przy łóżku nieprzytomnego przyjaciela cały wieczór; Cooper spał, lecz co chwila śniły mu się koszmary. Zrywał się wtedy, siadał na łóżku i mamrotał coś bez sensu o potworach i zdrajcach.

Grace zajęła się innymi sprawami. Poprosiła konduktora, by wyjął z pociągu ich bagaże, kazała posłać Danielowi do pokoju tacę z jedzeniem, po czym usiadła wraz z szeryfem Rysiem w korytarzu przy pokoju Coopera i zjadła kolację przy okrągłym stoliku. Jedzenie było proste, lecz smaczne jednak już po chwili dziewczyna nie mogła sobie przypomnieć co zjadła. Cały czas martwiła się o szeryfa Coopera i Rebeke. Około dziewiątej wieczorem z pokoju rannego wyszedł lekarz; potrząsnął głową ze smutkiem i powiedział szeryfów, że właściwie nie ma poprawy.

- Otworzyłem ranę tuż przy żebrach, by oczyścić ją z infekcji, lecz nie wiem, na ile to się zda.

Biedaczysko ma okropnie wysoką gorączkę. Zrobiłem wywar z ziół, lecz nie mogę go ocucić na tyle, by go przełknął. Gdyby tylko udało mu się go wypić, na pewno by mu się poprawiło.

- Nie może pan obudzić szeryfa Coopera? - zapytała Grace głosem drżącym z niepokoju.

- Niestety, proszę pani - odpowiedział doktor. Podrapał się po brodzie i dodał: - Biedaczysko majaczy.... trawi go gorączka. Wciąż mamrocze coś o potworach.

- Coś mi się zdaje, że całkiem oszalał - wtrącił Ryś.

Lekarz pokiwał smutno głową.

- I mnie na to wygląda. Uważam, że dziś więcej już mu nie pomogę. Idę do domu... może uda mi się przespać parę godzin? Wrócę tu jutro z samego rana, by go zbadać. Proszę pani, proszę mi wybaczyć śmiałość, ale wygląda pani na strasznie zmęczoną. Niech pani znajdzie jakiś wolny pokój w tym przybytku i trochę się prześpi.

- Już załatwiłem jej pokój obok - odparł Ryś. - To jedyny, gdzie jest zamek w drzwiach. -

Kiedy lekarz już zszedł na dół, szeryf odwrócił się do dziewczyny: - Jestem dumny, że mogę pomóc szeryfowi Ryanowi i skoro już wiem, że potrzebuje pani ochrony, siadę pod drzwiami pani pokoju ze strzelbą i nikogo nie wpuszczę do środka przez całą noc. Może pani spać spokojnie.

- Myśli pan, że to konieczne? Pociąg odjechał kilka godzin temu i w mieście nie ma nikogo obcego.

- Oczywiście, że to konieczne. Gang z Blackwater nie zapuka do drzwi i nie poprosi grzecznie, by go wpuścić. Ci dranie będą usiłowali wśliznąć się tu niepostrzeżenie. No, proszę się ze mną nie sprzeczać. Proszę iść do swego pokoju i trochę się przespać. A ja tu zostanę. Obiecuję, że przez całą noc nie zmrużę oka.

Grace nie kłóciła się z nim. Pokój, w którym ją zakwaterowano, był skromnie umeblowany; w rogu

stało drewniane łóżko z cienkim materacem, pod oknem drewniana toaletka, a na ścianie wisiały trzy haczyki, na których mogła powiesić swe ubranie. Położyła kapelusz i rękawiczki na toalecie i wyszła z powrotem na korytarz.

- Zjrę na chwilę do Daniela - wyjaśniła przechodząc szybko obok szeryfa Rysia, zanim zdążył ją powstrzymać. - Zajmie mi to tylko chwilę.

Nie zapukała, gdyż wiedziała, że Daniel odesłałby ją do pokoju; po prostu weszła do sypialni rannego mężczyzny i cicho zamknęła za sobą drzwi. Daniel stał przy oknie i wyglądał w mrok nocy; usłyszawszy jej kroki, odwrócił się. Zdziwienie na jego twarzy bardzo szybko zmieniło się w zagniewanie.

- Co ty tu robisz? Powinnaś właśnie kłaść się do łóżka. Jutro rano musimy wstąpić.

- Chcę ci pomóc w pielęgnowaniu przyjaciela.

- Nic nie możesz dla niego zrobić.

Wyglądał na zmęczonego, a w jego głosie słyhać było rezygnację. Zdawało się, że już pogodził się ze śmiercią Coopera i właśnie opłakiwał przyjaciela. Grace chciała mu powiedzieć, by nie tracił wiary, ale nie sądziła, by cokolwiek mogło teraz zmienić jego nastrój.

- Jesteś wycieńczony - rzekła zamiast tego. - Może pójdziesz się przespać? Ja tu posiedzę z szeryfem Cooperem. Ty jeszcze nie do końca wyzdrowiałeś z grypy.

- Przestań tak się mną przejmować - warknął Ryan. Grace poddała się - jeżeli ten uparciuch nie chce słuchać głosu rozsądku, to jego sprawa - i odwróciła się do Jack Coopera. Spał leżąc na plecach w podwójnym łóżku, do pasa przykryty prześcieradłem. Był blady i nieruchomy jak nieboszczyk. Opasany był białą wstęgą bandaża, przez który przesączała się odrobina czerwieni.

- Doktor nie mógł go dobudzić, by dać mu lekarstwa czy tak?

- Ano tak. Cały czas się krztusił.

Dziewczyna wzięła się do roboty: odpięła guziczki przy mankietach bluzki i podwinęła rękawy. Potem podeszła do toaletki, na której stała miednica z wodą, i umyła ręce.

- Co ty zamierzasz zrobić, co?

- Danielu, postaraj się nie wyładowywać swojej złości na mnie, dobrze? Wiem, że jesteś zmartwiony i zdenerwowany tym, co się przytrafiło twemu przyjacielowi, ale to nie moja wina. I to, że się będziesz na mnie wściekać, nic ci nie pomoże. A odpowiadając na twoje pytanie - dodała -

zamierzam nieco zbić gorączkę tego nieszczęśnika.

- A czemu sądzisz, że uda ci się dokonać tego, co nie udało się nawet doktorowi?

- Przynajmniej spróbuję. Nic nie wiem na pewno. Mam niejakie doświadczenie w pielęgnowaniu chorych. Moja babka była bardzo chora przez długi czas.

- I co się z nią stało?

- Umarła.

- No to tyle, jeżeli chodzi o twoje pielęgniarskie umiejętności.

Grace wreszcie straciła cierpliwość.

- Przestań być taki sarkastyczny, dobrze?! Nie mam czasu ani ochoty się z tobą użerać. Chodź tu i pomóż mi. Tak czy inaczej zamierzam wlać szeryfowi Cooperowi to lekarstwo do gardła.

- Nie sądzę, żeby...

Ale dziewczyna nie dała mu dokończyć.

- Albo mi pomóż, albo mi nie przeszkadzaj! Rozumiesz?

Daniel był zaskoczony jej wybuchem złości. To był już drugi raz, gdy straciła przy nim panowanie nad sobą. Zrozumiał, że lady Winthrop ma też swoją ciemną stronę. To odkrycie spowodowało, że uśmiechnął się pod nosem.

Kiedy złączyli siły, udało się im napić Coopera lekarstwem pozostawionym przez doktora.

Potem dziewczyna przyciągnęła krzesło do łóżka i usiadłszy przy wezglowiu, zaczęła przykładać zimne kompresy do czoła nieprzytomnego mężczyzny.

- Ty miałeś tak samo wysoką gorączkę - zauważyła.

- Może... ale nie miałem dziury po kuli w piersiach. I nie zżerała mnie infekcja. Doktor mówi, że to właśnie ona go wykończy.

- Kiedyz to stałeś się takim pesymistą? - spytała Grace.

- Kiedy moja żona i córka zostały zastrzelone w banku w Dillon.

To przerażające zdanie zaskoczyło dziewczynę. Upuściła kompres i przyglądała się bezradnie, jak Daniel chodzi po pokoju, niczym zamknięte w klatce zwierzę. Nie wiedziała, co mu powiedzieć...

starła się tylko nie rozplakać, bo wiedziała że to by go tylko rozgniewało. Żadne z nich nie odezwało się przez najbliższą godzinę

Wreszcie Grace przerwała milczenie.

- Czy obwiniasz się za to?

- Tak.

- Dlaczego?

- Bo nie było mnie tam z nimi. Bo ich nie obroniłem - wyszeptał. - Ot, dlaczego.

- Rozumiem.

- I co? Nie powiesz mi, że nie mam racji?

Grace wzięła szmatkę z miski, wyżeła i przyłożyła do czoła nieprzytomnego Coopera.

- A co chcesz, żebym ci powiedziała, Danielu? Przecież ty i tak już się osądziłeś. Już zdecydowałeś, że zasługujesz na potępienie, bo im nie pomogłeś. Nie mam racji?

- Tego dnia nie było mnie nawet w mieście.

- Pracowałeś?

- Tak.

- A czy gdybyś był w mieście, poszedłbyś do tego banku zamiast Kathleen? Co byś zrobił?

- Nie wiem. Nie chcę o tym rozmawiać. - Usiadł ciężko na krześle po przeciwnej stronie łóżka. - Powinienem tam być, ale nie byłem... To przecież takie proste...

- Czy zazwyczaj ty chodziłeś do banku, a twoja żona zostawała w domu?

Potrząsnął głową.

- Nie.

- A czy załatwiałeś inne sprawunki?

- Na przykład jakie?

Grace wzruszyła ramionami.

- Na przykład, czy chodziłeś po zakupy do sklepu, albo...

- Nie - przerwał jej niecierpliwie. - Kathleen załatwiała to wszystko.

- Rozumiem.

- Co rozumiesz, Grace? Oświeć mnie.

Dziewczyna zignorowała jego złość.

- Gdyby twoja żona i córeczka zginęły w sklepie, albo w czasie spaceru po ulicy, i tak miałbyś do siebie pretensje. Myślę, że rozumiem, dlaczego. Jesteś stróżem prawa... twoim obowiązkiem jest ochranianie niewinnych ludzi.

- Tak, masz rację. Powinienem być jakoś temu zapobiec.

- Jak? Przebywając ze swą rodziną dzień i noc? Nigdy nie spuszczać ich z oczu?

- Tego nie powiedziałem.

- Ależ powiedziałeś, powiedziałeś.

Daniel spuścił głowę. Oczy go piekły, więc potarł je ręką. Potem przygasił płomień lampki stojącej na nocnym stoliku.

- Chyba nie potrzebujesz aż tyle światła, co?

- Nie.

Grace bezwiednie gładziła Coopera po czole, rozmyślając nad ich rozmową; nadal nie ochłonęła jeszcze po szoku, jakim była dla niej wiadomość, że rodzina Daniela została zamordowana.

- Dziwi mnie tylko to, że nie oddałeś przełożonym swojej odznaki - zauważyła cicho. - Albo nie zacząłeś pić na umór po śmierci żony. Niektórzy mężczyźni tak właśnie zareagowaliby na podobną tragedię.

- Ale nie ja. Pewnie, że chciałem umrzeć... ale zrozumiałem, że zapicie się na śmierć zajmie mi stanowczo za dużo czasu. Pewnej nocy wyjąłem rewolwer z kabury i przyłożyłem sobie lufę do skroni...

- Przestań! Nie chce tego słuchać.

Czy on nie rozumie, że to łamie jej serce? Czy naprawdę nie rozumie, ile dla niej znaczy? Ale niby skąd miał o wiedzieć? Od chwili ich spotkania była dla niego oschła i zimna... Dama nie afiszuje się ze swoimi uczuciami. Nie można dopuścić, by ktoś zobaczył twe radości, smutki czy gniew - tak zawsze powtarzała jej matka. Grace została wytresowana przez ekspertów i czasem sama nie do końca. wiedziała, co czuje.

- Ale najwyraźniej nie miałem też odwagi, by popełnić samobójstwo - dodał Ryan sucho. -

Nadal chodzę po tym świecie, jak widzisz.

- Odwaga nie ma tu nic do rzeczy - warknęła dziewczyna - Samobójstwo jest aktem tchórzostwa... najłatwiejszą ucieczką od zmartwień. Do tego, by żyć, potrzeba ogromnej odwagi

- Może - szepnął. - Potem usiłowałem tak rozeźlić Cole'a żeby mnie zastrzelił. Zmieniłem jednak zdanie, gdy usłyszałem parę opowieści o nim... Jest o wiele bardziej honorowy ode mnie... -

dodał i zamyślił się.

- Szeryf Sloan powiedział mi, że Cole Clayborne postrzelił jakąś kobietę w Abilene. Czy to prawda?

- A, tam. Tylko ją drasnął - odrzekł Daniel, czym zupełnie przeraził Grace. - To był jedyny sposób trafienia mężczyzny który groził, że ją zabije.

- Czyli to było konieczne?

- Tak.

- Danielu... czy ty nadal myślisz... o tym?

Wiedział, o co pyta.

- Nie, nieczęsto. Myśli o samobójstwie przeszły mi zaraz po pogrzebie bliskich. Zdaje się, że trochę wtedy oszalałem.

- Chyba tak.

- Pomyślałem, że musi być jakiś powód, żeby żyć.

- Ja też tak myślę - szepnęła Grace.

Danielowi zrobiło się ciepło na sercu, gdy zrozumiał, że dziewczyna naprawdę się o niego martwi. Już od dawna nikt się nim nie przejmował. Świat zrobił się taki zimny od śmierci Kathleen...

aż do czasu, gdy poznał Grace.

- Kiedy to wszystko się skończy...

- Tak?

Ale on tylko potrząsnął głową.

- Nieważne.

Siedziała na twardym krześle tak długo, że rozboleły ją plecy. Odstawiwszy miskę z wodą na podłogę, wstała i przeciągnęła się. Potem obeszła łóżko i przeszedłszy obok Daniela, spróbowała otworzyć okno, bo w pokoju było okropnie duszno. Ryan złapał ją za rękę.

- Chciałam tylko otworzyć okno.

Delikatnie przyciągnął ją do siebie, tak że usiadła mu na kolanach. Zaskoczona otoczyła mu szyję ramionami, zanim rozumiała, co robi. Natychmiast się cofnęła.

- Nie chcesz, żebym otwierała okno?

- Chcę, byś tu przy mnie posiedziała.

- Obawiam się, że to nie jest zbyt...

- Oj - przerwał jej. - Przestań być taka poprawna.

Spojrzawszy mu w oczy, zobaczyła w nich czułość; pogłaskała

go po policzku.

- Czy mogę ci zadać jedno pytanie? - spytał.

- Pytaj, o co tylko chcesz.

Chciał objąć ją, przytulić do siebie i nie wypuszczać aż do rana. Nie wiedział, co mu się stało... może to przez rozmowę o Kathleen ogarnęła go taka melancholia? Nie, to nieprawda...

To przez Grace. Chciał ją przytulić od chwili, kiedy zobaczył ją w kuchni Tilly MacGuire.

Teraz spróbował zwalczyć to uczucie.

- Grace, to, co powiedziałem ci w pociągu... to, że cię pragnę. Czy to cię obraża? - Nie odpowiedziała. Ujął jej twarz w obie dłonie i delikatnie pogładził kciukiem dolną wargę. - Obraża cię to? - powtórzył miękko.

- Przepraszam... o co pytałeś?

Daniel roześmiał się cicho.

- O czym myślałaś?

- O tym, jaki jesteś przystojny - odparła nieśmiało. - Cieszę się, że mnie pragniesz - dodała niespodziewanie. - Ale ja nie jestem Kathleen.

- Wiem o tym.

- Nie mogę ci jej zastąpić.

- Nie chcę, byś ją zastępowała. Chcę po prostu...

- Czego?

- Ciebie, Grace. Po prostu ciebie.

Położył dłoń na karku dziewczyny i przyciągnął ją delikatnie do siebie.

- Chcę cię pocałować. Mogę?

Ogromnie spodobało jej się to, że prosi ją o pozwolenie.

- Tak, Danielu. Bardzo chcę, byś mnie pocałował. Tak długo na to czekałam.

Zaskoczyła go jej szczerość i poczuł dławienie w gardle gdy nieśmiało objęła go za szyję i pocałowała. Ich pocałunek był czuły, delikatny, i gdy tylko się skończył, Daniel zapragnął następnego.

Ale Grace wstała i podeszła do okna; stała przy nim długą chwilę, zanim przypomniała sobie, co chciała zrobić. Ręce jej drżały i musiała się sporo nabiedzić, zanim zdołała odsunąć zasuwkę i otworzyć okno.

Kiedy mijała Daniela idąc z powrotem do swego krzesła miała nadzieję, że jeszcze raz przyciągnie ją do siebie, jednak nie uczynił tego. Z przymkniętymi oczyma siedział odchylony na krześle i opierał się głową o ścianę za sobą.

Wróciwszy na swoje miejsce, Grace znowu zaczęła przykładac kompresy do czoła Coopera.

Daniel spał aż do północy i obudził się dopiero, gdy ranny przyjaciel zaczął majaczyć w gorączce i rzucać się w pościeli. Siedząc na łóżku, Grace usiłowała go uspokoić łagodnymi słowami. Jej kojący głos zrobił swoje i wkrótce Jack Cooper opadł na poduszki.

- I jak z nim? - szepnął Daniel.

- Nie wiem - odparła. - Jest niespokojny, ale zdaje mi się, że gorączka nieco mu spadła.

- Teraz ja z nim posiedzę, Grace. Ty powinnaś się nieco przespać. Wyglądasz na wycieńczoną.

- Obiecuję, że odpocznę - powiedziała. - Ale jeszcze nie teraz. W głowie aż huczy mi od pytań. Poza tym, strasznie martwię się o Rebekę. Myślisz, że jeszcze żyje?

- Wątpię - odparł Daniel sucho. - Ja także nie rozumiem wielu rzeczy. Zupełnie nie mogę zrozumieć, czemu ich przedział był pusty. To nie ma sensu.

- Nie rozumiem.

Daniel pochylił się i oparł dłonie na kolanach.

- Konduktor powiedział, że przedział, w którym siedzieli Rebeka i Cooper, wyglądał tak, jakby nikt nim nie jechał.

- Tak, pamiętam to.

- Więc gdzie są jej ubrania?

- Przecież rzeczy Coopera też nie było w środku.

- Ano nie - rzekł Ryan. - Ale jego torba podróżna była w przedziale bagażowym.

- Może walizka Rebeki została wyrzucona przez okno?

- Szeryf Ryś zapewnił mnie, że bardzo dokładnie przeszukano nasyp kolejowy i niczego nie znaleziono. Szukali Rebeki i na pewno znaleźliby jej rzeczy, gdyby tylko tam leżały. Ale nic nie znaleźli.

- Może ci, którzy strzelali do szeryfa Coopera, pozwolili jej zabrać walizkę ze sobą? To byłby dobry znak, prawda?

Oznaczałoby to, że nie zabili jej od razu...

- Ależ to właśnie nie ma sensu - powiedział Daniel potrząsając głową. - Przecież chcieliby uciszyć ją jak najszybciej...

- Bo myślą, że to ona jest świadkiem?

- Tak.

- Jakie to okropne - szepnęła Grace. - Biedna Rebeka. Przecież jej wtedy nawet nie było w banku.

To stwierdzenie wypowiedziane spokojnym tonem przyciągnęło uwagę Ryana.

- Ależ powiedziała mnie i Cole'owi, że to ona jest świadkiem napadu.

- Jak to? - wykrzyknęła Grace najwyraźniej zaskoczona

- Rebeka powiedziała nam, że to ona chowała się pod biurkiem w czasie napadu na bank.

Podawała nam więcej szczegółów... dokładnie opisała, co się zdarzyło.

- Ależ to niemożliwe - szepnęła Grace potrząsając głową

- Możliwe. I tak właśnie było.

- Jak pamiętasz, ja także powiedziałam, że jestem świadkiem napadu. Rebeka pewnie tylko usiłuje chronić Jessikę i mnie. To dlatego skłamała.

- Dlaczego zakładasz, że skłamała? - Lecz zanim Grace zdążyła odpowiedzieć na to pytanie, dodał: - Jessika także powiedziała nam, że jest świadkiem... ale nie potrafiła podać nam żadnych szczegółów. Natomiast Rebeka powiedziała nam wszystko.

Grace jeszcze raz potrząsnęła głową.

- Nie, to nie możliwe.

- Przecież ci mówię, że podała nam wiele szczegółów - nalegał Daniel. - O co ci chodzi?

- Właśnie o to. To nie ma sensu...

Cierpliwość Daniela zaczęła się wyczerpywać.

- Niby dlaczego nie ma to sensu?

- Bo ona nie mogła znać żadnych szczegółów. Obiecałam że będę milczeć... dałam słowo... ale to było zanim... teraz...

- Grace, co ty usiłujesz mi powiedzieć?

- To nie Rebeka była w banku podczas napadu, tylko Jessika!

Daniel aż pobladł ze złości.

- Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? Przysięgam na Boga, że jeżeli teraz kłamiesz...

- Mówię prawdę - odparła dziewczyna. - To Jessika jest waszym świadkiem, nie Rebeka.

Daniel chodził po pokoju niczym dzikie zwierzę uwięzione w klatce. Powtarzał sobie, że wrzeszcząc na Grace niczego nie zyska, ale miał ogromną ochotę udusić tę przebrzydłą dziewczynę.

Odetchnął głęboko, by się choć trochę uspokoić.

- Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś? - zapytał głosem, z którego bił przejmujący chłód. - Dlaczego, na miłość boską, tak długo czekałaś?

- Bo obiecałam Jessice, że nic nikomu nie powiem. Dałam jej słowo.

- Dobry Boże - mruknął Daniel; przeczesał palcami splecione włosy i z powrotem usiadł na krześle.

- Postaraj się mnie zrozumieć - błagała Grace. - Jessika była przerażona.

- Czy Rebeka wie, że to Jessika jest świadkiem, nie ty?

- Nie, nie wie.

- Jesteś tego pewna?

- Tak. - Odwróciła się od niego, by nie patrzeć na furię płonącą w jego oczach. Jeszcze nigdy nie widziała go tak rozzłoszczonego i jego gniew ją przerażał. - Czy teraz już rozumiesz, dlaczego się tak zdziwiłam, gdy powiedziałaś, że Rebeka podała wam szczegóły napadu?

- Oj, Grace - szepnął Ryan usiłując pohamować gniew.

- Danielu...

Przerwał jej.

- Powiedz mi, skąd wiesz, że Jessika była w banku w czasie napadu.

- Opiekowałam się wtedy Calebem - wyjaśniła dziewczyna - Zabrała go do banku wcześniej tego dnia, ale był nieznośny i pan MacCorkle się na nią rozgniewał. Po południu położyła go spać i wróciła do banku.

- Po co?

- Usiłowała zlikwidować konto swej ciotki, ale jeden z potrzebnych do tego dokumentów zostawiła

rano na stole w kuchni. Dlatego musiała wrócić.

- I co się stało?

- To było okropne - szepnęła Grace. - Biegła całą drogą, z miasta, a gdy dotarła do kuchennych drzwi, zaczęła wymiotować. Nie potrafiła wykrztusić z siebie słowa - dodała - Robiłam, co w mojej mocy, by ją uspokoić, ale była okropnie przerażona. Położyłam ją do łóżka i zostałam z nią w pokoju, dopóki Caleb się nie obudził.

- Czy Tilly była wtedy w domu?

- Nie. Poszła do miasta po jakieś sprawunki. Gdy wróciła, powiedziałam jej, że Jessica ma nawrót grypy i leży w łóżku - Pojedyncza łza spłynęła jej po policzku i dziewczyna otarła ją gniewnym ruchem. - Do wieczora zajmowałam się Calebem, a gdy poszłam na górę, by położyć go spać, zastałam Jessikę pakującą walizki. Chciała wyjechać z Rockford Falls jeszcze tej samej nocy, ale udało mi się ją przekonać, żeby została.

- Czy powiedziała ci, co dokładnie wydarzyło się w banku?

- Tak. Zaraz po tym, jak Caleb usnął, usiadłyśmy na werandzie i wszystko mi opowiedziała.

Wszystko, z wyjątkiem ich nazwisk.

- Chcesz mi powiedzieć, że ona zna ich nazwiska? - wybuchnął Daniel.

Grace zacisnęła mocno ręce, by powstrzymać je od drżenia. Wiedziała, że źle postąpiła zatajając prawdę, i dodała jeszcze jedną porcję złego kłamiąc, że to ona jest świadkiem. Wiedziała, że Daniel nigdy jej tego nie wybaczy. Powinien ją aresztować i wsadzić do więzienia, lecz nie byłoby to nawet w połowie tak straszne, jak poczucie winy, którego teraz doznawała.

- Słyszała, jak ich herszt mówi do nich po nazwiskach. Nie widziała wszystkich napastników...

ani nie słyszała wszystkich nazwisk... tylko kilka.

- Na miłość boską! Dlaczego nie powiedziała tego Cole'owi albo mnie?!

- Bo nie mogła nikomu ufać!

- Przecież tobie zaufała...

- Tak... ale nie sądzę, by powiedziała mi cokolwiek, gdyby nie było mnie w kuchni, kiedy wróciła z miasta. Widziałam, w jakim jest stanie. Nie mogła opanować paniki i potrafiła myśleć tylko o tym, że musi chronić Caleba. Czy można mieć do niej o to pretensje? Ty zrobiłbyś na jej miejscu to samo.

Daniel skinął głową, gdyż dziewczyna miała rację.

- I co dalej?

- Jessica była pewna, że władze... czyli wy... złapiecie rabusiów i nie będziecie potrzebować świadków. Desperacko wierzyła, że tak właśnie będzie...

- Czy gdy chciała uciekać... zaproponowałaś jej wspólną wyprawę do Denver?

- Tak.

- Kiedy przypomniała sobie, że zostawiła w banku torebkę?

- Jak usłyszałyśmy, że została znaleziona pod biurkiem.

- Dlaczego była pusta?

- Kiedy rabusie wpadli do banku, wsadziła pieniądze pod sukienkę. Bała się, że będą chcieli je odebrać. Nie rozumiała że oni...

- Zastrzelą wszystkich?

- Tak.

Daniel przymknął oczy.

- Gdyby Jessica nie zapomniała o tej torebce, nigdy nie dowiedzielibyśmy się, że była w banku... że wszystko widziała.

- Nie wiem, czy w końcu przyznałaby się do tego, że jest świadkiem, czy nie - odparła Grace.

- Ale torebka nie należała do niej, tylko do mnie. Pożyczyła ją ode mnie, by mieć w czym przynieść pieniądze do domu.

- To była twoja torebka? - spytał Ryan cicho; nie wiedział dlaczego ta informacja aż tak go drażni. - Na miły Bóg, razem z Jessiką od początku utrudniałyście nam śledztwo. Powinienem zamknąć was razem w celi i pozwolić, byście się tam razem zestarzały.

- Proszę, mów ciszej. Obudzisz szeryfa Coopera!

- Przecież ja chcę, żeby on się wreszcie obudził! - ryknął Daniel.

Ale dziewczyna miała już dość jego złości; wstała i podeszła do drzwi.

- Nie pozwolę, byś na mnie krzyczał, Danielu. Wiem, że źle zrobiłam i jeżeli chcesz mnie aresztować, to bardzo proszę.

- Grace...

- Wiem, że powinnam była usilniej namawiać przyjaciółkę do wyznania wam prawdy, ale nie mogę teraz zmienić przeszłości.

- Wracaj tu.

Zbyt zmęczona, by się z nim kłócić, Grace zrobiła, co jej kazał.

- Chcę się położyć.

- Jesteś zbyt zdenerwowana, aby teraz zasnąć.

- A skąd możesz wiedzieć, jak ja się czuję?

- Widzę to po twojej minie. Wiem, że nie powinienem był podnosić na ciebie głosu i przepraszam cię za to. Ale prędzej mnie szlag trafi, niż cię przeproszę za to, że się wściekłem.

Straciłem jedyne dwie kobiety, które kiedykolwiek kochałem, życie straciło dla ranie sens i nic mnie nie obchodzi, jak bardzo przerażona jest Jessika. Powinniście być powiedzieć nam prawdę.

Dopiero teraz Grace zrozumiała, jak bardzo jej na nim zależy. Z tego, co powiedział, wynikało, że już nigdy nikogo nie pokocha... a ona właśnie się w nim zakochała. Dobry Boże. Tylko idiotka kocha mężczyznę, dla którego nic nie znaczy.

- Dlaczego mnie pocałowałeś? - spytała nagle. To pytanie zaskoczyło go i wytrąciło z równowagi.

- Bo miałem na to ochotę.

Założywszy ramiona na piersi, Grace spojrzała mu poważnie w oczy.

- Nie rób tego nigdy więcej. Obiecuj mi, że już nigdy mnie nie pocałujesz. - Nie chcąc dawać obietnicy, której nie dotrzyma, Daniel milczał, dopóki nie natarła na niego ostrzej: - Daj mi słowo, Danielu.

- Nie.

- Jak to „nie”? Chcesz mi powiedzieć... że po tym, co tu się... nadal masz ochotę mnie całować?

- Pewnie... i zamierzam zrobić to przy najbliższej okazji.

- Czy już wszystko zrozumiałeś, Danielu? - przerwał im szorstki głos Coopera.

Ryan poderwał się na równe nogi.

- Ty nie śpisz!

- Jak się pan czuje, szeryfie? - zapytała Grace podchodząc do niego pospiesznie.

- Jakbym się znalazł na środku pola bitwy. Co się z wami dzieje? Nie wstyd wam kłócić się nad umierającym człowiekiem?

Na twarzy Daniela pojawił się szeroki uśmiech, a w oczach Grace załśniły łzy.

- Przykro mi, że pana obudziliśmy.

- Nie powinieneś krzyknąć na damę - pouczył Cooper Daniela, po czym odwrócił się do dziewczyny.
- A pani powinna była nam powiedzieć wszystko, co wie, o wiele wcześniej. Oj, nie płacz już, kochanie - dodał widząc jej wilgotne policzki.

- Ty wcale nie umierasz, co, Cooper? - zapytał Daniel przyglądając się przyjacielowi.

Jack Cooper pewnie roześmiałby się, ale nie miał siły, czuł się jak koń, który od stu lat ciągnie pług i nie ma już siły nawet umrzeć.

- Zdaje się, że nie - odparł. - Ale zadałem ci pytanie - przypomniał Ryanowi. - Pomóż mi usiąść, daj mi szklankę wody i powiedz, czy już się wszystkiego domyśliłeś?

Grace podłożyła pod plecy rannego szeryfa dwie poduszki a chwilę później Daniel podał mu szklankę wody i przyciągnąwszy krzesło bliżej łóżka, usiadł spoglądając ponuro na przyjaciela.

Grace delikatnie dotknęła czoła Coopera i pokiwała głową z zadowoleniem, czując, że nie ma już zbyt wysokiej gorączki. Potem przeprosiła obu panów i skierowała się ku drzwiom, by mogli swobodnie porozmawiać.

- Grace, wracaj tu w tej chwili - zawołał za nią Daniel.

Dziewczyna chciała usiąść na swym krześle po przeciwnej stronie łóżka, lecz Ryan przywołał ją do siebie. Podeszła posłusznie.

- Czy zamierzasz przedstawić mnie tej ślicznej pani? - zapytał Cooper.

- Nazywam się Grace Winthrop - odparła dziewczyna i instynktownie dygnęła.

- To lady Grace Winthrop - dodał Daniel. - Ona już wie, kim jesteś, Cooper.

Ranny poklepał łóżko obok siebie.

- Usiądź przy mnie, moja droga.

- Ona wcale nie jest „twoją drogą”.

- Nie? - zapytał przeciągle Cooper, po czym napił się łyk wody.

- Nie - odparł Ryan. - Ona jest moja.

Grace zachwiała się i opadła na materac w nogach łóżka. Dlaczego ci mężczyźni są tacy dziwni? Daniel najpierw ją pocałował, potem na nią nawrzeszczał, a potem powiedział coś najbardziej romantycznego, co tylko mogła sobie wyobrazić. Postanowiła, że musi jak najszybciej zakończyć z nim znajomość, zanim zupełnie oszaleje.

- Cooper uważa się za wielkiego uwodziciela - wyjaśnił jej ironicznie Daniel.

- Ależ ja jestem wielkim uwodzicielem. Żadna kobieta nie jest w stanie mi się oprzeć -

poprawił go Cooper.

Daniel odprężył się nieco. Jego przyjaciel wcale nie jest tak bliski śmierci, jak się wszystkim zdawało, więc nadszedł czas, by wyjaśnić sobie to i owo. Był niemal pewien, że wie, co się wydarzyło w pociągu, lecz chciał się upewnić.

- To Rebeka do ciebie strzelała, prawda, Cooper? A może był jeszcze ktoś inny?

Grace była tak zaskoczona tymi pytaniami, że aż podskoczyła na równe nogi i zaprotestowała.

- Ty chyba nie mówisz poważnie, Danielu! Chyba nie sądzisz, że istota tak słodka i łagodna jak Rebeka mogłaby postrzelić mężczyznę i wypchnąć go z pociągu?

Przypomniała sobie, jak Rebeka tuliła do siebie małego Caleba; jak przybiegła im na pomoc w noc pożaru. Bez niej nie dałaby sobie rady! Nie, Daniel na pewno się myli...

- To Rebeka do mnie strzeliła - odparł Cooper cicho. - Nawet nie wiedziałem, kiedy dostałem... nic nie podejrzewałem. W przedziale był z nią jeszcze jeden mężczyzna, lecz nie zdążyłem mu się przyjrzeć. Zobaczyłem go, a zaraz potem znalazłem się na korytarzu z dziurą w klatce piersiowej. Strzeliła do mnie jeszcze raz, gdy osuwałem się na ziemię. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, był brzęk tłukącego się szkła.

Grace była tak zaskoczona, że nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Cooper opowiedział

Danielowi wszystko, ze szczegółami nie ominął nawet tego, że gdy wrócił do przedziału, Rebeka leżała na ławce naga.

- Otworzyłem drzwi i na jej widok całkiem mnie замуrowało. Nie mogłem się poruszyć.

Zawahałem się o chwilę za długo... Nie zdążyłem wyciągnąć broni. Te sekundy omal nie kosztowały mnie życia. Powinienem być przygotowany na każdą możliwość... ale coś takiego...

Grace opadła z powrotem na łóżko.

- Ona jest jedną z nich? - wyszeptała, nie mogąc pogodzić się z prawdą. - Ten pożar! -

wykrzyknęła. - Czyżby to ona podpaliła dom Tilly? To ona mnie uderzyła? - Zanim dokończyła ostatnie zdanie, trzęsła się jak liść na wietrze.

Daniel skinął głową.

- Najprawdopodobniej tak. Chyba że jeden z mężczyzn został w mieście po napadzie... ale nie jest to możliwe. Wystarczyło, że Rebeka oblała dom naftą i zapaliła jedną zapałkę. Była cholernie pewna

siebie... - dodał tonem wyjaśnienia odwracając się do Coopera. - Weszła nawet do domu i...

- I poczęstowała się jabłkiem - wypaliła Grace znowu podrywając się na nogi. - Usiłowała nas wszystkich zabić... Tilly i Caleba, i Jessikę, i mnie... Była ubrana na czarno. Danielu. Prawda?

Pamiętasz? Była ubrana cała na czarno...

Daniel zauważył, że Cooper krzywi się z bólu za każdym razem, gdy dziewczyna skacze na łóżku. Grace najwyraźniej nie zdawała sobie z tego sprawy, a znając Coopera, wiedział, że on na pewno jej tego nie powie. Delikatnie przyciągnął dziewczynę do siebie i posadził ją sobie na kolanach.

Grace ledwie to zauważyła, tak była wstrząśnięta zdradą rzekomej przyjaciółki.

- Rebeka jest dobrą aktorką - zauważył Jack.

Grace znowu usiłowała wstać, lecz Daniel objął ją w talii i przytrzymał.

- Tak, jest doskonałą aktorką - mruknęła dziewczyna.

- Była taka miła i dobra... i pewna siebie. Uważałam ją za swoją przyjaciółkę. Da pan wiarę, szeryfie Cooper? Uważałam ją za swoją przyjaciółkę!

Jack Cooper pokiwał głową.

- Było mi jej szkoda.

- Wszystko to było kłamstwem, prawda? Udawała, że tak się martwi o mnie i o Jessikę... cały czas powtarzała, że powinniśmy się trzymać razem.

- Kiedy Sloan zamknął was razem w więzieniu? - spytał Daniel.

- Tak. Opowiedziała nam, co zamierza ci powiedzieć. Ciągle to powtarzała... aż nauczyłyśmy się tego na pamięć.

- Czy usiłowała się dowiedzieć, która z was była wtedy w banku?

- Nie.

- Prawdopodobnie już wtedy postanowiła, że najlepszym rozwiązaniem będzie zabicie was obu.

Grace wzdrygnęła się.

- I prawie się jej udało. Gdybyście wraz z Cole'em nie zjawili się wtedy w domu Tilly, wszyscy byśmy zginęli. Jessika nigdy nie wyszłaby z tego domu beze mnie, Caleba i Tilly... A dym by ją zabił. Nie dałaby rady wyciągnąć nas wszystkich.

- Czy po pierwszym napadzie... budynek banku nie został spalony? Zdaje się, że nie został

kamień na kamieniu...

- Tak - potwierdził Daniel. - Pierwszą myślą nas wszystkich było, że ktoś usiłował pokryć manko w kasie... jednak dyrektor banku przysięgał, że co noc sam sprawdza rachunki. Twierdził, że wszystko powinno się zgadzać. Dopiero gdy sprawdziliśmy rachunki w kasach, okazało się, że to napad.

- Szeryfie, czy kiedykolwiek mi pan wybaczy? - zapytała Grace ze łzami w oczach. -

Gdybyśmy z Jessiką wcześniej się przyznały, nie zostałby pan ranny. Wszystkiego tego można było uniknąć.

- Można i tak o tym myśleć - odparł Cooper. - Ale można i inaczej: gdyby Jessika się przyznała, Rebeka nigdy nie twierdziłaby, że jest świadkiem. Poszłaby radośnie swoją drogą napuściwszy swoich przyjaciół - morderców na Jessikę. Nigdy byśmy się nie dowiedzieli, że jest w to wszystko zamieszana.

- Więc ani Jessika, ani ja, nie popełniłyśmy żadnej okropnej zbrodni?

- Grace, jeżeli się spodziewasz, że ci podziękuję, to się zawiedziesz - odpowiedział Daniel. -

Powinnaś była powiedzieć mi prawdę. - Jego myśli cały czas krążyły dokoła Rebeki. - Pozwoliłem jej się wymknąć.

- Ja też robiłem, co w mojej mocy, by jej dogodzić - przyznał ponuro Cooper. - Pozwoliłem jej nawet na... Oj Danielu, ja jej nawet powiedziałem, że spotka się z Grace i Jessika w Red Arrow...

pozwoiliem jej wysłać telegram Powiedziała, że chce dać znać przyjaciołom, że nie dołączy do nich w Salt Lake City, ale teraz już wiem, że to było kłamstwo. Jeżeli pojedziecie do Red Arrow, na pewno będą tam na was czekać.

- A co z Cole'em i Jessiką? - wyszeptała Grace. - Wpadną prosto w ich pułapkę.

Ale Daniel chyba niezbyt się przejął tą myślą. Niecierpliwie zatarł ręce, a w jego oczach pojawił się jakiś nowy błysk.

- O czym ty myślisz? - zapytała dziewczyna. - Nie martwisz się, co z nimi będzie?

- Nie. Aby dostać się do Red Arrow, muszą przejeżdżać tędy - wyjaśnił. - A mają względem nas dzień, może dwa, opóźnienia.

- Więc w ogóle nie pojedziecie do Red Arrow? - wtrącił się Cooper. - Pojedziecie na skróty prosto do Blackwater?

Grace skinęła głową myśląc, że to bardzo mądre rozwiązanie, lecz Daniel zaprzeczył.

- O, nie... jasne, że pojedziemy do Red Arrow.

- Ależ oni mogą...

- O, Boże. Mam nadzieję, że będą tam na nas czekać!

Cooper już od jakiegoś czasu trzymał oczy zamknięte, ale bacznie słuchał wszystkiego, co zostało wypowiedziane.

- Czyżbyś miał jakiś plan, Danielu? - spytał cicho.

- Tak - odparł Ryan radośnie. - Ale ty będziesz musiał nam pomóc.

- Ależ Danielu! On jest poważnie ranny... gorączka dopiero co zaczęła mu opadać... -

zaprotestowała Grace.

- Nie będzie miał wiele do roboty - obiecał Daniel.

- Co chcesz, żebym zrobił? - zapytał Cooper.

Na twarzy Daniela pojawił się szeroki uśmiech.

- Chcę, abyś umarł.

CZEŚĆ CZWARTA

A w mchach, jarach i paprociach,

Pączek za pączkiem wiosna się budzi.

Przez dwa długie dni i dwie noce, czterej członkowie gangu z Blackwater czekali niecierpliwie na stacji kolejowej w Red Arrow, by zabić zagrożające im kobiety. Trzej cały czas siedzieli na peronie, podczas gdy czwarty krył się w mrokach za budką dróżnika, na wszelki wypadek, gdyby jego kompanom się nie powiodło i któraś z ofiar zaczęła uciekać do miasteczka.

Na stację przyjeżdżały tylko dwa pociągi dziennie: jeden o dziesiątej rano, a drugi o szóstej po południu. Mężczyźni dokładnie sprawdzali wszystkich podróżnych; kiedy ostatni pasażerowie zesli już z peronu, mordercy przeszukiwali wszystkie przedziały, na wypadek gdyby ich ofiary chciały się tam schować i przeczekać niebezpieczeństwo.

Godziny między przyjazdami pociągów spędzali w miejskim saloonie; we czterech wypili morze whisky, ale żaden się nie upił. Raz tylko pan Robertson zrobił się nieco nieostrożny i reszta musiała się nieźle nabiedzić, by zatrzeć ślady jego występku. Robertson zwałił winę za cały incydent na ogromną nudę; wieczorem zabrał do jaskiń małą brzydką prostytutkę imieniem Flo i pociął ją nożem. Nie chciał jej zabić, tylko trochę ją postraszyć, tak mu się przynajmniej na początku wydawało, ale gdy już wyciągnął nóż z pochwy, nie mógł się powstrzymać. Jej pełne przerażenia krzyki tak go podnieciły, że nie potrafił przestać.

Przyjaciele pomogli mu pochować ciało, a gdy już Robertson przestał się przechwalać, jak to mała darła mu się pod nożem niczym zarzynana świnka, wszyscy szybko zapomnieli o tym błahym incydencie. W końcu Flo była tylko dziwką i nikt nie będzie za nią tęsknić.

Ponieważ nadal nie dostali żadnej wiadomości od Johnsona, założyli, że nie udało mu się zabić kobiet w Rockford Falls. Robertson zwierzył się kamratom, że chciałby, aby był tu z nimi szef, bo on jest mądrzejszy od nich wszystkich razem wziętych. On na pewno domyśliłby się, gdzie chowają się te przekłete baby. No, cóż... ale szef pojechał na południe wraz ze swą kochanką, by wyciągnąć z więzienia Bella.

Trzeciego dnia ich czuwania na stacji kolejowej pocztą pantoflową dotarła do nich wieść o śmierci szeryfa federalnego o nazwisku Cooper. Ktoś go zastrzelił i wyrzucił z pędzącego pociągu. W

związku z tym, szeryf w Red Arrow dostał telegram, by miał oczy szeroko otwarte i zamykał w więzieniu każdego podejrzanego typka, jakiego napotka. Szeryf zwierzył się z nowego zmartwienia właścicielowi saloonu, a ten opowiadał nowinę każdemu, kto tylko chciał słuchać. Czterej bandyci poczuli, że wreszcie mają co świętować.

Usiedli w kącie sali z butelką whisky i rozmawiali przyciszonymi głosami.

Robertson, z oczami zaczerwienionymi z braku snu, nie był

w najlepszym nastroju.

- Dlaczego te cholerne baby jadą tu tak długo? Szef kalkulował, że będą tu wczoraj, albo nawet przedwczoraj.

Nie skończył jeszcze mówić, gdy do saloonu wszedł stary człowiek o długich splecionych włosach, który rozciągał wokół siebie nieprzyjemną woń kojarzącą się wszystkim ze skunksem.

Podszedł do baru i nieomal położył się na ladzie.

- Nalej mi drinka, Harley. Dopiero co zobaczyłem coś naprawdę wyjątkowego i opowiem ci o tym, gdy tylko przepłuczę gardziółko.

Barman, ogromny mężczyzna o mięsistych ramionach, któremu brakowało trzech przednich zębów, czego nikt nie zauważał, bo nigdy się nie uśmiechał, spojrział ponuro na nowego klienta.

- A masz dziś pieniądze, Gus?

W odpowiedzi maleńki staruszek rzucił na ladę brzęczącą monetę.

- Jasne, że tak - odparł tonem przechwałki. - Mam dziś całe mnóstwo pieniędzy... prawie trzy dolary.

- Skąd je masz? - zapytał ciekawie Harley nalewając alkoholu do szklaneczki.

- Nie twój interes - odpowiedział szorstko Gus. - Chcesz usłyszeć moją historię, czy nie?

- Słucham, słucham...

- Zdaje się, że będziemy mieć dwie nowe dziwki w mieście. Widziałem... są całkiem młode i ładne. Przyjrzałem się obu i jeszcze nie mogę się zdecydować, z którą chciałbym pohulać najpierw...

Może sprawię sobie obie?

- Czyś ty się już gdzieś upił? - warknął Harley.

- Nie... jeszcze nie. Ale upiję się, gdy tylko nalejesz mi następnego drinka. Wiem, co widziałem - powtórzył z uporem.

- Było z nimi dwóch mężczyzn - dodał, po czym pociągnął długi łyk alkoholu. Powodowany nałogiem tak łapczywie przechylił szklaneczkę, że połowa płynu wylała mu się bokiem i pociekła po twarzy. Usiłował ją jeszcze schwytać i spić z rąk, lecz nie bardzo mu się to udało. - Nieźle je ukryli, ale i tak je zobaczyłem. Szukałem Flo, ale nigdzie nie mogłem jej znaleźć... Jednak te dwie dobrze widziałem... oj, dobrze.

- O czym ty mówisz, stary koźle? Żadne nowe kurwy nie przyjeżdżają do tego miasta!

Wiedziałbym o tym! Przecież to ja tu wszystkim rządę. Nie wiesz o tym?

- Jasne, Harley, że wiem.

- No, właśnie - wychrypiął barman. - I powtarzam ci, że nie zatrudniłem żadnych nowych dziwek!

- A ja ci mówię, co widziałem. Dwóch mężczyzn ukryło te ślicznotki w jaskiniach zaraz na południe od miasta. Może chcą ci zrobić małą konkurencję pod bokiem?

Harley walnął pięścią w bar.

- To się jeszcze zobaczy - syknął. - Skoro Flo się ulotniła, przyda mi się kilka nowych kobiet.

Powiedziałeś, że z tymi było dwóch mężczyzn? Tylko dwóch?

- Tak właśnie mówiłem - odparł Gus kiwając głową. - Nie są chyba zbyt rozgarnięci. Zostawili te ślicznotki całkiem same. Ale nie podobało im się w jaskini, bo najpierw jedna, a potem druga wystawiły głowę na zewnątrz i wtedy je zobaczyłem. Śliczniutki są - dodał z obleśnym uśmiechem.

- Ładne i młode... pewnie będą pierwsza klasa.

Harley nadal był skrzywiony. Właśnie zastanawiał się nad tym, czy by nie pojechać do jaskiń i nie porwać tych dwóch kobiet, kiedy do lady podszedł Robertson.

- Powiedz mi, co dokładnie widziałeś, stary - zażądał i oparł dłoń na rękojeści noża. - Chcę usłyszeć wszystko, co wiesz, o tych dwóch kobietach.

Minęło już sporo czasu, odkąd po raz ostatni Gus był w centrum uwagi i staruszek aż poczerwieniał z dumy powtarzając historię Robertsonowi i jego kompanom. Jednak nie zdążył

dokładnie opisać dwóch pań, gdy Robertson gestem nakazał towarzyszom wyjść z saloonu i sam podążył za nimi.

Nie było ich przez prawie trzy godziny, a gdy wrócili do saloonu, nigdzie nie zobaczyli starego Gusa. Robertson bardzo chciał go poszukać, lecz pozostali odciągnęli go od tego pomysłu i wrócili do swego stolika w kącie zamawiając po drodze następną butelkę whisky.

Chwilę później do sali energicznym krokiem wszedł Cole Clayborne. Harley tylko rzucił

okiem na odznakę przypiętą do jego kamizelki i sięgnął pod ladę po ukrytą tam strzelbę.

- Połóż ręce na barze, tak, bym je widział - polecił mu Cole zwodniczo uprzejmym głosem.

Miał ogromną ochotę zaczekać, aż barman sięgnie po ukrytą broń i spróbuje go zastrzelić, bo wtedy z czystym sumieniem mógłby go załatwić, ale teraz był stróżem prawa i nie mógł poddawać się swym słabostkom. - Szeryf sporo mi o tobie opowiedział, Harley - dodał tonem towarzyskiej pogawędki. -

Podobno uważasz, że rządysz tą dziurą?

- A rządę.

- Powiedział mi także, że strzeliłeś kiedyś człowiekowi w plecy.

- Szeryf nic nie mógł mi udowodnić - odparł barman głosem pełnym furii. - Nie potrzeba mi żadnych kłopotów.

Czterej mężczyźni siedzący za stolikiem w kącie sali przyglądali się Cole'owi z napięciem.

Choć uwaga Cole'a także była na nich skupiona, zauważył, że Harley nadal trzyma ręce opuszczone po bokach ciała.

- Powiedziałem ci, byś położył ręce na ladzie. Natychmiast!

Chłód w jego głosie i marsowa mina powinny natychmiast przekonać Harleya, że powinien zrobić, co mu Cole każe. Ale barman był niezdecydowany - oczy cały czas biegały mu od czterech mężczyzn w rogu sali do Cole'a. Postanowił sprawdzić cierpliwość Cole'a, więc położył jedną rękę na ladzie i zaczął na następny ruch szeryfa.

- Wcale nie chciałem pana zastrzelić - skłamał. - W końcu jest pan stróżem prawa. Nie chcę tu żadnych kłopotów. Niedawno kupiłem nowe lustro...

Zanim Harley zdążył mrugnąć okiem, Cole wyciągnął rewolwer i strzelił do lustra; kawałki szkła posypały się barmanowi na plecy i ramiona. Harley ryknął wściekłym głosem jakieś przekleństwo, po czym grzecznie położył obie dłonie na ladzie.

Oprócz czterech mężczyzn w rogu w sali było jeszcze trzech klientów, którzy teraz uciekali, gdzie się dało. Upewniwszy się, że żaden z nich nie jest uzbrojony, Cole pozwolił im uciec na ulicę.

- Czego pan tu szuka? - zapytał Harley wściekłym głosem.

Cole skinął głową w kierunku czterech mężczyzn w rogu.

- To sprawa osobista.

Zza stołu podniósł się najwyższy z członków gangu.

- Ale my pana nie znamy, szeryfie.

- Jeszcze zdążycie mnie poznać - obiecał im Cole. - A teraz wstańcie... grzecznie i powoli.

Zabieram was, chłopcy, do więzienia.

- Nie ma pan prawa nas aresztować - zaprotestował typek z długą blizną biegnącą przez policzek. - Nie zrobiliśmy nic złego.

Cole cały czas przyglądał się mężczyźnie bawiącemu się nożem.

- Czy to ty nazywasz się Robertson?

Usłyszawszy to pytanie, opryszek zrobił się czerwony, a oczy dosłownie wyszły mu na wierzch.

- I co z tego?

Cole nie raczył mu wyjaśnić.

- Który z was to Bell?

- Żaden z nas - odparł Robertson.

- Nigdy o takim nie słyszeliśmy - dodał drugi.

- O co chodzi, szeryfie? - zapytał Robertson. - Jak mój przyjaciel już zdążył powiedzieć, nie zrobiliśmy nic złego.

- Ależ ja was nie aresztuję - odparł Cole. - W każdym razie jeszcze nie teraz. Musimy tylko przejść się do więzienia. Czeka tam na was pani, która chce się wam przypatrzeć.

Nastawienie mężczyzn od razu się zmieniło: w okamgnieniu przerodzili się w bandę zapędzonych w kąś szakali.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - zaprotestował jeden z opryszków.

Robertson spojrzał na mężczyznę po swojej lewej stronie.

- Możemy go załatwić.

- Ależ bardzo proszę - rzekł Cole, a w jego głosie brzmiała od dawna tajona furia. - A niech mnie szlag! Jakże bym chciał, żebyście spróbowali!

Blizna prychnął pogardliwie.

- Czterech na jednego? Musisz mieć o sobie niezłe zdanie, szeryfie.

Cole wzruszył ramionami.

- A może się tak przekonamy? Załatwię was wszystkich i nie będę wam kazał klękać.

Blizna drgnął, Robertson wyraźnie poblądł.

- Możemy cię załatwić - mruknął Robertson, a jego oczy zwęziły się, gdy obserwował przeciwnika. - Myślisz, że jesteś szybki jak błyskawica?

Cole uśmiechnął się łagodnie.

- Nie - odparł zaciągając śpiewnie i wyraźnie ich kusząc. - Ludzie mówią, że jestem jak grom.

- Po czym skinął głową i dodał: - To jego nazywają „Błyskawica”.

Daniel stał tuż przy drzwiach wychodzących na tyły saloonu. Czterej opryszkowie obrócili się na pięcie, zobaczyli go, a potem z powrotem odwrócili się do Cole'a. Znaleźli się w pułapce i wiedzieli o tym.

- Macie pięć sekund na położenie rewolwerów na stole - powiedział Daniel.

Robertson pierwszy sięgnął po broń; wrzeszcząc: „Teraz!”, dobył rewolweru, rzucił się w lewo i padł na podłogę. Cole postrzelił go w pierś, zanim jeszcze opryszek zdążył wymierzyć w niego.

Pozostali trzej także sięgnęli po broń; Daniel zastrzelił dwóch, a kula wystrzelona przez Cole'a przeszła krtań trzeciego.

Cole właśnie chował rewolwery z powrotem do kabur, gdy w tej samej chwili co Daniel zobaczył, jak barman podnosi strzelbę. Wystrzelili jednocześnie i z kamiennymi minami patrzyli, jak Harley pada na ladę baru, a strzelba z hukiem uderza o podłogę.

Cole nie zabił Robertsona; bandyta leżał na podłodze opierając się plecami o ścianę i jęczał z bólu. Krew powoli ciekła mu z rany na piersi.

Daniel przykucnął obok niego.

- Powiedz mi, jak się nazywa wasz herszt. - To powiedziawszy, przyłożył rannemu rewolwer do skroni i odciągnął kurek. - Jeżeli chcesz umrzeć szybko, podaj mi jego nazwisko. W przeciwnym razie umrzesz powolną i bolesną śmiercią.

Cole podszedł do niego pospiesznie.

- Nie rób tego, Danielu. On nie jest tego wart.

Zdawało się, że Ryan go nie usłyszał.

- Podaj mi jego nazwisko - powtórzył z uporem, na co Robertson się rozplakał.

- Jestem ranny... Bardzo mnie boli... - łkał głośno. - Idźcie po doktora, żeby mnie opatrzył.

Cole zignorował jego jęki; nienawiść płonąca w oczach Daniela przerażała go i wiedział, że musi jak najszybciej wpaść na sposób odciągnięcia Ryana od ofiary; zanim będzie za późno...

- Odłóż broń - rzekł łagodnie. - Jessika go widziała. Może go wskazać w sądzie.

Oczy Daniela lśniły jakimś dzikim blaskiem; spojrzał na Cole'a z bólem, po czym potrząsnął głową i mocniej przycisnął lufę swego rewolweru do skroni opryszka.

- Nie... widziała tylko jego oczy i słyszała jego głos. Jeżeli nie poznamy jego nazwiska...

Cole położył dłoń na ramieniu Ryana.

- Dostaniemy go - obiecał cicho. - Nie rób tego... Nie w ten sposób. Musimy zachować go przy życiu.

- Nie.

- A właśnie, że tak - odparł Cole. - Nie rób tego w ten sposób. Nie mogę ci pozwolić go zabić.

- Więc wyjdź stąd - burknął Daniel.

Cole nachylił się i odsunął lufę rewolweru Daniela od głowy mordercy.

- Siedzimy w tym razem po uszy - powiedział. - Razem go dopadniemy... Dopadniemy ich wszystkich.

Ryan nagle się ocknął. Wzdrygnął się i wstał gwałtownie.

- Przyrowadź tu Jessikę.

Ale Cole potrząsnął głową.

- Nie chcę, by to widziała... Wszędzie pełno tu krwi.

- Musi na nich spojrzeć. Musi potwierdzić, że to ci dranie napadli na bank w Rockford Falls.

W tej samej chwili do saloonu wpadł Gus, lecz zatrzymał się jak wryty, zobaczywszy wycelowane w siebie rewolwery dwóch szeryfów.

- To tylko ja - wyjąkał; Cole i Daniel schowali broń. - Aleście mnie przestraszyli... - Potem wszedł do sali i spojrzał na nich dumnie. - Nieźle się spisałem, co?

- Tak, świetnie - odparł Cole.

- Martwiłem się, że Harley mi nie uwierzy, ale wpadł jak śliwka w kompot... A potem ci czterej wypadli stąd, jakby ich co goniło... Pojechaliście za nimi do jaskiń?

- Tak.

- Nieźle kłamię, co? - spytał Gus dumnie. - Ale muszę wam zadać jedno pytanie, zanim zostawię was w spokoju. Tak się zastanawiałem... czy naprawdę przywieźliście do miasta dwie kobiety?

- Tak.

- Czy to nowe dziwki? - Żaden z szeryfów nie odpowiedział na to pytanie, żadnemu się ono nie podobało. Gus pospiesznie uniósł dłoń przeproszającym gestem. - Nie chciałem być nieuprzejmy...

- To ty to wymyśliłeś, pamiętasz? My nic nie mówiliśmy o dziwkach, to był twój pomysł -

przypomniał mu Daniel.

- Ale to było wcale niezłe kłamstwo. Gdzie je schowaliście?

- W najbezpieczniejszym miejscu w mieście - odparł Cole

- Gus, idź, sprowadź lekarza - zawołał rozpaczliwie Robertson. - Jestem ciężko ranny!

- Nie zamierzam ci pomóc. Wiem, że zrobiłeś coś złego Flo... widziałem, jak wyjeżdżasz z nią z miasta. To była kochana dziewczyna, a ty ją skrzywdziłeś.

Gus zrozumiał, że nikt mu nie przeszkodzi w przywłaszczeniu sobie dwóch butelek whisky, więc pospiesznie zgarnął je zza lady. Potem pomyślał, że lepsze trzy niż dwie, i wziął jeszcze jedną.

Splunawszy na głowę martwego Harleya, pospiesznie zniknął za drzwiami, zanim dwaj stróże prawu zauważą jego kradzież.

Cole i Daniel przeszukali kieszenie martwych mężczyzn, lecz nie znaleźli nic, co pomogłoby ich zidentyfikować. Robertson cały czas płakał jak dziecko i było to wyjątkowo irytujące.

Zdenerwowany tym, że nie może nic znaleźć. Cole złapał Robertsona za koszulę na piersiach i potrząsnął nim domagając się, by opryszek podał mu nazwiska towarzyszy.

- Nic wam nie powiem - odparł morderca. - Szef by mnie zabił.

- Jeżeli nie powiesz, to ja cię zabije - postraszył go Daniel.

W tej chwili Cole zauważył, że Gus nadal kręci się przy drzwiach.

- Chcesz jeszcze czegoś?

- Czy znaleźliście w ich kieszeniach jakieś pieniądze? Przydałoby mi się parę dolarów. Wiem, że daliście mi trzy, ale szkoda byłoby pochować z nimi uczciwe złoto.

- Możesz zabrać whisky, Gus, ale to wszystko - odpowiedział Daniel.

- Szeryfie?

- Co znowu?

- Chętnie popatrzyłbym sobie na te kobiety. Może mi powiecie, w której jaskini je ukryliście?

- Nie ukryliśmy ich w żadnej jaskini - wyjaśnił mu Daniel.

- Są w miejskim więzieniu.

Gus skrzywił się z niesmakiem.

- Tam to na pewno nie pójde.

Daniel zostawił Cole'a, by przypilnował Robertsona, a sam poszedł po Jessikę. Szeryf czekał na niego przy frontowych drzwiach i Daniel poprosił go, by przysłał doktora do mordercy.

- Na pewno chce pan uratować mu życie? - zdziwił się szeryf.

- Nie, ale niech pan lepiej wezwie tego doktora.

Grace i Jessika siedziały przy biurku i obie poderwały się na nogi, gdy tylko zobaczyły Daniela. Grace była tak szczęśliwa, że nic mu się nie stało, iż rzuciła mu się w ramiona z głośnym okrzykiem.

Zaskoczony, że tak bardzo pragnie ją przytulić, Daniel przycisnął ją do siebie najmocniej, jak mógł.

- Słyszałyśmy strzały, ale nie wiedziałyśmy... Och, Danielu! Jak ja się cieszę, że nic ci się nie stało!

- Czy Cole...? - zaczęła Jessika.

- Nic mu nie jest.

Dziewczyna poczuła ogromną ulgę, która tak ją osłabiła, że musiała usiąść. Daniel cały czas tulił Grace i czekał, aż się uspokoi i przestanie trząść. Potem zrozumiał, że to nie ona drży, lecz on sam. Bardzo chciał jej powiedzieć, jak niewiele brakowało, by przekroczył cienką linię między prawem a osobistą wendettą. Grace na pewno rozumiałaby targające nim emocje.

- Czy dopadliście ich wszystkich, Danielu? - zapytała Jessika.

- Nie. Został jeszcze jeden. Musisz iść i przyjrzeć się im dobrze. Trzech nie żyje - dodał

ostrzegawczo, by przygotowała się na nieprzyjemny widok. - Przykro mi, że muszę cię o to prosić, ale... chcę wiedzieć, czy ludzie, których dziś zabiliśmy, należą do gangu.

- Rozumiem.

- Idę z wami - powiedziała Grace patrząc na Jessikę i ignorując to, że Daniel potrząsa głową.

- Wolałbym, żebyś tu na nas zaczekała.

Ale dziewczyna tylko poklepała go po ramieniu.

- Wiem, że byś wolał, ale idę z nią - rzekła pewnie i zanim zdążył cokolwiek dodać, podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież. - Chodź, Jessie. Miejmy to już za sobą.

Jessika poszła przodem; bała się, jak zareaguje na widok ciał, a nie chciała ośmieszyć się przed Colem. Całą drogę powtarzała sobie, że jest silna; zrobi, co powinna, i o wszystkim zapomni.

Przez całą drogę Grace ocierała się ramieniem o Daniela, lecz nie zrobiła nic, by się od niego odsunąć. Nie potrafiła też przestać na niego patrzeć i co chwila spoglądała na niego, by upewnić się,

że nie zniknie. Kiedy usłyszała strzały, serce zabiło jej gwałtownie i dopiero wtedy zrozumiała, jak bardzo go kocha. Nie, to nieprawda. Wiedziała to już od dawna; po prostu nie chciała tego zaakceptować z obawy przed bólem, jaki ta miłość musiała ze sobą nieść. Daniel był z nią szczery od samego początku: nadal kochał Kathleen i nigdy nie pokocha żadnej innej.

- Danielu... wiem, że to nie czas na to... szczerze mówiąc wiem, że to fatalna chwila, żeby to mówić...

Ryan ledwie zwracał na nią uwagę; cały czas przyglądał się dachom budynków i cieniom przy rogach. Co najmniej jeden członek gangu nadal był na wolności, więc nie chciał ryzykować.

- Co mówić? - zapytał.

- Przywiązałam się do ciebie.

Grace pomyślała, że chyba nie dosłyszał jej cichego szeptu, bo nie zareagował na to wyznanie.

Właściwie była z tego zadowolona. Nie powinna była nic mówić, bo chwila była naprawdę fatalna.

Powinna była zaczekać, aż zostaną sami...

- Taak, wiem...

Słyszając tak arogancką pewność siebie, dziewczyna uśmiechnęła się.

- Czy powinnam jakoś temu zaradzić?

Spojrzał jej w oczy po raz pierwszy, odkąd wyszli z więzienia.

- Nie.

- No, cóż... - szepnęła na wpół do siebie.

Jessika coraz bardziej przyspieszała kroku i teraz już właściwie biegła. Nie chodzi o to, że chciała jak najszybciej zobaczyć okropną scenę w saloonie, lecz potrzebowała przekonać się na własne oczy, że Cole'owi nic się nie stało.

Kiedy doszła do drzwi saloonu, wyprostowała się i weszła nie zwalniając kroku. Od razu zobaczyła Cole'a; stał oparty plecami o ścianę naprzeciw drzwi i przyglądał się jej z napięciem. Ulga osłabiła ją. Ledwie opanowała chęć natychmiastowego podejścia do niego i rzucenia mu się w ramiona.

Obawiała się, że na widok trupów zrobi się jej niedobrze, albo wystraszy się i zemdleje. Ku swemu ogromnemu zdumieniu, poczuła dziką wściekłość. Trzej mężczyźni leżący na podłodze już nie żyli, lecz ona miała ochotę jeszcze raz ich zastrzelić.

Wskazała palcem na pierwsze ciało.

- Był w banku w Rockford Falls - rzekła, - Nie usłyszałam jego nazwiska, ale go widziałam.

Potem podeszła do dwóch pozostałych, jednak spojrzawszy na nich, bezradnie potrząsnęła głową.

- Nie wiem, czy byli w banku. Nie widziałam wszystkich. Tych nie pamiętam.

Na końcu odwróciła się do rannego mężczyzny, nadal leżącego na podłodze. W jego oczach, wpatrzonych w dziewczynę, płonęła dzika nienawiść. Jessika nawet nie drgnęła.

- Tak, był tam. Nazywa się Robertson.

Była bardziej wstrząśnięta, niż sobie to wcześniej uświadamiała; nie zauważyła nawet, że Cole podszedł do niej i teraz trzymał ją za rękę. Pozwoliła mu się wyprowadzić na zewnątrz, gdzie czekali Grace i Daniel.

Gdy tylko stanęli na zalanej słońcem ulicy, odwróciła się do Cole'a.

- Jest jeszcze jeden - powiedziała szybko. - W Rockford Falls zastrzeliłeś Johnsona, w Blackwater trzymają jednego w więzieniu i jeżeli wszyscy ci czterej tutaj należeli do gangu, został

jeszcze jeden na wolności.

- I Rebeka - dodał Cole.

- I Rebeka - powtórzyła dziewczyna. - Chcę, byście ją złapali.

- Oczywiście - obiecał poważnie.

Droga do Blackwater była dla nich wyścigiem z czasem. Daniel gonił na złamanie karku chcąc jak najszybciej dostać się do więzienia, by Jessika mogła im powiedzieć, czy mężczyzna, którego tam trzymają, to naprawdę Bell. Na razie nie myślał o niczym innym i nie wiedział, co zrobi, jeżeli dziewczyna potwierdzi, że to właśnie jest morderca jego małej córeczki. Kobiety nie narzekały na wyczerpujące tempo jazdy, ale gdy słońce już zaszło, zatrzymali się na noc i rozbili obóz przy niedużym strumieniu. Daniel chciał jechać dalej, lecz Cole zaprotestował.

Grace i Jessika rozpakowywały jedzenie, które Cole kupił w mieście, Cole zajął się końmi, a Daniel przechadzał się nerwowo dokoła.

- Powinniśmy jechać dalej - rzekł w pewnej chwili. - Księżyc jest w pełni i droga byłaby jasno oświetlona.

Cole potrząsnął głową.

- Spójrz tylko na dziewczyny - powiedział łagodnie. - Obie padają z nóg ze zmęczenia. Konie nie są w o wiele lepszym stanie.

- Ale moglibyśmy...

- Mamy przywieść do Blackwater żywego świadka napadu, pamiętasz? - przerwał mu Cole. -

Martwy na nic nikomu się nie przyda.

Daniel nieco oprzytomniał.

- Tak, masz rację - przyznał niechętnie.

Pomagając Cole'owi przy oporzędzaniu koni, co chwila zerkał na dziewczęta. Obie były od stóp do głów pokryte kurzem i tak zmęczone, że ledwie się ruszały.

- Może faktycznie trochę dziś przesadziłem... - szepnął.

Ale Cole już myślał o nadchodzącym dniu.

- Czy wysłałeś telegram do szeryfa w Blackwater?

- Tak, ale nie dostałem odpowiedzi... co bardzo mnie martwi.

- Będziemy tam jutro po południu... i może wtedy uda się nam to wszystko skończyć.

- To wcale nie będzie jeszcze skończone - odparł Daniel.

- Musimy jeszcze złapać Rebekę i szefa całego przedsięwzięcia.

- Myślisz, że ten, którego przetrzymują w Blackwater, to Bell?

- Jessica go widziała. Powiedziała, że herszt zawołał go po nazwisku, a on się odwrócił i wtedy zobaczyła jego twarz. W saloonie go nie było... To musi być Bell.

- Rebeka może być z Bellem.

- Nie... nie zniżyłaby się do podrzędnego członka bandy. Na pewno zbratała się z szefem.

- Może, ale na twoim miejscu nie miałbym zbyt wielkiej nadziei.

Minęło kilka chwil w milczeniu. Daniel zaniósł siodła do ogniska, a Cole szczotkował konie.

- Danielu? - odezwał się nagle Cole. - Tak sobie myślę...

- Co takiego?

- Jeżeli Jessica powie ci, że ten w Blackwater to Bell, chyba nie zrobisz nic, czego byś później miał żałować?

- A co ty byś zrobił, gdybyś wiedział, że to on zabił twoją żonę i dziecko?

Cole przemyślał to poważnie.

- Naprawdę nie mam pojęcia - odparł ponuro.

- Ja też nie wiem. I nie będę wiedział, dopóki na niego nie spojrzę.

- Jeżeli go zabijesz, zamkną cię w więzieniu albo powieszą.

- Wiem.

- A wiesz, co jest gorsze od śmierci przez powieszenie?

- Mnóstwo rzeczy.

- Dla mnie gorsze byłoby siedzenie w celi ze świadomością, że to przeze mnie uciekło dwóch członków gangu.

- Dopadłbyś ich.

Cole nie chciał się z nim sprzeczać.

- A co z Grace?

Daniel potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia, co z nią zrobić. Zupełnie mnie zaskoczyła...

- Wiem, wiem... - odparł Cole z lekkim uśmiechem.

- Masz na myśli Jessikę?

- Czy to aż tak widoczne?

- Po tobie nie... po niej tak - rzekł Daniel. - Ona cały czas patrzy na ciebie tak, jakby chciała cię zastrzelić.

Cole wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Tak, to musi być miłość.

- Skąd wiesz? Każdy, kogo spotkasz na swej drodze, chce cię zastrzelić.

- My się pobierzemy.

- Co? Już przyjęła twoje oświadczenia?

- Nie.

Daniel wybuchnął śmiechem i z zaskoczeniem poczuł, że poprawia mu się nastrój.

- Więc skąd wiesz, że zgodzi się wyjść za ciebie za męża?

- Nigdy nie słyszałeś o małżeństwach z musu? - zapytał Cole z uśmiechem.

- Tak, i twojego chyba nie przegapię.

- I dobrze, bo będziesz nam potrzebny.

- Niby po co?

- A jak myślisz, kto zmusi pannę młodą, by mnie poślubiła? - Obaj wybuchnęli śmiechem.

Grace odwróciła się w tej chwili i uśmiechnęła się do nich. Razem z Jessiką siedziała na brzegu strumienia i moczyła w wodzie bose stopy.

- Jak myślisz, z czego oni się tak śmieją? - zapytała Jessika

- Nie wiem. Dziwię się tylko, że mają siłę się śmiać. Ja jestem zbyt zmęczona nawet żeby jeść.

- Ja także.

Jessika wracała właśnie do ogniska, gdy zobaczyła Cole'a idącego z przeciwka. Nie uśmiechał

się i miał okropnie poważną minę; kiedy zrównał się z nią, nie rzekł ani słowa. Po prostu złapał ją za rękę i dalej szedł. Mogła albo pójść za nim, albo się przewrócić.

- Co ty wyprawiasz?

- Musisz nieco rozruszać mięśnie.

- Ależ ja nie mam siły na spacer.

- Wcale nie myślałem o spacerze.

Jessika zarumieniła się gwałtownie.

- Oj, nie... chyba nie myślisz o...

- Niby dlaczego nie?

Usiłowała wyrwać dłoń z jego uścisku, ale nie włożyła w to całego serca. Ponieważ trzymał

mocno, musiała się poddać. Cole siedł przed siebie, dopóki nie oddalili się od obozu. W świetle księżycy jego twarz miała złoty kolor; dziewczyna patrzyła w jego piękne błękitne oczy i zastanawiała się, czy jest na świecie drugi równie przystojny mężczyzna. Jak to możliwe, że on ją kocha? Wszak jest taka zwyczajna, pospolita, a on mógłby mieć każdą kobietę. Dlaczego wybrał właśnie ją?

- Kochasz mnie jeszcze?

Cole nie wierzył własnym uszom. Jeszcze pyta?

- Myślisz, że tak szybko zmieniłbym zdanie? Nie, nie odpowiadaj - dodał pośpiesznie. -

Jeszcze bym się wściekł. Tak, oczywiście, że cię kocham.

- Dlaczego?

Była szczerze zdumiona; Cole spojrzał na nią zaskoczony i zrozumiał, że pyta poważnie. Czy nikt nigdy nie mówił jej, jaka jest cudowna?

- Jessie, czy gdy byłaś małą dziewczynką, rodzice nigdy ci nie mówili jaka jesteś mądra, śliczna, dobra, słodka, kochana... Mógłby tak wymieniać w nieskończoność, ale przerwała mu.

- Mój ojciec odszedł od nas, gdy byłam jeszcze bardzo mała. Nie pamiętam go zbyt dobrze...

oprócz tego, że nie mogłam się do niego zbliżyć, gdy był pijany... A mam wrażenie, że zawsze trzymał

w jednej ręce szklankę, a w drugiej butelkę.

- A twoja matka?

- Myślę, że jego odejście na zawsze ją zmieniło. Zupełnie zamknęła się w sobie. Powtarzała mi, że

musi być dla mnie surowa, żebym w przyszłości nie popełniła błędów jakie ona popełniła.

- Czy kiedykolwiek cię za coś chwaliła?

- Nie pamiętam - odparła. - Bardzo ją kochałam, ale nie chcę być taka jak ona. Boję się tylko, że jest już dla mnie za późno... że się już nie zmienię.

- Wcale nie jesteś do niej podobna - rzekł Cole pospiesznie. - Ty nie potrafisz być twarda. -

Kiedy spróbowała się od niego odwrócić, ujął jej twarz w dłonie i uniósł zmuszając, by spojrzała mu w oczy. - Cały czas chwalisz Caleba... Nie raz słyszałem, jak mu mówisz, że jest mądry i słodki, i...

- Dzieci muszą wiedzieć, że są kochane...

- Podobnie jak ty, prawda, Jessie? - Nie odpowiedziała.

- Wiesz, co mi się w tobie najbardziej podoba? Co zauważyłem na samym początku? -

Potrząsnęła głową. - Po raz pierwszy zobaczyłem cię w celi, w więzieniu szeryfa Sloana. Pamiętasz?

- Tak, byłam śmiertelnie przerażona.

- Tak, wiem. A ja pomyślałem sobie, że jesteś najpiękniejszą kobietą na całym Zachodzie.

- Naprawdę? - szepnęła bez tchu. - Przecież miałam na sobie starą spłowiałą sukienkę...

Cole roześmiał się głośno.

- Nie przyglądałem się, co miałaś na sobie. Usiłowałem sobie wyobrazić, co masz pod spodem. Masz cudowne ciało. Jessie, i nie mogłem się doczekać, kiedy będę mógł cię dotknąć.

Cole nie wierzył własnym oczom, lecz dziewczyna naprawdę się zarumieniła. Był to jeden ze stu tysięcy powodów, dla których ją kochał.

- Byłem już mocno zaintrygowany, bo słyszałem w mieście o pewnej ślicznej damie, która przyjechała w odwiedziny do ciotki i została, by zająć się niemowlęciem. Czy wiesz, jak niewiele kobiet by się na to zdobyło? Odpowiedzialność za wychowanie dziecka jest ogromna... i wiele kobiet nie chciałoby się jej podjąć. Podrzuciłyby małego do najbliższego sierocińca i zajęły się swoim własnym życiem.

- Ależ to wcale nie jest taka znowu ciężka praca. Caleb wniósł do mojego życia wiele radości.

- Pamiętasz, jak ci opowiadałem, jak to założyliśmy rodzinę z Adamem, Travisem i Douglasem? Byłem wtedy członkiem gangu... byłem smarkaczem, gdy znaleźliśmy Mary Rosę na uliczce, która była naszym domem. Wtedy moje życie nieuchronnie zdążyło ku katastrofie - dodał z zamyśleniem. - Mary Rosę to zmieniła. Podobnie, jak moi bracia. Prawdę mówiąc, wspólnie wychowywaliśmy naszą małą siostrzyczkę... Wiem, jaka to ciężka praca, nawet gdy ma się trzech braci do pomocy...

- Ale ja...

Nie dał jej dokończyć.

- Kocham cię za twoją siłę i za twoją odwagę. Kocham cię za to, że wyzwalasz we mnie to, co mam najlepszego. A to dopiero początek długiej listy. - Ujął jej twarz w obie dłonie. - Nie chciałem się w tobie zakochać.

- Więc dlaczego się nie odkochasz? - zapytała łagodnie.

- Kochanie, to tak, jakbyś chciała, żebym przestał oddychać. Oj, Jessie, potrzebuję cię... Bez ciebie moje życie jest puste.

- Pochylił się i zaczął całować jej szyję. - Jak to jest, że ty zawsze pachniesz kwiatami?

Jessika nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie; wiedziała, że powinna go powstrzymać...

przechyliła więc głowę, by mógł całować to wrażliwe miejsce tuż poniżej ucha.

- Robisz to specjalnie... wiesz, jak bardzo to lubię... nie możemy...

- Jeden pocałunek, Jessie. Tylko jeden pocałunek.

Zacisnęła dłonie na koszuli na jego piersiach, lecz już nie protestowała. Jakże cudownie było znowu znaleźć się w jego ramionach! Wspięła się na palce i objąwszy go za szyję, przycisnęła się do niego. Wreszcie jego wargi spoczęły na jej ustach. Jeden pocałunek nie wystarczył żadnemu z nich...

aż wreszcie dziewczyna zaczęła drżeć z pożądania i gdy Cole uniósł głowę, przywarła do niego i pocałowała go znowu. Powstrzymał ją przed następnym krokiem. Odsunął jej ręce od swojej piersi i przytulił mocno. Z trudem łapał oddech.

- Ty zupełnie nie wiesz, co to opamiętanie. - W jego głosie brzmiała taka radość, że Jessika nawet nie poprosiła, by wytłumaczył jej te zagadkowe słowa. Objął ją ramieniem i poprowadził z powrotem do ogniska. - Muszę cię nauczyć cierpliwości - szepnął z uśmiechem.

Dziewczyna usiłowała skupić się na jego słowach, lecz pod wpływem pocałunku nie potrafiła myśleć o niczym innym, jak o kochaniu się z nim.

- Zupełnie nie wiem, co się ze mną dzieje. Zanim pojawiłeś się w moim życiu, zawsze zachowywałam się jak dama.

- Nadal jesteś damą.

- Wiem, co zrobiłam tamtej nocy... Uwiodłam cię. Wmawiałam sobie, że chcę tylko tej jednej nocy i nic więcej. A dopiero przed chwilą chciałam znowu...

Cole jęknął gardłowo.

- Pomówmy o czymś innym.

- Dlaczego?

Postanowił, że będzie z nią szczery.

- Bo już mam na ciebie straszną ochotę i jeżeli nadal będziemy rozmawiać o miłości, nic mnie nie powstrzyma przed rzuceniem cię na trawę i kochaniem się z tobą. A wolałbym z następnym razem poczekać, aż się pobierzemy.

- Cole...

Przerwał jej mocno ściskając ją za rękę.

- Nawet nie śmieję znowu mnie pytać, jak długo z tobą zostanę.

- Wcale nie chciałam o to pytać.

- Właśnie, że chciałaś.

- A jeżeli nigdy nie będę w stanie dać ci tego, czego pragniesz? Na co zasługujesz? Żona powinna ufać swemu mężowi, a ja nie sądzę, bym kiedykolwiek... A jeżeli...

Nie dał jej dokończyć zdania.

- Zdaje się, że będziesz się strasznie martwić za każdym razem, gdy będę wyjeżdżał z domu.

Ale ja zawsze wrócę do ciebie i do Caleba. Może za jakieś dwadzieścia lat to zrozumiesz i przestaniesz się martwić. Nie szkodzi... Dam ci tyle czasu, ile ci potrzeba. Mówiłem poważnie, że to na wieczność. A tak przy okazji... jeszcze przed ślubem powiesz mi, że mnie kochasz. A teraz, proszę, zmieńmy temat.

- Myślisz, że Caleb ma się dobrze?

- Oczywiście - odparł z uśmiechem. - Pewnie będzie miał przez długie lata niechęć do pieczonego kurczaka, ale na pewno jest rozpuszczany i kochany.

- Przed wyjazdem odbyłam długą rozmowę z Tomem - dodała mimochodem.

- I o czym rozmawialiście?

- O tobie.

Spojrzał na nią spod oka.

- Co ci powiedział?

- Mnóstwo szalonych historii.

- Na przykład o czym?

- O Abilene.

Cole zgarbił się lekko.

- Miałem nadzieję, że pobierzemy się, zanim się o tym dowiesz.

- Zachowujesz się tak, jakbyś zrobił coś złego.

- Postrzeliłem kobietę, Jessie.

Czekał, aż zarzuci go pytaniami albo powie mu, że nie miał prawa tak ryzykować, gdy życie tej kobiety wisiało na włosku.

- Postąpiłeś wyjątkowo sprytnie.

Cole zatrzymał się jak wryty i spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Co takiego?

- Powiedziałam, że postąpiłeś bardzo sprytnie.

- Postrzeliłem ją - powtórzył w obawie, że zapomniała o tym.

- Oj, tylko ją drasnąłeś. Bardzo dobrze strzelasz, prawda?

- Jessie, zachowujesz się tak, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie. Nie jesteś ani trochę zaszokowana? Nie mogę uwierzyć.

- Oczywiście, że nie jestem zaszokowana.

- Cel nie uświęca środków.

- Masz poczucie winy?

- Tak, oczywiście.

- To było wyjątkowo praktyczne rozwiązanie.

- No, tak... ale...

- Ocaliłeś jej życie.

- Więc dlaczego potem tak podle się czułem? - Po raz pierwszy od wydarzeń w Abilene powiedział to głośno. Po raz kolejny powiedział jej, co naprawdę czuje, by zrozumiała, że i on nie jest nieczuły na ciosy. Na zewnątrz wydawał się szorstkim, zimnym człowiekiem, lecz w głębi serca był

łagodny, czuły i bardzo troszczył się o innych.

- Bo jesteś człowiekiem honoru. - Wspięła się na palce i pocałowała go, potem ujęła go za rękę i podjęła wędrówkę w stronę ogniska. - Grace sprzedała dziś następny kapelusz.

- Co takiego? - zapytał, zaskoczony nagłą zmianą tematu.

- Powiedziałam, że Grace sprzedała dziś jeszcze jeden kapelusz.

Jessika już przeszła do porządku dziennego nad sprawą z Abilene; jej praktyczne podejście do życia było kolejną cechą, za którą ją kochał.

- Komu go sprzedała?

- Bardzo miłej kobiecie. No, cóż... z początku nie była taka miła... ale Grace potrafi rozmawiać z ludźmi i po pięciu minutach gadały jak stare przyjaciółki. Grace dostała za ten kapelusz siedem dolarów. Tamta kobieta pewnie dałaby więcej, ale Grace uznała, że to pracująca dziewczyna i nie można z niej zdzierać. Grace chciała nawet dać jej ten kapelusz za darmo, ale potem zrozumiała, że to kwestia dumy. Nieźle zarobiła, nie sądzisz?

- Jaką pracę może wykonywać kobieta w takiej dziurze?

- Ta pani miała biuro w jednym z pokoi nad saloonem.

Cole wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Chyba wiesz, co tam robi, by zarobić na życie?

- Wiem, ale chciałam znowu zobaczyć twój uśmiech. Za bardzo się martwisz.

Cole może i zacząłby się z nią sprzeczać, ale właśnie podeszli do ogniska i zobaczyli, że Grace już śpi, więc nie odezwał się ani słowem. Pocałował Jessikę na dobranoc i z zadowoleniem zauważył, że jej oczy znowu płoną. Daniel ich zignorował; Grace spała na boku, twarzą zwrócona ku niemu.

Kiedy Cole przesunął swoje poślanie tak, by mógł spać tuż obok Jessiki, on również przesunął

swój koc, by leżeć tuż obok Grace. Zasnął myśląc o niej, a gdzieś w środku nocy poczuł, jak dziewczyna bierze go za rękę. Na razie to mu wystarczało.

Kurtyna przed ostatnim aktem miała się niedługo podnieść. Rebeka bardzo uważnie wybrała sukienkę, dziewiczo białą, o skromnym, lecz jednocześnie kuszącym kroju. Stanik miał tak wycięty dekolt, że choć nie można było go uznać za wyzywający, całkowicie odsłaniał głęboki rowek między piersiami. Liczyła na to, że niedawno owdowiały sędzia na pewno zatrzyma na nim wzrok. Donald powiedział, że powinna przekonać sędziego Rafferty'ego o niewinności Bella, by szeryf mógł

wypuścić go z aresztu.

Na początku planowała zabrać ze sobą do sądu Biblię, lecz rozmyśliła się w ostatniej chwili; nie należy aż tak przerysowywać swej roli.

Skończyła czesać włosy i stała teraz przed lustrem podziwiając swoje odbicie. Mężczyznom podobają się kobiety, które mają długie włosy i noszą je rozpuszczone; jej złote loki, lśniące w promieniach słońca, były wyjątkowo piękne. Nagle drzwi do sypialni otworzyły się i do środka wszedł

jej kochanek. Rzuciwszy szczotkę do włosów na łóżko, dziewczyna odwróciła się do niego.

- Wiele ryzykujesz przychodząc tutaj - powiedziała. - Czy ktoś widział, jak wchodzisz?

- Oczywiście, że nie. Zawsze bardzo uważam. Wszedłem tylnymi schodami.

To, że Rebeka ubrała się na białą i wyglądała niczym nietknięta dziewczyna, rozbawiło go.

- Donaldzie, czy wszystko w porządku? Wydajesz się zaniepokojony - rzekła cicho.

- Przepraszam... zamyśliłem się tylko - odparł. - Zaskoczył mnie widok ciebie w bieli.

- Pomyślałam, że będzie to miłym akcentem - stwierdziła z uśmiechem.

- Doskonale, doskonale - zamruczał i przeszedł do ważniejszych spraw niż jej strój. - Szkoda, że nie było cię dziś rano w sądzie, gdy ten żaloszny szeryf z Mapie Hills zrobił z siebie kompletnego głupca. Pod przysięgą przyznał się, że

zaskoczył Bella, zaszedł go od tyłu i wyciągnął broń... Przyznał także, że nie miał przypiętej odznaki i nie przedstawił się Bellowi. Oczywiście adwokat Bella nie omieszkął przypomnieć ławie przysięgłych, że jego klient leżał oszołomiony wysoką gorączką i miał pełne prawo się bronić.

Przysięgam ci, że gdy szeryf schodził z podium dla świadków, sędziowie przysięgli patrzyli na niego nieomal z nienawiścią. Chyba przegra następne wybory!

- Więc zarzuty o napaść na szeryfa i stawianie oporu przy aresztowaniu zostały odrzucone? -

zapytała Rebeka podniesionym głosem.

- Jeszcze nie, ale na pewno stanie się tak jeszcze dziś - zapewnił ją Donald. - Sędzia przeciąga proces jak może, ale nic mu to nie da.

- Jeżeli Bell i tak ma zostać zwolniony, nie ma sensu, żebym dalej grała rolę świadka napadu...

Ale on potrząsnął głową.

- Musisz - odparł. - Sędziego aż ręce świerzbią, by powiesić Bella. Wie, że to on był w naszej szajce i jeżeli nie zamknie go za stawianie oporu przy aresztowaniu i napaść na szeryfa, zatrzyma go w więzieniu pod innym zarzutem... dopóki nie znajdzie sposobu, by mu udowodnić, że napadał na banki.

- No, dobrze. - Rebeka usiadła przy toalecie i zaczęła znowu czesać włosy. - Co chcesz zrobić z Bellem? Skoro już raz stał się podejrzanym, nie będzie można na nim polegać w żadnej innej robocie.

- Zamierzam go zabić, rzecz jasna - odpowiedział Donald spokojnie.

- Powiedziałeś o tym innym?

- Burtonowi, Harrisonowi i Andrewsowi.

- A dlaczego nie Robertsonowi?

- Chłopcy się nim zajmą w moim imieniu. To był ich pomysł, nie mój. Burton mówi, że Robertson za szybko wyciąga nóż... Mówi, że wymyka się spod kontroli, a to jest niebezpieczne.

Rebeka odłożyła szczotkę i odwróciła się do kochanka.

- Czy dostałeś już jakąś wiadomość od Burtona?

- Tylko nie zaczynaj mi tu histeryzować!

- Ale mieli zatelegrafować zaraz po zabiciu Grace i Jessiki. Dlaczego jeszcze się nie odezwali?

- Jestem pewien, że wykonali swoją robotę. Przecież zawsze robią, co do nich należy - dodał z szerokim uśmiechem. - Burton nie mógł mi przysłać telegramu.

- Niby dlaczego nie?

- Bo przez ostatnie dwa dni biuro telegrafisty w Blackwater jest nieczynne. Telegraf im się zepsuł - wyjaśnił. - Nie martw się. Sprawdziłem to osobiście.

- Nikt w całym mieście od dwóch dni nie dostał telegramu?

- Oj, dostają. Ale z dużym opóźnieniem. Wszystko idzie przez sąsiednie miasteczko, oddalone od Blackwater o dobre dwadzieścia mil.

- Więc wiadomość od Burtona nadejdzie pewnie dopiero jutro.

- A nas już tu dawno nie będzie - dodał z uśmiechem.

- Jeszcze mi nie powiedziałaś, co chłopcy na to, żebyśmy się na pewien czas przyczaili.

- Nie mają nic przeciwko temu. A kiedy znowu zabraknie im pieniędzy, albo poczują ochotę na jakiś skok, nas już tu nie będzie. Będziemy właśnie meblować dom pod Paryżem.

- Jeżeli dziś wieczorem załatwisz Bella, moglibyśmy wyjechać jutro z samego rana.

Donald podszedł do drzwi.

- Nie, wyjeżdżamy jeszcze dziś wieczorem. Spakuj się i gdy będziesz szła na spotkanie ze mną wieczorem, weź ze sobą bagaże.

- Szkoda, że nie możesz iść ze mną do sądu. Będzie niezły ubaw.

- Wiesz, że nikt nie może mnie z tobą widzieć. Wszyscy mnie tu znają i zaraz zaczęłyby się plotki. Ale obiecuję, że będę na sali podczas rozprawy.

- Tak, wiem. Gdzie mam teraz iść, od razu do sądu?

- Nie, idź do biura szeryfa. On zabierze cię do sądu.

To powiedziawszy zamknął za sobą drzwi; zdziwiło go to, że czuje rozczarowanie i żal.

Wiedział, że musi ją zabić, więc dlaczego litował się nad nią? Zaczął myśleć o tym, jak ją zabije, i od razu poczuł, że ma wzwód. Poczucie winy zniknęło jak ręką odjął. Pozwoli jej żyć tak długo, jak długo będzie go podniecać... ale musi pamiętać, by ją zakneblować, tak, aby nikt nie usłyszał jej wrzasków.

Właściwie to szkoda dziewczyny. Z początku chciał ją zabrać ze sobą, lecz potem się rozmyślił. Rebeka była taka ładna, że przyciągała uwagę, gdziekolwiek poszła, i nawet obcy ludzie zapamiętywali tę złotowłosą piękność.

Prawdę mówiąc, pewnie będzie za nią tęsknić; trudno będzie znaleźć drugą tak wspaniałą kochankę.

Wszedł z powrotem do sypialni i zamknął za sobą drzwi na klucz, a potem zaczął gwałtownie rozpinać spodnie.

- Nie, Donaldzie! - wykrzyknęła Rebeka cofając się pod ścianę. Twarz miała zarumienioną z podniecenia i strachu. - Nie mamy czasu.

- Na to zawsze jest czas! - odparł śmiejąc się ochryple.

Rebeka zjawiała się w biurze szeryfa dopiero o wpół do drugiej. Prawie dwie godziny zajęło jej dojście do siebie po tym, co Donald z nią robił. Na szczęście pozwolił jej zdjąć sukienkę i nie zniszczył jej. Czowała się mocno sponiewierana, lecz wiedziała, że odczuwany ból tylko pomoże jej w

zagranii roli - dzięki niemu będzie wyglądać na jeszcze bardziej przerażoną i niewinną.

Szeryfa nie było w biurze. Jego zastępca, młody człowiek o okropnie pryszczatej twarzy nie mógł oderwać wzroku od piersi Rebeki. Rozbawiona podeszła do niego, by uścisnąć mu dłoń; rękę miał wilgotną i tylko siłą woli dziewczyna powstrzymała się przed wytarciem dłoni o suknię, gdy już młodzieniec skończył nią potrząsać. Przedstawiła się i wyjaśniła, po co przyszła.

- Szeryf miał nadzieję, że dotrze tu pani przed południem - odparł młodzieniec. - Jest teraz w sądzie; czeka, czy ma przywlec tu więźnia z powrotem, czy też puścić go wolno. Myślę, że powinniśmy tam pójść jak najszybciej... Sędzia Rafferty nie zamknie procesu, dopóki pani nie przyjrzy się dobrze Bellowi i nie powie, czy był wtedy w banku, czy nie.

- A jeżeli to nie jego widziałam w Rockford Falls?

Usiłowała zauroczyć go uśmiechem, lecz był to zmarnowany wysiłek, bo on cały czas patrzył na jej dekolt. Pomyślała, że musi opowiedzieć o tym Donaldowi - ależ się uśmieje!

- Wszyscy mamy nadzieję, że rozpozna pani w Bellu członka gangu - powiedział zastępca szeryfa. - Czy pozwoli pani, że wezmę ją pod ramię w drodze do sądu?

- Ależ będzie mi bardzo miło. Jest pan prawdziwym dżentelmenem.

Budynek sądu mieścił się zaledwie dwie przecznice od biura szeryfa. Młodzieniec zaprowadził ją do tylnego wejścia, z którego wchodziło się prosto do prywatnego gabinetu sędziego, połączonego z salą sądową. Rebeka usiadła na kanapie, podczas gdy zastępca szeryfa napisał liścik, który woźny miał dostarczyć sędziemu.

- Założę się, że stary Rafferty spadnie z krzesła, kiedy to przeczyta - powiedział z uśmiechem i złożył liścik na pół.

- Mogę zostawić panią na parę minut samą? Chciałbym zobaczyć minę sędziego, gdy to zobaczy.

- Ależ bardzo proszę - odparła szeptem.

Zwalczyła chęć, by otworzyć drzwi do sali sądowej i zerknąć przez nie do środka. Wiedziała jednak, że na sali jest obecny Donald i na pewno bardzo by się na nią rozgniewał, gdyby zobaczył, że podgląda.

Przymknęła więc oczy i odetchnąwszy głęboko, przygotowała się do swej roli.

Wreszcie nadeszła wiekopomna chwila.

Gdy tylko zastępca szeryfa stanął w drzwiach wiodących na salę sądową, Rebeka podniosła się z kanapy i weszła na salę, czekając, aż sędzia wezwie ją na podium dla świadków. Przyglądając się publiczności zauważyła z zadowoleniem, że sala jest pełna ludzi. Pomieszczenie podzielone było na dwie części; przez środek biegło przejście wiodące do podwójnych, drewnianych drzwi, pilnowanych przez dwóch uzbrojonych mężczyzn. Rebeka zauważyła, że przy wąskich drzwiach, dokładnie naprzeciwko drzwi wiodących do gabinetu sędziego, także stoi strażnik.

Została wezwana na podium. Oczy wszystkich zwrócone były na nią. Szła wyprostowana z dumnie uniesioną głową i miną wyrażającą przerażenie; zdziwiło ją tylko to, że Donald nie klaszcze.

W końcu była to rola jej życia.

Sędzia Rafferty tak bardzo chciał ją przesłuchać, że przerwał końcowe przemówienie obrony, by powołać ją na świadka. Przechodząc obok niego na podium, Rebeka dokładnie przyjrzała się sędziemu i doszła do wniosku, że bardzo łatwo sobie z nim poradzi. Wystarczą dwa zdania, a będzie jadł jej z ręki.

Rafferty był potężnie zbudowanym mężczyzną w średnim wieku; jego oczy ukryte za grubymi szklami okularów zdawały się być trzy razy większe niż w rzeczywistości. Zauważyła też, że patrzy na nią z wyraźnym podziwem i poczuła przyływ ogromnej radości.

Została zaprzysiężona przez woźnego i właśnie miała zająć miejsce na podium dla świadków, kiedy obrońca Bella podskoczył na równe nogi.

- Wysoki Sądzie, to jest absolutnie sprzeczne z prawem! - zaprotestował. - Czy nie można zaczekać z tym do czasu, aż ja i mój szanowny przeciwnik skończymy nasze mowy i sędziowie przysięgli udadzą się na naradę? Mój klient jest oskarżony o napaść na szeryfa i stawianie oporu przy aresztowaniu. Oskarżenie usiłuje dowieść, że mój klient z zimną krwią i pełną świadomością swoich czynów usiłował zabić szeryfa z Mapie Hills. Ta sprawa nie powinna być zamacona przez świadka zeznającego w zupełnie innej sprawie.

Sędzia Rafferty spojrział na niego zza szkieł swoich ogromnych okularów.

- Jestem w pełni świadomy, o co oskarżamy pańskiego klienta. Naprawdę sądzi pan, że siedzę tu cały czas kręcąc młynki palcami i rozmyślając o łowieniu ryb, panie Proctor? Tak pan myśli?

- Nie, Wysoki Sądzie, ale...

Sędzia Rafferty nie pozwolił mu dokończyć.

- Chcesz powiedzieć, Proctor, że to, co świadek ma do powiedzenia, jest bez związku ze sprawą, ale ja mam na ten temat inne zdanie. Jeżeli twój klient jest tym, za kogo go uważam, to sędziowie

przysięgli mają prawo o tym wiedzieć. Bo to oznacza, że uciekał przed wymiarem sprawiedliwości i na pewno chciał zastrzelić szeryfa z Mapie Hills z tym, co raczyłeś nazwać zimną krwią i pełną świadomością.

- Ależ Wysoki Sądzie...

Proctor, ty nie rozumiesz jednej rzeczy. W mojej sali sądowej nikt nie będzie mnie pouczać...

nawet taki ślicznie ubrany adwokacina jak ty. Wiem, że jesteś młody, niedoświadczony i zjadłeś wszystkie rozumy, ale tu ja ustalę reguły gry. A teraz usiądź i zamknij się, abym mógł przesłuchać świadka. Zrozumiano?

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Więc dlaczego jeszcze nie siedzisz?

Tłum na sali wybuchnął śmiechem, kiedy wracając pospiesznie na miejsce Proctor potknął się i omal nie upadł.

Sędzia Rafferty nie był tym rozbawiony. Rąbnął młotkiem

w biurko i zażądał ciszy na sali.

- Spokój! Nikt mi nie będzie robił cyrku z sądu! Jeżeli usłyszę jeszcze jeden śmiech, każę was wszystkich wyrzucić! Jak już powiedziałem, to ja ustalę reguły gry, a nie wy! Siadaj, Proctor! -

ryknął po raz ostatni i odwrócił się ku dziewczynie. Mina mu złagodniała i przybrał o wiele miłszy wyraz twarzy. - Bardzo chętnie przestałbym się bawić w kotka i myszkę i od razu zadał pani kluczowe pytanie, ale nie mogę. Bardzo proszę, by powiedziała pani sędziom przysięgłym, kim pani jest i co się pani przydarzyło w Rockford Falls.

Wreszcie nadeszła chwila jej występu; zacisnąwszy szczupłe dłonie na barierce, tak, by sędziowie przysięgli doskonale je widzieli, Rebeka odetchnęła głęboko i zaczęła swe przedstawienie.

Powiedziała, dlaczego była wtedy w banku i co widziała. Łzy przyszły jej wyjątkowo łatwo, a głos łamał się jej często, z czego była bardzo dumna. Kiedy skończyła swą opowieść, na sali nie było nikogo, kto nie czułby się wzruszony.

Sędzia także był wstrząśnięty jej opowieścią. Siedział w swym fotelu pochylony do przodu, jakby spodziewając się, że jego bliskość pomoże dziewczynie.

- No, dobrze - odezwał się po długiej chwili, gdy w sali sądowej można było usłyszeć lecącą muchę.
- Wiem, jakie to dla pani trudne, doceniam pani wysiłek i poświęcenie. A teraz bardzo proszę, niech pani spojrzy na oskarżonego. To ten przykuty kajdankami do stolika po pani prawej ręce. Niech nam pani powie, czy widziała pani tego człowieka w banku, podczas napadu?

Rebeka przyglądała się Bellowi przez kilka sekund, po czym potrząsnęła głową.

- Nie! - wykrzyknęła. - Nie, jego tam nie było!

Na twarzy sędziego malowało się rozczarowanie; w głosie słyhać było frustrację, lecz stary weteran jeszcze się nie poddał.

- Niech się pani nie spieszy. Proszę mu się dobrze przyjrzeć, zanim pani odpowie.

Zrobiła, jak jej kazał.

- Przykro mi, Wysoki Sądzie. Jakże bym chciała, żeby to on był jednym z gangu, ale nie jest.

Przysięgam, że go tam nie było.

Adwokat Bella uśmiechał się szeroko, co rozwścieczyło sędziego nieomal równie mocno, jak zaskakujące zeznanie Rebeki.

- Nawet nie usiłuj wstawać, Proctor! Siedz na swoim miejscu, dopóki nie skończę. Mam kilka pytań do tej młodej damy i dopiero gdy rozwieje moje wątpliwości, pozwolę jej opuścić podium.

Rebeka pochyliła głowę i udawała, że rozpaczliwie usiłuje się opanować. Sędzia przyglądał

się jej bacznie i gdy z powrotem podniosła wzrok i napotkała jego współczujące spojrzenie, omal nie wybuchnęła śmiechem.

- Nie będę pani męczył zbyt długo - obiecał Rafferty. - Po prostu niech mi pani odpowie na kilka pytań. Chce pani to zrobić teraz, czy woli pani, żebym ogłosił pół godziny przerwy?

- Chciałabym skończyć to jak najszybciej.

Więc Rafferty od razu ruszył do ataku.

- Kazałem przyprowadzić do tego sądu trzy kobiety i zastanawiam się, co się dzieje z pozostałymi dwiema. Czy może mi pani pomóc?

- Nie, Wysoki Sądzie. Kiedy szeryf Cooper powiedział mi, że Grace i Jessika też zostały zmuszone do przyjechania tutaj, poczułam się wprost fatalnie. Zostały wplątane w tę okropną sprawę przeze mnie. Gdybym powiedziała prawdę na samym początku, wszystko byłoby o wiele prostsze.

Bardzo się zaprzyjaźniłyśmy... Spodziewałam się, że spotkam się z nimi zaraz po przyjeździe do Blackwater, ale ich tu nie było. Cieszyłam się, że znowu je zobaczę, i nawet nie wie pan, jak bardzo jestem zawiedziona! Jestem pewna, że to tylko jakieś drobne opóźnienie. Kiedy się rozstawałyśmy, Grace nie czuła się najlepiej.

- W takim razie przejdźmy do następnego pytania. Powiedziała pani, że wsiadała do pociągu z szeryfem Cooperem, a on potem wyszedł z przedziału i już więcej nie wrócił. Dlaczego zostawił panią samą w przedziale, skoro miał panią chronić? Po co wychodził?

- Bo miałam okropną migrenę, a lekarstwo zostawiłam w walizce, która leżała w przedziale bagażowym. Gdybym tylko nie narzekała... gdybym cierpiała w milczeniu... szeryfowi Cooperowi nic by się nie stało! To moja wina... że on nie żyje... To... wszystko... moja... wina.

Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła rozpaczliwie łkać. Rafferty spojrzął po twarzach sędziów przysięgłych i zobaczył na nich współczucie dla Rebeki. Zrozumiał, że jeżeli się nie pośpieszy ze swoim przesłuchaniem, sędziowie go zlinczują.

- Już prawie skończyliśmy - powiedział pocieszająco do dziewczyny. - Niech mi pani powie, co się stało, gdy usłyszała pani strzały? Czy pamięta pani, jak wiele ich słyszała?

Dziewczyna wytarła twarz chusteczką i kiwnęła głową.

- Jestem pewna, że słyszałam dwa strzały. Byłam zbyt przerażona, by wyjść z przedziału i zobaczyć, co się dzieje. Potem pociąg nagle się zatrzymał i dowiedziałam się, że biedny szeryf Cooper został zamordowany.

- I co pani wtedy zrobiła?

- Bałam się z powrotem wsiąść do przedziału. Nie wiedziałam, co zrobić! - wykrzyknęła ze łzami. - Wskoczyłam z pociągu, schowałam się w krzakach przy nasypie kolejowym i czekałam, aż wszyscy sobie pójdą. Nie wiem, jak długo tam siedziałam... Pewnie kilka godzin. Kiedy wreszcie zdołałam się opanować, pobiegłam do miasta.

- Ale nie poszła tam pani do biura szeryfa i to mnie bardzo dziwi. Dlaczego nie szukała pani u niego pomocy?

- Bo byłam przerażona - zawołała. - Nie wiedziałam, komu mogę ufać, a komu nie! Chciałam jak najszybciej stamtąd uciec. Wiedziałam, że czeka pan na mnie i że pan mnie obroni. Myślałam tylko o tym, by jak najszybciej dostać się tu... do pana.

Rafferty miał tak dziwną minę, że Rebeka omal nie wybuchnęła śmiechem; wyglądał, jakby przed chwilą zdechł jego ukochany pies.

- Słusznie pani postąpiła - burknął. - Nie zamierzam pani ganić za to, że pani tu przyjechała, bo przecież tego właśnie chciałem. Była pani bardzo dzielna. Bardzo dzielna... - powtórzył.

W tej chwili wstał oskarżyciel.

- Wysoki Sądzie, zanim przejdziemy dalej, czy mógłby Wysoki Sąd poprosić pannę James, by jeszcze raz spojrziała na oskarżonego. Może...

- Ta biedna kobieta i tak już wiele wycierpiała - odparł sędzia. - Obaj musimy pogodzić się z faktem, że chcieliśmy powiesić niewinnego człowieka.

- Proszę, Wysoki Sądzie... - spróbował jeszcze raz oskarżyciel.

- Mnie to nie przeszkadza - zawołał adwokat Bella.

Sędzia Rafferty kazał rozkuć Bella i podprowadzić go do świadka, by Rebeka mogła mu się dobrze przyjrzeć. Kiedy Bell stał już tuż przy barierce oddzielającej go od dziewczyny, sędzia zwrócił się do świadka.

- Pytam panią po raz ostatni. Czy stojący przed panią mężczyzna należy do gangu z Blackwater?

- Nie - odparła Rebeka z przekonaniem.

- A właśnie, że należy!

Ten okrzyk dobiegł od drzwi prowadzących do gabinetu sędziego. Wszyscy na sali odwrócili się i zobaczyli Jessikę powoli wchodzącą do pomieszczenia. Dziewczyna była tak wściekła, że miała ogromną ochotę podbiec do Rebeki i wydrapać jej oczy, lecz Daniel kazał jej obiecać, że nie zbliży się do żadnego z morderców.

Jessika aż gotowała się z wściekłości. Przed oczyma migały jej przerażające obrazy. Klęczący Malcolm, do ostatka uprzejmy dla swych oprawców... Cole niosący jej dziecko przez płonący dom...

dach zapadający się pod nim... wzrok Franklina, gdy jego głowa eksplodowała...

Daniel złapał ją za ramiona, próbując ją zatrzymać. Cały czas stał przy niej, podczas gdy Cole przeszukiwał publiczność w poszukiwaniu ukrytej broni.

- On był w banku podczas napadu - powtórzyła Jessika. - Widziałam, jak przyłożył lufę rewolweru do głowy człowieka i nacisnął na spust. Widziałam, jak zabijał niewinnych ludzi.

Widziałam to wszystko, bo to ja tam byłam!

Drżącym palcem wskazywała na Bella, lecz nie mogła oderwać wzroku od kobiety, która usiłowała zabić ją i jej dziecko, a także postrzeliła szeryfa Coopera. Rebeka potrzęsnęła gwałtownie głową, po czym, pobladła, opadła bezwładnie na krzesło.

Tłum na sali oszalał; sędzia walił młotkiem w stół, a zastępca szeryfa, stojący przy bocznych drzwiach, zawołał:

- Oni są uzbrojeni, Wysoki Sądzie! - I uniósł strzelbę.

Zanim ktokolwiek zdążył krzyknąć lub się schować, Daniel wyciągnął rewolwer i wymierzył

prosto w czoło nadgorliwego młodzieńca. Młody mężczyzna nie zdążył jeszcze przyłożyć strzelby do ramienia, gdy się zorientował, że nie ma szans.

- Odłóż pukawkę, chłopcze - polecił mu Daniel niskim, zaskakująco spokojnym głosem.

Kątem oka Cole zauważył, że Daniel wyciąga broń, więc obrócił się pospiesznie, by stawić czoło pozostałym uzbrojonym mężczyznom na sali - szeryfowi i jego zastępcom stojącym przy głównych drzwiach.

Szeryf instynktownie sięgnął po broń, ale Cole był szybszy i wystarczyło, by pokręcił głową, a szeryf opuścił rękę z rewolwerem.

Rebeka rozpaczliwie rozglądała się po sali wypatrując Donalda. Obiecał jej, że będzie siedzieć w trzecim lub czwartym rzędzie. Powoli wsunęła dłoń do kieszeni sukni.

Sędzia Rafferty wstał z fotela i pochylił się do przodu opierając na biurku obie dłonie.

- Czyście, ludzie, oszaleli?! - ryknął. - Dlaczego, u Boga Ojca, wyciągacie broń, skoro widzicie, że to szeryfowie federalni?! Nawet ja widzę odznaki przypięte do ich piersi, a jestem ślepy jak nietoperz!

Głos sędziego był tak potężny, że zagłuszył szum na sali i powstrzymał rosnącą w ludziach panikę. Przez salę przetoczył się cichy odgłos westchnień, kilku mężczyzn zachichotało nerwowo.

Rebeka powoli wyciągała z kieszeni swój małe rewolwer. Trzymała go pewnie w dłoni, wpatrując się w Donalda - siedział na końcu czwartego rzędu tuż przy przejściu. Był bardzo, bardzo blisko niej i gdy patrzyła na niego, zauważyła, że leciutko kiwa głową, po czym spogląda na zastępcę szeryfa stojącego przy drzwiach. Zrozumiała, co chciał jej tym przekazać, i przeniosła wzrok na Bella.

Sędzia Rafferty z powrotem zajął swe miejsce, poprawił rozwianą togę i spojrzał spod oka na sędziów przysięgłych. Zobaczył, że nadal są zdenerwowani, i postanowił, że da im trochę czasu na ochłonięcie.

- Mogą panowie już schować rewolwery - odezwał się do dwóch szeryfów federalnych. -

Który z was to Daniel Ryan?

- Ja, Wysoki Sądzie.

Sędzia Rafferty nakazał mu gestem podejście do barierki.

- Długo wam zajęło zjawienie się w moim sądzie, synu - zauważył.

Daniel nie tłumaczył się ani nie przeprosił za opóźnienie.

- Ano tak wyszło - odparł spokojnie.

- Wiele o tobie słyszałem, synu, bo lubię wiedzieć jak najwięcej o takich ludziach jak ty.

Poznanie cię to wielki zaszczyt dla mnie. - Daniel nie bardzo wiedział, jak ma na to odpowiedzieć, lecz sędzia zaoszczędził mu tego trudu, bo już obrócił się do Cole'a. - A ty jak się nazywasz,

szeryfie?

- Cole Clayborne.

Rafferty skinął głową.

- O tobie też słyszałem to i owo, ale nie wydaje mi się, by wszystko mogło być prawdą.

- Na pewno, Wysoki Sądzie - odparł Cole zastanawiając się, czemu sędzia nie przechodzi do pilniejszych spraw, tylko traci czas na takie pogaduszki. Cole co jakiś czas zerkał na Daniela, by się upewnić, że panuje nad sobą. Zauważył, że jego przyjaciel bacznie przygląda się Bellowi i wiedział, że to zły znak.

Sędzia Rafferty właśnie wstał z fotela i zwrócił się do tłumu:

- No, dobrze. Dałem wam już dość czasu, byście ochłonęli i się uspokoili. Jeżeli usłyszę jeszcze jeden harmider na tej sali, każę was stąd wyrzucić. - Potem, widząc, że wszyscy na sali siedzą spokojnie i patrzą na niego z wyczekiwaniem, odwrócił się do Jessiki i zapytał: - A pani kim jest, młoda damo?

- Nazywam się Jessika Summers.

- Proszę powiedzieć, co panią sprowadza do tego sądu.

Dziewczyna podeszła nieco bliżej do barierki i spojrzała sędziemu w oczy.

- Byłam świadkiem...

- To ja jestem waszym świadkiem! - wrzasnęła Rebeka.

- Mówię prawdę - odparła Jessika cicho, lecz z niezachwianą pewnością siebie.

- Ona kłamie, panie sędzio! - skontrowała Rebeka. - To ja byłam w banku podczas napadu!

Głowy wszystkich obecnych na sali obracały się od jednej dziewczyny do drugiej. Daniel podeszedł do sędziego i wręczył mu zalakowany list. Rafferty zauważył pieczęć na spodzie, złamał

wosk i przeczytał notę, kiwając przy tym głową.

- Taak... taak... ach!

Drżąc z dzikiej furii, Jessika chciała zmusić Reбекę do powiedzenia prawdy. Wiedziała jednak, że najpierw musi jakoś złamać jej pewność siebie.

- Cofnij się, Jessie - polecił jej Cole, widząc, że dziewczyna podchodzi do podium dla świadków. Jessika zrobiła, jak jej kazał, lecz cały czas jej oczy wlepione były w kobietę, którą chciała zniszczyć.

- Proszę skuć oskarżonego - polecił Daniel wskazując na Bella.

- To ty! - wrzasnęła Jessika. - To ty podpaliłaś dom Tilly! To ty usiłowałaś zabić mnie i mego synka! To ty ogłuszyłaś Grace! To ty postrzeliłaś szeryfa Coopera! Ale mam dla ciebie niespodziankę, Rebeko! Cooper przeżył i doskonale wszystko pamięta. Taak, ma się całkiem dobrze. Wie, kogo widział w przedziale i kto do niego strzelał! Sędzia Rafferty właśnie czyta list od niego, w którym Cooper wszystko dokładnie opisał!

Te wieści wstrząsnęły Rebeką. Opadła bezwładnie na krzesło i spojrzała z rozpaczą na Donalda, błagając go niemo o pomoc. Donald bawił się jak nigdy dotąd. Siedział z głową lekko przechyloną przysłuchując się wszystkiemu; na jego twarzy igrał uśmiech. Jakże miło ze strony panów szeryfów, że chcieli, aby jedyna osoba, mogącą go zidentyfikować, cały czas stała po przeciwnej stronie sali sądowej. Nie mogła zobaczyć go w tłumie... w każdym razie nie wtedy, gdy wszyscy patrzyli na nią i na Rebece. Dzięki zapobiegliwości szeryfów Donald nie musiał się martwić.

Siedział spokojnie i czekał, aż nadejdzie jego kolej. Wiedział, że jego kochanka oczekuje, iż pomoże jej uciec, ale on, oczywiście, nie miał takiego zamiaru. Poczekaj jeszcze trochę, po czym niepostrzeżenie wyśliznie się z sali. Biedna Rebeka wyglądała teraz na bardzo przerażoną! Donald wiedział, co się stanie, gdy da jej znak: dziewczyna poderwie się na nogi i spróbuje użyć tego swojego maleńkiego żaloznego rewolweru, a wtedy jeden ze stróżów prawa na pewno ją zabije.

Donald wiedział także, co zrobi Bell. Będzie stał cały czas z opuszczoną głową, zgarbiony, z dłońmi zwisającymi po bokach, wyglądając jak obraz nędzy i rozpacz. Odkąd go rozkuto i doprowadzono do barierki, nawet nie drgnął. Morderca był sprytny niczym lis i ani na chwilę nie tracił zimnej krwi. Czekał na okazję. Szeryf już się odprężył i przestał uważać go za groźnego przeciwnika - stary głupiec ciągle jeszcze rozglądał się za kajdankami - i właściwie nie zwracał uwagi na swego więźnia. Żeby skuć go ponownie, szeryf będzie musiał zbliżyć się do Bella, a wtedy bandyta zaatakuje go. Donald był tego pewien. Spodziewał się także, że Bell zginie od kul zastępców szeryfa, co specjalnie go nie martwiło, bo tylko zaoszczędzi mu roboty. A gdy po pierwszym strzale tłum rzuci się do ucieczki, Donald przyłączy się do innych i zniknie.

Mężczyzna siedzący w jednym z ostatnich rzędów wstał nagle i sięgnął do kieszeni marynarki, przyciągając uwagę Cole'a i Daniela.

- Ręce do góry! - zawołał Cole celując do nieznajomego.

- Nie mam broni - wyjąkał tamten z przerażeniem. - Ja tylko chciałem wyciągnąć chusteczkę.

To powiedziawszy kichnął głośno, wywołując śmiech na sali.

Jessika usiłowała zrozumieć, kogo Rebeka tak wypatruje w tłumie? Kogo może znać w Blackwater?

- Cole! - zawołała rozpaczliwie przez całą salę. - On tu jest! Przywódca gangu... jest tutaj!

Daniel podbiegł do niej i szarpnął ją do tyłu w chwili, gdy Donald wstał i dał znak Rebecce -

poderwała się na równe nogi i strzeliła do szeryfa trafiając go w skroń. Nogi się pod nim ugięły, lecz

zanim opadł na podłogę, Bell był już za nim i odebrał mu rewolwer. Strzelił do zastępcy szeryfa stojącego przy bocznych drzwiach trafiając go w pierś, po czym obrócił się na pięcie i wymierzył do Jessiki. Daniel popchnął dziewczynę na podłogę o ułamek sekundy wcześniej, ale kula trafiła go w lewe ramię.

Na sali rozpętało się istne piekło. Ludzie zerwali się na nogi i zasłonili Cole'owi widok.

Bell, rzucając się za podium dla świadków, znowu strzelił do Daniela, lecz chybił, gdyż szeryf federalny był już w ruchu; raz za razem naciskając spust trafił Rebekeę w rękę i wytrącił jej broń -

dziewczyna padła na krzesło wyjąc z bólu - po czym dwukrotnie strzelił do Bella zabijając go za pierwszym razem.

Nie słysząc nawet wrzasku ludzi usiłujących wydostać się z sali, Daniel odrzucił pusty rewolwer i sięgnął po drugi, wiszący mu w kaburze na lewym udzie. Potem wstał powoli i ocenił sytuację.

To jeszcze nie był koniec. Daniel powoli wyciągnął rękę, odbezpieczył rewolwer i czekał, wpatrując się w oczy przeciwnika. Brązowo-złote źrenice bandyty patrzyły na niego bez mrugnięcia.

Cole desperacko usiłował przedostać się do Jessiki. Walczył jak szaleniec, by przedrzeć się przez tłum przerażonych ludzi. Odkąd padł pierwszy strzał, nie miał szansy ani razu wystrzelić, gdyż tłum na sali falował i Cole obawiał się, że zamiast któregoś z przestępców może zranić zwykłych obywateli. Kiedy wreszcie przedostał się przez tłum, to, co zobaczył, pozbawiło go sił.

Donald, trzymając przed sobą Jessikę niczym tarczę, wycofywał się ku bocznym drzwiom sali.

Jedną ręką obejmował ją w pasie i przyciskał do siebie, drugą przystawiał rewolwer do skroni dziewczyny.

Jessika walczyła jak lwica; drapała go po rękach i kopała po nogach ze wszystkich sił, lecz Donald nie zwracał na to uwagi.

- To co tu mamy, panowie, nazywa się w szachach sytuacją patową - zawołał. - Rozwalę jej głowę, a sądzę, że znacie mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że wasze miny po tym, jak ją zabiję, naprawdę nieźle mnie podniecą. Och, wiem, że mnie w końcu dopadniecie, ale najpierw rozwalę jej łeb. - Głos mu stwardniał. - Będzie tu potem niezły bałagan. Wiem coś o tym... już nie raz to robiłem.

- Jessika wbiła mu paznokcie w przedramię i po ręce bandyty pociekła krew. - Przestań! - huknął. -

Więc jak będzie, panowie szeryfowie? - zapytał cały czas wycofując się z sali.

Cole powoli zbliżał się do niego. Był jakieś pięć stóp od Daniela, gdy morderca wrzasnął:

- Ani kroku dalej! Nie boję się umrzeć - dodał głosem przepełnionym dumą. - Ostatnio widziałem wiele śmierci! Jeżeli chcecie, żeby dziewczyna przeżyła, zatrzymajcie się natychmiast i rzućcie broń

na podłogę.

Żaden z szeryfów nie zareagował na to polecenie. Cole stał sztywno wyprostowany, a Daniel potrząsał głową.

- Nie uciekniesz stąd! Puść dziewczynę!

- Tego nie mogę zrobić - odparł łotr. - Ona idzie ze mną. Tylko popatrzcie... Rebeka czołga się w stronę gabinetu sędziego. Zuch dziewczynka!

W tym momencie Jessika kopnęła go mocno w piszczel.

- Przecież kazałem ci przestać! - warknął.

- Nie przestanę, dopóki nie pozwolisz mi powiedzieć Cole'owi, że go kocham. Muszę mu to powiedzieć - szepnęła. - Potem pomogę ci uciec... Zrobię wszystko, co mi każesz...

Donald roześmiał się nieprzyjemnie.

- Ach, jakież to słodkie! - zawołał. - Panowie, ta młoda dama ma wam coś do powiedzenia.

- Dasz radę go zastrzelić? - spytał cicho Daniel, lecz Cole potrząsnął głową.

- Nie...

- No, aniołku, na co czekasz - ponaglił dziewczynę Donald.

- Powiedz mu to, co chciałaś powiedzieć.

- Cole! - zawołała Jessika.

Serce w nim zamarło. Dobry Boże, nie pozwól mu jej skrzywdzić... nie pozwól...

- Abilene!

Wiedział, o co go prosi. Miał jej pozwolenie, miał cel i odbezpieczony rewolwer, ale - niech Bóg mu wybaczy - nie mógł tego zrobić.

Daniel strzelił za niego.

- Nie! - Ryknął Cole rozpaczliwie. Zdawać się mogło, że wszystko wydarzyło się w zwolnionym tempie. Zobaczył, jak oczy Jessiki zamykają się, a jej ciało opada na podłogę. Nie mógł

już dłużej wytrzymać napięcia i opróżnił magazynek rewolweru wpakowując wszystkie kule w pierś mordercy. Donald leżał już na podłodze, a Cole cały czas naciskał na spust. W ciszy panującej w ogromnej sali sądowej słychać było tylko trzask igły spadającej na puste komory.

- Ja jej nie postrzeliłem - zawołał Daniel mając nadzieję, że jego słowa jakoś przebiją się przez

pełne bólu zapamiętanie przyjaciela. Podszedł do Cole'a i wyjął mu z ręki pusty rewolwer. - Nic jej nie jest! Tylko zemdlą! Podnieś ją z podłogi...

Cole podbiegł do nieprzytomnej dziewczyny i ukląkł obok niej na podłodze. Ręce mu się trzęsły, gdy szukał palcami pulsu na jej szyi. Był. Szybki i nierówny, ale mocny i łatwo wyczuwalny.

Delikatnie uniósł Jessikę i stał tak po środku sali sądowej tuląc ją w ramionach.

Jessika usłyszała nagle czyjś płacz. Otworzyła oczy i zobaczyła Grace biegnącą do Daniela.

W drzwiach prowadzących do gabinetu sędziego stał młody zastępca szeryfa i przyglądał się Rebecce, która przyciskała zakrwawioną dłoń do piersi. Drugą ręką przytrzymywała się ściany i powoli wstawiała na nogi. Grace musiała przejść tuż obok niej.

- Nic mi nie jest, Grace! - zawołał Daniel, gdy tylko zobaczył jej łzy. Spodziewał się, że dziewczyna rzuci mu się w ramiona, lecz ona nagle się zatrzymała. Jej twarz przybrała na chwilę dziwny wyraz, po czym Grace obróciła się na pięcie i podbiegła do Rebeki.

Daniel nie miał nawet czasu jej powstrzymać; Grace zacisnęła prawą dłoń w pięść, zamachnęła się i rąbnęła Rebece prosto w podbródek, pozbawiając ją przytomności.

Grace cofnęła się o krok i spojrzawszy na nieruchome ciało u swych stóp, mruknęła:

- Boli, prawda?

Daniel był tak zaskoczony, że zaczął się śmiać; przestał dopiero wtedy, gdy Grace padła mu w ramiona i obsypała go pocałunkami.

- Kocham cię, Danielu. Kocham cię - szeptała namiętnie całując jego oczy, brwi, nos i policzki.

Odchylił się nieco do tyłu, by móc spojrzeć jej w oczy, i wyszeptał własną deklarację dozgonnego uczucia.

- Nie wychodź za mąż za Nigela.

- Bo mnie kochasz, Danielu?

- Właśnie do tego zmierzałem... bo cię kocham.

Wszyscy zgromadzili się w gabinecie sędziego Rafferty'ego, by przyrzeć się, jak doktor opatruje ramię Daniela. Ryan siedział na miękkiej kanapie, a tuż obok niego, przytulona do jego boku, przycupnęła Grace trzymając go za rękę. Cole siedział nieopodal na bujanym fotelu z Jessiką na kolanach; co prawda dziewczyna usiłowała usiąść obok niego na krześle, lecz Cole nie pozwolił jej się przesiąść. Sędzia Rafferty nadal był na sali sądowej; chciał osobiście dopilnować aresztowania Rebeki.

Cole naumyślnie żartował sobie z Daniela, podczas gdy doktor badał ranę dziwnymi narzędziami szukając kuli.

- Jesteś wyjątkowo dzielny, Danielu.
- Nie przeciągaj struny, Cole.
- Bardzo cię boli? - zapytała Grace.
- Czy jeżeli powiem, że tak, mnie także pozbawisz świadomości? - odparł sucho Ryan.

Wszyscy, oprócz zmartwionej Grace, roześmiali się serdecznie.

- Czy będziesz mi to wypominał do końca życia? - spytała cicho.
- No, oczywiście - zapewnił ją Daniel.
- Ale to i tak ja będę się śmiać ostatnia - rzekła dumnie Grace.
- A niby dlaczego? - Głos Daniela brzmiał normalnie, lecz jego czoło zroszone było potem.

Miał ochotę wrzasnąć na doktora, by się pospieszył i znalazł wreszcie tę kulę, lecz nie chciał jeszcze bardziej denerwować biednej Grace, której i tak trzęsły się ręce.

- Bo ja nigdy nie zamierzałam wyjść za Nigela.
- Wiem, wiem. Nie pozwoliłbym ci na to.

Cole pociągnął Jessikę za rękaw, by zwrócić na siebie jej uwagę.

- Chcę usłyszeć, że mnie kochasz. Nie życzę sobie żadnych więcej wykrętów. Mówię poważnie. To twoja ostatnia szansa, albo...
- Albo co?

Pochyliwszy się, Cole wyszeptał jej groźbę na ucho, a dziewczyna zarumieniła się po uszy.

- Nie zrobiłbyś tego... Nie przy Danielu i Grace... - Jestem zdesperowany. Jeżeli mogę zmusić cię do

współpracy zdzierając z ciebie ubranie, to nie zawaham się ani chwili.

- To by było miłą odmianą po tej torturze - wtrącił się Daniel przeciągając słowa.

Grace zakryła usta i roześmiała się, a Jessika objęła Cole'a za szyję.

- Czekam - przypomniał jej.

- Kocham cię, Cole. Kocham cię.

Cole spojrzał na nią poważnie.

- Na wieczność, Jessiko?

- Na wieczność.

W tej chwili do gabinetu wpadł sędzia Rafferty z pełną butelką najlepszej whisky. Nalał wszystkim do szklanek i usiadł ciężko za swym biurkiem.

- Nie mogę uwierzyć, że Donald Curtis, szanowany obywatel tego miasta, filar naszej małej społeczności, był przywódcą gangu z Blackwater. Co też go opętało?

- Chciwość - odparł Daniel.

- A także dreszczyk emocji - dodał Cole.

- Może Rebeka będzie w stanie odpowiedzieć nam na to pytanie. Ona znała go najlepiej - rzekła Jessika.

- Wiem, że nie powinnam, ale współczuję jej - odezwała się nagle Grace. - Kochała go, a zakochana kobieta może wiele zrobić dla swego ukochanego. Nawet zabić.

- Może któryś z panów szeryfów wzniesie toast? - zaproponował sędzia Rafferty.

Daniel spojrzał na Cole'a.

- Zamierzasz zachować swoją odznakę?

- Może. A ty?

- Może.

Cole uniósł szklankę i patrząc Danielowi w oczy, powiedział:

- A więc, za sprawiedliwość.

Ranczo Rosehill, Montana

Mama Róża siedziała na ganku podziwiając zachód słońca. To był jej codzienny rytuał, którego nigdy nie przegapiła, gdyż - wedle jej opinii - zachody słońca były jednym z najpiękniejszych darów Boga, a naszym obowiązkiem jest doceniać Jego dary.

Jednak tego wieczora nie siedziała sama na ganku: obok niej przycupnął najnowszy członek rodziny, Caleb. Oboje od razu zapalali do siebie gorącą miłością, więc teraz maluch siedział obok niej opowiadając coś w tylko sobie zrozumiałym języku.

Caleb był przemiłym dzieckiem i mama Róża nie mogła się powstrzymać, by od czasu do czasu nie pogłaskać go po główce pokrytej ciemnymi, miękkimi lokami. Cała rodzina zjechała na ranczo, aby świętować ślub Jessiki i Cole'a, oraz żeby przyjąć Jessikę i jej synka do rodziny. Stary dom pękał w szwach, a mama Róża była szczęśliwa jak nigdy dotąd.

Podniosła głowę i zobaczyła, że Cole stoi w drzwiach.

- Wiedziałem, że cię tu znajdę - powiedział. Wszedł na ganek i przyciągnął sobie krzesło.

Potem, skinąwszy głową w stronę Caleba, dodał dumnie: - Wspaniały chłopak, prawda, mamó?

- Taak - odparła z uśmiechem. - I cały czas coś robi. Nie potrafi usiedzieć spokojnie nawet minuty. Właśnie opowiadał mi zadziwiającą historię.

Cole wybuchnął śmiechem.

- Jessika ma z nim pełne ręce roboty - zauważył. - Pod koniec dnia oboje padamy ze zmęczenia, a on mógłby dalej bawić się całą noc.

- I tak to właśnie powinno być - wyjaśniła mu łagodnie mama Róża. Potem spoważniała. -

Chyba wiesz, jakie masz szczęście, Cole? Jessika jest istnym skarbem... podobnie jak ten tu malec.

- Wiem - przyznał cicho. - Czasami... w nocy... przyglądam się jak śpi... i aż mnie coś dławi w gardle. Zakochałem się po uszy - zakończył. - Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Spodziewam się, że będziesz w niedzielę na mszy - rzekła staruszka. - Powinieneś podziękować Panu.

- Będę - obiecał. - Założysz ten kapelusz, który przysłała ci Grace?

- Ojej... On jest dla mnie zbyt wspaniały. Zbyt szykowny.

- Dla ciebie nie ma nic zbyt wspaniałego. Zaslługujesz na wszystko, co najlepsze.

Zażenowana, pospiesznie zmieniła temat.

- Jessika powiedziała mi, że Grace zamierza otworzyć w Dillon sklep z kapeluszami.

Cole skinął głową.

- Jej rodzice obiecali przyjechać z Londynu i pomóc jej przy rozkręcaniu interesu. Daniel ma nadzieję, że zostaną na stałe.

- Kiedy Daniel wreszcie się z nią ożeni?

- Data ślubu nie została jeszcze oficjalnie ustalona. Musi najpierw poczekać na rodziców Grace i poprosić ich o błogosławieństwo... ale ma nadzieję wyprawić wesele na początku przyszłego roku. Na wiosnę. Powiedział, że musisz przyjechać.

- Oczywiście, że przyjadę. I założę wtedy mój nowy kapelusz. Daniel odzyskał wreszcie spokój ducha, prawda?

- W każdym razie jest na jak najlepszej drodze, mamó

- odparł Cole z uśmiechem.

W tym momencie znowu zaskrzypiały drzwi i przed dom wyszli pozostali jej synowie: Adam, Travis i Douglas. Chwilę później dołączyła do nich jej córka, Mary Rose. W sercu mamy Róży wezbrała dumna i nagle w jej oczach zalśniły łzy.

- Właśnie chciałam opowiedzieć Calebowi pewną historię.

- My też chętnie posłuchamy - odezwał się Adam.

- A o czym będzie ta historia? - chciał wiedzieć Douglas.

- O kręgu - odparła mama Róża. - Wszystko zaczęło się w Nowym Jorku, gdy czterej chłopcy i niemowlę stali się rodziną.

Caleb wspiął się na kolana staruszki i przytulił do jej piersi. Mama Róża objęła go i zaczęła się kołysać.

- Dawno, dawno temu...